

LEN DEIGHTON

ZBLIŻENIE

Ostatnio pisarze chętnie posługują się w swych powieściach epizodami z życia osobistości show-biznesu, lekko je tylko kamuflując. W książce tej nie posłużył mi za wzór żaden aktor, ani żyjący, ani zmarły i nie miałem na myśli żadnych konkretnych filmów ani instytucji.

Len Deighton

1

Osiemdziesiąt procent czasu zajmuje nam obecnie przeprowadzenie transakcji, zaledwie dwadzieścia procent poświęcamy na kręcenie filmów.

Billy Wilder

Błękitny gruby papier zachrobotał, kiedy mężczyzna składał swój podpis. Był to typowy autograf aktora. Wielkie litery przechodziły w esy-floresy. Całość robiła wrażenie dekoracyjnej spirali. Podpis ten świadczył o człowieku.

Marshall Stone. Łatwo w nim było rozpoznać bohatera „Ostatniego vaquero”, filmu, który w 1949 roku przyniósł sławę młodemu angielskiemu aktorowi. W ostatnim akcie siedział przy tym właśnie biurku, rozmyślał o swym zmarnowanym życiu i mobilizował siły, by stawić czoło kulom. Nim nakręcił tę ostatnią sekwencję, charakteryzator musiał pełne dwie godziny popracować nad jego twarzą. Dziś nie byłoby to już potrzebne.

Długie lata charakteryzacji zniszczyły mu cerę, teraz naprawdę

potrzebowała kosztownych zabiegów kosmetycznych, których jej nie szczydził. Wokół oczu pojawiły się głębokie zmarszczki, skóra na policzkach i pod brodą była nienaturalnie naciągnięta. Kształt twarzy i jej struktura kostna nie zniechęciłyby malarza, ale tę nijakość łatwo było ożywić. Wystarczył cień wokół oczu albo wzdłuż nosa, zmiana fryzury, korony nałożone na zęby, cieniutka podkładka pod policzki. Do ostatniej roli zapuścił wąsy i ta przystrzyżona po wojskowemu szczoteczka sprawiła, że jego najgorętsi wielbiciel i najbliżsi koledzy musieli mu się długo przyglądać, nim go poznali.

Nawet w miarę starzenia się twarz Stone'a nie nabrała charakteru. Jak wielu mężczyzn jego pokolenia nosił dość długie włosy, które zakrywały mu uszy i opadały grzywką na czoło. Z powodu tej fryzury nie od razu można się było zorientować, jaki wykonuje zawód.

Jego przejrzyste błękitne oczy - błyszczące jak oczy dziew-

7

czyny, ciekawe jak oczy dziecka - zawdzięczały pewnie swój blask jakimś specjalnym kropelkom. Krucze włosy nasuwały podejrzenie, że są farbowane. Sprężyste aktorskie ruchy mogłyby być ruchami marynarza lub sportowca. Zdradzał go dopiero głos. Studenci w RADA (Królewskiej Wyższej Szkole Teatralnej) uczyli się mówić wyraźnie, bez akcentu zdradzającego ich pochodzenie i niewielu z nich wyzwoliło się od takiego sposobu mówienia.

- Jasper! Gdzie jesteś?

Jasper, szofer, goryl i lokaj w jednej osobie, był na ogół w pobliżu. Wszedł do pokoju i zaciągnął zasłony. Niebo pociemniało przed letnią burzą. W gabinecie zrobiło się mroczno, twarz Stone'a zazieleniła się w świetle

stojącej na biurku lampy.

- Słucham pana.
 - Tu jest do wysłania czek do klubu i list. A tu masz czek, na który podejmiesz w banku trochę gotówki.
- Tak, proszę pana.

Bank miał specjalnie dla niego pozostać dłużej otwarty. Stone'a wciąż jeszcze bawiły przywileje, które spływały na niego z racji fortuny.

Powiedział, że przyśle po pieniądze przed pół do siódmej, ale oni i tak poczekają. Nauczyli się, że artyści nie mają poczucia czasu. Zza ciężkich brokatowych zasłon dolatywały odgłosy londyńskiej ulicy.

- Marnuję masę forsy na hazard.
- Nie sprzyja panu szczęście.

Stone nie miał w sobie cienia społecznego podejścia do życia, jednakże w obecności służących czuł się zawsze trochę winny. Ukrywał przed nimi swe popołudniowe drzemki i wieczorne hulanki. Żądał, by pukali przed wejściem do pokoju, w ten sposób zastawali go zawsze przy jakimś zajęciu. I często zwierzał im się ze swoich kłopotów oraz problemów zawodowych. Obecnie grał główną rolę w filmie „Konfident”.

- Jutro kręcimy tę scenę na bagnach. Mam nadzieję, że ogrzeją mi garderobę. W zeszłym tygodniu musiałem potem spędzić cztery godziny pod soluksem. Masażysta powiada, że to najlepszy sposób, żeby się nabawić reumatyzmu.

8

Środa wieczór.

Peter, mój drogi!

Parokrotnie już zwracano się do mnie z propozycją napisania mojej biografii, dotychczas zawsze odmawiałem. Ale autor twojej klasy potrafi jej nadać inny wymiar. I któż stworzy lepszy portret gwiazdy, niż człowiek, który napisał scenariusz „Ostatniego vaquero”?

Tylko unikaj, Peter, tego całego blichtru show-biznesu, niech to będzie realistyczny portret z wszystkimi brodawkami - i do diabła z naszymi specami od reklamy! Powinna to być książka o elektrykach, asystentach operatora, statystach i cichych współpracownikach w biurze produkcji. Książka o tym jak powstaje film.

Zadzwoń do mojej osobistej sekretarki, pani Angeli Brook, umówi Cię ze mną w możliwie najbliższym terminie.

Twój artykuł w zeszłym miesiącu był naprawdę świetny i na dodatek jakże pochlebny! Z wielką niecierpliwością będę czekać na ukazanie się książki poświęconej Twemu pokornemu słudze.

Marshall Stone

Przekreślił „jakże” i na to miejsce wstawił „cholernie”. W liście powinna się znaleźć choćby jedna poprawka, tak było bardziej osobiście. Zanurzył w roztopionym laku sygnety i zapieczętował oba listy.

- Czy przyszedł już pan Weinberger?
- Tak, proszę pana, zaprowadziłem go do biblioteki.
- To dobrze. - Stone poczuł, że ścisną go w gardle, miał gorzki smak w ustach. Nagła wizyta agenta oznaczała zwykle złe wiadomości.
- Przyniósł ze sobą stos dokumentów i przegląda je. Robi wrażenie zadowolonego.

Chryste Panie, dokumenty!

- Zapropnowałeś mu coś do picia?

- Owszem, proszę pana, ale odmówił.
 - Wszyscy zawsze odmawiają. Trzeba nalegać. - Stone odchrząknął.
- Tak, proszę pana.

9

- Jedź zatem do banku i czekaj na mnie przed domem o pół do dziewiątej. W Rollsie. I daj znać Silvio, żeby zarezerwowali mój zwykły stolik. Myślę, że wrócę tu na noc. Powiedz służbie w Twin Beeches, że przyjadę tam jutro na kolację.

- Tak, proszę pana.

Stone zamknął na klucz biurko i poszedł do łazienki.

Chlusnął zimną wodą na twarz. Potem wytarł ją uważając, by nie rozmazać tuszu na rzęsach. Wybrał wysokie buty, wypłowiącą koszulę, zawiązał na szyi czerwoną chustkę. Przejrzawszy się w lustrze, zdjął ją i włożył na szyję złoty łańcuszek z krzyżykiem. Krzyżyk schował pod koszulę, ale tak, żeby go było widać.

- Winiaczku! - zawołał wchodząc do biblioteki. Rozłożył szeroko ręce gestem wschodniej gościnności. Przez chwilę stał bez ruchu. Potem podszedł do agenta i obiema rękami serdecznie ujął jego wyciągniętą dłoń.

Weinberger wyglądał jak ogromny miś, którym bawiło się parę pokoleń dzieci. Był wysoki, ale tak tęgi, że nawet garnitur z Savile Row nic tu nie mógł pomóc. Miał tuzin identycznych garniturów, wszystkie marynarki poznaczone były z prawej strony wypalonymi przez papierosy dziurkami. Szeroki nos, także wargi, niemal zastygłe w uśmiechu, który miał pokazywać światu, że bez słowa skargi potrafi znieść wszystkie krzywdy i upokorzenia.

Starzał się nie zwracać na siebie uwagi. I zwykle mu się to udawało. Zdziwił tylko tych, którym chciało się przeczytać wszystkie precyzyjnie sformułowane klauzule przygotowanych przez niego kontraktów. Jego głos brzmiał melancholijnie, co dawało zgoła nieoczekiwany efekt.

- Strasznie mi przykro, Marshall, że muszę cię niepokoić dziś wieczorem. Nic ważnego, czysta formalność, ale potrzebny mi twój podpis.

Stone nie wypuszczał jego ręki. - Cieszę się, że cię widzę, Winiaczk. Bardzo się cieszę.

- Antologia Klasyki Filmowej, nowe przedsięwzięcie Koolmana, chce naszej zgody na odsprzedanie praw telewizyjnych.

Stone puścił dłoń agenta.

- Winiaczk, czy ty zdajesz sobie sprawę, że spotykamy się

10

tylko wówczas, gdy musimy pogadać o interesach? Powinniśmy umawiać się po to, żeby się razem pośmiać, powspominać dawne czasy...

- Sam nie wiem, czemu zgodzili się na tę klauzulę w kontrakcie, że wymagana jest nasza zgoda. Umieściłem ją tylko po to, żeby pomogła w przetargach. - Winiaczek pokręcił smętnie głową. - A oni się nią wcale nie przejęli.
- Czemu ty myślisz tylko o interesach? Napij się ze mną! - Stone zalotnie przekrzywił głowę, a potem nią skinął, jakby ten gest mógł przekonać jego gościa. W dawnych czasach, kiedy brzuchomówstwo służyło do rozbawiania towarzystwa, takie gierki wywoływały śmiech, tak samo jak dowcipy o gwiazdorze, który siada na kolanach posępnego olbrzyma, swego agenta. Tyle że takiego dowcipu nie opowiedział nigdy

nikt, kto znał Marshalla Stone'a.

- Nie, Marshall, dzięki. - Weinberger zajął do swoich notatek. - Producent ma prawo do sprzedaży praw telewizyjnych w trzy lata po ukończeniu filmu lub za twoim specjalnym zezwoleniem. Termin tak czy owak upływa za sześć miesięcy.
- Napij się Jacka Danielsa! Pamiętasz, jak go złopali w Polo Lounge w Beverly Hills?

Weinberger rozejrzał się po obszernym pokoju, szukając miejsca na swoje papiery. Na inkrustowanym stole stały szkatułki z kości słoniowej, fotografie w srebrnych ramkach, barometry pokazujące ciśnienie, temperaturę i wilgotność powietrza, stoper. Weinberger odsunął te cacka i złotym ołówkiem zrobił krzyżyki na dwóch listach.

- Tu musisz podpisać. - Schował ołówek i wyjął wieczne pióro; nim podał je swemu klientowi, zdjął nasadkę i sprawdził, czy pióro pisze.

Stone podpisał listy, bardzo uważając, by podpis był równie efektowny jak zawsze.

- Ależ, Marshall! Najpierw przeczytaj!
 - Nie będę się wtrącał w to, co należy do ciebie. - Zakręcił pióro i oddał Weinbergerowi. - A właściwie o którym to filmie mówimy.
 - Przepraszam. O „Ostatnim kacie”. Tylu sponsorów wycofało się z dotowania emisji, że telewizja marzy o nim by

11

podreperować jesienny sezon. Wygląda na to, że jedynym serialem, który przetrwa do Bożego Narodzenia, będzie wojna w Wietnamie.

Stone pokiwał głową.

- Poza sceną na statku byłem okropny.
 - Bardzo chcę zrobić jeszcze parę filmów z tym samym bohaterem. Leo zachwyca się twoją rolą. „Marshall zagrał zwarem, barwnie i agresywnie”. Spełniłeś jego trzy wymagania.
- Co ten kutas wie o aktorstwie!
 - Akurat się z nim zupełnie zgadzam, Marshall! Pomyśl o pierwszym scenariuszu! Tę postać stworzyłeś naprawdę z niczego.
 - Pracowało przy tym filmie pięciu scenarzystów. Sześciu, jeśli liczyć tego szczeniaka, który dopisał dialogi.
 - W telewizji będzie to sensacja. Leo chce, żebyś parę razy wystąpił. - Weinberger bacznie śledził twarz aktora, obawiając się jego reakcji. Ale Stone nie zareagował.
 - I w końcu to właśnie nazwisko tego szczeniaka pojawiło się w czołówce. Pracował nie dłużej niż tydzień.

Weinberger ciągnął:

- Będą to poważne imprezy. Rozmowa z kimś z Instytutu Filmowego dla BBC i z Dawidem Frostem dla Stanów, jeśli zechcesz będzie można nagrać je tutaj, a Koolman puści w ruch całą reklamową maszynę. Otrzymamy pisemne zobowiązanie.
- Pójdziemy na dno.
 - Nie, Marshall. Jeśli telewizja pokaże filmy o odpowiedniej porze, to odniosą ogromny sukces. A Leo pali się teraz do historii szpiegowskich.
 - Jeszcze tak nisko nie upadłem, żeby mi była potrzebna telewizja! - Stone roześmiał się. - Zresztą te filmy przepadną. Serial w telewizji amerykańskiej może liczyć na powodzenie tylko wówczas, gdy został

zrobiony dla widzów o mentalności siedmiolatków.

- Nie wszyscy widzowie są tacy. Ja na przykład chętnie oglądam telewizję.
- Może. Ale ludzie, którzy decydują o programach, mają taką właśnie mentalność. - Stone nalał sobie szklanekę wody

12

Perrier i wypił parę łyżków. Świetnie rozumiał, że sprawa kontraktu to tylko pretekst. Jego agent przyszedł, by namówić go do pracy dla telewizji.

- No wiesz, Marshall!
- Pieprz telewizję, Winiaczkę. Nie wracajmy do tego. Tobie wystarczy skinąć głową i wziąć swoje dziesięć procent. Ja mam tylko jedno, swoją karierę, a ty wielu takich Marshallów Stone'ów.

Uśmiechnął się. Tylko aktorzy potrafią tak długo zatrzymać na twarzy uśmiech.

Weinberger wciąż zaciskał w rękę pióro i wciąż się w nie wpatrywał.

Pobiegały mu kostki palców. Stone mówił dalej:

- Choćby ten twój Marshall dla ubogich - Val Somerset! Stanałeś na głowie, żeby w gazetach ukazało się jego zdjęcie, jak je w Cannes obiad z Koolmanem. Wspaniała reklama, nie były to magazyny filmowe, tylko gazety codzienne. To dlatego nie chciałeś, żebym tam przyjechał na pokaz „Mierz i pal”? - Stone nie zmienił przyjaznego tonu głosu, ale postarał się okazać gniew. Od wielu miesięcy chował w sercu urazę.
- Ależ skądże!
- Cha, cha! Czy widziałeś, co on zrobił w „Wyroku cesarza”? Zagrał dokładnie tak, jak ja w „Może kiedyś wrócę”. Trzy osoby o tym pisały

- była to pospolita kradzież.

Weinberger podszedł do kanapki, wziął swoją czarną teczkę i schował do niej dokumenty.

- Nie raczysz mi odpowiedzi? - spytał Stone.

Weinberger odwrócił się i oświadczył całkowicie neutralnym tonem:

- Ten mały, Marshall nie odbierze ci żadnej roli. Ty jesteś międzynarodową gwiazdą. A on ledwie zadebiutował w „Światłach reflektorów”. Płacą mu raptem jedną dziesiątą tego, co tobie.

Stone podszedł do agenta, pokiwał z ubolewaniem głową, po czym położył mu rękę na ramieniu. Ten gest oznaczał zawsze, że domaga się serdeczności.

- Czasem zastanawiam się, jak ty, Winiaczku, możesz ze mną wytrzymać.

Weinberger nie odpowiedział. Już ćwierć wieku należał do

13

kręgu ludzi bliskich Stone'owi. Nauczył się znosić obelgi i krytyki, stanowiło to część jego pracy. Wiedział, że każdym aktorem miotają wątpliwości i obawy, wiedział też, że agent musi być nie tylko spowiednikiem, przyjacielem i ojcem, ale także chłopcem do bicia.

Jako człowiekowi Stone'owi może by i dobrze zrobiło, gdyby musiał wysłuchać paru bolesnych prawd, ale dla Stone'a aktora mogłoby się to okazać katastrofalne.

Zresztą dla Weinbergera Stone nie był jakimś tam aktorem, był jednym z największych. Jego Hamleta można było porównywać tylko z Hamletem

Giełguda, w roli Otella przewyższył go jedynie OHvier. W filmie grał wszystkie możliwe role - począwszy od bohaterów westernów, kończąc na komediach. Nawet jego agent nie mógłby obstawać przy tym, że wszystkie były udane, niektóre jednak były wielkie. Rzadko się zdarzało, by młody aktor próbował zagrać kowboja nie obejrzawszy przedtem „Ostatniego vaquero”, a przecież to tym właśnie Filmem zadebiutował Stone.

Weinberger uśmiechnął się do swego klienta.

- Już dobrze, Marshall.

Stone poklepał go po ramieniu i podszedł do kominka.

- Dzięki za scenariusz „Człowieka z pałacu”, Winiaczku. Masz prawdziwy talent do wybierania scenariuszy. Byłby z ciebie wielki producent. Skrzywdziłem cię namawiając, żebyś został moim agentem. - Stone znów się uśmiechnął.
- Cieszę się, że ci się podoba. - Weinberger wiedział, że Stone znów stara się go świadomie oczarować, ale jak zwykle uległ. Stone nie usiłował nawet ukryć swoich zamiarów, podobnie jak nie ukrywają ich niektóre kobiety i oszuści, co nie przeszkadza im w osiągnięciu zamierzonego celu.
- Wiesz co, Winiaczku? To może być wielki film. Ta sekwencja, kiedy schodzę z balkonu po buncie floty. I opowiadam czekającej dziewczynie, co zamierzałem zrobić dla mego kraju... Ogromne wyczucie problematyki społecznej. Ja jestem człowiekiem środka: widzę logikę zwolenników komputerów i widzę pułapki czyhające na kontestatorów. Ten film przemówi do młodzieży, Winiaczku. Kto zagra dziewczynę?
- Nellie Jones niestety nie może, nie ma uzgodnionej

w kontrakcie daty ukończenia filmu, a on się już przeciągnął o cztery tygodnie. Słyszałem, że robią próbne zdjęcia z jakąś Amerykanką.

- Amerykanką! Czy w Anglii nie ma dosyć nieutalentowanych i niedoświadczonych aktoreczek? - Stone zaśmiał się ponuro, przypominając sobie niektóre partnerki.

Weinberger też uśmiechnął się, zupełnie jakby usłyszał to pierwszy raz.

- Mówiłem im. I oświadczyłem, że przyjmiesz rolę tylko wtedy, kiedy będzie ci odpowiadać reszta obsady. Ale może ta mała będzie okay.

Zastrzegłem sobie wgląd w czołówkę.

- Tylko moje nazwisko przed tytułem?
- No właśnie.
- Więc co? Decydujemy się?
 - Nie ma pośpiechu, Marshall. Zobaczymy, jak będzie wyglądała ich ostateczna propozycja.
- Scenariusz jest dobry.
- Ale powieść była do kitu! - ostrzegł Weinberger.
 - Osiemnaście tygodni na liście bestsellerów.

Weinberger skrzywił się.

- Ach, ty skurwielu! Proszę cię, napij się. - Stone wyjął korek z kryształowej karafki.
- Mnie od tego mąci się w głowie, a ty ryjesz.
- Tylko kropelkę?
 - Dobra, Marshall, jeśli ci to potrzebne do szczęścia, możesz mi nalać całą szklankę twojej najlepszej szkockiej. Tyle że ja jej nie wypiję.
- Wstrętny uparciuch! - Stone zatkał karafkę.

- Dlatego jestem ci potrzebny. Bo mnie nie zależy na tym, żeby mnie lubiano.
- A mnie zależy?
- Tak, tobie tak.
- Czy na „Ostatnim kacie” dobrześmy zarobili?
 - Z Koolmana nikomu jeszcze nie udało się wyciągnąć więcej.
 - Poślę mu jakiś upominek. Pierwsze wydanie albo spinki do mankietów.
- O, nie.

15

Stone spojrział ze zdziwieniem. A Weinberger oświadczył:

- Zacząłby podejrzewać, żeśmy go nabrali.
 - Ty, Winiaczku, masz strasznie pokrętny umysł. - Stone podniósł w niemym toaście szklanę.

Weinberger uśmiechnął się.

- Pijesz moje zdrowie wodą Perrier?

Stone skinął głową. Potem odstawił szklanę i spojrział na swojego złotego Rolexa. Dawniej ambicją każdego aktora było posiadanie takiego zegarka. A teraz smarkacze tacy jak So-mermset nosili zegarki z Myszką Miki, które mógł sobie kupić każdy.

- Chodź ze mną na kolację, Winiaczku.

Weinberger zorientował się, że Stone daje mu do zrozumienia, by się pożegnał.

- Na mnie czeka w domu żona z kolacją. Kolacja gotowa wystygnać, a żona dostanie szau.
- Zadzwoń do Lucy. Niech pójdzie z nami. Boże drogi, nie widziałem jej

już całe wieki.

Weinberger uśmiechnął się.

- Mówię poważnie.
- Leć na kolację, Marshall. Jeśli pozwolisz, jeszcze stąd zatelefonuję i wracam do domu. Sam się odprowadzę.
- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował. - Stone dotknął róż, które przywiózł rano ze swojego wiejskiego ogrodu. Tego ogrodu było mu zawsze brak, ilekroć praca zmuszała go, by został w londyńskim mieszkaniu. - Proszę cię, weź te róże i daj je ode mnie Lucy.

Weinberger skinął głową. Stone zwlekał z wyjściem, niepewny, czy agent nie żywi jednak do niego urazy za poprzednią opryskliwość. Niczego się tak nie bał - choć był to lęk całkowicie bezpodstawny - jak tego, że Weinberger mógłby się przestać zajmować jego interesami. Albo, co gorsza, że zajmowałyby się opieszale, faworyzując innego klienta.

- Cieszę się, żeśmy się zobaczyli, Winiaczk, strasznie się cieszę. - Zatrzymał się chwilę przed lustrem, żeby sprawdzić, czy fryzura jest w porządku. Potem jeszcze raz obdarzył Weinbergera uśmiechem i pchnął dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi, które niegdyś stanowiły ozdobę meksykańskiego kościoła.

16

Weinberger usłyszał w holu głos Stone'a i jakiejś dziewczyny. Potem zamknęły się drzwi mieszkania i wkrótce rozległ się warkot Rollsa.

Rozejrzał się po pokoju. Nic się w nim nie zmieniło od dziesięciu niemal lat, kiedy urządził go architekt wewnątrz. Pokój utrzymany był w tonacji szaro-różowej. Nawet stojące tu i ówdzie tabakierki dobrano tak, by dominował jeden z tych kolorów. Gdzieniegdzie leżały niby to niedbale rzucone

poduszki i stały wielkie wazy z ciętymi kwiatami; miało to robić wrażenie spontaniczności, ale zostało starannie zaaranżowane przez wyżej wspomnianego architekta. Trzy obite jedwabiem kanapki ustawione były wokół kominka. Nawet kosztowne albumy malarskie i srebrna kasetka z papierosami znajdowały się zawsze dokładnie w tym samym miejscu.

Weinberger wziął papierosa i nakręcił numer prezesa Międzynarodowej Wytwórni Filmowej Leo Koolmana. Kiedy wreszcie udało mu się dojść do słowa, powiedział tylko:

- Zupełnie się z tobą zgadzam, Leo, ale aktor musi sam podjąć taką decyzję. Nie chcesz przecież, żeby potem obwiniał za wszystko ciebie, ja zaś nie chcę, żeby obwiniał mnie.

Koolman znów dłuższy czas perorował, po czym Weinberger oświadczył:

- Wszyscy aktorzy obawiają się telewizji, uważają, że to zapowiedź ich upadku. Zwłaszcza boją się seriali. Marshall na pewno nakręci dla ciebie jeden film telewizyjny lub weźmie udział w jakimś widowisku, ale nie zgodzi się na dwadzieścia. Wiesz co, zaproponuję mu dziesięć. Po pierwszych paru albo odniesie taki sukces, że zgodzi się ciągnąć to dalej, albo rzecz okaże się niewypałem i ty sam będziesz wolał poprzestać na pięciu odcinkach.

Znów dłuższy czas słuchał.

- Okay, Leo... Chciałbym ci pokazać kilka dziewczyn, które mogłyby zagrać żonę... - Znów milczenie i: - No tak, sam bym też chciał. - Zaśmiał się. - Do widzenia, Leo, i wielkie dzięki.

Jasper wyłączył magnetofon i spojrzał na Marshalla Stone'a. Aktor wstał i wygładził zmarszczki na opiętych spodniach.

Dziewczyna patrzyła na niego wciąż z tym samym wyrazem twarzy.

- A to Judasz! - oświadczył wreszcie Stone. - Bierze dziesięć procent moich zarobków... - zwrócił się do dziewczyny. - Dziesięć procent zarobków brutto, nie netto! To naprawdę fortuna! - Ona skinęła głową. - I spiskuje przeciwko mnie w moim własnym domu. - Odwrócił się do Jaspera. - Szkoda, że nie udało ci się zainstalować takiego aparatu, żeby było słycać, co mówi druga strona.
- Tak, proszę pana.
- No dobrze, Jasper. Dobranoc. Sam odwiozę do domu pannę Delft.
- Dobranoc panu.

Jasper przed wyjściem z pokoju zamknął magnetofon i odstawił go na miejsce. Kiedy wyszedł, dziewczyna zerwała się i objęła Stone'a za szyję.

- To nie może tak dalej trwać. Te ukradkowe spotkania...
- Ależ, kochanie... Uwierz mi, żyję tylko dla ciebie.
- Wiem - odparła Suzy Delft.

2

- Co ten (Upton) Sinclair może wiedzieć? Przecież jest tylko pisarzem.

Louis B. Mayer

1949 r.

- Przecież mój brat robił to tylko dla dobra tego miasta.

Wyższy z dwóch mężczyzn dotknął zamka sejfu i odwrócił się w stronę młodego kowboja.

- No, no, mały. Amerykanie gołymi rękami zbudowali to miasto. Jak się tu komu nie podoba, to niech zjeżdża do domu.

Młody kowboj oparł się o biurko bankiera i odezwał tonem człowieka, który z trudem próbuje się opanować.

- Czy pan, panie Sanderson, był kiedyś na własnym ran-czu? Czy widział pan te budy, w których mieszkają Meksykanie?
- Chętnie bym się tam wybrał, ale nie znoszę smrodu - odpowiedział z uśmiechem bankier.

Obaj drgnęli, bo rozległ się huk strzałów i tętent pędzących koni. Kilku mężczyzn przegalopowało za oknem strzelając w powietrze. Młody kowboj zauważył:

- Wygląda na to, że wkrótce się go pan nawącha!

Baxter kopniakiem otworzył drzwi salki projekcyjnej, ręce miał zajęte dwoma koktajlami mlecznymi i moim pastrami na czarnym chlebie - typowe hollywoodzkie śniadanie.

Podważyłem paznokciem pokrywkę kubeczka uważając, by nie prysnął na mnie płyn. Biegący wokół tekturowego kubeczka celuloidowy pasek głosił: „San Fernando Walby Drugsto-re, rok założenia 1934 r.". Pstryknąłem wieczko, tak że poleciało aż do pierwszego rzędu krzeseł. Czasem udawało mi się trafić w ekran. Zawsze siadałem na końcu salki, tuż przed szybką kabiny projekcyjnej. Były tu zainstalowane wywietrzniki, mogłem więc spokojnie palić mimo napisu „Palenie surowo wzbronione", nie obawiając się, że któryś z szefów, wejdzie sprawdzić, czy przypadkiem nie czuć dymu.

- A to Judasz! - oświadczył wreszcie Stone. - Bierze dziesięć procent moich zarobków... - zwrócił się do dziewczyny. - Dziesięć procent zarobków brutto, nie netto! To naprawdę fortuna! - Ona skinęła głową. - I spiskuje przeciwko mnie w moim własnym domu. - Odwrócił się do Jaspera. - Szkoda, że nie udało ci się zainstalować takiego aparatu, żeby było słycać, co mówi druga strona.
- Tak, proszę pana.
 - No dobrze, Jasper. Dobranoc. Sam odwiozę do domu pannę Delft.
- Dobranoc panu.

Jasper przed wyjściem z pokoju zamknął magnetofon i odstawił go na miejsce. Kiedy wyszedł, dziewczyna zerwała się i objęła Stone'a za szyję.
- To nie może tak dalej trwać. Te ukradkowe spotkania...
- Ależ, kochanie... Uwierz mi, żyję tylko dla ciebie.
- Wiem - odparła Suzy Delft.

2

- Co ten (Upton) Sinclair może wiedzieć? Przecież jest tylko pisarzem.

Louis B. Mayer

1949 r.

- Przecież mój brat robił to tylko dla dobra tego miasta.

Wyższy z dwóch mężczyzn dotknął zamka sejfu i odwrócił się w stronę młodego kowboja.

- No, no, mały. Amerykanie gołymi rękami zbudowali to miasto. Jak się tu komu nie podoba, to niech zjeżdża do domu.

Młody kowboj oparł się o biurko bankiera i odezwał tonem człowieka, który z trudem próbuje się opanować.

- Czy pan, panie Sanderson, był kiedyś na własnym ran-czu? Czy widział pan te budy, w których mieszkają Meksykanie?
- Chętnie bym się tam wybrał, ale nie znoszę smrodu - odpowiedział z uśmiechem bankier.

Obaj drgnęli, bo rozległ się huk strzałów i tętent pędzących koni. Kilku mężczyzn przegalopowało za oknem strzelając w powietrze. Młody kowboj zauważył:

- Wygląda na to, że wkrótce się go pan nawącha!

Baxter kopniakiem otworzył drzwi salki projekcyjnej, ręce miał zajęte dwoma koktajlami mlecznymi i moim pastrami na czarnym chlebie - typowe hollywoodzkie śniadanie.

Podważyłem paznokciem pokrywkę kubeczka uważając, by nie prysnął na mnie płyn. Biegący wokół tekturowego kubeczka celuloidowy pasek głosił: „San Fernando Walby Drugsto-re, rok założenia 1934 r.". Pstryknąłem wieczko, tak że poleciało aż do pierwszego rzędu krzeseł. Czasem udawało mi się trafić w ekran. Zawsze siadałem na końcu salki, tuż przed szybą kabiny projekcyjnej. Były tu zainstalowane wywietrzniki, mogłem więc spokojnie palić mimo napisu „Palenie surowo wzbronione", nie obawiając się, że któryś z szefów, wejdzie sprawdzić, czy przypadkiem nie czuć dymu.

19

Baxter wyjął z celofanu słomki i ułożył gorące sandwicze na tekturowym talerzu. Był zdenerwowany. Zwykle schylał się, dziś na jego czole pokazał się obraz burmistrza.

- Zasłaniasz, Baxter.

Kiwnął głową, ale widać było, że mnie nie usłyszał. Sam nie wiedziałem, czemu znoszę go już od pięciu lat, tyle że w 1944 r. tylko takie niedorajdy jak on i tacy włóczykije jak ja nie byli w wojsku.

- Zasłaniasz! - powtórzyłem.
- Nie odnowili twojego kontraktu, Peter.

Obaj wiedzieliśmy, że tak naprawdę nie mam żadnego kontraktu. Co miesiąc wypłacano mi pensję i przy każdej wypłacie mogli mnie odprawić z kwitkiem wypłacając sumę równą tej pensji.

Zabrałem się do sandwicza.

- Co dzień ci powtarzam, że nie chcę sałaty. Co dzień!

Mogłem się tego spodziewać. Prowadziłem rozpaczliwą walkę w obronie mego scenariusza przed zakusami producenta, który „miewał pomysły”. Zawsze byłoby to błędem, a w 1949 r. był to z mojej strony błąd fatalny.

- Powiedział mi McCann, strażnik przy trzeciej bramie.

Czeka tam na ciebie koperta, którą ma ci wręczyć, gdy będziesz wychodził. Przyniosła ją panienka z rachuby i powiadomiła go, co w niej jest.

Z sandwicza wyjadłem tylko mięso. Wsadziłem kubeczek po koktajlu pod siedzenie krzesła i wstałem. Na pewno był to świetny pomysł, żeby moje czarne charaktery wygłaszały pro-faszystowskie poglądy, ale nie był to pomysł na czasie.

Baxter oznajmił:

- To był wspaniały gest, Peter! Kiedy nieżonaty facet ma taką pensję jak twoja, to może sobie od czasu do czasu

pozwoić na gest.

Skinąłem głową. A on ciągnął dalej:

- Mógłbyś się odwołać do Związku Scenarzystów, ale i tak na pewno Warner albo Paramount z radością cię zatrudnią. Zobacysz! - Miał przyklejony do twarzy uśmiech i przez chwilę kusilo mnie, by sprawdzić, jak długo potrafi go utrzymać. Ale przypomniałem sobie dobre czasy.

20

- Okay! Zadzwoń jutro do Jima i powiem mu, jaki z ciebie geniusz. Może ci znajdzie innego najemnego literata, koło którego będziesz mógł skakać.
- Jeśli go o to poprosisz, na pewno to zrobi. On ma dla ciebie masę szacunku.
- Jasne.

Nie zapaliłem światła. I bez słowa wyszedłem z salki nr 8. Przypuszczam, że Baxter kazał kabiniarzowi przerwać projekcję „Ostatniego vaquero”, ale kto wie, może projekcja trwa do dzisiaj. Tak czy owak scenariusz „Ostatniego vaquero” był nędzny. Na podstawie mojego pierwszego projektu dałoby się może nakręcić przyzwoity film, ale scenariusz doszczętnie przerobiono i historyjka mówiła teraz o tym, jak uczciwość i ciężka praca zapewniają sukces. Nic nie zostało z ironii. Firma Koolmana szanowała „moralne wartości” i musiałem chyba zwariować sądząc, że uda mi się przeprowadzić mój pomysł.

Idąc przez teren wytwórni nie wiedziałem, że nie pojawię się tutaj przez najbliższe piętnaście lat. Wyszedszy na dwór zmrużyłem oczy od słońca i ruszyłem w stronę pawilonu scenarzystów.

Przejechała obok mnie przyczepa z elementami hawajskiej wioski. Chłopiec prowadzący ciągnik krzyknął coś do mnie, a ja pomachałem mu ręką. Przed drzwiami hali zdjęciowej nr 2 pojawiła się grupa ucharakteryzowanych mężczyzn w jedwabnych szlafrokach, którzy wyszli na papierosa. Spojrzeli na chłopaka, spojrzeli bacznie na mnie. Poczułem, że i mnie udziela się psychoza strachu, która wtargnęła do Hollywood wraz z komisjami do badania działalności antyamerykańskiej.

Dochodziła dopiero dziewiąta, był lutowy poranek, ale słońce prażyło już tak, że gotowe było wypalić oczy. Wpadłem do mego biura, żeby zabrać kilka koszul i nie ukończone opowiadanie. Maszyna do pisania i elektryczny wiatraczek stanowiły własność firmy.

Z okna widziałem pusty plac, na którym składano ściany i schody. Dalej stał pawilon rachuby i biura prawnego. Charakterystyczne - był to dwupiętrowy budynek z cegły, w którym leżały dywany i gdzie zainstalowano klimatyzację, a „pawilon”

21

scenarzystów składał się z dwóch drewnianych baraków połączonych ciemnym korytarzem.

Wokół kryjówki Koolmana wznosił się wysoki biały mur, zwieńczony kolczastym drutem, ale główny budynek wychodził na zielony trawnik, nad którym unosiła się mgielka skroplonej wody. Poszedłem wbrew surowym zakazom w kierunku głównej bramy, na skrót. Teraz mogłem już sobie pozwolić na odwagę. Minąłem Leo Koolmana - cudowne dziecko firmy, i mego kierownika produkcji Kagana Bookbindera. Siedzieli w otwartym samochodzie Bookbindera. Był nowy, jaskrawo-czerwony; ci co na próżno oczekiwali przydziału samochodu, nazywali takie wozy „Japońskimi

Admirałami". Grało cicho radio.

Bookbinder starał się sobie przypomnieć, jak robi się zakłopotaną minę, ale doszedł do wniosku, że jeszcze o niczym nie wiem. Wyglądał na twardego gościa, nadałby się na statystę w scenach na bezludnej wyspie; od czasu Pearl Harbor było duże zapotrzebowanie na ten typ aktora.

Leo Koolman był zarozumiałym i próżnym młodzieńcem, wspaniale opalonym, miał na sobie hawajską koszulę w kwiaty. Uznano, że jego młodość, energia i doświadczenie predestynują go do wyciągnięcia firmy z opałów, w których się znalazła. Jeszcze dziś trudno mi go sprawiedliwie oceniać, jako że byłem jedną z jego pierwszych ofiar.

Koolman spytał:

- Czy wie pan, kto otrzymał nominację?
 - Chodzi o Oscary - wyjaśnił Bookbinder. - W poprzednich wiadomościach nic o tym nie wspomniano. Czekamy na dziennik o dziewiątej.
- „Hamlet” - oznajmiłem. - Laurence OHvier.
 - Pan zgaduje - oświadczył Koolman tonem oskarżenia. Ale miał nadzieję, że nie zgaduję. Wyróżnienie angielskiego aktora automatycznie podziałałoby na korzyść Stone'a.
 - A niby kto? - spytałem butnie. - Dan Dailey? Clifton Webb?
 - Może masz rację - przyznał Bookbinder, wciąż uśmiechnięty i do końca fałszywy.

Koolman zachował rezerwę.

22

- Scenarzyści mają wchodzić i wychodzić bramą nr 3 - na

pomniął.

Uśmiechnąłem się do nich i poszedłem dalej.

- Ty naprawdę uważasz, że OHvier jest najlepszym aktorem? - zawołał za mną Bookbinder.
- A Szekspir otrzyma nagrodę za scenariusz - odkrzyknąłem.

W dzienniku o dziewiątej ogłoszono nominacje i okazało się, że przewidziałem trafnie. Dan Dailey, Clifton Webb, Lew Ayres i Montgomery Clift. W siedem tygodni później Oscara dostał OHvier. Leo Koolman nazwał mnie ponoć jasnowidzem, ale nie zaproponował mi posady wróża. Może dlatego, że Szekspir przegrał z Johnem Hustonem.

Było oczywiste, że to Olivier zostanie laureatem. Rok wcześniej byłoby mu trudniej, gdyż kandydowali Colman, Peck, Garfield, Powell i Redgrave, ale już wówczas uważano, że Hollywood jest zbyt zapatrzone we własny pępek. „Hamlet” stał się świetną okazją, by zerwać z tradycją przyznawania Oscarów wyłącznie amerykańskim filmom.

Ostatecznie te wapniaki z wyspy, choć z akcentem, mówiły jednak po angielsku i nikt nie mógł nazwać barda z Avonu komuchem. Najlepszy aktor był cudzoziemcem, ale przynajmniej nosił tytuł szlachecki i już trzykrotnie otrzymywał nominację. I na tej fali ksenofilii Leo Koolman jakże odważnie wepchnął Marshalla Stone'a do historii filmu.

Niestety wieść o moim geniuszu i jasnowidztwie nie dotarła do innych wytwórni. Nigdy nie dowiedziałem się, czy moje nazwisko znalazło się na czarnej liście, czy też po prostu nikomu nie byłem potrzebny, ale po blisko trzech miesiącach nieudanych poszukiwań pracy wyruszyłem swoim starym Fordem z powrotem do Nowego Jorku.

Nie podobał mi się Nowy Jork w 1944 r. i nie bardziej spodobał mi się

teraz, w 1949. Przez trzy miesiące pisałem teksty reklamowe dla agencji z Madison Avenue, aż pod koniec sierpnia wysiadła tam klimatyzacja. Decyzję, którą od paru tygodni wciąż odkładałem, ułatwił mi fakt, że agencja łączyła się z inną i ostatnio przyjęci pracownicy mieli zostać zwolnieni w pierwszej kolejności.

23

ko. Wziął następne, nadgryzł i zaczął mu się przyglądać, **jakby** chciał sprawdzić, z jakich ingrediencji powstało. Przybiegł goniec.

- Przyszła jakaś pani - oświadczył Nicolsonowi.
- Pani? - Nicolson zrobił zdziwioną minę.
 - Powiedziała, że chce zobaczyć się z panem w sprawie obsady. Jest z panem Weinbergerem.
 - Aha, wiem - przypomniał sobie Nicolson. I zwrócił się do mnie: - Aktorka. To potrwa najwyżej parę minut. - Skinąłem głową. - Powiedz jej, żeby tu zeszła - polecił chłopcu Nicolson.
 - Po tym filmie mam pracować przy „Żonie farmera”. Gotycki horror. Szukam obsady. Cholernie trudno jest znaleźć w Londynie przekonywającą żonę farmera z Wisconsin, która by liczyła sobie trzydzieści parę lat.

Kiedy kobieta weszła, od razu ją rozpoznałem. Pod koniec wojny widywałem ją w „Old Vicu” u boku Richardsona i Oli-viera. Miała szklany wzrok aktora, który szuka pracy. W drzwiach spróbowała włączyć wewnętrzny motorek. Nicolson też się zmienił, mówił zupełnie innym tonem, tak jakby ów ton miał go ochronić przed fontanną krwi niczym przeciwdeszczowy płaszcz.

- Nie bardzo pamiętam, jak się pani nazywa...

- Graham. Roześmiał się.
- Ależ nazwisko znam, chodziło mi o imię. Odniosłem wrażenie, że gdyby wymieniła imię, to by się okazało, iż nie pamięta nazwiska.
 - Dorothy - odpowiedziała aktorka.
- No oczywiście. Dorothy Graham. Wiele razy oglądałem panią na scenie. Rad jestem mogąc panią poznać.
- W zeszłym roku spotkaliśmy się na koktajlu u pana We-inbergera.
- Tak, tak, pamiętam. Zapali pani?
 - Nie, dziękuję - odmówiła podnosząc do góry zaniedbaną dłoń.
- Co pani ostatnio robiła, Dorothy?
- Grałam albańską kobietę-szpiega w serialu „Majowy dzień”.

34

- Aha, pamiętam.
- Serial nie był może najlepszy, ale gaża nie do pogardzenia.
- To było poprzedniej zimy, prawda? A potem?
 - Tamtego roku za wiele pracowałam i postanowiłam zrobić sobie wakacje - odpowiedziała szybko, musiała to już pewnie wiele razy powtarzać.
- Nie *angażuję jeszcze aktorów - oznajmił Nicoteon* - bo nie mam podpisanego kontraktu. Rozglądam się tylko.
- Na kiedy przewiduje pan zdjęcia? Zaplanowałam sobie kilka rzeczy na ten rok.
- Październik, listopad. Pewnie cały czas w Pinewood. Żadnych plenerów. Gdzie pani mieszka, mogłaby pani co rano dojeżdżać?

- Kochane stare Pinewood.
- Oczywiście przysyłalibyśmy po panią auto.
- Mam nadzieję.

Przez chwilę oboje milczeli, on rozkoszował się rolą wielkiego producenta, ona gwiazdy. Nicolson oznajmił:

- Będzie to historia o kobiecie nawiedzanej, która widzi, co się na tej dziwnej farmie działo w przeszłości, widzi przyszłość. Mąż i synowie uważają, że zwariowała. A tu pewnej nocy pojawia się oszalały potwór. Prawdziwy film grozy. - Kiwnął głową i dorzucił: - Byłaby to wielka rola dla pani, zupełnie inna niż wszystko, co pani dotychczas robiła.

Zastanowiła się, co na to odpowiedzieć.

- To by było *zabawne. Nigdy dotąd nie grałam w horrorze. Kto ma reżyserować?*
- Jeszcze nie wiadomo. Widzi pani, Dorothy, dopiero się zacząłem rozglądać.

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech pamiętałem. Nowy Jork - była wspaniałą Joanną D'Arc. I grała w „Królu Lirze”, które to przedstawienie warto było obejrzyć tylko ze względu na jej cudowną Gonerylę.

- Teraz chętnie bym zapaliła. - Znów się uśmiechnęła.
- Bardzo proszę. - Nicolson wstał, wdzięczny, że rozładowała napięcie, że nie musi czuć się winny, iż jej nie zaangażuje. Otworzyła torebkę szukając zapalniczki. Była to piękna skóra-

świetniejszej przyszłości. Teraz skóra była porysowana, widać było ślady naprawy. Nicolson zapalił jej papierosa. Na brzegu krzesła trzymała dużą kopertę, po chwili położyła ją na stoliku.

- Przyniosłam zdjęcia - powiedziała.

Nicolson rozłożył je na stole. Kilkanaście błyszczących dużych fotosów. Część były to fotosy z angielskich filmów z lat czterdziestych, część stanowiły zdjęcia reklamowe. Ale na wszystkich była bardzo młoda i bardzo piękna. Nie mogliśmy się oprzeć, by nie spojrzeć na nią i nie porównać fikcji z rzeczywistością. Nie wiem, co wyczytała w naszym wzroku, ale wzdrygnęła się.

- Proszę, niech je pani zabierze - powiedział Nicolson.

- Jak już mówiłem, nie angażujemy jeszcze aktorów.

- Zaszłam do pana, bo odwiedzałam przyjaciół, którzy mieszkają niedaleko stąd.
- Świetnie pani zrobiła - pochwalił ją Nicolson. - Miło mi było znów panią zobaczyć.
- Cieszę się, że nawiązaliśmy kontakt.

Przez parę minut po jej wyjściu nie odzywaliśmy się.

- Muszę zobaczyć wiele aktorek, nim cokolwiek zdecyduję

- powiedział.

• Jasne.

- Horrorzy wymagają specjalnej techniki aktorskiej. No i reżyser też będzie chciał mieć coś do powiedzenia.

Do kantyny wbiegł goniec.

- Pan Benjamin powiada, że za dziesięć minut zacznie się przegląd materiału. Czy zejdzie pan na dół, czy obejrzy go wieczorem z panem

Prestonem?

- Zejdę.
- I pana sekretarka prosiła, żeby panu przypomnieć, że dziś późnym wieczorem odbędzie się w Wytwórni Koolmana projekcja próbnego montażu „Cichego raj”. Przesłali z biura Koolmana notatkę, że jeśli pan Koolman wróci wcześniejszym samolotem, to będzie na niej obecny.
- Okay - powiedział bez entuzjazmu Nicolson. - A pan Stone?

36

- Jego sekretarka mówi, że przyjdzie.

Nicolson zwrócił się do mnie:

- Czy któremuś z nas przyszło kiedyś do głowy, że trzeba będzie błagać Eddie'ego, by przyszedł na projekcję zobaczyć siebie w roli gwiazdy? - westchnął. Tylko najbliżsi mówili o Stonie „Eddie”. Często dyskredytującym tonem, jakby fakt, że znali go, nim stał się bogaty i sławny, upoważniał ich do krytycznego stosunku. Nawet Mary wymieniała jego imię tak, jakby chciała powiedzieć „biedny Eddie”.
- Bookbinder odkrył w nim materiał na gwiazdę.
- A pewnie. Głowę Oliviera na ciele Brando. W 1948 roku tak właśnie wyglądali wszyscy aktorzy.
- Ty natomiast uważasz, że się pomylił?
- Nie, Peter, nie uważam. Eddie jest cholernie dobry. Ma coś z powściągliwości Oliviera...
- Ale?
- Ale wszyscy aktorzy zazdroszczą Gielgudowi jego percepcji.
- W zeszłym tygodniu dwukrotnie obejrzałem „Ostatniego vaquero”.

Stone porusza się sztywno. Zauważyłeś to?

- Robi to umyślnie. Pracował nad tym. Nie jest może intelektualistą, ale nie polega tylko na instynkcie, rusza mózgownicą. Widziałem kiedyś, jak grał z pewnym starym aktorem - chyba był to Włoch, który wymyślił sobie, że będzie się pociągał za koniuszek ucha. A Eddie mu powiedział: „Słuchaj, wyglądamy tak, jakbyś chciał pociągnąć się za ucho, możesz go nawet dotknąć, ale graj faceta, który wstydzi się tego przyzwyczajenia i usiłuje z nim zerwać”. To właśnie nazywam powściągliwością czy też oszczędnością środków. Jeśli chcesz, możesz to zamieścić w swojej książce.
- Dzięki - odparłem, choć byłem przekonany, że ową anegdotę Edgar Nicolson wiele już razy opowiedział wielu reporterom.
- Ellen Terry powtarzała: graj w przerwach między słowami. - Ustawił przed nami starannie puste plastikowe kubki. Ta flotylla łyżeczek też pewnie była jego dziełem. Oznajmił: - Preston ma właśnie z tą dziewczyną kłopoty, jakie miewa się z wszystkimi młodymi aktorkami. Grają tylko wówczas, gdy

37

mówią. A aktorstwo polega na tym, żeby myśleć i wtedy, kiedy się odzywasz, słowa stają się naturalną konsekwencją tego, co przemyślałeś i czujesz.

- Stone'a ustawiła ta główna rola w „Ostatnim vaquero”

- zauważyłem. - Bez niej wciąż by się jeszcze ubiegał o pod rządne rólki.

- A czy ty wiesz, Peter, że o mały włos ja dostałbym tę rolę?

- Wyjął z kieszeni fajkę i zaczął ją napełniać tytoniem. Przy mknął oczy, a jego ciało przebiegły drgawki, tak jak to się

zdarza w głębokim śnie.

Tamtej, niemal zapomnianej nocy w 1948 r. powietrze nasycone było elektrycznością. Nie padał deszcz, nie grzmiało, nawet nie błyskało się, a właśnie takie ciche błyskawice często w południowej Kalifornii zapowiadają burze. Ale Nicolson pamiętał to uczucie naelektryzowania. Mógłby to przypisać własnym niepokojom, potwierdzały to jednakże trzaski w radiu. Stacja radiowa w San Jorge co wieczór o tej samej porze nadawała jazz. Tej nocy śpiewał Jimmie Lunceford i Nicolson pamiętał, jak trzaski zagłuszyły większość słów „Kiedy o coś prosisz gwiazdę”. I odtąd, ile razy słyszał tę melodię, wracał myślą do owego wieczora.

Do dziś jeszcze nie ukończono autostrady z San Diego. Wówczas, w 1948 r., nikt o niej nawet nie myślał. Droga za Sunnyside była ciemna, świeciło się tylko w motelu dla turystów, żółtawe światło padało na dwie wystrzępione palmy i jacarandę.

Dopiero gdy reflektory auta zgasły, można było zobaczyć góry wyglądające jak ciemne burzowe chmurzyska, które nigdy nie odpływają z wiatrem. San Jorge znajdowało się o dobre piętnaście kilometrów za tym górskim łańcuchem. Kiedy przyjechała policja - zwykła policja z San Jorge - czerwone światła dwóch aut wyglądały jak nabiegłe krwią oczy prehistorycznego potwora, który zmierzał do Pacyfiku, by zaspokoić pragnienie. Ale policja przybyła dużo później. Kiedy Nicolson tu przyjechał, nikt jeszcze nie zadzwonił po policję.

Zatrzasnął drzwiczki auta. W niewyraźnym świetle neonu motelu zobaczył szarego Forda ze Studia Koolmana. Obok stał

niedbale zaparkowany nowy MG Eddie'ego Stone'a. Nicolson chciał możliwie niepostrzeżenie wejść do kafeterii. Neurasteniczny odruch, nie miało to najmniejszego znaczenia. Przeszedł przez ganek na palcach, ale zatrzeszczała pęknięta deska. Nicolson nigdy jeszcze nie czuł się tak niezdamy. Stone rozegrałby to zupełnie inaczej. Gdy otwierał drzwi, zadźwięczał dzwonek. Neony rzucały jaskrawe niebieskie światło. W środku stał kontuar w kształcie litery U i barowe stołki. Z każdej strony pół tuzina wyszorowanych drewnianych stolików. Na stoliku koło grającej szafy leżała czerwona serweta, a na niej nakrycia, karafka z wodą z lodem i jadłospis. Siedzieli tam Kagan Bookbinder - kierownik produkcji „Ostatniego vaquero” i Eddie Stone.

Z drzwi do kuchenki wyjrzała na dźwięk dzwonka Meksy-kanka w poplamionym kitlu. Cofnęła się, gdy zobaczyła, że Edgar Nicolson jest tym, na którego tamci czekają.

- Siadaj, Edgarze - zaprosił Bookbinder. Wstał i sięgnął na wiszącą za kontuarem półkę, z której zdjął czystą filiżankę. Nalał Nicolsonowi kawy.

Jak zwykle we wspomnieniach, scena ta była statyczna. W powietrzu gęsto było od dymu papierosów. Dziś, kiedy wszyscy uświadomili sobie niebezpieczeństwa nikotyny, nic podobnego nie mogłoby się zdarzyć. Mężczyźni byli ostrzyżeni krótko, niemal po wojskowemu, a ich sportowe stroje wyglądałyby dzisiaj jak przebranie. Eddie Stone i Nicolson to były jeszcze dzieciuchy, o długich szyjach, wąskich biodrach i oczach szeroko otwartych na świat. Na czoło Stone*a opadał niesforny lok. Bookbinder wyglądał przy nich prawie staro, choć miał zaledwie pięć lat więcej niż ci dwaj angielscy aktorzy.

Kagan Bookbinder ubrany był w starą wojskową koszulę. Widniały na niej

ciemniejsze plamy po odprutych dystynkcjach majora i baretkach orderowych. Wojna odznaczyła go i naznaczyła zarazem. Policzek przecinała szrama, złamanego w paru miejscach nosa nie dało się nastawić. Istnieje gatunek mężczyzn, których podejrzewa się w takich wypadkach o pojedynek w studenckich czasach. Patrząc na Bookbindera przypuszczano się raczej, że wypił zbyt wiele wina i spadł ze schodów.

Jego głos był także nieatrakcyjny. Nawet Węgrzy nabierali tu

39

szybko miękkiego kalifornijskiego akcentu; wymowa Bookbindera prosto z Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy w Nowym Jorku stanowiła przykry zgrzyt. Gdyby nie mógł się chlubić swym bohaterstwem wojennym, czułby się pewnie w obowiązku zacierać swoje niemieckie pochodzenie, ale tak, był na to zbyt leniwy i niewykluczone, że podświadomie pragnął prowokować otoczenie. Albo najzwyczajniej w świecie nie zdawał sobie sprawy ze swego akcentu.

- Siadaj! - powtórzył Bookbinder. - Mamy mało czasu.
- Muszę ją zobaczyć.
- Jeszcze nie teraz.
- Dlaczego nic nam pan nie powiedział? - spytał Stone.
 - Jak ona się czuje? - niepokoił się Nicolson. Ach, więc Stone stara się od niego odciąć. „Dlaczego nic nam pan nie powiedział”. Cóż, w show-biznesie, tak jak w służbie wywiadowczej, natychmiast zrywa się z tym, komu się powinęła noga... Nicolson powtórzył:
- Jak ona się ma?

Bookbinder nie odpowiedział. Odsunął moskitierę i wyjrzał przez okno. Oczekiwał widoku drugiego szarego Forda z działu produkcji; tak,

zaparkował tuż obok, a szoferzy udawali, że się nie znają.

Wytwórnia zatrudniała trzech lekarzy. Przyjechał najstarszy, pięćdziesięcioletni mężczyzna w ciemnym garniturze ze szpakowatymi falistymi włosami. Bookbinder mruknął coś i wyszedł z nim porozmawiać. Edgar Nicolson i Stone spojrzeli na siebie spod oka, żaden się nie odezwał. Stone napił się kawy, a Nicolson zaczął studiować jadłospis.

Hamburger, bułka, masło. Możesz wypić każdą ilość kawy. 85 centów.

Dziękujemy. Zapraszamy.

Do jadłospisu przypięta była ulotka miejscowej rozgłośni radiowej.

Wasza lokalna rozgłośnia San Jorge, Kalifornia, zapewnia Wam wiadomości z czterech krańców świata. Wtorek, Hollywood: Nowe dowody wywrotowej działalności komunistów w filmowym świecie wywołały następne przesłuchania gwiazd. Wtorek, Waszyngton: Departament Stanu oficjalnie zapowiada postawienie w stan oskarżenia Hissa. Niedziela,

40

Nankin: Rząd chiński odniósł zwycięstwo nad czerwonymi zdobywając nadmorskie miasta. Pogoda: na północy kraju mogą wystąpić nowe powodzie. Temperatura rano 71° F. W śródmieściu San Jorge 77° F. Wilgotność powietrza 87 procent. Ciśnienie 29,6. Wiatr południowo-zachodni.

- Stone. Eddie Stone.

Nicolson spojrział na siedzącego naprzeciwko opalonego mężczyznę.

- Wymieniłem moje nazwisko - wyjaśnił Stone.

Nicolson drgnął.

- Tak, znam pana. Ja nazywam się Edgar Nicolson. Widywałem pana w Londynie u Legrainsa, u Gerry'ego.

- No właśnie - zgodził się Stone. Nastąpiło dłuższe milczenie.
- Ma pan pecha - zauważył Stone.
- Tak, teraz pan dostanie tę rolę.
- Nie jestem taki pewny. Jemu się bardzo spodobały pańskie zdjęcia próbne. Pokazał mi je jako wzór, ja za pierwszym razem wypadłem fatalnie.

Nicolson nie uwierzył, ale musiał uznać to za życzliwość. Teraz wpatrywali się w siebie każdy szacując wzrokiem walory rywala. Obaj zainwestowali kupę forsy w kąpiele w saunie, seanse u kosmetyczek i fryzjerów. Brwi Stone'a były przystrzyżone, rzęsy przyciemnione. Nicolson nie był pewien, czy opalenizna Stone'a jest naturalna, w każdym razie dzięki niej robił wrażenie człowieka w świetnej formie, a zęby świeciły bielą. Nicolson zastanawiał się, czy nie są przypadkiem sztuczne. Bookbinder zamówił już dentystę, który miał założyć korony na zęby kandydata, który wygra. Wiele gwiazd zaczynało swą karierę na fotelu dentystycznym. Ta klauzula kontraktu niezbyt zachwyciła Nicolsona.

- O nie, pan na pewno otrzyma tę rolę - odpowiedział Nicolson. - Ta historia z dziewczyną przerazi biurokratów. I nie okłamujmy się, ostateczną decyzję podejmie jeden z tych skurwieli od reklamy.
- Ach, ten cholerny filmowy świat... - szepnął Stone. I chwycił Nicolsona za ramię. - Nie zrobię tego.
- Czego?

41

- Nie odbiorę panu tej roli. Gdyby chodziło o to, żeby uczciwie walczyć, walczyłbym o nią pazurami. Ale nie chcę jej z łaski historycznego

gryziopiórka.

- Niech pan nie będzie niemądry. Jeśli ja jej nie dostanę, a pan odmówi, zatrudnię innego aktora. Nic mi z tego nie przyjdzie.
- Nie przyjmę jej, Edgarze. Zobacz pan. Ci hollywoodzcy skurwiele zachowują się, jakby każdy z nich był Wawrzyńcem Wspaniałym i dobrze im robi, gdy usłyszą od aktora, że mogą się wypchać razem ze swoim kontraktem. Pieprzę to całe Hollywood!
- Nigdy bym nie mógł tu zamieszkać - zauważył Nicolson.
 - Aktor potrzebuje sceny - oświadczył Stone. - Sceny teatralnej i publiczności teatralnej. Z człowieka, który spędza dni wygłupiając się przed tym jednookim potworem uchodzi cała krew.
- Ja lubię filmy - odparł Nicolson.
 - Filmy tak - zgodził się Stone. - Wszyscy lubimy filmy. Jeśli ma pan na myśli De Sicę i Viscontiego. „Złodziei rowerów” i „Rzym, miasto otwarte”. Każdy lubi prawdziwy film o prawdziwych ludziach i ich prawdziwym życiu.
- Ale tu też pojawia się w filmach neorealizm.
 - Filmy hollywoodzkie mówią o mordercach, psychopatach i gangsterach. A ja myślę o nieskazitelności „Bitwy o szyny” i surowej poezji „Pięknej i Bestii”. Nie, Hollywood jest świetnym miejscem, żeby zarobić forszę i przypatrzeć się, jak pracują prawdziwi fachowcy, ale tacy jak my Anglicy są zbyt silnie związani z kulturą europejską. Niech pan tylko spojrzy jak teraz wyglądają wyspiarze, którzy tu zamieszkali.
- Tak pan naprawdę myśli?
 - O, tak. Tylko w teatrze można naładować swoje baterie - tu człowiek wypala się jak żarówka. - Skinął głową. - Czego by się pan napił,

Edgarze? Ma pan na imię Edgar, prawda?

- Wody mineralnej. Tak, Edgar Nicolson.
- Na pewno dobrze panu zrobi czarna kawa wzmocniona alkoholem. - Wyjął z wewnętrznej kieszeni piersiówkę, nalał kawy, a do niej brandy. - Niech się pan przestanie martwić. My Anglicy musimy trzymać się razem. Prawda? Będziemy trzymać się razem i damy tym skurwielom szkołę.

42

Aż do tej chwili Nicolson był jeszcze pewny, że otrzyma wymarzoną rolę. Był zbudowany jak kowboj, lepiej się poruszał i miał sympatyczniejszy głos niż ten facet. Ale teraz zrozumiał, że Stone nie cofnie się przed niczym, by mu tę rolę odebrać. Dostatecznie długo uprawiał ten zawód, aby wiedzieć, z jaką desperacją aktorzy walczą o pracę, zwykle jednak byli to prymitywni idioci, a w dodatku nie dorównywali mu talentem. Stone wszelako nie był zwykłym nieokrzesanym aktorem. Był gładkim twardzielem, równie niebezpiecznym jak torpeda lotnicza. Na pewno nie oczekiwał, że Nicolson uwierzy w te jego wazeliniarskie oświadczenia, iż zrzeknie się roli, przeciwnie - deklarował wojnę. Teraz uśmiechnął się słodko.

Nicolson potwierdził więc:

- Tak, musimy się trzymać razem. - I odsunął od siebie kawę na drugi koniec stołu. Jeśli Bookbinder poczuje zapach alkoholu, uzna go za pijaka i to wystarczy, żeby go nie zaangażował, niezależnie od tej historii z dziewczyną. Stone zauważył, że odsuwa kawę.
- Co, nie ma pan na to ochoty?
- Jestem spięty - odparł Nicolson. - A wtedy mój żołądek nie jest w stanie

niczego strawić.

- Rozumiem - powiedział Stone. Rozumiał.

W kuchni ktoś stłukł talerz, rozległo się parę hiszpańskich wyzwisk. Ktoś kłął bez przekonania, pewnie często coś się tłukło i nie warto było marnować energii.

Bookbinder odprowadził lekarza do samochodu. Chwilę rozmawiali i lekarz odjechał. Bookbinder wrócił, nalał sobie kawy, wypił ją i dopiero wtedy się odezwał.

- Takie rzeczy już się zdarzały, Edgarze. Nasz dział reklamy ma więcej kłopotów z niedopuszczaniem informacji do prasy niż z zamieszczaniem ich.
- Przedawkowała środki nasenne, tak? - spytał Nicolson.
 - Wypiła całą butelkę. Na butelce jest etykieta z naszej apteki.
- Czy schowacie butelkę?
 - To należy do innego działu. - Bookbinder znów odsunął zasłonę, podjechał następny Ford. Zaskrzypiały drzwi, wszedł młody mężczyzna z kędzierzawą czupryną. Miał na sobie gra-

43

natową wiatrówkę, flanelowe spodnie i białe tenisówki. Wyglądał jak makler giełdowy na wakacjach albo sportowiec, który przestał ćwiczyć. Tłuszczek zniekształcił już owal twarzy i ramiona, zwiastując przyszłą tuszę.

- Weinberger! No, chwała Bogu! - zawołał Bookbinder.
 - *Wie gehfs?* - spytał młodzieniec. Bookbinder skrzywił się. - Znaleźliście się w niezłych tarapatach.
 - Skargi kieruj pod adresem Nicolsona - zauważył Bookbinder. - To jego

dzieło.

- Chcę ją zobaczyć - nalegał Nicolson.
- Zamknij się i usiądź! - Weinberger położył rękę na ramieniu Nicolsona i pchnął go na krzesło. - Rób, co ci każą, to może wyjdiesz z tego bez szwanku. Jak ona się naprawdę nazywa?

• Rainbow. Ingrid Rainbow.

- To dlaczego zameldowała się jako Petersen? - spytał ostro Weinberger. Takiego Weinbergera nie znali. I Nicolsona, i Stone'a obleciał strach.

• Nie wiem. Może...

• Zostań przy nie wiem. Nie życzę sobie, żebyś zgadywał.

- Czy mógłbym ją zobaczyć? - poprosił znów Nicolson.

Weinberger pokręcił przecząco głową.

Edgar nie protestował. Naprawdę chciał zobaczyć to nieszczęsne dziecko. Chciał jej pomóc, uspokoić ją, upewnić, że o nią dba. Ale wiedział, że nie jest to odpowiednia pora. Nikt nie okazywał najmniejszego współczucia. Nawet jeśli Stone i Bookbinder zostaliby w kafeterii, czułby ich niezyczliwą obecność.

- Był lekarz? - spytał Weinberger.

- Tak - odpowiedział Bookbinder - od tej strony wszystko jest okay.

Bookbinder rozparł się w krzesło, zgasił cygaro i zagryzł dolną wargę.

Weinberger zwrócił się do Nicolsona:

- Czy ją odwiedzałeś? Tu, w tym motelu? Recepcjonista cię rozpozna?

Nicolson skinął głową.

- No tak - westchnął Weinberger. - Tym się także zajmie

my. - Skinął głową na Bookbindera.

44

Wstał i poprowadził Bookbindera w stronę drzwi do kuchni. Gdy otworzyli je buchnął smród przypalonego tłuszczu. W kuchni Weinberger nachylił się w stronę producenta i coś mu tłumaczył gestykulując gniewnie. Drzwi od kuchni kolebały się, co chwila pojawiał się nowy kadr. Nicolson wiedział, że tam zapadnie decyzja.

Eddie Stone siedział z dala od stołu i od Nicolsona. Napotkał wzrok Nicolsona i uśmiechnął się. Jako dziecko często się nerwowo uśmiechał, wkrótce nauczył się, że dobrze jest się uśmiechać nim się odezwie.

- Nic o tym nie wiedziałem, Edgarze. Byłem u Kagana, kiedy pan zatelefonował. - Jeszcze dalej odsunął krzesło. Nicolson miał ochotę mu powiedzieć, że jego kłopoty nie są zaraźliwe. Obaj jednak wiedzieli, że - owszem - są. Nicolson patrzył na drzwi do kuchni. Pod nimi widać było nogi bogów.

Weinberger oświadczył: - Oczywiście, Kaganie, można to rozegrać inaczej. Będzie to trudne, ale jednak możliwe.

- Ten smarkacz Nicolson gotów coś znów zbroić. Jeśli Stone się wygłupi, będziemy mogli udawać zdziwionych. Ale jeśli Nicolsonowi wlepią karę za źle zaparkowany samochód to kwatery główna zedrze z nas skórę.
- Będę obu pilnował.
- Wiem, że będziesz. Rozmawiałeś z Nowym Jorkiem?
 - To mi się nie uda przed upływem paru godzin. Ale jeśli zdecydujesz się na Stone'a to gwarantuję, że...
- Stone. - Bookbinder skinął głową.

- Twoja decyzja - Weinberger odwrócił się, ale Bookbinder chwycił go za ramię. Znow domknął drzwi.
- Nie ze mną te numery, ty bucu.

Weinberger patrzył na niego milcząc. I w końcu Bookbinder dorzucił:

- Od trzech lat noszę się z pomysłem tego filmu. Zapraszałem na obiady facetów z działu literackiego, obsypywałem prezentami facetów z działu produkcji, zapłaciłem dziesięć tysięcy dolców za rzekomą obróbkę scenariusza. Nigdy tej forsy nie odzyskam. Czy nie sądzisz, że powinienem dostać pięć procent gaży Stone'a? On dzięki filmowi będzie za rok zarabiał dziesięć razy tyle co ja.

45

- Aha, agent Nicolsona nie zgodził się?
- Ty za dużo nie myśl, pilnuj lepiej reklamy **filmu**.
- Więc Stone?

Bookbinder tylko na niego spojrzał.

Wrócili z konferencji, przybrawszy ponure miny. Bookbinder tak właśnie musiał wyglądać, gdy zestrzeliwał bombowce japońskie. Podeszli do stolika krokiem plutonu egzekucyjnego. Spojrzeli na siebie, jakby zamierzali ustalić, kto zabierze głos. Wszyscy wiedzieli, że decyzję powziął Bookbinder, ale to Weinbergerowi płacono pensję, by zajmował się kłopotliwymi sprawami. Wreszcie Bookbinder powiedział:

- Weinberger dopilnuje, by milczała miejscowa prasa i po gada z policją, ale to oznacza, że nie mogę ryzykować i obsadzić cię w głównej roli. Bardzo mi przykro, Edgarze. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to będę mógł zaproponować ci rolę

złodzieja. Ale i to...

Edgar Nicolson spytał:

- Jakie kary wymierza się w tym stanie za próbę samobójstwa? - Mówił szeptem.

- Tym się możesz nie martwić - uspokoił go Weinberger.

Bookbinder skinął na Stone'a.

- Eddie odprowadzi cię do domu. Spędziliście razem cały dzień. Policja zechce pewnie z tobą porozmawiać, więc nie pij.
- Nigdy nie piję.
- No, to dobrze. Weinberger zrobi, co będzie mógł. Niewykluczone, że policja wcale do ciebie nie zadzwoni.

Weinberger włożył grube banknoty do kilku kopert, zalepił je i w rogach zanotował ołówkiem odpowiednie kwoty. Bookbinder dodał:

- Bardzo mi przykro, Edgarze... - Spojrzał na Stone'a i Weinbergera. - Wszystkim nam przykro. Byłbyś wspaniałym kowbojem.

Edgar wstał, podniósł się także Stone.

- No, ruszajcie - rozkazał Bookbinder. - Zadzwońię po policję.
- Co z kelnerką?
- To właścicielka. Tym także zajmie się Weinberger. Was tu dzisiaj w ogóle nie było.

46

Kiedy znaleźli się w ciemnościach, Edgar powiedział:

- Idź za mną. Jeśli będziesz chciał się zatrzymać, daj mi znak.

Stone odwrócił się bez słowa. Edgar Nicolson dotknął jego rękawa.

- Czy wiesz coś o Ingrid? Przyszła już do siebie?

Stone kopnął pustą puszkę po piwie. Podwórze motelu było nimi zasłane.

- Edgarze - powiedział cicho. - Ona nie żyje. Stąd ten

zamęt.

3

W moim biurze mam umywalnię, ale nie mam prysznic. Dory [Schany]

ma prysznic, ale nie ma wanny. L.B. [Mayer] ma i prysznic, i wannę.

Im ktoś ma wyższą pozycję, tym łatwiej jest mu się umyć.

Gottfried Reinhardt

Żaden wschodni władca nie miałby równie usłużnego orszaku jak ten, który towarzyszył Leo Koolmanowi, kiedy w środę po południu kroczył przez biura swojej Międzynarodowej Wytwórni Filmowej. I tak, jakby było w wypadku wschodniego władcy, orszak ten składał się wyłącznie z mężczyzn. Kool-man mieszkał w Santa Monica lub w Londynie. Wiele filmów kręcił w Hiszpanii, kupił więc także dom w Marbelli. W każdym z tych domów czekały na niego auta, konie, obrazy, służba, posiłki i miłość. A prowadził on taki tryb życia, że wszystkie te elementy przynajmniej przez trzy, cztery lata pozostawały nie zmienione.

I tak zresztą większość roku spędzał w Nowym Jorku. Bo tam znajdowały się komputery, księgowi, bankowcy i towarzystwa inwestycyjne, tam więc było centrum władzy. Obojętne, jak go nazywano: prezesem, przewodniczącym czy szefem, wiadomo było, że w firmie rządzi człowiek, który zasiada w Nowym Jorku. Toteż europejscy kierownicy nie odstępowali go na krok. Baczyli, by spełnić każdy jego kaprys. Usłużne dłonie podawały papierosy - zawsze Parlament, i cygara - zawsze Monte Christo - i zapalały

je, ledwie zdążył podnieść je do ust. Mocne Martini pojawiała się w ciężkich kryształowych szklankach, w których pobrzękiwał lód. W każdej szklance oliwki zatknięte były na plastikową włócznię z napisem „Długi huragan”. „Długi huragan” był ostatnim filmem MWF. Leo Koolman lubił, żeby mu przypominać, co dla filmu zrobił dział reklamy. Teraz wymachiwał tą włócznią, podkreślając każde słowo, a na zakończenie zdania zjadał oliwkę gryząc ją swymi mocnymi białymi zębami.

48

Wszyscy obecni w tym pokoju mężczyźni byli do siebie zadziwiająco podobni. Szczupli, w świetnej formie, zawdzięczali swą opaleniznę kwarcowej lampie. Mieli na sobie kosztowne ciemne garnitury lub granatowe, uszyte na miarę blezery. Od białych koszul odcinały się klubowe krawaty, autentyczne lub nie. Byli krótko ostrzyżeni, co najmniej połowa miała na nosie okulary z szylkretowymi oprawkami. Paznokcie wymanikiurowane, ślad talku na policzkach. Głosy miękkie i niskie. Anglicy naśladowali wymowę amerykańską, Amerykanie *vice-versa*, trudno więc się było zorientować, kto jest kim.

Cały czas pozostawali w ruchu, pilnując się tylko, by nie spuścić Koolmana z oczu. Nikt nie siadał. Rozmawiali, śmiali się, pili i klepali nawzajem po ramionach, ale wszystko to robiło wrażenie przedstawienia, było działaniem zastępczym, mężczyźni cały czas mieli świadomość, że ich życie zależy od jednego wyszeptanego słowa, od jednego gestu Lea Koolmana. Tak więc tylko Koolman mógł wyglądać tak, jak mu się podobało, krążył wśród nich wypowiadając swoje kwestie życzliwym głosem doktora Schweitzera zwracającego się do nieuleczalnie chorych.

Leo Koolman był wysokim mężczyzną, zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał

na sobie ciemnoszary jedwabny garnitur, kremową koszulę i krawat klubu tenisowego z Palm Springs. Cienki kościsty nos i szerokie usta, wydęte z jednej strony w skutek niewielkiej szramy. Ciężkie powieki przysłaniały oczy, tak że tylko nisko umieszczone światła odbijały się o gałkę oczną. Dlatego też na zdjęciach jego oczy wyglądały jak martwe. Fotograficy używali reflektora punktowego i w ten sposób Leo Koolman wyglądał na zdjęciach młodziej i energiczniej niż w rzeczywistości. Ale pozory myliły, jego nonszalancja była udawana, bacznie przyglądał się wszystkim obecnym w pokoju mężczyznom. Ich uszom, butom, okularom, węzłom na krawatach. Oceniał w myślach ich przydatność i przypominał sobie jakie biorą pensje.

Koolman był atrakcyjnym mężczyzną, niewielu mężczyzn i jeszcze mniej kobiet potrafiło się oprzeć jego żywiołowej energii. Sypiał najwyżej cztery godziny na dobę i po przelocie

49

przez ocean wysiadał z samolotu równie świeży i ochoczy jak zwykle, gotów zupełnie sam stawić czoło ekipie prawników i rozprawić się z ich argumentami. Grał w tenisa jak zawodowiec, świetnie pływał, tańczył i jeździł konno. Czytał nie tyle książki co księgi buchalteryjne i, rozmawiając, potrafił dodawać w myśli długie kolumny liczb. Miał fenomenalną pamięć, dużo się o niej mówiło. Z każdego punktu widzenia był niezwykłym człowiekiem. Jego słabą stroną - choć niewielu z jego współpracowników to zauważało - była zdecydowana niechęć do muzyki klasycznej, brak zainteresowania literaturą i brak poczucia humoru. Śmiał się tylko z cudzych niepowodzeń, zwłaszcza gdy to dotyczyło rywali.

Jeśli rzeczywiście minął czas carów Hollywoodu, to Koolman był jednym z pierwszych Stalinów. Pewnie z końcem tego stulecia nawet dziennikarze

zaczną podejrzewać, że tacy ludzie będą wśród nas zawsze. Stalinowie żyją nie samym filmem. Rówieśnicy Koolmana rządzą koncernami i byli zainteresowani nie tylko robieniem filmów, lecz liniami lotniczymi, mrożonkami i komputerami. Międzynarodowa Wytwórnia Filmowa też nie ograniczała się do przemysłu filmowego, ale Leo Koolman wyrósł w Hollywood, nie zapomniał swego dzieciństwa i starał się narzucić światu swoje ówczesne marzenia.

Wszyscy zgromadzeni w pokoju wyżsi urzędnicy byli przedtem adwokatami, agentami filmowymi lub aktorami. Koolman wprowadził nowy system zarządzania. Odziedziczył fotel prezesa po swoim stryju Maxie, który stworzył firmę za czasów niemych filmów i niemych księgowych.

Obecni tu mężczyźni byli janczarami Koolmana, sprowadził ich z Nowego Jorku i z Kalifornii, zrobił ich książętami dystrybucji i reklamy. Niewykluczone, że na Piątej Alei zajmowali się głównie zapalaniem cygar szefowi, ale tu cieszyli się pozycją najbliższych współpracowników Koolmana. Skakano koło nich, schlebiano im. W ciągu paru następnych dni będą przecież koło szefa, gdy będzie się zastanawiał, co myśli o swych europejskich przedstawicielstwach i tych, co nimi zarządzają.

O pół do szóstej Koolman wycofał się przez sekretariat, gdzie Minnie pilnowała kanapki, wysiedzianej do połysku przez wiercących się na niej ze zdenerwowania niezliczonych

50

petentów - do swego wypełnionego dziełami sztuki gabinetu zarezerwowanego do jego wyłącznego użytku. Odbył rozmowy telefoniczne z Nowym Jorkiem i Kalifornią, jak co dzień o tej porze, gdziekolwiek by się znajdował. Potem poszedł do swojej łazienki, wziął prysznic i zmienił

ubranie. O szóstej był już gotów udzielić audiencji.

Jakiś agent przyprowadził reżysera, który chciał nakręcić musical o Marksie i Engelsie, oraz dziewczynę o tak umalowanych oczach, że musiało jej to zająć całe popołudnie. Jakiś londyński, mówiący cockneyem aktor, pysznił się swoją fryzurą a la Biafra. Któryś z producentów pokazywał wszystkim zdjęcie swego nowego domu w Palm Springs, a scenarzysta w nabijanej guzami skórzanej kurtce przyniósł ósmą wersję filmu „Śmierć gliniarzom” czyli „Anarchia panuje w państwie młodzieży”.

- Parę razy przejdzie pana dreszcz - oświadczył skromnie scenarzysta.

Zdjął ciemne okulary i wykrzywił się ponuro. Koolman zajrzał do maszynopisu na chybił trafił i przeczytał jakąś linijkę.

- To brzmi zupełnie nieźle - zauważył, choć linijka ta we wszystkich ośmiu wersjach zachowała identyczne brzmienie. Ale Koolman nie czytał żadnej, tym zajmował się dział scenariuszy. Rozejrzał się po pokoju. Dziewczyna w przezroczystej sukience ścisnęła tak gwałtownie europejskiego szefa reklamy, że pękło jej ramiączko. Suzy Delft przyprowadziła przyjaciółkę imieniem Penelopa i obie ucałowały Koolmana, który się zarumienił.

Spotkanie trwało dwie godziny, goście się zmieniali. Agenci wprowadzali i wyprowadzali swych klientów. Niemal pierwsza wyszła młoda i piękna Josephine Stewart. Była jedną z nielicznych osób w tym pokoju, które zwracały się do gospodarza per pan i wbrew pozorom świadczyło to, że jest naprawdę kimś. Pochodziła z bogatej rodziny, nie tak dawno temu skończyła ze wspaniałymi wynikami Oksford, była piękną młodą mężatką, uczestniczyła aktywnie w kampaniach przeciwko bombie atomowej, apartheidowi i cenzurze. A w dodatku uważano ją za jednego z najbardziej wpływowych krytyków filmowych w całym Londynie.

Każda jej recenzja była jednocześnie krótkim wykładem z dziedziny socjologii, historii i historii sztuki. Plan po planie

51

streszczała arcydzieło Jeana Vigo, przechodziła do statystyk skrobaneek wykonanych w Kalifornii przed wojną, wyjaśniała, że Vigo czerpał swoje idee z kolaży Kurta Schwittersa i dopiero potem zjeżdżała reżysera omawianego przez siebie filmu za to, że nie umiał wykorzystać doświadczeń przeszłości. W którymś momencie oznajmiła Koolmanowi:

- Uwielbiam „The Sound of Music”. Proszę mnie nie cytować, ale po prostu uwielbiam. Trzy razy zabrałam do kina moją córeczkę.
- Pisała pani o nim? - spytał Koolman.
- Obecnie reżyserzy pokazują tylko pierwszy plan - to wpływ telewizji, i zupełnie nie radzą sobie ze zbiorowymi scenami.
- Czy napisała pani o „Sound of Music”?
- Cudowne zdjęcia, świetny montaż.
- Napisała pani recenzję?
- Nie mogę namawiać moich czytelników, żeby oglądali kicze.
- Nie sądzi pani, że oni także trzy razy zabrali na ten film swoje dzieci?
- Pewnie tak. Ale nie chcieliby, żebym to ja ich do tego namawiała.

Phil Sanchez przyniósł im drinki; Jo Stewart whisky z wodą sodową, Koolmanowi tonik.

- Dziękuję, Phil. - Koolman wziął pannę Stewart za ramię tak, by musiała się odwrócić i żeby on mógł jej spojrzeć w oczy. W innym otoczeniu mogłoby to wyglądać na nagłą namiętność, tu nikt nie zwrócił na to uwagi, wiadomo było, że chodzi o interesy. Koolman powiedział:

- Nasza firma przeprowadziła ankietę, by dowiedzieć się, gdzie ludzie zaciągają pożyczki. I okazało się, że wolą pójść do prywatnego lichwiarza niż do banku, choć w banku warunki są korzystniejsze. Bo w banku czują się upokorzeni swoją sytuacją. A u lichwiarza czują się kimś lepszym.
- Bardzo ciekawe - odpowiedziała Jo Stewart.
- Wy krytycy chodźcie na prywatne pokazy o pół do jedenastej rano, bardzo przyjemna pora. Szampan, kanapki z kawiozem...

52

- Nie przypominam sobie...
 - Okay, okay... Ale oglądacie świetną kopię. Nie przerywają wam reklamy ani ludzie wchodzący na salę w połowie filmu.
- Wchodzący lub wychodzący...
 - Siedzicie sobie wygodnie i możecie skupić całą uwagę na filmie. Prawda? Dostaliście specjalnie wydrukowane zaproszenia i płacą wam za obejrzenie filmu. Chętnie więc oglądacie film, który dostarcza wam intelektualnej pożywki. Szukacie nowych talentów. Jeśli film jest trudny i nie w pełni go rozumiecie, to gotowi jesteście przypisać winę sobie i uznać, że wart jest szacunku. Prawda?

Koolman groźnie podniósł do góry palec i trzymał go wzdłuż ucha. Ktokolwiek go przedrzeźniał, nie zapominał o tym charakterystycznym geście. Każdy żartowniś mógł być pewny uśmiechu, gdy wykonał go w odpowiednim momencie. Ten palec dawał do zrozumienia, że Koolman jest w bliskim kontakcie z Panem Bogiem.

- Prawda? - powtórzył i ciągnął dalej. - Tymczasem moi widzowie chodzą

do kina za rogiem i siedzą w mokrych płaszczach po całym dniu pracy, często ciężkiej pracy fizycznej. Nie szukają intelektualnych podniet. I czuliby się upokorzeni czegoś nie rozumiejąc. Chcą się pośmiać i rozerwać. Wybaczą filmowi, że jest powierzchowny, niczym nie zaskakuje, wszystko się w nim da przewidzieć. Nawet jego wady dostarczają im poczucia wyższości.

- Co za ponury obraz!
- Nie ponury, tylko realistyczny.
 - Nigdy nie wiem, kiedy pan żartuje - zauważyła fosephine Stewart.
- Ja nigdy nie żartuję - odpowiedział Koolman.

Do pokoju wszedł ostrożnie Weinberger. Podszedł do fałszywej biblioteczki i otworzył lodówkę. Nalał sobie lemoniady i usiadł w kącie. Koolman uścisnął za ramię Jo Stewart, która właśnie się zegnała i skinął Weinbergerowi głową. Rozejrzał się po pokoju, czy należałoby jeszcze coś załatwić. Doszedł do wniosku, że nie i spojrzał na zegarek. Nosił go w kieszeni kamizelki, aby być pewnym, że ten gest nie ujdzie niczyjej uwagi. Dennis Lightfoot wiedział, że to sygnał.

53

- Chyba już czas, Leo - powiedział głośno.

Lightfoot był dyrektorem odpowiedzialnym za całą europejską produkcję. Mógł zatwierdzić każdy film, którego budżet nie przekraczał dwóch milionów dolarów. Leo Koolman przyjechał zobaczyć, jak sprawdzają się propozycje Lightfoota.

Koolman objął Lightfoota ramieniem.

- No, ruszamy - powiedział cicho. Wszyscy powstali. Drzwi do windy stanęły otworem, rozległa się stłumiona muzyka.

Mężczyźni w windzie uśmiechali się i żartowali, ale byli tak czujni, jakby należeli do osobistej ochrony prezydenta. Tylko Weinberger i sześciu innych wybrańców zjechało z Koolmanem do sutereny, gdzie znajdowała się salka projekcyjna. Reszta gości zeszła do holu i tam dłuższy czas gawędzono, aż uformowały się trzy grupy, które udały się do trzech różnych restauracji.

W salce projekcyjnej znajdowało się trzydzieści foteli. Dwa były już zajęte, siedział tam Edgar Nicolson i reżyser „Cichego raj” - filmu, który miano obejrzeć. Nicolson siedział przy konsolce i wystukiwał marsza palcami. Koolman wskazał Lightfootowi odpowiedni fotel i usiadł między nim a Nicolsonem. Pozostali mężczyźni zajęli miejsca w czterech kątach sali, doświadczenie nauczyło ich, że niezależnie od tego, czy film okaże się dobry czy zły, bezpieczniej jest siedzieć jak najdalej od Koolmana.

- Wszyscy już są? - spytał Koolman.

Zdjęcia do „Cichego raj” ukończono trzy miesiące temu, a film wciąż jeszcze nie był gotów. Ton Koolmana dawał do zrozumienia, że nikt nie opuści tej salki, póki on nie dowie się, w czym szkopuł.

- Tak - odpowiedział Lightfoot.
- A gdzie Marshall Stone? - spytał Koolman.
- Przyjedzie prosto z planu, Leo - odparł Weinberger. - Prosił, żebyśmy zaczęli bez niego.
- Żebyśmy zaczęli bez niego - powtórzył Koolman i Weinberger uprzytomnił sobie, jak nietaktownie sformułował swą odpowiedź. - No, to zaczynamy.

Nicolson podniósł słuchawkę czerwonego telefonu i nacisnął guzik.

- Okay, Billy.

Światła w salce wygasły, promień projektora zaznaczył się w błękitnawym dymie cygar. Pokazał się znak firmowy MWF i Nicolson nacisnął guzik, by rozsunęły się kotary zasłaniające ekran. Trochę się z tym opóźnił. Kiedy pojawił się ekran, znikł już emblemat firmy - wielka księga, na której widniał wykonany gotyckimi literami napis „Międzynarodowa Wytwórnia Filmowa Koolmana przedstawia” - i pokazała się sfilmowana przez drugą ekipę uliczka w Anchorage.

- A gdzie tytuł? - spytał głośnym szeptem Koolman.
 - Tytuł będzie na końcu - wyjaśnił Nicolson.
 - Na końcu - powtórzył układnie Koolman. - Czy ten film jest przeznaczony na rynek chiński?
 - Nie, Leo - odpowiedział Nicolson i zaraz się roześmiał.
- Cha! cha! cha!
 - Rynek chiński. - Lightfoot zakrztusił się jak człowiek, który z trudem próbuje opanować rozbawienie.
 - Tytuł powinien znajdować się na początku filmu - tłumaczył cierpliwie Koolman.
 - Pewnie masz rację, Leo - zgodził się Nicolson. - To miał być eksperyment.
 - Im trzeba zawsze zapowiedzieć, co im masz do powiedzenia. A potem jeszcze raz powtórzyć to, co już powiedziałaś
- oświadczył Koolman. - Nie mów mi, że nie znasz tej podsta
wowej zasady.

Nicolson nie odpowiedział, ale Lightfoot roześmiał się aprobująco.

Na ekranie pokazał się helikopter nad pustą płaszczyzną Arktyki.

- Świetne ujęcie, Nic - zauważył któryś z Amerykanów.
- To Yorkshire.
- Chyba żartujesz - oświadczył Amerykanin.
 - Musiałem usunąć czterysta słupów telefonicznych - poskarżył się Nicolson.
- Czy nie macie ścieżki dźwiękowej?
 - Mamy wspaniałą muzykę, ale uznaliśmy, że tu chcemy wywołać wrażenie pustki i osamotnienia.
 - Owszem, to się wam udało - zgodził się Koolman. - Widzowie w kinie odniosą wrażenie pustki. - I ponuro zachichotał.

55

- Mamy wspaniałą dźwięk, Leo - powtórzył Nicolson.

Przesunął regler w nadziei, że to podziała. Podziałało. Rozległ się niesamowity dźwięk orkiestry dętej.

- Niezła melodyjka - pochwalił Koolman.
- To tylko próbny podkład muzyczny.
 - Wspaniała - wtrącił się ten sam Amerykanin, który już przedtem zabierał głos.
- Wpada w ucho - skromnie stwierdził Lightfoot.
 - Powiem wam, co z tym zrobimy - zaczął Koolman nachylając się w stronę Lightfoota.
 - Może Edgarowi - zaproponował Lightfoot i Koolman znów zwrócił się do Nicolsona.
- Powiem ci, co z tym trzeba zrobić - powtórzył Koolman.
 - Tak, Leo, słucham - powiedział Nicolson tonem człowieka, który

naprawdę chciałby się dowiedzieć.

- Trzeba napisać piosenkę i wziąć jakiegoś młodego pieśniarza.

Pamiętacie, jak taka piosenka pomogła „Doktorowi Żiwago”?

- Świetny pomysł - zachwycił się Lightfoot.
- Spróbujemy - zgodził się Nicolson.
 - O nie, nie próbujcie - westchnął Koolman. - Po prostu zróbcie.
 - Może to być szlagier - przystał Nicolson, ale w jego głosie dźwięczało powątpiewanie.
 - La-la-la-laa-laa-laaaa - jakież byłem samotny. - Koolman próbował zaimprovizować słowa pasujące do muzycznego tematu, który powrócił dziesiąty już raz.
 - To tylko brudne nagranie - powiedział Nicolson. - Potem zagra to orkiestra.
 - W słowach ma być o samotności - oświadczył Koolman. - Smarkacze lubią się nad sobą rozczulać.

Jeden z Amerykanów był szefem departamentu muzyki w MWF.

Zwrócił się do Nicolsona:

- Dostarcz mi jutro podkład muzyczny. Pogadam w Nowym Jorku z moimi chłopcami.
- Dzięki ci - odparł Nicolson. - Jutro znajdziesz na biurku taśmę.

W filmie pojawiło się wnętrze nakręcone w atelier. Czterech

56

aktorów w szubach siedziało wokół stołu. Otworzyły się drzwi, wszedł piąty mężczyzna, za nim wpadł tuman śniegu. Przez drzwi widać było polistyrenowe pole lodowe i namalowaną dekorację. Piąty mężczyzna zdjął

okulary ochronne i zsunął do tyłu futrzany kaptur. Był to Marshall Stone. Kiedy nakręcano tę scenę, wrócił właśnie z wakacji w Nicei. Szczupły, opalony, robił wrażenie człowieka w świetnej kondycji. Do tej roli przygotowano mu tupecik i był równie przystojny jak za najlepszych czasów.

- To Marshall Stone, prawda, Nic?

- Wspaniale wygląda, Jacob - pochwalił Weinbergera Koolman.

Weinberger nie odpowiedział. Koolman zwrócił się z kolei do Nicolsona.

- Mógłbyś może ściszyć muzykę? Nie słyszę własnych słów.

Nicolson przesunął regler.

Na ekranie Marshall Stone oświadczył właśnie:

- Dlaczego oni nigdy nie mogą odkryć nafty w Maidenhead czy Cowes, tylko zawsze gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc?

- Teraz znów nie słyszę muzyki.

- To przecież dopiero brudne nagranie - tłumaczył się Nicolson.

- Czy to Maidenhead było w scenariuszu? - spytał Koolman.

- Maidenhead to miejscowość pod Londynem - wyjaśnił Lightfoot.

- Wiem, że to miejscowość pod Londynem - z irytacją oświadczył Koolman. - Przecież jeden z moich synów jest w Eton? Ale co z widzami w Omaha?

- Zmienimy to w postsynchronach - szybko wtrącił się Nicolson. - Stone powie „Londyn”.

Po raz pierwszy odezwał się reżyser. Siedział z tyłu. Wszyscy zdziwili się usłyszawszy jego głos. Jąkał się.

- Będzie widać. To zbliżenie. Nie uda się zsynchronizować

Londynu z ruchami ust.

Koolman obejrzał się. Reżyser był siwym już człowiekiem,

który przysiągł Nicolsonowi, że w czasie pokazu nie piśnie słowa.

Koolman przyjrzał mu się. Może niewiele wiedział o techni-

57

cznej stronie powstawania filmów, ale wiedział **wystarczająco** dużo, by dać sobie radę z każdym reżyserem.

- Czy chce pan powiedzieć, że nie macie dubli?
 - Nie mogę za każdym razem robić różnych dubli. Byłoby to zbyt kosztowne.
 - Ależ mamy duble, Tom! - wrzasnął Nicolson przechylając się do tyłu i z całych sił ściskając reżysera za rękę. - Mamy plan amerykański, mamy plan średni. I dopiero zaczęliśmy postsynchrony. Stone powie „Londyn”. - Nicolson obwiązał dłoń chusteczką.
 - Jeśli nie, to powtórzcie to ujęcie - oświadczył Koolman trochę łaskawszym tonem, gdyż ułagodziło go zdenerwowanie Nicolsona. - Podstawowa zasada: pamiętać o dublach.
 - Teraz mamy wielką scenę - zapowiedział Lightfoot, przekonany, że zobaczą, jak Marshall Stone wali po łbie kaskadera - Eskimosa. Wpatrzyli się uważnie w ekran, gdzie Marshall Stone z dwoma statystami wdrapywali się mozolnie na pokryty śniegiem pagórek. Teraz Lightfoot zacisnął kurczowo dłonie w niemej modlitwie.
 - Wielką?! - powtórzył Koolman i przestał się odzywać. Na ekranie pojawił się plan amerykański ze sceną bójki, zbliżenie Stone'a, wreszcie plan ogólny, gdzie kaskaderzy zastąpili aktorów. Nastąpiła krótka bójka, po czym kaskader w czerwonych rękawiczkach Stone'a spadł ze wzgórza wywijając koziółki. Lightfoot wreszcie odetchnął, powietrze nieomal rozsadziło mu płuca.

- Trzeba to wyciąć - oznajmił Koolman przez ramię. Wyczuł, że reżyser jest jedynym potencjalnym oponentem.
- To dobra scena - zaprotestował reżyser.
- Ograny chwyt - skrzywił się Koolman.
- Myślę, że ta scena jest tu potrzebna - szepnął reżyser. Koolman zwrócił się do Lightfoota.
- Kto montuje ten film?
Obaj wiedzieli, że Lightfoot na pewno tego nie pamięta, i czekali spokojnie aż odezwie się Nicolson.
- Sam Parnell, to stary wyga.
Koolman kiwnął palcem na Phila Sancheza, swego osobistego sekretarza.

58

- Przed wyjazdem chcę pomówić z Parnellem. - I zwrócił się do Nicolsona: - Okay, Nic?
- Jasne, Leo - z pośpiechem odpowiedział Nicolson. - Każda twoja rada jest dla nas bardzo cenna.
Phil Sanchez zapisał to w notesie. Nicolson odwiązał chusteczkę, ręka mu już zupełnie zdrętwiała.
- Z tego filmu da się coś zrobić - zauważył Koolman. Nikt się nie odezwał.
Na ekranie Marshall Stone zgubił swoje okulary ochronne i szukał ich bezradnie, oślepiiony śniegiem.
- Stone jest wspaniały - zauważył Koolman. - Ten facet zna wszystkie arkana swego zawodu, co, Edgar?

- Wspaniały - zgodził się Nicolson. - Cały czas daje z siebie wszystko. Za tę rolę powinien dostać nominację.
- Nominację na najlepszego aktora roku - w zamyśleniu powtórzył Koolman.

Weinberger dorzucił:

- Już trzy razy otrzymał nominację. Tym razem może się dochrapać Oscara.
- Jak myślisz, Arty? - Koolman zwrócił się do jednego ze swoich speców od reklamy.
- Jeśli się na to zdecydujemy, to tym filmem trzeba się będzie pieczołowicie zająć... Pouwodzić jajogłowych, zaaranżować parę poważnych wywiadów. Ale i tak nie sądzę, żeby film mógł kandydować do najlepszego filmu roku. „Najlepszy aktor” może przejść. Tyle, że będzie nas to drogo kosztowało, Leo.

Nicolson zauważył:

- Jeśli pokusimy się o Oscara, to trzeba wypuścić film w odpowiednim momencie. - Tarł rękę, żeby przywrócić w niej krążenie.
- Jasne - zgodził się Lightfoot. - Trzydzieści dni w Los Angeles przed końcem grudnia. Będziecie się musieli śpieszyć.
- Damy radę - powiedział Nicolson. - Zaczęliśmy już post-synchrony.
- Na przyszły rok nie będzie miał szans, chyba że go przetrzymamy do jesieni.

59

- To już sami się musicie nad tym zastanowić - orzekł

Koolman.

Facet od muzyki zauważył:

- Muzyka jest fajna, może więc pogadać z Barbrą albo Andym?
- Albo Sammym - wtrącił inny głos. - Sammy się ze mną przyjaźni i często do mnie wpada.
- Aha. Albo jeszcze lepiej z Tomem Jonesem, on może wypuścić płytę. Albo z Johnnym Cashem.
- Tom Jones jest wspaniały - wtrącił się Nicolson. - Mógłby śpiewać podczas czołówki.
- Dostarczcie mi taśmę albo krążek - zażądał facet od muzyki. - Ale na wczoraj!

Wszyscy zaśmiali się.

- Świetne zdjęcia, Nic - powiedział jedyny mężczyzna, który śledził jeszcze, co dzieje się na ekranie. Marshall Stone nie mógł znaleźć okularów, które zaczepiły się o wystający kamień. Wreszcie ukrył twarz w dłoniach i z jego piersi wydobył się męski szloch. Kamera podjechała, by pokazać ślady odmrożenia, arcydzieło makijażu.
- Edgarze, czy mógłbyś trochę ściszyć muzykę?
- To jeszcze tylko brudne nagranie...
- Najlepszy aktor - powtórzył jedwabistym tonem Koolman. Nachylił się w stronę Lightfoota. - Jeśli zdobędziemy dla Stone'a Oscara, będzie to wspaniała propaganda dla naszego serialu.
- Święte słowa, Leo, święte słowa. - Uśmiechnęli się do siebie tak, jakby dopiero w tej chwili przyszło im to do głowy.

Przed MWF na Wardour Street czekało osiem limuzyn. Dziewięć, jeśli wliczyć w to Jaguara z szoferem Jacoba Wein-bergera, tyle że Weinberger

nie przyznał się, że przyjechał autem. W ten sposób udało mu się wsiąść do Rolls'a Koolmana. Siedzieli tam Leo, jego sekretarz Phil Sanchez oraz Suzy Delft ze swoją przyjaciółką Penelopą. Dziewczęta czekały na górze w gabinecie Lea.

Kiedy karawana aut przybyła do „Klubu Jamic'ego”, zaprowadzono Koolmana do dużego okrągłego stołu nakrytego na

60

dziesięć osób. Obie dziewczyny pobiegły do toalety poprawić makijaż. Koolman rozsadził gości. Nicolson i jego reżyser zostali odesłani na drugą stronę stołu, Weinberger o dwa miejsca dalej, z obu stron Koolmana zostały puste krzesła. Kiedy dziewczęta wróciły, Penelopa miała na sobie inną sukienkę. Koolman zauważył to i dał temu wyraz. Dziewczyna uśmiechnęła się. Koolman zaczął czytać menu i nie podnosząc wzroku poklepał stojące obok krzesło. Penelopa posłusznie usiadła i wzięła od kelnera menu.

Dyrektorzy z Nowego Jorku siedli na przemian ze swoimi londyńskimi kolegami. Krzesło między Weinbergerem a Koolmanem czekało na Marshalla Stone'a, który przybył w tym właśnie momencie, gdy pojawił się piwniczny. Stone miał na sobie ciemny garnitur, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i krawat „Klubu Podróżników”. Z kieszonki kamizelki zwiisał na złotym łańcuszku złoty medalion zwolenników rozbrojenia. Zrobił efektowne wejście. Podeszedł do Lea Koolmana i stanął z szeroko rozpostartymi ramionami. Szukał słów, które wyraziłyby jego szczere wzruszenie. Kiedy wreszcie odezwał się, głos drżał mu ze wzruszenia.

- Leo, jak się cieszę, że cię widzę. Cholernie się cieszę.

Koolman zerwał się na nogi jak bokser wagi koguciej.

- Marshallu, oglądaliśmy dziś pokaz prawdziwego aktorstwa. Prawdziwego wielkiego aktorstwa.

Marshall Stone rozejrzył się z pytającą miną.

- Co, obejrzelście nowy film Richarda i Liz?
- Obejrzeliliśmy „Cichy raj”.
- Ach, ty stary łajdaku - zawołał Stone do Nicolsona. - Mogłeś mnie o tym uprzedzić.
- Jesteś wspaniały, Marshall - odparł Nicolson. - Wszyscyśmy się tobą zachwycali.
- Świetna robota, Marshall - pochwalił Koolman. - Dennis uważa, że powinniśmy się zacząć starać o nominację i zupełnie się z nim zgadzam.

Dennis Lightfoot zanotował w myśli, że jeśli coś nie wypali, to będzie się nazywało, że pomysł był jego. Stone udał zmieszanie.

- Ekipa była wspaniała, a ja tylko starałem się pracować najlepiej, jak mogłem.

61

- Najwyższy czas, Marshall, żebyś dostał jedną z tych metalowych lalek.

Stone usiadł i głośno wytarł nos.

Kelner spytał się Stone'a, czego się napije.

- Proszę o wodę Perrier - odparł Stone. I dorzucił zwracając się do Koolmana: - Nigdy nie piję podczas zdjęć. - Rozejrzył się wokół stołu. - Kochanie - zawołał w stronę Suzy - boska sukienka! - Udał, że szuka oczami kamery. - Kręcimy scenę orgii?

- Jak zapowiada się „Konfident”? - spytał Koolman. Reszta

biesiadników kontynuowała swoje rozmowy nie spuszczać jednak oczu z Koolmana i starając się usłyszeć każde jego słowo. - Podobają mi się te wąsiki! To ze względu na rolę?

Marshall, nim odpowiedział, tylko uśmiechnął się do zebranych.

- To nie będzie film dla wrażliwców, Leo. To męska historia o tym, jak naprawdę wygląda wojna. - Dotknął swoich wąsów.

- Tak, to ze względu na rolę.

- Ale czy spodoba się młodzieży?

- Młodzież oszaleje. Będzie się mogła pośmiać. I film rzuca wyzwanie wielkim autorytetom.

- Film ma być zwarty, barwny i agresywny - oświadczył Leo, który tę filozoficzną maksymę zaczerpnął ze scenariusza o producencie.

- Jest.

- Kto reżyseruje?

- Młody reżyser, Richard Preston. To jego pierwszy film.

- Aha, z telewizji - przypomniał sobie Koolman. - Mam nadzieję, że operator nie będzie szaleć. Uważaj, Dennis, żeby nie było tych psychodelicznych wygłupów.

- No pewnie, Leo. W zeszłym tygodniu zrobiłem przegląd materiału. Wszystko gra. A Suzy będzie świetna! - Ale w jego głosie czaiła się niepewność.

- Coś mi się zdaje, że jesteśmy trzy tygodnie do tyłu. - Koolman usiłował przypomnieć sobie przedłożone mu dokumenty.

- Mieliśmy kłopoty z pogodą - wyjaśnił Lightfoot.

- Czy ci faceci, którzy przygotowują ci budżet, nie wiedzą, że w Anglii zdarzają się deszcze?

Lightfoot nie odpowiedział i Koolman dorzucił:

- Mnie się zawsze zdawało, że w Anglii często pada. Musiałem coś o tym słyszeć... - Koolman rozejrzał się wokół, wszyscy się uśmiechnęli.

Lightfoot uśmiechnął się także. Powiedział:

- Plan zdjęć przewidywał, że będziemy wtedy kręcić we wnętrzach. Ale Marshall już za trzy tygodnie nas opuszcza, więc trzymamy ekipę w pogotowiu, żeby wykorzystać każde przejaśnienie.

Koolman pokiwał głową.

- Zawsze ta sama historia, kiedy kręci się w plenerze. Po co to komu? W Nowym Jorku też mamy z tym kłopoty. Tłumażą mi, ile się oszczędzi nie kręcąc w atelier, a potem stoją beczynie drapiąc się w tyłki i czekając, aż przestanie padać. I to ma być oszczędność? Jeśli już musimy mieć obiekty zdjęciowe, to czemu nie w Kalifornii? Tam przynajmniej można liczyć na słońce.

Wtrącił się Stone:

- Tak się cieszę, że ci się spodobał „Cichy raj”. Czy zwróciłeś uwagę na Bertie'go Andersona, był naprawdę świetny.
- Który to? - spytał Koolman.
- Kierowca ciężarówki w pierwszym akcie - wyjaśnił Stone. - Fantastycznie zagrał! Jezu! Gdybym ja tak potrafił!
- Nie przypominam go sobie - zauważył Weinberger; przebiegł w myśli listę swoich klientów i upewnił się, że Anderson do nich nie należy.

Zabrał głos Nicolson.

- To ten stary facet, który zrzuca z ciężarówki worek z po
czą.

- Ach, ten... - bąknął Koolman. Cała ta scena trwała niespełna minutę.
- Zbliża się już do osiemdziesiątki - poinformował ich Stone. -
Wspaniały starzec. Namówiłem Edgara, żeby mu dał tę rolę. - Stone
wziął od kelnera bułeczkę, przełamał ją na trzy części i posmarował
-starannie masłem. Baczny obserwator zauważyłby, że robi to z wielkim
namaszczeniem, poświęcając owej czynności całą uwagę. Ale baczny
obserwator zauważyłby także, że Stone - niby to zajęty swym talerzem -
prawie

63

niczego nie bierze do ust. A jeśli już zdecyduje się coś zjeść, przeżuwa każdy
kęs ostrożnie, macając przedtem językiem, jakby bał się, co w nim znajdzie.
Za to wielokrotnie w czasie kolacji wychwalał potrawy, powtarzał, 'jak mu
smakują, i skarżył się, że - choć powinien - nie potrafi poskromić swego
łakomstwa.

- Wspaniały starzec - powtórzył.
- Wiesz co, Marshall - zauważył Koolman. - Nie powinieneś być taki
cholernie skromny. Jesteś zbyt skromny! - Zwrócił się do Suzy Delft: -
Tylko prawdziwy artycha potrafi się tak zachwycać. Zawsze mi się to w
tym interesie podobało.
- Artysta - poprawiła go Suzy Delft.
- Czy ten twój koktajl jest niedobry?
- Owszem, dobry - odpowiedziała.

- No, to dlaczego nie pijesz? - Nie czekał na odpowiedź. Znow zwrócił się do Stone'a: - Dostaniesz nominację albo ktoś dostanie po nosie! Rozległa się przyjazna wrzawa. Nad Koolmanem stał cierpliwie kierownik sali z ołówkiem w ręku. Koolman powiedział:

- Wiecie, co tu jest świetne: kurczęta po kijowsku. Czy ktoś ich nie lubi?

Nikt się nie odezwał.

- I barszcz - ogłosił Koolman. - Ze śmietaną i tymi tam pirożkami. Okay, możecie podawać.

- Dziękuję panu, panie Koolman - powiedział, kłaniając się, kierownik sali.

- Będę się musiał wcześniej zmyć - zapowiedział Koolman. I żeby umocnić się w tym zamiarze, sięgnął pod obrus i chwycił Penelopę za udo.

4

Tragik oczywiście koloryzuje, ale szczerze wierzy w swoje fantazje. My, artyści, tak dalece przyzwyczailiśmy się uzupełniać na scenie fakty szczegółami własnej wyobraźni, że przenosimy te swoje przyzwyczajenia ze sceny do własnego życia. Oczywiście tutaj są one niepotrzebne, ale w teatrze - konieczne.

Stanisławski. „Praca aktora nad sobą”. Tłum. Aleksander
Męczyński

Rzecznik prasowy „Konfidenta” przysłał mi spreparowaną przez siebie biografię Marshalla Stone'a. Było to ksero. Pierwszą stronę zajmował niemal w całości rysunek: trzech żołnierzy i dziewczyna przedzierają się przez dżunglę a la Aubrey Beardsley. Dżungla ta zarastała także adres i numer

telefonu wytwórni, tylko na nazwisko Edgara Nicolsona wyrąbano małą polankę.

Edgar Nicolson z MWF Koolmana

przedstawia

Marshalla Stone'a

w „Konfidencie”.

Reżyser - Richard Preston.

Z udziałem

Suzy Delft.

Krótką biografia MARSHALLA STONE'A.

Marshall Stone urodził się w Londynie. Rodzinna tradycja nakazywała, by synowie wstępowali do wojska lub poświęcali się karierze teatralnej. Stone, jako jedyne dziecko, miałby może dylemat, jednakże wojna przerwała mu studia w Królewskiej Akademii Teatralnej.

Po wojnie zgłosił się do Roberta Atkinsa w Stratfordzie, ale nie został przyjęty do zespołu - było to wielkie rozczarowanie. Wyjechał więc z teatrem objazdowym na tournée po Południo-

65

wej Afryce, występował w komediach muzycznych, farsach, sztukach kryminalnych. „Był to prawdziwy diabelski młyn - opowiadał później - ale mimo wszelkich trudności i okropnej harówki, ani na chwilę nie przestawaliśmy się śmiać”.

Kiedy wrócił do Anglii, przez jeden sezon pracował w teatrze w Birmingham. Krytycy wychwalali jego Fortynbrassa w „Hamlecie”, reszta ról przeszła niezauważona.

„Cały czas z pobożną czcią rozdziawiałem szeroko usta. Chyba zbyt niewolniczo trzymałem się wskazówek reżyserów, w żadnej z ról nie potrafiłem się odnaleźć.

Kiedy zacząłem pracować w tym teatrze - o czym od dawna marzyłem - czułem się tak, jakbym złapał Pana Boga za nogi. Myliłem się. Po powrocie do Londynu trzykrotnie nie otrzymałem roli, o którą się ubiegałem. Przez rok grałem gdzie się dało, także w telewizji".

W 1948 roku zaproponowano mu rolę Lyzandra w „Śnie nocy letniej", który miał zostać wystawiony w Nowym Jorku. Zaczęły się próby, ale przedstawienie z przyczyn finansowych nie doszło do skutku. Stone został w Nowym Jorku, związał się z eksperymentalnym teatrzykiem wystawiającym Brechta i usiłował dorabiać w telewizji. To w jednej z nowojorskich restauracji zobaczył go producent z Hollywoodu i zaproponował próbne zdjęcia do roli w „Ostatnim vaquero". Ów film przyniósł mu światową sławę i w wielu krajach - poczynając od Włoch, a kończąc na Japonii - pobił wszystkie rekordy kasowe.

W ciągu następnych dwóch lat Stone zagrał trzy główne role w hollywoodzkich filmach, na scenie londyńskiej zrodził się jego niezapomniany „Budowniczy Solness", a podczas Festiwalu w Edynburgu obejrzelismy go w „Tristamie Shandy". I w latach pięćdziesiątych najważniejszym wydarzeniem teatralnym stał się „Hamlet" Marshalla Stone'a. Sam Giełgud nazwał go „odkrywczym".

Odtąd Marshall Stone nie przestaje występować tak w filmach, jak w teatrze, finansuje awangardowe filmy w Paryżu i często bierze udział w poetyckich audycjach Trzeciego Programu BBC.

Jeśli chodzi o jego przyszłą karierę, to choć trudno przewidzieć, czego

jeszcze dokona, możemy być pewni, że nigdy nie

66

znudzi widzów, że każda jego rola będzie na najwyższym poziomie profesjonalnym.

Była to bardzo zręczna reklamowa ulotka. Ale my z tej krainy nigdy-nigdy-nie-nudnej nauczyliśmy się, że awangardowy znaczy tyle co partacki, a rolą interesującą nazywa się rolę nie dopracowaną. I wiedzieliśmy, że całym dorobkiem Stone'a jest kolekcja bardzo nierównych filmów, piękna interpretacja wierszy w radiu, „Hamlet” i „Budowniczy Solness”.

Fakt, że w Ibsenie Stone był wspaniały, a w „Hamlecie” jeszcze lepszy, pogarszał tylko - przynajmniej w moich oczach - całą sprawę.

Na końcu życiorysu podano listę filmów, poczynając od „Ostatniego vaquero”. Pominięto jednak najslabsze, w tym „Pułapkę na tygrysy”, która poniósłszy klęskę w nowojorskim kinie, gdzie wyświetlano ją przed premierą, od tej pory spoczywała na półce.

Ale i tak osiągnięcia Stone'a były na tyle ważne, że pisząc o powojennym teatrze nie można było pomijać jego nazwiska. To, że od czasów „Hamleta” porzucił scenę i zadowalał się grą w niezliczonych, a za to sprawiających zawód filmach, nie odbierało mu talentu, który był na pewno olśniewający. Mógł śmiało pójść w ślady OHviera, tak jak Scofield wstąpił w ślady Giełguda. Nawet teraz nie było na to jeszcze za późno, acz wydawało się to dosyć nieprawdopodobne.

W tej samej kopercie znalazłem plan zdjęć do „Konfidenta”. Ekipa kręciła w obiekcie zdjęciowym pod Wellington.

Drogi Panie Anson!

Przez najbliższe trzy dni pan Marshall Stone nagrywa post-synchrony w Studiu Tiktok przy Wardour Street. Będzie bardzo rad mogąc tam pana powitać. Wyrazy szacunku

Brenda Staples Sekretarz Działu Reklamy.

Nic dziwnego, że schizofrenia często dopada aktorów. Aktor musi często zajmować się jednocześnie reklamą filmu, który

67

wchodzi na ekrany, robić postsynchrony w filmie, który właśnie ukończył, grać w trzecim, przymierzać kostiumy do czwartego i czytać scenariusze, żeby znaleźć coś godnego uwagi.

Faceci od reklamy zawsze się nawzajem zwalczają, list zatem nie wymieniał tytułu postsynchronizowanego filmu, ale domyśliłem się, że chodzi o tę historię z rurociągiem na Alasce; co najmniej pół tuzina razy montowano ów film od nowa, a to z powodu różnicy zdań między Nicolsonem, reżyserem i ludźmi Koolmana.

Przed Tiktokiem zobaczyłem bezkarnie zaparkowanego Rol-Isa Stone'a - tylko szoferom udaje się to osiągnąć. Ciemne szyby nie pozwalały dojrzeć, kto siedzi w środku auta, nie wiadomo więc po co właściwie Stone zadał sobie trud zdobycia numeru rejestracyjnego ze swoimi inicjałami.

Drzwi Tiktoka zazwyczaj były otwarte, dziś jednak były zamknięte na klucz i podejrzliwy portier niechętnie wpuścił mnie do środka. Korytarz prowadzący do studia D miał nie więcej niż pięćdziesiąt metrów długości, ale idąc nim, wyminąłem parę sekretarek, kilku goryli, człowieka, który przynosi herbatę, człowieka, który wiesza płaszcze, gońców i doradców. I na koniec łysego mężczyznę; jak się okazało, jego jedynym zadaniem było

zamawianie dla całej bandy napojów i odnoty-wywanie w notesiku, co dla kogo zamówił. Stone zatrudniał dwóch facetów do obsługi telefonu, jeden za niego dzwonił, drugi odbierał telefony.

Była to dziwaczna zbieranina ludzka. Poubierani w najrozmaitsze stroje wyglądali jak czekająca na autobus przypadkowa grupka. Łączyło ich jedno - hołdowniczy stosunek do Stone'a, któremu bez ustanku należało dawać wyraz. I w ich oczach czaiła się obojętna nuda - służba stara się ją zwykle ukryć. Z takim to właśnie wyrazem twarzy wpuszczali mnie i odpowiadali na moje „dzień dobry”. Zdejmowali ze mnie płaszcz i grzecznie uśmiechali się, gdy zdarzyło mi się zażartować. I z tym samym wyrazem twarzy - gdyby zaszła potrzeba - wyrzuciliby mnie za drzwi lub po raz enty powtórzyli, że Stone'a nie ma w domu.

Stone zatrudniał ich sukcesywnie i z różnych powodów, złożyły się na to rozmaite okoliczności. Pożyteczni jako członkowie świty, byli nieoceniceni jako audytorium. Wszędzie ze

68

Stone'em podróżowali, okazywali mu swoje oddanie, schlebiali, dostarczali rozrywki, a on rozsądzał ich spory. Byli dla niego tym wszystkim, czym dla włoskiego *padrone* jest jego rodzina. Stanowili jego świat, równie sztuczny jak ten, który go otaczał na ekranie.

Kiedy wreszcie dotarłem do studia D, Marshall Stone siedział tam w fotelu obok antycznego stoliczka, na którym stał srebrny dzbanek z kawą, a na kopenhaskiej porcelanie leżały ciasteczka. Później dowiedziałem się, że wszystko to zostało przyniesione przez jego pracowników, których zadaniem było upiększanie każdego kąta, gdzie Stone miał spędzić trochę czasu.

Zobaczyłem Sama Parnella i jego asystentów. Siedzieli w szklanej

kabinie otoczonej aparaturą. Popijali kawę z tekturowych kubków. Kabinę oświetlały trzy reflektory. Dostatecznie jasno, by było widać sześć rzędów krzeseł i siedzącego z przodu Stone'a. Kiedy wchodziłem, usłyszałem głos Parnella przez megafon.

- Okay, Marshall. Daj znać, kiedy będziesz chciał zacząć.

Stone podniósł do góry kciuk i wręczył egzemplarz „Playboya” jednemu ze swych podręcznych, który założy go w odpowiednim miejscu i odda w odpowiedniej chwili. Na ekranie pojawił się kadr czarno-białej roboczej kopii „Cichego raj”. Niewyraźnie mający mężczyzna w białej szubie oświadczył właśnie: - To ja pójdę. Inni mają rodziny.

Marshall Stone przyglądał się sobie i słuchał ścieżki dźwiękowej, żeby zacząć mówić w odpowiednim momencie. Kłopot z postsynchronami polegał na tym, że głos aktorów w atelier brzmiał często tak, jakby się wydobywał z blaszanej puszki. Ten film nie miał stanowić wyjątku - jak większość filmów Nicolsona.

Powrócił pierwszy kadr filmu. Stone zaczął mówić:

- To ja pójdę. Inni... nie, psiarew! Przepraszam, chłopaki, musimy to powtórzyć.

Ekran zaświecił bielą i Stone zobaczył, że stoję w drzwiach. Choć ktoś z jego świty zaanonsował mu moją wizytę, Stone wolał odegrać scenę zaskoczenia.

Zdarzało nam się spotykać na koktajlach i wymieniać zdawkowe uprzejmości, kiedyś udzielił mi krótkiego wywiadu, ale

69

w gruncie rzeczy nie była to prawdziwa znajomość. Tyle, że nikt by tego nie odgadł widząc, jak serdecznie się ze mną wita. Podszedł do mnie

uśmiechając się i ujął za obie ręce. Rozległa się salwa jednowyrazowych zdań.

- Nareszcie! Wspaniale! Cudownie! Witam! - Zmrużywszy oczy obserwował, jakie wywrą wrażenie. Po artyleryjskim ostrzale zaczął się atak na bagnety. - Świetnie wyglądasz. Boski garnitur. Gdzie się tak opaliłeś? Zazdroszczę! - Pewnie adresował te słowa nie tyle do mnie, co do samego siebie, brzmiała w nich bowiem nieklamana szczerłość.
- To ty wyglądasz świetnie, Marshall - odwzajemniłem mu się szybko. Wciąż ścisnął moją rękę. Wydał mi się niższy, bardziej opalony, miał więcej zmarszczek - ale jego głos brzmiał tak samo jak w filmach, donośnie i ostro.
- Widzę, że masz problemy? - zauważyłem.
- Tak, kochany, to nie powinno brzmieć jak jąkanie...
- Umiał powiedzieć „kochany” takim tonem, że brzmiało to szczerze, naturalnie i po męsku.
- Aha...
 - Nigdy bym tu nie zrobił przerwy między słowami, gdybym wiedział, że będą postsynchrony.
 - Czy ekipa od dźwięku myślała, że użyje oryginalnego nagrania?
 - Przysięgali, że tak, ale i ja, i wszyscy obecni słyszeliśmy stuki. Czyli musiał to usłyszeć także mikrofon. Powinienem być się postawić. Ostatecznie od tylu lat siedzę w filmie, że wiem co nieco o nagraniach. Ale aktor to zwykły szarak i powinien znać swoje miejsce, prawda, Peter? - Zrobił zrozpaczoną minę i zaraz się roześmiał. Mówił po aktorsku i tak też się poruszał
- każdy gest miał początek, środek i koniec. Potrząsnął głową,

żeby zetrzeć z twarzy uśmiech.

- Johnny, przynieś panu Ansonowi świeżo zaparzonej kawy i ciasteczka.

Inny mężczyzna odebrał ode mnie płaszcz.

- Sekretarka działu reklamy napisała mi...

- Tak, Peter, że proszę, byś tu wpadł. Sandy, powieś płaszcz Petera.

Trzeci mężczyzna powiesił mój płaszcz na wieszaku i znik-

70

nął z nim. Na jego twarzy widziałem wyraz obrzydzenia, ale może w ten sposób chciał okazać mi szacunek.

- Cieszę się, że mam z kim pogadać. Te postsynchrony to straszna nuda.

Czy masz zamiar napisać porządną, grubą książkę?

- Tak. Mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy słów i mnóstwo zdjęć. A propos

- fotosy dostanę od firmy, ale masz może jakieś prywatne zdjęcia,

które mógłbyś mi pożyczyć? Wiesz - szkolne fotografie, wakacje,

matka, ojciec, wojna.

Podniósł głowę i spojrzał na mnie.

- Brałem udział w wojnie - zauważył.

- Co robiłeś?

Wpatrywał się we mnie takim wzrokiem, że poczułem się niezręcznie.

- A co tatuś robił podczas wojny?

Roześmiałem się nerwowo.

- Przecież wiesz, Marshall. Siedziałem w Hollywood na

własnym tyłku.

Wyczuł moje zmieszanie.

- Tak, wiem. Dlaczego?

Milion razy już to powtarzałem.

- Długie lata oszczędzałem po trzydzieści szylingów tygodniowo, żeby kupić bilet do Kalifornii. Kiedy wybuchła wojna, niełatwo mi było wszystko rzucić. Dopiero w maju 1940 roku pojechałem do Kanady i zgłosiłem się na ochotnika.
- No i co?
- 1 rentgen wykrył, że moja złamana w dzieciństwie noga źle się zrosła w kostce... Nie powiem, żebym to sobie zanadto wziął do serca. Ale co pół roku zgłaszałem się, by uspokoić sumienie... Jednakże udało mi się tylko współpracować z Johnem Fordem i Darrylem Zanuckiem, gdy robili dla wojska film o chorobach wenerycznych. Oto cała moja wojna, Marshall. A twoja?
- Pracowałem dla faceta, który był brygadierem, nazywał się Millington-Ash, pod koniec został generałem. A ja na papierze miałem chyba stopień kaprała.
- Co to była za jednostka?
Uśmiechnął się dając mi do zrozumienia, że popełniam gafę.
- Powiedzmy piechota.

71

- Jeśli sobie życzysz zapomnę, żeśmy o tym rozmawiali.
 - Głównie siedziałem nad papierkami, ale ponoć była to ściśle tajna służba.
- Chcesz powiedzieć: wywiad albo coś w tym rodzaju?
Ruchem głowy wskazał mi mężczyznę, który przyniósł srebrny dzbanek z

kawą i parę ciastek z kremem. I nie odpowiedział, póki tamten nie wyszedł. Zatkał ręką mikrofon.

- Tego, kochany, nie wolno ci opublikować. Obu by nam się dostało!
- Nie ma sprawy.
- No, to w porządeczku... Powiedz, czego twoi czytelnicy chcieliby się o mnie dowiedzieć?

Było to bardzo praktyczne, acz nie ortodoksyjne podejście do sprawy.

Miałem kłopoty z odpowiedzią. Wiedziałem na czym polega praca człowieka piszącego biografię. Ma on dokonać wyboru wydarzeń i niektóre uwypuklić, by lepiej odmalować sylwetkę bohatera. Toynbee potępił kiedyś szkołę historyczną stosującą metodę chronologicznego opisu, ja także uważałem, że opis zewnętrznych wydarzeń ma służyć określone mu celowi. Ale niebezpiecznie byłoby tłumaczyć Stone'owi, że na ostateczny kształt jego biografii będzie miał wpływ pisarz. Znalazłem taktowne sformułowanie.

- Czytelnicy będą chcieli wiedzieć, jak naprawdę wygląda twoje życie. Uczestniczyć w twoich radościach, smutkach i niepowodzeniach, dowiedzieć się, jak funkcjonuje twój talent. I w jakiej mierze zawdzięczasz sukces samemu sobie, a w jakiej przyczynił się do niego ślepy traf.
- Tak, tak. I ile zarabiam, ile wydaję, jak wygląda mój dom i z kim sypiam.
- Nie, to nie o to chodzi - odpowiedziałem dość pryncypialnym tonem.
- Słuchaj, Peter. Jeśli chcesz dobrać mi się do skóry, to lepiej uprzedź mnie zaraz na początku.
- Dlaczegoż to miałbym tego chcieć?

- A dlaczego jakiś gówniarz złapał mnie dziś rano, gdy wysiadałem z RoUsa, żeby oznajmić, że mój ostatni film to wielkie gówno? - Zaśmiał się, by ukryć gniew.
- Naprawdę?

72

- Człowiek się do tego przyzwyczaja. - Westchnął i uśmiechnął się.» - Wszystkim nam się dostaje. Oczywiście, wymysły zdarzają się rzadko, ale każdy uważa, że ma prawo krytykować twój głos, twarz, sposób poruszania się, ubranie, tę czy inną rolę i tak dalej. I dziwi się, że nie okazujesz mu wdzięczności. Według powszechnego mniemania gwiazdy filmowe żyją w oderwaniu od życia i bardzo im się przyda, gdy usłyszą parę przykrych słów.

Współczująco skinąłem głową.

- A widzisz, kochany, mnie to jest zupełnie niepotrzebne.

Nikomu nie jest potrzebne. Ani tobie w twoim pisarstwie, ani mojemu aktorstwu.

Pomyślałem, że wciąż jeszcze gryzie się nowojorskimi recenzjami z „Pułapki na tygrysy”. I stara się z góry uodpornić na to, co będzie, gdy film zostanie pokazany w Londynie.

- Masz rację, ale taki jest ten świat - odpowiedziałem.
- I bez tego mamy mnóstwo wątpliwości i trzęsiemy się ze strachu. Bóg jeden wie, że sam dla siebie jestem najsurowszym krytykiem. - Roześmiał się. Wstał i nagrał następną kwestię. W ciągu całej naszej rozmowy, ilekroć inżynier dźwięku dawał znak, wstawał i natychmiast nagrywał. Postsynchrony mogą popsuć rolę każdego aktora. Trudno mu mówić tak spontanicznie jak wówczas, gdy znajduje się na planie wraz z partnerem i

ma do pomocy reżysera, który gdy trzeba, coś podpowiada, a potem sączy w ciebie życiodajne pochwały. Ale Stone przechodził samego siebie, głębiej interpretował każde słowo. I zauważyłem, że jeśli na ekranie widzi swój jakiś zbyt gwałtowny gest, to moderuje go intonacją. Był prawdziwym profesjonalistą.

- Ja też jestem profesjonalistą, Marshall - ostrzegłem go. - Nie zamierzam dobierać ci się do skóry, ale nie zamierzam też niczego pominąć i przedstawiać twojego życia jako jednego pasma sukcesów. Na przykład nie mam zamiaru rozpisywać się na temat twojego rozwodu, ale nie mogę zapomnieć, że byłeś żonaty. Żaden z nas nie może o tym zapomnieć.

Wyglądało na to, że poczuł ulgę.

- Biedna Mary - szepnął. - Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym chcieć o niej zapomnieć? Mnóstwo jej zawdzięczam, Peter, nigdy tego nie potrafię wyrazić. Ciężko przeżyła nasz rozwód, chociaż się do tego nie przyznawała, pewnie nawet

73

tobie się nie przyznała. Kiedy ktoś nas odtrąca, mówimy o nim wiele przykrych rzeczy, nawet jeśli tak wcale nie myślimy. Musisz o tym pamiętać, gdy zaczniesz ją wypytywać. - Umilkł, zobaczyłem bezlitosny wyraz jego oczu, nigdy dotąd nie podejrzewałem go o okrucieństwo, Mary też nigdy o tym nie wspominała.

- Mary jest wspaniałą osobą - dorzucił.

Nie odpowiedziałem. Siłą lekarzy, policjantów prowadzących przesłuchanie i dziennikarzy jest umiejętność wyczekującego milczenia.

I rzeczywiście zmusiłem go do kontynuowania.

- Kiedy kobieta wychodzi za człowieka całkowicie zaprzątniętego tym, co robi, to pierwsza rzecz - chce się przekonać, do jakiego stopnia jest on tej pracy oddany. - Uśmiechnął się udając, że wspomina. - Mary uważała moje aktorstwo za rywalkę. Chciała, żebym wcześniej wracał do domu i przyjmował tylko takie role, które pozwalałyby nam być razem, nie lubiła, kiedy mówiłem o mojej pracy. Możesz to sobie wyobrazić? Byłem początkującym aktorem. Tak strasznie chciałem grać, że podpisałbym dziesięcioletni kontrakt z teatrem na Grenlandii. - Zaśmiał się z własnej głupoty. - Próbowałem dojść do ładu z Mary. Naprawdę próbowałem. Ale kiedy kobieta chce się dowiedzieć, czy uda jej się podporządkować sobie męża, to zaczyna się go czepiać na każdym kroku. Boże, jak myśmy się kłócili! Rzucaliśmy w siebie talerzami! Raz wy tłukliśmy cały serwis. I rozcięła mi policzek trzepaczką do jajek. Gdyby nie jeden geniusz z Harley Street, miałbym bliznę! A kiedy Mary zobaczyła rachunek, wybuchła następna awantura. - Nalał mi kawy. Z początku byłem wściekły, że ośmiela się takim tonem mówić o Mary, ale uświadomiłem sobie, iż próbuje opowiadać o niej tak, jakby nie była moją żoną.
- Kiedy powiodło mi się w Hollywood, sprowadziłem tam Mary, jak tylko stało się to możliwe. Myślałem, że w innym kraju uda nam się rozpocząć nowe życie. - Uszczypnął się w nos i spojrzał w dal. Potem znów zwrócił się w moją stronę i zobaczyłem w kącikach jego oczu łzy. Czarne od tuszu łzy.
- Dwa razy byłem na twoim Hamlecie - zauważyłem. - Nikt ci nie dorównał.

Rozjaśnił się.

- To samograj - powiedział skromnie.
- O nie. Ten twój monolog do Joryka. Za drugim razem czekałem na niego i znów mówiłeś tak naturalnie, jakbyś improwizował.
- Bo przedtem wygłaszałem tekst tak, jakbym się go nauczył na pamięć. A nim zwróciłem się do Joryka, chwilę milczałem zastanawiając się, co powiedzieć.

Wziął dzbanuszek do mleka i zaczął go obracać w dłoniach.

- Pozwól, niech się jej przyjrzę. *Biedny Joryku** - spojrzał na dzbanuszek, jakby chciał z niego coś wyczytać. Potem spojrzał na mnie, zawahał się i dopiero wtedy powiedział tonem najzwyczajszej rozmowy: - ..., „Znałem go, mój Horacy; był to człowiek niewyczerpany w żartach, niezrównanej fantazji, tysiąc razy piastował mię w ręku”... - Uśmiechnął się, jakby powiodła mu się sztuczka, którą chciał zabawić dziecko. I cieszył się, że może mi dalej służyć rozrywką. - „Gdzież są teraz twoje drwinki, twoje wyskoki, twoje śpiewki, twoje koncepty, przy których cały stół trząsał się od śmiechu?”

Postawił dzbanuszek.

- Zgrywam się - powiedział, ale nie umiał ukryć zadowolenia. Przypomniałem sobie entuzjastyczne recenzje i wspaniałe prognozy krytyków. Niemal wszyscy przekonani byli, że zrezygnuje ze splendorów Hollywoodu. Londyński teatr witał go z otwartymi rękami. Pojawił się wielki neon z jego nazwiskiem, krytycy teatralni rozplýwali się w superlatywach, szczęśliwi, że błędny rycerz z ekranu odkrył, iż prawdziwą Mekką

jest scena angielska.

Tymczasem „młody geniusz” i „współczesny Irving”, gigant w kraju gigantów - wrócił wkrótce do Kalifornii. Stone spojrzał mi w oczy.

- Mój książę to był naprawdę ktoś! Skinąłem głową.
- Nie było w tym żadnej zgrywy...
- Nie było.

Marshall Stone nie wyszedł na obiad. **Nie zjadł także ciastka**

* Hamlet, przekład Józefa Paszkowskiego.

75

z kremem, choć kiedy ja spałaszowałem obydwa, posłał po następne, tak jakby zależało mu, by patrzeć na nie i opierać się pokusie. Ale może się mylę, może była to zwykła gościnność. W porze obiadu ktoś z jego świty przyniósł mu pięknie wypolerowane jabłko, zawinięte w wykrochmaloną serwetkę, kawałek białego sera i trzy dietetyczne sucharki. Ekipa nagraniowa skorzystała z przysługującego jej wolnego czasu, Stone odesłał swoich ludzi i zostaliśmy tylko we dwóch w przyciemnionej salce. I to wtedy właśnie zaprezentował mi swój talent.

Opowiedział mi o ćwiczeniach głosu - ponoć jako młody aktor nie dysponował odpowiednią skalą. Zacytował mi swój popisowy numer z Biblii, mówiąc tak, jak mówił kiedyś, a potem popisując się nabytymi umiejętnościami. Deklamował niskim, głęboko brzmiącym głosem, nawet szept można by usłyszeć z odległości stu metrów. Nie uciekał się do żadnych trików. Nie podkreślał niczego, niczego nie wyciszał. Nie próbował zadziwić mnie pauzami ani nie posługiwał się przeponą. Po prostu robił, co mógł, żeby do człowieka naprawdę przemówiły te jakże znane

słowa.

Wszystko ma swój czas
i jest wyznaczona godzina
na wszystkie sprawy pod niebem
jest czas rodzenia i czas umierania,
czas sadzenia i czas wyrywania tego, co sadzone,
czas zabijania i czas leczenia,
czas burzenia i czas budowania,
czas płaczu i czas uśmiechu,
czas zawodzenia i czas płasów,
czas rzucania kamieni i czas ich zbierania,
czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich,
czas szukania i czas tracenia,
czas zachowania i czas wyrzucania,
czas rozdierania i czas zszywania,
czas milczenia i czas mówienia,
czas miłowania i czas nienawiści,
czas wojny i czas pokoju.*

* Księga Koheleta, 3,1-8, Biblia Tysiąclecia, wyd.IH. popr.

76

Wypowiedział to rzeczywiście wspaniale i był na tyle mądry, że zamilkł szukając po kieszeniach papierosów.

- Rozmawiałeś z Edgarem? - Stone poczęstował mnie papierosem.
- Wczoraj.
- Był ze mną, kiedy grałem w „Ostatnim vaquero”.

- Opowiadał mi.
- Wspomniał ci o tej historii z dziewczyną?
- Tak.
- Miał straszego pecha. A to taki miły facet.
- Mówił, że w ten sposób stracił szansę.
- No, zagrał złodzieja.
- Ale czyż nie ubiegał się o główną rolę?
- Tak ci powiedział? - Stone roześmiał się pobłaźliwie.
 - Tak. Tylko Bookbinder przeraził się skandalu, gdy ta dziewczyna popełniła samobójstwo.
 - Ach, ten Edgar! - Stone pokręcił głową. - A propos, dziewczyna wcale nie umarła. To znaczy, owszem, w parę lat później zginęła w katastrofie samochodowej.

- Kto to był?

Stone zapalił papierosa.

- Jakaś aktoreczka. Powinienem raczej powiedzieć: kandydatka na gwiazdkę, bo chyba nigdy w niczym nie zagrała.

- Edgar poznał ją w Hollywood?

Stone zaciągnął się, wypuścił dym i dopiero wówczas się odezwał.

Lodowatym, niemal oskarżycielskim tonem. Po raz pierwszy zdradził się ze swoją gwałtownością - czai się ona w każdym aktorze - i okazał, że ma żelazną wolę, która pozwoliła mu przebrnąć przez dziesiątki ostatnich filmów.

- Nie będziemy się grzebać w przeszłości Edgara - oświadczył.

Zajrzałem do notesu i postanowiłem przystąpić do ataku.

- Parę lat temu powiedziałeś w wywiadzie telewizyjnym, że starzejąca się gwiazda powinna raczej przestać grać niż występować w rolach charakterystycznych. Czy dalej tak uważasz?
- Filmy konstruuje się wokół gwiazdy. Więc kiedy nagle gwiazda ma grać „pod kogoś”, stają przed nią zupełnie nowe problemy. Czy uważasz, że przemawiała przeze mnie próż-

77

ność? - Wziął mnie mocno za ramię, poczułem ból. W Hollywoodzie takie gesty nie są oznaką mniej lub bardziej ukrytego homoseksualizmu, jest to po prostu domaganie się niepodzielnej uwagi rozmówcy.

- Nie - odpowiedziałem.
 - Gdybym miał przestać grać główne role - chwilowo jestem na szczęście obsypywany propozycjami - to, owszem, rzuciłbym film.
- I co byś robił?
 - Wyruszyłbym na morze. Pożegłował naokoło świata, jak Chichester czy Knox-Johnson. Człowiek może się naprawdę odnaleźć tylko sam na sam w obliczu żywiołu.
- Nie wiedziałem, że jesteś żeglarzem.

Co prawda podczas festiwalów w Cannes widywałem jego motorowy jacht, nieodzowny atrybut każdej gwiazdy, ale jego entuzjazm dla żeglarstwa był dla mnie czymś zupełnie nieoczekiwanym.

 - Przepląnąłem samotnie Atlantycką - oznajmił z oburzeniem. - Jestem z tego bardziej dumny niż ze wszystkich filmów.
- Jakim szlakiem?

- Wy płynąłem z Shannon do Port of Spain. Ale zacząłem się błąkać i musiałem dobić do lądu i spytać, gdzie jestem.
- I gdzie byłeś?
- W St. Kitts.
- Nieźle.
- Siedem stopni różnicy.
- Kiedy to było?
 - W czterdziestym szóstym roku. Dwa lata później pojechałem do Stanów. To w czterdziestym ósmym Kagan Book-binder zaproponował mi rolę w „Ostatnim vaquero”.
- Nigdy o tym nie pisano...
 - Zbyt mi na tym zależało, żeby rzucić to na żer pismakom. Wiesz, jakie biografie wymyślają ci faceci od reklamy.
- Właśnie dziś rano jedną taką mi przysłali. Roześmiał się.
- No, to sam widzisz.
- Pozwolisz mi to opisać?

78

- Muszę się zastanowić, Peter, to taka osobista sprawa...
- Twoja biografia jest także twoją osobistą sprawą.
 - Tak, masz rację. Ale napisz o tym powściągliwie. Żeby nie zabrzmiało, jakbym samotnie zdobył Mount Everest.

Stone oznajmił Samowi Parnellowi, że na dziś ma dosyć postsynchronów. Ktoś z jego świty pomógł mu włożyć marynarkę, poprawił chusteczkę, podał grzebień i lusterko. Stone skinął mi głową, dając do zrozumienia, że

czas się pożegnać.

Zacznę chyba tę biografię od jachtu. Młody aktor po paru rolach w teatrze zastanawia się - z dala o utartych dróg - nad swoim życiem.

Alpinista, podróżnik i samotny żeglarz muszą umieć pokonywać niezliczone trudności, obchodzić się bez wielu niezbędnych rzeczy. I mimo że zagraża im klęska, zdążać wytrwale do celu. Tak samo aktor. Skoro więc zacznę od pokazania samotnego żeglarza, nieba i gwiazd, łatwo będzie o analogie: oto człowiek wymija niebezpieczne rafy Hollywoodu... Nie, to chyba zbyt wyświechtane, nawet w biografii gwiazdy.

Schowałem notes i podziękowałem Marshallowi. Jego największą siłą był wzrok - potrafił wręcz zahipnotyzować rozmówcę. Pewnie o tym wiedział, myślę że po to właśnie uwięził w żelaznym uścisku moje ręce, bym nie mógł przed jego wzrokiem umknąć. Stone ściskając komuś dłoń okazywał, że na całym świecie istnieje dla niego tylko ta jedna osoba. Przeszywał cię tysiącwoltowy prąd, tak właśnie objawiała się owa jakość supergwiazdy i najbardziej zatwardziały cynik zamieniał się w pokornego wielbiciela.

Większość osób pracujących w przemyśle filmowym to fani. Nie tylko reżyserzy, producenci i aktorzy, ale także garderobiane, operatorzy i oświetleniowcy żyją magią kina. Kto wie, czy filmy nie byłyby lepsze, gdyby ich twórcy stali się równie cyniczni jak widzowie, ale się nie stali. Na każdej premierze widzi się członków ekipy wystrojonych w odświętne garnitury i wyszywane cekinami suknie. I wszyscy gapią się jak dzieci w ekran.

Tak właśnie stało się na europejskiej premierze „Pułapki na tygrysy”. Wszyscy wiedzieli, że nie spodobała się Ameryka-

nom. Nowojorska prasa zjechała film. Niemniej na Leicester Square policja musiała powstrzymać tłum, gdy pojawiły się Rolls-Royce'y.

Niektórzy z obecnych pamiętali hollywoodzkie premiery lat trzydziestych; gigantyczne reflektory, orkiestry jazzowe i takie nieprzebrane rzesze, że aż do kanionu Laurela ruch był sparaliżowany. Dzisiejsza premiera nie dorównywała tamtym, ale była na poziomie londyńskich premier lat siedemdziesiątych. Ludzie od reklamy dostarczyli trzy tuziny gwiazdek w świątecznych opakowaniach, królowa wydelegowała członka swojej rodziny, wpływy kasowe przeznaczono na cele dobroczynne.

Włożyłem smoking, a Mary swoją różową kreację od Diora. Porozmawialiśmy z Suzy Delft, wymieniliśmy parę uwag o pogodzie ze Stone'em. Koolman rzucił jedną ze swych maksym. Nim zniknął mój fotograf, podyktowałem mu podpisy i moje sprawozdanie było gotowe dostatecznie wcześnie, by się ukazać w prowincjonalnym wydaniu gazety. Żaden redaktor nie mógłby wymagać więcej.

Premiera na West Endzie Przed kinem „Empire” zamarł uliczny ruch

Strojny orszak osobistości świata filmu i telewizji nadciągnął przed kino „Empire”, by powitać księżniczkę Beatrice. Dochód z nowego filmu Marshalla Stone'a przeznaczono na rzecz Fundacji „Pomóż Kalekom”, słynny gwiazdor patronuje poczynaniom tej instytucji. Foyer kina rzadko oglądało podobny spektakl. Setki kobiet i mężczyzn na codzien ciężko pracujących, by dostarczyć nam rozrywki, dziś przybyło tu w olśniewających strojach, wspaniałych futrach i drogocennej biżuterii. Przed rozpoczęciem

seansu Marshall Stone przedstawił księżniczce najwybitniejsze osobistości.

Wśród najwybitniejszych osobistości - mężczyzn i kobiet z show-biznesu - przedstawionych Jej Królewskiej Wysokości, był pan Leo Koolman, energiczny szef Międzynarodowej Wytwórni Filmowej Koolmana, która sfinansowała produkcję „Pułapki na tygrysy”. Zapytałem go, czy rzeczywiście amerykańskie wytwórnie filmowe niechętnie inwestują obecnie kapi-

80

tary w produkcję filmów brytyjskich. Powiedział: „Pułapka na tygrysy” to fajne kino, a przecież jest to film stuprocentowo brytyjski. Jeśli wasi aktorzy, reżyserzy i kierownicy produkcji będą dalej tacy dobrzy, to nie przestaniemy tu przyjeżdżać w poszukiwaniu najlepszego towaru”.

Wśród obecnych znajdował się Val Somerset, młody angielski aktor, który odniósł taki sukces w „Wyroku cesarza”, że krytyka zaczęła go porównywać ze Scofieldem, Guinnessem i Stone'em. Somerset powiedział: Wciąż uczę się swojego zawodu, a przyszedłem tu dziś wieczór nie tylko dlatego, że Marshall Stone jest jednym z najlepszych aktorów na świecie, ale że mam zaszczyt cieszyć się jego przyjaźnią. I bliska mi jest sprawa rehabilitacji kalek, której Marshall poświęca tyle energii i czasu”.

Ruch na West Endzie został wstrzymany aż po Hyde Park Corner i Baker Street. Rzecznik prasowy policji oświadczył, że jest to największy korek od czasu przedświątecznych gwiazdkowych zakupów.

W redakcji wystukałem ten tekst na maszynie i zaniósłem redaktorowi dyżurnemu. Przeczytał go i mruknął:

- Ach, ty pieprzony ironisto. Któregoś dnia posuniesz się za

daleko!

Odpowiedziałem:

- Nie wiem, o czym ty mówisz, Billy.

W czasie naszej rozmowy przywieziono zdjęcia. Były bardzo dobre, zrozumiałem więc, że mój tekst padnie ofiarą nożyc. Posłałem gońca po herbatę do kantyny i zacząłem przeglądać leżące przed redaktorem dyżurnym szpalty szukając recenzji z „Pułapki na tygrysy”. Krytyk filmowy już trzy dni temu obejrzał film na pokazie prasowym, na pewno więc tę recenzję już napisał, ale nie mogłem jej jakoś znaleźć. Nie chciałem się dopytywać, by nie wyglądało na to, że mam ochotę zająć jego miejsce.

Wypaliliśmy kilka papierosów i wymieniliśmy parę redakcyjnych plotek. Zrobiło się zbyt późno, by wrócić na salę i obejrzeć film, zdecydowałem więc, że poczekam na Mary pod kinem.

Z pubu wrócił Jack Ouarrel ze strapioną miną. Kiedyś

81

pracowaliśmy razem w agencji prasowej jako początkujący dziennikarze. Pisaliśmy koszałki-opałki, by wypełniać miejsce między prawdziwymi wiadomościami a reklamami. Na przykład: „Zwolniona striptizerka organizuje strajk”.

- Powrót zmęczonego bohatera - zauważył Jack. - No, jak twoje rany, żołnierzu?
- Ponoć wyżyję.
- A mówiono, że wielkie masz szanse. Jak ci się żyje w świecie liliputów?
- Przywykłem.
- A mnie się nie udało. Wolę już pracować z powrotem w tej przeklętej

agencji niż wysłuchiwać, jak ci „wspaniali mężczyźni” skomlą, by ich reklamować.

- Lubią się zwierzać - przyznałem.
- Ano właśnie. Aktor chętnie przyzna się do morderstwa, byleby mu zagwarantować, że ta wiadomość ukaże się na pierwszej stronie. - Uśmiechnął się. - Co, trafiłem w sedno, braciszku?
- Nie - odpowiedziałem, ale przed Jackiem nic się nie dało ukryć. Widząc jego cynizm uświadomiłem sobie, że z wiekiem zmiękłem. I od razu przypomniałem sobie zwierzenia Edgara na temat dziewczyny, o której dziwnym zbiegiem okoliczności wspomniał także Stone. A przecież można by sądzić, że obu powinno w tej sprawie zależeć na milczeniu.
- Popatrz, co nasz stary wymyślił - powiedział Jack. Podał mi jedną z tych długich notatek naczelnego. „Czy wyższy oficer lat siedemdziesiątych jest tyranem czy technokratą?”
- Sądząc z ilości zamieszczonych ostatnio przez armię reklam, jest raczej technokratą - zauważyłem.
- Spryciarz - przyznał niechętnie Jack. - Właśnie zapłacili za sześć stron ilustrowanego magazynu. Dlaczego ci generałowie urzędują na krańcu świata? Mam przejechać ponad trzy tysiące kilometrów i wcale nie jestem pewien, czy mój stary Hillman to wytrzyma.

Zaznaczyłem paznokciem nazwisko generała Millingtona--Asha.

- Spytaj się go, czy nie pamięta z czasów wojny młodego kaprała nazwiskiem Edward Brummage, dobrze, Jack?

82

- Aha, Marshalla Stone'a. Okay.

- Widzę, że pamięć ci służy.
- A co, chciałbyś ją zarezerwować dla pisarzy? - zakpił Jack i mrugnął na redaktora dyżurnego.

BIOGRAFIA MARSHALLA STONE'A Rozdział pierwszy

Świecił księżyc. Mały kecz „Wstęga Nadziei” podskakiwał na wzburzonym szarym oceanie jak korek płynący po rynsztoku. Pompa pracowała na pełnych obrotach i pojękiwała, ilekroć stateczek się zakołysał. Zmęczony mężczyzna przy sterze tylko przy podskokach kecza widział skrawek ciemnego nieba, okna kajuty zalane były deszczem i świat za nimi wyglądał jak jedna wielka bryła galarety.

Mężczyzna otrząsnął się, przemoczone ubranie przylegało do jego ciała niczym świeży gips, obtarł już sobie do krwi łokcie i pośladki. Na północy niebo przejaśniło się o tyle, że można było dostrzec kilka gwiazd. Jedna z nich, najjaśniejsza, zainteresowała samotnego żeglarza. Przesunął sterownicę, kecz ruszył wprost na wzburzone fale. Żeglarz, poruszając się z trudem, nastawił żagiel tak, by przyjął uderzenie wiatru. Rozległ się huk i statek zakołysał się jak pijany.

Poruszając się wolno niczym robot, żeglarz otworzył drzwi kajuty i zszedł do niej. Fala uderzyła o pokład i wyrznęła go w twarz.

Z półki nad piecykiem spadły ostatnie puszki konserw. Do grodzi umocowane było pudło, starał się je otworzyć. Palce miał przeraźliwie białe i całkiem bez czucia. Wreszcie udało mu się i wyjął przyrząd, który kosztował go wielotygodniową gażę. Nie był to jakiś nadzwyczajny wyczyn, niemniej westchnął z wysiłku. Pracując w nieznośnej ciasnocie kajuty, zmierzyl położenie gwiazdy. Była to Gwiazda Polarna.

Skierował światło latarki na stolik z leżącą na nim mapą morską. Przyłożył

linijkę, „Wstęga Nadziei” podskoczyła, linia, którą chciał narysować, zrobiła się falista. Zahuczała woda uderzająca w dach kajuty. Nachylił się nisko nad mapą, by dojrzeć punkt na Atlantyku, gdzie przecinały się dwie linie. - Zupełnie nieźle, Eddie - szepnął. - Zupełnie nieźle.

83

Edward Brummage, znany obecnie pod nazwiskiem Marshall Stone, zmierzył się z żywiołem i dziś, po dwudziestu ośmiu dniach od chwili, gdy wypłynął z Shannon River bliski był zwycięstwa.

Zamieszczę zdjęcie stateczku, maleńki punkcik w bezmiarze oceanu. Nie istnieje fotografia „Wstęgi Nadziei”, ale wystarczy byle jaka, aby tylko kecz na niej był wystarczająco mały. Spiałem kartki brulionu i zszedłem na śniadanie. W niedzielę przygotowywała je moja starsza córeczka, młodsza zaś nakrywała stół. Odciałem wierzch jajka na miękko, a Mary zajrzała do maszynopisu. Oddała mi go bez słowa i piła dalej kawę. Nie lubiła jajek. Bez entuzjazmu skonsumowałem moje i spytałem:

- Co o tym myślisz?
 - Zawszeć to lepsze niż strojny orszak osobistości świata filmu i TV. Musiałem zrobić strapioną minę, bo pocałowała mnie.
 - Umiesz pisać, kochanie. Na pewno będzie to wspaniała książka.
 - Mam parę problemów technicznych. Czy rzeczywiście można określić pozycję statku na podstawie położenia gwiazd? Coś mi się zdaje, że trzeba zajrzeć też do ksiąg.
- Dlaczego nie spytasz Marshalla?

Spojrzałem na nią wietrząc krwawą ironię. Nic nie wyczytałem z jej twarzy.

- To jest myśl - powiedziałem.

Usłyszeliśmy, że przywieziono gazety i dziewczynki zbiegły po schodach po swoje ulubione tygodniki kłócąc się po drodze, kto kogo popchnął.

Ucałowałem je, a Mary dała im całą główkę sałaty dla Che.

Zacząłem szukać w gazecie mego reportażyku, ale zniknął. Posłużono się nim fabrykując podpis pod zdjęciem Koolmana, Somerseta i Stone'a rozmawiających z księżniczką.

Marshall Stone wraz ze swym młodym kolegą, Valem Somersetem (gwiazdą „Wyroku Cesarza”) rozmawia z księżniczką Beatrice na pokazie filmu na rzecz Fundacji „Pomóż Kalekom”, której jednym ze sponsorów jest właśnie pan Marshall

84

Stone. Pan Koolman (z prawej strony), prezes Międzynarodowej Wytwórni Filmowej Koolmana, producent „Pułapki na tygrysy”, powiedział naszemu wysłannikowi, że filmowcy brytyjscy jako eksperci w dziedzinie kina nadal nie mają sobie równych.

Oto co nasi czytelnicy przeczytają z przyjemnością przy niedzielnej porannej kawie z rogalikiem. Odszukałem rubrykę kulturalną i znalazłem recenzje. Marshall Stone był na tyle sławny, że recenzja z jego filmu była pierwsza i ozdabiała ją wielka fotografia, choć pochwały zebrał film Godarda.

FILMY

Josephine Stewart

ODROCZENIE EGZEKUCJI

W dawnych dobrych czasach nie kręciło się dalszego ciągu udanego

filmu. A teraz coraz częściej aktor gra tę samą rolę w trzech, czterech filmach. Niestety rzadko się zdarza, by dorównywały one tej pierwszej. Nowy film Marshalla Stone'a („Pułapka na tygrysy”, kino „Empire”) nie jest tu bynajmniej wyjątkiem.

Wszyscy mają już po uszy „Ostatniego kata”, tego oficera gwardii, tajnego agenta, który na zlecenie supertajnego departamentu Whitehall zajmuje się eliminacją przestępców wymykających się wymiarowi sprawiedliwości. Niemniej twórcy „Pułapki na tygrysy” z bliżej nieznanых przyczyn kazali swemu bohaterowi wyładować całą energię w niczym nie usprawiedliwionych, a okrutnych aktach przemocy.

Nic dziwnego, że publiczność zarówno w sterroryzowanej rozruchami Ameryce, jak i w nękaną strajkami Europie z życzliwą uwagą śledzi, jak to elementy społeczne zwalczane są przy użyciu wszelkich dostępnych środków. Stąd powodzenie poprzednich filmów, w których Marshall Stone odgrywał rolę mściciela. Jednakże bestialskie okrucieństwo „Pułapki na tygrysy” nie trafi już prawdopodobnie do przekonania ostatnim wyznawcom etyki „Ostatniego kata”, którzy wolą, by zbrodniarze znikali w chmurach dymu niż w morzu krwi.

Wyszukane zdjęcia nie zdołały przesłonić słabości scenariu-

85

sza, pod którym widnieją nazwiska aż czterech autorów (zwykle nie zwiastuje to niczego dobrego). Toteż scenariusz ten nie dostarczył Marshallowi Stone'owi - otoczonemu plejadą najwybitniejszych brytyjskich aktorów charakterystycznych - materiału do stworzenia przekonującej roli. Chwilami gra kowboja, chwilami ucieka się do szeptu, choć już w „Hamlecie” okazało się to dosyć zawodne.

„Pułapka na tygrysy" pokazuje nam, jak można zmarnować czteromilionowy budżet, za to „Pogotowie" pokazuje, jak można za niespełna milion zrobić inteligentny film w naturalnych dekoracjach. Val Somerset, który dzięki roli młodego centuriona w „Wyroku cesarza" z dnia na dzień stał się sławny, znów po zaledwie pięciu miesiącach pojawia się na ekranie jako młody lekarz w klinice dla narkomanów i...

Nie czytałem dalej. Wszystkie gazety zjechały „Pułapkę na tygrysy", większość nie owijała gorzkiej pigułki tak jak to zrobiła Josephine. Może z góry przesądziła o tym klęska w Nowym Jorku, ale nie przypuszczam. „Pułapka na tygrysy" była filmem naprawdę niedobrym. Istnieje niepisane prawo, że im aktor staje się sławniejszy, bogatszy i bardziej niezależny, tym gorsze scenariusze znajdują łaskę w jego oczach. Powinni się nad tym zastanowić ci, co utrzymują, że nie należy niczego uogólniać. Kiedy się osiągnęło szczyty aktorstwa, ulega się pokusie wiary w swoją umiejętność oceny scenariusza. I tej pokusie uległ Marshall Stone. Wiedziałem skądinąd, że parę najokrutniejszych scen przemocy w filmie znalazło się tam na jego żądanie.

Podąłem gazetę Mary.

- Josephine dobrała się Marshallowi do skóry. Mary powoli przeczytała recenzję.
- Złośliwy babsztyl!

Zawsze jestem gotów odgrywać rolę adwokata diabła.

- Jo Stewart to typowa przedstawicielka jajogłowych i lubi chwycić za siekierę. Jej czytelnicy uwielbiają takie recenzje. Pisze dla ekspedientów, którzy mają się za wielkich biznesmenów i dla nauczycieli, z których każdy myśli, że zostanie Bertrendem Russellem. Tylko jeden na stu obejrzy film. A jeden

na tysiąc przypomni sobie wówczas, co napisała Jo.

86

Mary zebrała talerze.

- Ludzie, którzy zrobili film, poświęcili mu pewnie z rok życia... jak się oni czują, kiedy go się załatwia w kilkunastu zdaniach? Musi to być okropnie przykre.

Mary wiedziała, że na długo przed naszym małżeństwem miałem krótki romans z Josephine, toteż nasza rozmowa nie była w gruncie rzeczy rozmową o recenzjach, udawałem jednak, że to o to chodzi.

- Josephine świetnie wie, że ma zabawić czytelnika, jej posada zależy od tego, ilu czytelników sięgnie po jej recenzje, nie od tego, czy wnikliwie oceni film.
- Uwielbia wbijać szpile.
- Złośliwe recenzje są zabawniejsze niż recenzje kurtuazyjne. I w obecnych czasach wszyscy są przepracowani. Lubią więc mieć coś do powiedzenia o książkach, sztukach i filmach, których nigdy nie zobaczą.
- Czasem żałuję, że jesteś dziennikarzem.
- Wiem.
- Przecież te pieniądze nie są nam wcale potrzebne.
- Ale ja przyzwyczaiałem się do pracy w gazecie. To wciąga. Człowiek jest u źródła informacji. I lubię tę atmosferę... trudno mi to wytłumaczyć.

Mary ustawiła naczynia na tacy, osobno położyła noże, osobno łyżeczki.

- Ty, kochanie, mówisz czasem zupełnie jak Marshall.

Ach, ten uśmiech Marshalla Stone'a! Tym razem obdarzył nim nową gwiazdkę - Suzy Delft, której przytrzymuje pudełko ze szminkami. To

zdjęcie odpowiada na pytanie, czemu tyle pięknych młodych aktorek lubi grać w filmach Koolmana. Marshalla Stone'a widzimy tu w stroju pilota bojowego, w którego wcielił się w swoim nowym filmie „Nad chmurami”.

5

My, producenci filmowi, wywodzimy się z rozmaitych zawodów, często byliśmy przedtem kuśnierzami, rzeźnikami, prestidigitatorami lub kotlarzami - i pięknoduchy nie szczędziły nam kpin.

Adolph Zukor

Aparat telefoniczny przy łóżku Weinbergera był najcichszy na świecie: pani Weinbergerowa wymontowała dzwonek. Ale Weinberger podnosił zawsze słuchawkę już po pierwszym bzyknięciu i rozmawiał tak jakby nigdy nie spał i miał w głowie tysiąc kontraktów. W Nowym Jorku było o pięć godzin wcześniej niż w Londynie, a rozmowy z Zachodnim Wybrzeżem były jeszcze bardziej niewygodne. Kiedy Weinberger miał zawrzeć jakąś bardziej skomplikowaną umowę, wstawał bardzo późno, wiedział bowiem, że dzień pracy zacznie się po południu i skończy dobrze po północy.

- Mówi Weinberger. - Spojrzał na zegar przy łóżku. Dziesiąta rano. Niedziela. Sennym ruchem poklepał poduszkę z drugiej strony łóżka, ale Lucy już wstała. Była dobrą żoną. Za chwilę przyniesie mu świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, kawę i nadesłane pocztą lotniczą „Variety” i „Daily Cinema”, które w niedzielę rano lubił czytać w łóżku, kiedy ona przeglądała gazety.
- Pan Weinberger, łączę.
Ktoś widać kazał swemu personelowi pracować w niedzielę. Weinberger

domyślił się kto.

- Jacob? Mówi Leo, Leo Koolman. - Wymienienie nazwiska było szczytem skromności, na jaki potrafił się zdobyć Koolman.
- Co się stało, Leo?
 - Jestem w biurze. Dostałem teleks z Wybrzeża. Chcą, żebyśmy potwierdzili serial Stone'a. Kończy się opcja na prawa autorskie. Odnowienie jej kosztowałoby nas sto tysięcy. Po-

88

trzebny mi podpis Stone'a. Dostarcz mi dziś jeszcze kontrakt, żebym mógł do nich zadzwonić.

- Ależ, Leo, jeszcze nie rozmawiałem z Marshalllem. Muszę go dopaść, gdy będzie w dobrym humorze.
- W dobrym humorze! Proponuję temu bałwanowi cztery miliony, a tobie potrzebny jest jeszcze jego humor?
- Tyle dostanie, jeśli będzie to największy serial od czasu „Peyton”. Wtedy przez osiem sezonów będzie miał trzy osiemset. Ale jeśli się uważnie przeczyta wszystkie klauzule małym drukiem, to możesz mu dać pięćdziesiąt tysięcy i do widzenia.
- Jacob. Interesy Marshalla w Stanach reprezentuje - o ile wiem - Sandra Behring. To bardzo miła osóbka.

Weinberger uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że w którymś momencie rozmowy Koolman mu tym zagrozi, dając do zrozumienia, że wówczas będzie się musiał podzielić swoimi dziesięcioma procentami.

- Chyba wiesz, Leo, że Marshallowi będzie to bardzo nie w smak. Ale spróbuj.

Leo Koolman coś mruknął i przestał grozić. Zmienił ton.

- Jacob, stary przyjacielu. Ja chcę jednego - robić dobre filmy. Wszyscy tego chcemy, prawda? Film jest sztuką, Jacob, a Marshall jest artystą, wielkim artystą. Telewizja udostępnia sztukę milionom widzów, prawda? - Nastąpiło dłuższe milczenie, wreszcie Koolman spytał: - Słyszysz mnie, Jacob?
- Kłopot w tym, Leo, że wy wszyscy myślicie o sztuce, a artyści o pieniądzach.
- Widzę, że chcesz mi wyciąć jakiś numer - zauważył Koolman. - Będziesz czekał do ostatniej minuty, żeby wycyc-kać ode mnie więcej forsy.
- Czyż kiedykolwiek tak postąpiłem, Leo?
 - Owszem - odpowiedział Koolman. - Przy „Cichym raj” wydusiłeś ze mnie datę ukończenia zdjęć i jedenaście dni płatnych postsynchronów.
- Do tego lepiej nie wracajmy, Leo.
 - Okay, okay. Wiesz, co powinieneś zrobić? Zobaczyć się dziś ze Stone'em i z nim pogadać. Dobrze? Powiedz mu, że albo - albo. Jeśli nie chce zagrać dla telewizji, to niech się odpiardoli, damy tę rolę komuś innemu. Już rozmawiałem

89

z innymi aktorami - i z ich agentami. Ale musisz z **nim** porozmawiać dzisiaj.

- Marshall ma pewnie postsynchrony.
 - Nie ma. Tydzień zdjęciowy trwa tylko pięć dni. Postsynchrony są w sobotę.
- No, to prawdopodobnie pojechał do Twin Beeches.

- Jasne. Siedzi w tej swojej posiadłości i fotografuje się z końmi.

Reżyser ma tam dziś do niego pojechać. A na obiad został zaproszony Somerset. Pojedź więc do Twin Beeches i nalej mu oleju do głowy!

Do sypialni weszła cicho Lucy Weinberger. Postawiła na łóżku tacę i do kawy męża włożyła dwie pastylki słodziku. Skrzywił się w udanym gniewie. Wolałby cukier.

- Obaj, Jacob, jesteśmy ludźmi interesu. Jeśli zaczniemy utrudniać sobie życie, nic nam to nie da. Mamy wiele nie ukończonych spraw, z którymi mnie się nie śpieszy, a tobie tak. A z kontraktem Stone'a jest odwrotnie... Ale wiem, stary przyjacielu, że mogę na tobie polegać. Nigdy mnie nie zawiodłeś.
- Spróbuję, Leo - odpowiedział Weinberger, ignorując groźbę dotyczącą kontraktu Suzy Delft; Weinbergerowi zależało, by został podpisany możliwie najszybciej, bo tylko wtedy Suzy mogłaby rozłożyć podatki na dwa lata. Weinberger wziął do ręki filiżankę i wciągnął zapach kawy lekko zmieszany z aromatem fig. Przypomniało mu to dzieciństwo.
- No właśnie. Spróbuj. Czy masz w domu umowy?
- Tak, mam.
 - Bo gdybyś miał w biurze, to bym ci zaraz przysłał nowe egzemplarze.
 - Nie, mam je tutaj. Ale nie skłonię Marshalla do podpisania, bez zmiany tej klauzuli o sposobie wypłacania gaży. Jeśli miałyby czekać na drugą ratę, aż film przyniesie zysk, to mogłoby się okazać, że pracuje za tysiąc dolarów dziennie.
 - To by była rzeczywiście tragedia - ironicznie zauważył Koolman. - Coś ci powiem, mój drogi. Profesorowie, którzy uczą mojego syna w Eton, nie dostają nawet dwudziestu dolarów dziennie, a ten przeklęty Stone nie

jest godzin nawet podetrzeć im tyłków.

- Masz na pewno rację - zgodził się spokojnie Weinberger.

90

- Ale w ostatnich trzech filmach Marshall dostawał milion za film albo szesnaście tysięcy dziennie. Musimy tę klauzulę wykreślić.

- Przez ile dni?
- Co przez ile dni?
 - Ile miał w każdym z tych filmów dni zdjęciowych? Mówisz o stawce dla gwiazdy, występującej gościnnie w filmie, którego producent kupuje sobie dla reklamy jej nazwisko. A ja mówię o pełnometrażowej dużej roli.
- Wiesz przecież dobrze, jakie są jego stawki.
- W „Cichym raju” miał osiemset dziennie.
 - Plus dziesięć tysięcy dziennie za każdy dzień dodatkowych trzech tygodni i tyleż samo za każdy dzień postsynchronów.
 - No, dobrze, że już nie mówisz o szesnastu, tylko o dziesięciu.

Weinberger uświadomił sobie, że zaczął się targować, było to małe zwycięstwo Koolmana.

- Przestańmy dyskutować o historii. Jeszcze nie rozmawiałem z Marshalllem i wcale nie jestem pewien, czy zechce pracować dla telewizji niezależnie od tego, ile mu zaproponujesz.
- Chyba oszalał!
 - Nie, nie oszalał, Leo. Wszyscy aktorzy wystrzegają się telewizyjnych seriali. Nie chcą dać się opatrzyć.
 - To nie jest serial. Półtoragodzinne filmy, które będą nadawane raz w

miesiącu. Nad scenariuszami ślęczą najlepsi pisarze i najlepsi reżyserzy, powinien być dumny, że będzie z nimi pracował. Na pniu sprzedam te filmy do Niemiec, Francji i Włoch. W niektórych krajach będą pokazywane najpierw w kinach. Tylko w Stanach od razu pójdą w telewizji.

- To umieścimy to w kontrakcie.
- Co?
- Że poza Stanami filmy wyświetlane będą w kinach.
 - Co ty sobie myślisz, facob? Chcesz się u mnie rządzić? Chcesz zająć moje miejsce?

Weinberger cierpliwie zaczął tłumaczyć od początku.

- To pomogłoby mi przekonać Marshalla. Tak właśnie chciałem mu tę sprawę przedstawić. Ale muszę mieć to na piśmie.

91

- Powiedz Marshallowi Stone'owi, że jeśli będzie chciał się czegoś więcej dowiedzieć, to może do mnie zadzwonić, będę albo w biurze, albo w domu.

Była to odprawa. Weinberger znał Koolmana.

- Dobrze, Leo.

Już w trakcie wypowiedzania tych słów przez Weinbergera Koolman odłożył słuchawkę. Nigdy nie mówił do widzenia. Dawniej Weinberger dzwonił do niego ubolewając, że centrala przerwała połączenie. Ale teraz nie miał już energii na takie żarciki, zresztą przestało to być zabawne.

Weinberger zabrał się do śniadania. „Variety” leżała nie-otwarta, a on zajadał rogaliki od Harrodsa z morelowym dżemem roboty żony. Niedzielne

poranki miały w sobie coś nierealnego. Weinberger bardzo je lubił. Czytał, słuchał radia, drzemał, czasem zapraszał do łóżka żonę. Kiedyś przejdzie na emeryturę i reszta życia będzie jednym długim niedzielnym porankiem.

Weinberger ziewnął i wygramolił się z łóżka. Przejrzał się w lustrze. Z potarganymi włosami i w pomiętej pidżamie wyglądał jak kłown. Zaczął się gimnastykować, przychodziło mu to bez trudu. Jeśli żona zdziwiła się, widząc skłony i przysiady, to tego nie okazała. Nalała sobie kawy i spytała:

- Musisz wyjść, kochanie?
- Muszę pojechać do Twin Beeches.
 - Weź płaszcz. Świeci słońce, ale jest chłodno. Będzie tam mnóstwo sław.
- Skąd wiesz, złotko?
 - „Niedziela w Twin Beeches jest zawsze małym ewenementem. Marshall Stone zaprasza na obiad wszystkich notabli show-biznesu. A po obiedzie pokazuje im w swej prywatnej salce kinowej jakiś film. Wszyscy jego przyjaciele są tego dnia mile widziani, każdy może pojawić się, jeśli ma na to ochotę”.
 - Nie będzie tłoku - zauważył Weinberger. Bardzo lubił swoją żonę, ale wolałby, żeby nie cytowała filmowych pism.

Śmieszna rzecz, ci smarkacze przyjeżdżają tu z Nowego Jorku jako dumni reżyserzy teatralni i ledwie się pojawiają, zapominają o tekście, charakterach, dialogach, bo koncentrują się całkowicie na tej nowej dla siebie, cudownej zabawce - kamerze filmowej.

John Ford

Stone wstał z kanapy i podszedł do okna. Richard Preston - jego reżyser - zafrasował się i zaczął zastanawiać, czy go nie uraził. Starał się dojrzeć co

absorbuje uwagę Stone'a. Niebo było ciemne i chmurne. Pola zboża oświetlone blaskiem słońca. Przestało padać, wszystko przybliżyło się i widać było pobielane chaty przy prowadzącej do Londynu szosie.

Stajennego i jego pomocnika złapał deszcz. Galopowali po łące. Stone patrzył, jak jeden z chłopców otwiera bramę i ponownie dosiada konia, by wrócić do stajni. Nowe źrebaki były doprawdy wyjątkowe, to idiotyczne, że ma tak mało czasu na przyjemności. Utrzymywano często, że widzowie identyfikują się z gwiazdami, że te niejako żyją za nich, piją, bawią się, kochają. Nie sprawdzało się to w jego przypadku, załoga jego jachtu, pilot, a nawet stajenni mieli znacznie więcej radości z życia. Tyle że on wielu rzeczy wyrzekał się z własnej woli.

Co za ironia. Był u szczytu kariery, dostawał milion za film, kilka filmów ze świetnymi rolami nie ukazało się jeszcze na ekranie, a z ostatnią zmagął się jak amator. Odkąd Leo wspomniał o możliwości Oscara, nic mu nie wychodziło. Był obsypywany komplementami, ten facet, który pisał jego biografię, okazywał prawdziwe zainteresowanie, a wszystko to wywoływało w nim tylko poczucie winy.

Nachylił się znów nad scenopisem „Konfidenta”. Nie lubił kapitana Hollowaya, którego grał. Był to cyniczny, podstępny gość, zubożniały na cierpienia i udrękę bliźnich. Nie umiał się z nim utożsamić.

- To nie to, to nie to, to nie to! - zawołał.

93

- Jeśli wróci, by pomóc rannemu sierżantowi, będzie to całkowicie sprzeczne z jego osobowością - tłumaczył Preston.
- Ale prawdziwe. Ludzie się zmieniają. I miewają rozmaite odruchy.
- Jesteś pewien, że nie chcesz tego zrobić po to, by zyskać sympatię

widzów?

- Nie, nie - odparł Stone. Zastanawiał się, czemu zgodził się na tę rolę. Scenariusz mu się nie podobał, do tego dwudziestojednoletniego reżysera nie miał cienia zaufania, choć początkowo łudził się, że może dzięki jego młodości sam odzyska dawny entuzjizm. Ekipa była dobra, znał wszystkich - począwszy od scenografa, kończąc na garderobianym. Miał nadzieję, że ich doświadczenie w połączeniu z energią Edgara pozwoli mu okiełznać zapędy reżysera. Teraz zaczynał w to wątpić. Znów spojrzął na scenopis.

Ujęcie 197 Chata w dżungli. Dzień.

Kapitan Holloway liczy na stole naboje.

Obok niego stoi sierżant BOX i układa je na siedem kupek.

W głębi leży na macie konający szeregowiec FORTESCUE.

Jęczy.

Kapitan HOLLOWAY: - Proszę je podzielić tylko na sześć części.

Szeregowiec Harmsworth zadowoli się bagnetem.

Sierżant BOX (patrzac ze zdziwieniem): - Ależ Harmsworth jest najlepszym strzelcem w pułku. Jeśli mamy się przedzierać przez tereny zajęte przez Japońców, będzie nam go potrzeba.

Kapitan HOLLOWAY (spokojnie): - Harmsworth jest nie-subordynowanym skurwielem i kiedy wrócimy do pułku, zamknę go na parę lat do ciupy!

Sierżant BOX (podkreślając każde słowo): - Pan kapitan pozwoli, że poprawię... Jeśli wrócimy.

Kapitan HOLLOWAY (tonem komendy): - Zbierzcie ludzi sierżancie!

Sierżant BOX: Rozkaz, panie kapitanie.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Obaj wpatrywali się w scenopis. Wreszcie Preston przeczytał głośno: - Zbierzcie ludzi sierzancie!

94

- Richard, bardzo cię proszę, żebyś nigdy tego nie robił.
- Czego?
 - Żebyś nigdy nie wygłaszał głośno tekstu zanim ja nie powiem swoich kwestii. Aktora to paraliżuje.
- Ale przecież robię to od początku filmu.
- No właśnie.
 - Czemu mi od razu nie powiedziałeś? - Preston najeżył się. Nie, tego Stone nie chciał.
- Rich, sądziłem, że ta informacja może ci się przydać.
 - Chcesz, żebym ograniczył się do przedstawiania motywacji takiego a nie innego zachowania?

Stone uśmiechnął się. Wiedział, że reżyser prędzej czy później zacznie mówić o analizie tekstu. I tak długo trwało, nim z tym wyskoczył. Chciałby trafić kiedyś na reżysera, który do analizy tekstu przykładałby równie mało uwagi, co on sam. Jeśli na tym ma polegać tajemnica gry aktorskiej, to czemu ci cholerni reżyserzy i scenarzyści sami nie są najsłynniejszymi aktorami na świecie?

- Możemy całymi dniami analizować tekst - widzów mało obchodzi, co kłębi się w mojej duszy. Interesuje ich wiarygodność zachowania. To moja twarz, sposób bycia, talent aktorski mają stworzyć postać Hollowaya. Analiza co najwyżej dostarcza perspektywy.
- Zrobię, co mogę, żebyś był zadowolony - oświadczył Preston. To od

Edgara Nicolsona nauczył się takich uprzejmych zdaneł.

Kiedy Stone po raz pierwszy przeczytał scenariusz, uznał go za zręczny. Wiele już było podobnych filmów i odnosiły sukces kasowy. Rola kapitana Hollowaya wydała mu się interesująca. Zaczął nawet uczyć się jeździć na motocyklu, żeby dorównać *easy riderom* i kamera mogła go pokazać w zbliżeniu. Strzelał z pistoletu, a Jasper udzielał mu lekcji musztry wojskowej - jak należy salutować, jak wydawać rozkazy. Niemniej Holloway wciąż nie nabierał życia. Stone wciąż nie znajdował żadnego punktu zaczepienia.

W trakcie długich lat kariery aktorskiej nauczył się, że widz powinien wczuć się w stwarzanego przez niego bohatera i darzyć go sympatią. Nawet mordercę dzieci czy dyktatora należa-

95

ło pokazać tak, by widz czuł, że tylko dzięki boskiej opiece nie stał się podobnym człowiekiem. Ale z kapitanem Hollowayem nie potrafił sobie poradzić i nic nie wskazywało na to, by mógł mu w tym dopomóc Preston.

Na nic się także nie zdały przeróbki scenariusza. Każda wersja powielana była na papierze innego koloru, brzegi kartek układały się w tęczę. Wniesiono też dużo poprawek innego rodzaju. W ostatniej wersji przekreślono słowo „żółtki” i napisano „Japończycy”. Ktoś z biura szefa ostrzegł ich, że takie lapsusy odbiorą filmowi szansę kariery na Dalekim Wschodzie.

Stone przygładził szczoteczkę wąsików. Do każdej roli lubił zmieniać wygląd. Zmiana warunków zewnętrznych pomagała mu przekształcić się wewnętrznie. Jeszcze raz przeczytał scenę.

- Nie, kochany, ten scenopis jest do luzu.

- Komu to mówisz! - Preston wyjął małe pudełeczko i bibułę do papierosów, po czym z wielką uwagą zaczął wykonywać skręta, patrząc spod oka, czy Stone go obserwuje. Stone wpatrywał się we własne paznokcie.

- Masz ogień, Marshall?

Stone nie podnosząc wzroku podał mu stojącą na stole srebrną zapalniczkę. Chłopak zapalił koślawego skręta trzymając go ostentacyjnie między wszystkimi czterema palcami a kciukiem. Zaciągnął się i podał go Stone'owi.

- Chcesz?

Stone przyjrzał się uważnie brudnemu skrętowi i pokręcił przecząco głową.

- Boisz się? - spytał Preston. Uśmiechnął się i mrugnął.

- Tak - odparł Stone. - Ale nie tej twojej gównianej Mary, tylko mikrobów.

- Sporóbuj, Marshall, odprężysz się.

- Jakoś nie widzę, Rich, żebyś ty był odprężony. Gdybym miał ochotę palić trawkę, to stać mnie na własnego skręta. Nie czuję pociągu do życia we wspólnocie.

Preston uśmiechnął się z zakłopotaniem, właściwie powinien się odciąć, ale nie wiedział jak. Pierwszy raz znajdował się w domu Stone'a i był, jak wszyscy zazwyczaj, pod wrażeniem antyków i służby w białych kitlach, która poruszała się bezszelestnie, a mówiła tonem urzędników bankowych. Czuł się tu

nie na miejscu, miał na głowie wyszywaną paciorkami opaskę, na sobie zaś haftowany afgański kaftan.

Stone zamknął scenopis w okładce z czerwonej skóry, którą kupił u Gucciego. Ekspedientki szalały - zmusiły go, by podpisał się na ich rękach pomadką do ust. Wybiegły za nim na via Condotti i żegnały okrzykami. Stone odłożył scenopis i poklepał okładkę.

- Tak, kochany, nic z tego nie rozumiem. Cóż, jestem tylko aktorem... nie żadnym intelektualistą. - Poklepał reżysera po kolanie. - Co ma oznaczać ten początek? Dlaczego pruję nożem poduszkę? A koniec?... Ten wybuch... - Wzruszył ramionami.
- Każdy film musi mieć początek, środek i koniec - powiedział Preston z uśmiechem prestidigitatora, który zamierza pokazać jakąś szczególnie karkołomną sztuczkę. - Ale niekoniecznie w tym porządku. Tak twierdzi Godard i ja mu wierzę...
- Ale czy uwierzy w to publiczność? Mnie, mój drogi, interesuje tylko publiczność.
- Chryste Panie - Marshall, czy ty także musisz rozprawiać o publiczności jak ci skurwiele z Wardour Street?

Stone uśmiechnął się, Prestona to zirytowało. Stone powiedział:

- To publiczność płaci za oglądanie filmu.
- Pieprz publiczność! 1 spróbuj przez chwilę zrozumieć, że staramy się zrobić dzieło sztuki. Rod Steiger powiedział: „Film jest najkosztowniejszym sposobem uprawiania sztuki”.

Stone ponuro pokiwał głową. Ten chłopiec naczytał się o filmie i kiedy mu to pasowało, potrafił zacytować każde przeczytane słowo. Miał tysiąc teorii i dla wszystkich próbował znaleźć miejsce w tym pierwszym

kręconym przez siebie filmie.

- Ta scena z żoną... - kontynuował Stone. - Mam jej już nigdy nie zobaczyć. Muszę ją pocałować. To będzie punkt kulminacyjny całej sekwencji.
- Cała ta sekwencja to wybryk jego podświadomości. On przecież wcale nie wyrusza na wojnę... to znaczy nie myśli, że wyrusza.

97

- Brak mu wyobraźni - pokiwał głową Stone. - Cóż, może ja mam za dużo wyobraźni. - Preston nie odpowiedział. I Stone ciągnął dalej: - Na przykład świetnie sobie wyobrażam, że ta scena widzów rozśmieszy.
- Nie martw się, Marshall. Zmontujemy ją po tej scenie na statku, kiedy wyławia się z morza trupa twojego adiutanta. Nikomu nie będzie do śmiechu.
- Nie jestem taki pewien. - Stone żywił obawę, że mokry Percy Hampton trzepoczący się na haku w powietrzu też może rozśmieszyć widzów. Otworzył scenopis na scenie w sypialni. - Chcę omówić z tobą tę scenę. Od ujęcia dziewięćdziesiąt trzy do sto osiem. Za długo mówię zza kadru. Kamera powinna pokazać mnie wcześniej. Dam ci przykład. Co ta dziewczyna robi w ujęciu dziewięćdziesiąt pięć?
- Jej włosy rozwiewają się i obłąkańczo tańczą. Wolniutko, symbolizując jej wewnętrzną rozterkę.
- Może nachyliłbym się i pocałował ją, nim zacznę mówić? Wtedy widzowie wiedzieliby, skąd dobiega głos.
W tonie chłopca zabrzmiała rozpacz.
- Niemożliwe, Marshall. Ona jest w łóżku, a ty w ubierał-ni. To ważne,

że każde z was jest gdzie indziej. Zresztą scenę z dziewczyną nakręciliśmy już w zeszłym tygodniu.

- Co?
- Zgodnie z planem, Marshall. I spójrzmy prawdzie w oczy. Czy takie zbliżenie byłoby dla ciebie korzystne? Z niej jeszcze prawie dziecko, a ty masz już zmarszczki. - Preston przejechał ręką po twarzy. Długie do ramion włosy włożyły mu do oczu, ściągnął je gumką w koński ogon. - Tak, było to zgodne z planem.
- Mało mnie to obchodzi. Nawet gdyby mi to przykazał sam arcybiskup Canterbury - oświadczył Stone. - To kluczowa scena i chcę ją nakręcić razem z Suzy.
- Ale to był właśnie rozkaz arcybiskupa Canterbury. Leo Koolman wyznaczył Suzy końcową datę zdjęć, żeby zdążyła na ten rozbierany film w Sztokholmie. Tam muszą kręcić w świetle dnia, a dni staną się krótkie.
- Co cię to obchodzi? - spytał Stone. - Powinieneś się był postawić. Powiedz Koolmanowi, żeby się odpierdolił.

98

- Ty może byś z tego wyszedł żywy, Marshall. Ja nie. Nikt by już nigdy o mnie nie usłyszał. - Pokręcił żałośnie głową.

Stone wstał i podszedł do kominka. Przez chwilę wpatrywał się w płomień. Lubił ogień. Jednym z powodów, dla których przeprowadził się do Anglii było właśnie to. Nawet w lecie mógł palić na kominku ogień. Nacisnął dzwonek. Wszedł lokaj.

- Tak, proszę pana.

- Niech nam Patterson przyniesie jeszcze jedną butelkę szampana. I kawy, i tych ciastek z kremem.
- Dziękuję za ciastka - powiedział reżyser. Zasłonił oczy rękoma, jakby chciał je odwrócić przed niebiańskim blaskiem. - Staram się zrzucić nadwagę.
- Niech Patterson przyniesie - polecił Stone. - Może uda mi się go namówić.

Stone podszedł w milczeniu do okna, wpatrzył się w pasące się w oddali krowy. Preston siedział bez ruchu. Obaj milczeli. I żaden nie drgnął, dopóki nie wrócił lokaj niosąc filiżanki, srebrną zastawę, lniany obrus na stolik przed kominkiem. Słyszeli, jak otwiera szampana i nalewa kawę. Preston próbował wymyślić jakąś stosowną uwagę na temat otwieranej butelki, Stone zaś trwał nieporuszenie, jakby huk wylatującego korka w ogóle do niego nie dotarł. Było to znacznie bardziej wykwintne, zanotował w myśli Preston.

- Jak na sierpień to mamy zimnicę - zauważył Stone.
- Tak, cholerny ziąb - zgodził się Preston.
- Oczywiście, jesteś za młody, żeby pamiętać czasy wojny...
- Jeszcze się wtedy nie urodziłem. - Preston chętnie podtrzymałby rozmowę, nic mu jednak nie przyszło na myśl. Stone poczęstował go kawą i szampanem, wmusił w niego ciastko z kremem. Ucieszył się, gdy chłopak zaczął je wcinać. A więc nie potrafi się opanować.

Tymczasem on, Stone, umie się oprzeć pokusie, jest więc silniejszy od tych wszystkich Prestonów świata filmowego, którzy - jak się wydaje - bez reszty opanowali tę branżę.

Chłopak przełknął sporą porcję ciastka i spytał:

- Ty, Marshall, nigdy nie miałeś ochoty popróbować reżyserki?

99

- Jakies dwanaście lat temu wyreżyserowałem na Festiwalu w Harrogate „Ryszarda Trzeciego”.
- Ale w filmie?
 - To choroba, na którą zapadają często aktorzy osiągnąwszy wiek dojrzały.
- Ja mówię poważnie.
 - Widzisz... - powiedział Stone, przeszedł przez pokój i przejrzał się w wiszącym nad kominkiem ozdobnym lustrze - ... tak, mógłbym namówić producenta, żeby mi powierzył reżyserię, ale tylko wówczas, gdybym w tym filmie zagrał za pół darmo. Więc reżyserem byłby amator, a gwiazdą dureń. Widzisz mnie w tej roli?

Obaj roześmiali się.

- Ale gdybyś miał dobry scenariusz...

Stone pokręcił przecząco głową.

Preston znów przejechał ręką po twarzy.

- Chryste, ale ja miałem noc! Byłem na bankiecie i paru facetów wzięło amfetaminę i LSD. Podróż i halucynacje jedno cześnie. To za wiele, człowieku, oj, za wiele.

Stone wypił łyk szampana. Potem napił się kawy. Nie odezwał się.

- Ja zażyłem LSD. To poszerza granice spostrzegania. Przydaje się każdemu twórcy. Masz pojęcie, człowieku, co by namalował Michelangelo, gdyby mógł odbyć taką podróż?
- Michelangelo Antonioni?

- Nie udawaj. Malarz.
- I tak mu parę rzeczy nieźle wyszło.
- Czy ty sobie ze mnie kpisz?
 - No pewnie - odpowiedział Stone. Odstawił swoją czarną kawę bez cukru na fortepian. Nachylił się nad fotografiami w srebrnych ramkach i powąchał róże stojące w chińskim wazonie. - Oto moja podróż - oświadczył.

Preston obserwował go. Nastąpiło dłuższe milczenie. Chłopiec nigdy nie wiedział, kiedy jego odezwanie się jest na miejscu, a kiedy nie. Czuł, że Stone przez cały czas bacznie go obserwuje.

- Ty brałeś udział w wojnie, prawda, Marshall?
 - Brałem - odparł Stone. - I jeśli ci o to chodzi, to, owszem, zabiłem paru facetów.

100

Chłopak nie odpowiedział. Nie o to mu chodziło.

- Było to dosyć okropne - dorzucił Stone.
- I może dlatego masz kłopoty z Hollowayem.
- Pewnie tak.
- Powinieneś mi być od razu powiedzieć.
 - Spektakl musi toczyć się dalej - zacytował Stone. Uśmiechnął się. - Chodzi mi tylko o tę historię z nożem...

Preston czekał.

- Cóż... tak to właśnie wyglądało... i było to cholerne przeżycie... - Walnął pięścią we własną dłoń. - Niemiecki diesel potwornie śmierdzi. Tych trzech Hunów, których załatwiłem, ciągle wypływało na

powierzchnię. Cały czas. I jeszcze po wielu latach czułem zapach tego
diesla...

- Naprawdę?
- No oczywiście, że nie naprawdę.
- Strasznie mi przykro, Marshall.

Stone podszedł i usiadł obok Prestona. Nalał chłopcu szampana i nałożył
na talerzyk następne ciastko. Sobie dolał kawy. Zniżył głos aż do szeptu.

- Wszystko będzie okay, Rich. Katharsis, co? Dostaniesz
ode mnie kapitana Hollowaya wykończonego w każdym szcze-
góle. I nikt poza nami nie musi wiedzieć, że naprawdę to
pewien głupi kapitan Brummage spełnia swój obowiązek wo-
bec Anglii.

Preston zjadł ciastko, wypił dwa kieliszki szampana. Potem spytał:

- Marshall, nie masz gdzieś w domu trawki?
 - Nie - odparł Stone. - Nie używam. - I powiedział to ostrym tonem kapitana Hollowaya.

Niedzielny obiad w Twin Beeches należał do uświęconego rytuału.
Zazdrościcy podkpiwali z gościnności Stone'a. Utrzymywali, że trudno te
przyjęcia nazwać baletami, zważywszy na wokalny akompaniament
osobistości z filmowej branży, nadali im zatem miano „oper”. Trzech lokajów
wchodziło z półmiskami i demonstrowało je gościom. Potem umieszczali je
na podgrzewanym stole wbudowanym w siedemnastowieczny kredens.
Zdejmowano srebrne pokrywki, a brzmiało to jak

101

sygnał najcichszego chińskiego gongu. Półmiski były ze szlachetnych metali,

potrawy bogato garniowane i wszystko, co mogło być *flambe* było *flambe*. Weinberger utrzymywał, że raz tylko zdarzyło mu się jeść faszerowaną rybę *flambe*, oczywiście właśnie w Twin Beeches, i śmiali się z tego tylko ci, którzy nigdy tam nie byli.

Tej niedzieli do obiadu zasiadło siedem osób. Stone nie zatrzymał na obiedzie Prestona. Uważał, że sztuka podejmowania gości polega na tym, żeby nigdy nie znalazł się wśród nich ktoś, kto nie uświetniłby zgromadzenia urodą lub prestiżem, choć trudno było przypisać te cechy dwóm panom z działu reklamy z Hollywood, którzy tego dnia byli tu obecni.

Kiedy Stone zegnał Prestona, Weinberger pił właśnie drinka z Suzy Delft, która spędzała w Twin Beeches weekend. Potem przyjechał Val Somerset ze swoją dziewczyną, Joan Forrest.

Łatwo było zrozumieć, czemu Stone uważa Sommerseta za rywala. Miał on kościstą twarz i ostre spojrzenie - zupełnie tak samo jak Stone, a dzięki Stone'owi ta twarz wryła się w pamięć milionów widzów. Nosił dość długie faliste włosy - takie jak Stone w swych pierwszych filmach. Uśmiechał się tak jak Stone, zaciśniętymi wargami, czekało się, aby - z rzadka - pokazał olśniewające zęby. Trudno powiedzieć, do jakiego stopnia Val Somerset wzorował się na Stonie. Sam nie był tego pewien. Ale wiedział, w którym punkcie odejść od tego wzoru. Na obiad przyszedł w lekkim garniturze koloru czekolady. Biała koszula była rozpięta, podkreślała wspaniałą opaleniznę. Skromna prostota tego ubioru sprawiała, że Stone wyglądał tak, jakby się wybierał na bal kostiumowy.

Zainspirowany przez Prestona, Stone pojawił się bowiem w bladoniebieskich bawełnianych spodniach i kwiecistej koszuli zapinanej na

ramieniu. Na piersi dyndał mu na złotym łańcuszku medalion. Co chwila go dotykał.

Somerset używał przeciw niemu najstraszliwszej broni: swojej młodości. Nigdy dotąd Stone'owi aż tak nie ciążył wiek - zbliżał się do pięćdziesiątki. Zaczęło go dławić w gardle, odzywał się tylko szeptem i z niesmakiem spoglądał na brązowe cętki na pomarszczonych rękach.

Somerset zaparkował swój wóz - używane Mini, brudne

102

i poodrapywane - tuż koło nieskazitelnego Rolls-Royce'a Stones, i to także był sygnał, że kino wchodzi w fazę uwielbienia młodości, że przestają się liczyć supergwiazdy.

Weinberger dobrze wiedział, co dręczy Stone'a. Zrozumiał to widząc, jak gwiazda odnosi się do Somerseta. Stone bez przerwy zajmował się młodym aktorem. Sam nalewał mu wino, nie dopuszczał do tego lokajów. Zachwycał się jego wyglądem, pytał o adres krawca, podziwiał opaleniznę, zaśmiewał się z jego dowcipów, wyciągnął dla niego najstarszy koniak i najlepsze cygara.

- Kiedy zobaczyłem „Wyrok cesarza”, od razu wiedziałem, że to jedna z najwspanialszych filmowych ról, jaką kiedykolwiek oglądałem na ekranie. - Pokręcił głową, jakby wciąż jeszcze wspominał. - Następnego dnia wróciłem do kina, żeby sprawdzić, czy się nie pomyliłem - nie, nie pomyliłem się.
- Scena pogrzebu nie była zła - zgodził się Somerset.
- Scena pogrzebu nie była zła? - powtórzył z oburzeniem Stone. - Nie była zła? - Zaśmiał się. - To było arcydzieło, drogi chłopcze. Prawdziwe arcydzieło.

- Stary Tommy w historycznych filmach jest wciąż mistrzem.
- Świetnie reżyseruje sceny zbiorowe, ale to co wie o aktorstwie, dałoby się zapisać na łebku szpilki... i jeszcze by zostało dosyć miejsca na Ojciec Nasz - Stone roześmiał się. - A ta sekwencja na łodzi ratunkowej, kiedy próbujesz przekonać cesarzową, żeby darowała winę niewolnikowi... Byłeś znakomity, Val, i nie mów mi, że ci w tym dopomógł stary Tommy.
- Cieszę się, że ci się podobało, Marshall. W twoich ustach jest to prawdziwy komplement.

Joan Forrest występowała w podrzędnych rólkach w filmach telewizyjnych, grała u boku Somerseta, kiedy jeszcze pokazywał się w takich filmach. Była szczupłą nerwową osobką, miała londyński akcent, śmiała się głośno i przenikliwie, często w wywiadach z nią słyhać było ten śmiech, który zresztą równie często rozbrzmiewał w londyńskich restauracjach.

- Zagrałbyś z Valem, Marshall? - spytała.
- To by było wspaniale - powiedział Stone. - Wspaniale.

103

Weinberger ostrzegawczo spojrział na Somerseta, ale obaj wiedzieli, że jest już za późno. Trzeba wziąć byka za rogi. Weinberger powiedział:

- Leo Koolman waha się, czy nie powierzyć Valowi roli amerykańskiego generała w „Konfidencie”.

Stone zdziwił się.

- Przecież już podpisał kontrakt z tym niemieckim aktorem, Maxem Georgem.
- Ale Georgowi zaproponowano główną rolę w niemieckim filmie, w

którym Koolman ma udziały - wyjaśnił Somerset. - Więc zwrócił się do mnie.

Ilekcroć Stone chciał znaleźć czas na zastanowienie, zwykł ukrywać się za maską uśmiechu. Im bardziej się irytował, tym szczerzej się uśmiechał.

- Oczywiście, jeśli ty wyrazisz zgodę - dorzucił Somerset.
- Jeśli ja, kochany, wyrażę zgodę? - spytał Stone. - Ależ to by było fantastyczne! Ty, ja, Suzy! Może udałoby się namówić Lea, żeby znalazł rolę dla Joan? Co o tym sądzisz, Winiaczk, przecież Joan jest także twoją klientką?

Weinberger zrozumiał aluzję i zasępił się.

- Joan postanowiła wycofać się z filmu - oświadczył Somerset.
- Wycofać się z filmu? - powtórzył Stone.
- Val kupił mi butik.
- No, to może dla ciebie, Val, znajdziemy drugą rolę? Na przykład ten japoński sierżant mógłby być bliźniakiem generała? Zagrałbyś obu... - Stone uśmiechnął się i żartobliwie szturchnął Somersetę dając do zrozumienia, że nie mówi poważnie. Młody aktor odpowiedział mu wyrozumiałym uśmiechem.

Joan Forrest nie wytrzymała.

- Jesteś skurwielem, Marshallu Stone!

Nastąpiła cisza. Weinberger nalał sobie wody. Plusnęła kostka lodu.

- Dziękuję i dobranoc, panno Joan Forrest - powiedział Stone, usiłując obrócić to w żart.
- Aha, zgrywasz się na arystokratę, który z godnością traktuje niewdzięcznych wieśniaków! Nie musisz się na nas mścić za tę wczorajszą recenzję. To nie Val ją napisał!

Stone nie odpowiedział. Był przekonany, że Weinberger zareaguje, zrobi coś, by oszczędzić mu upokorzenia. Ostatecznie Weinberger brał dziesięć procent jego gaży - gaży brutto - i to była cholerna forsa. Ale Weinberger złożył tylko w harmonijkę chusteczkę, spłaszczył ją na stole i uważnie jej się przyglądał.

- Musimy iść, Marshall - oświadczył Val Somerset. Spojrzał na zegar na kominku. - Strasznie się zrobiło późno. Obiad był cudowny, Marshall. Proszę cię, nie zwracaj uwagi na wyglupy Joan. Ona inaczej nie potrafi. Nade mną znęca się cały czas.
- Myślałem, że zostanieie na filmie, mamy obejrzeć „Czerwoną pustynię”... Napijemy się jeszcze szampana.
- Bardzo bym chciał... Ale mam dziś w Paryżu premierę „Wyroku cesarza”.
- Święty Boże! Czemu nie powiedziałeś. Mógłbyś polecieć Friendshipem. - Stone był bardzo dumny, że jest w jednej trzeciej właścicielem Fokkera Turbopropa. Cóż stąd, że Lear Jet Sinatry leci z dwukrotnie większą szybkością, skoro może zabrać najwyżej dziewięć osób. Stone na pokładzie samolotu mógł wydać duże przyjęcie - i robił to. Co prawda liczący już piętnaście lat samolot wiele czasu spędzał w hangarze naprawczym, ale Stone wciąż udawał, że interesują go wszystkie problemy techniczne. - Szkoda, że nie powiedziałeś wcześniej. Jest akurat w hangarze, ale można było z tym poczekać.
- Następnym razem, Marshall.
 - Moglibyśmy polecieć wszyscy. Mam miejsce dla czterdziestu pasażerów.
 - To by było wspaniale!

- Kiedy zechcesz, Val, kiedy zechcesz.

Goście wyszli śmiejąc się, pokrzykując i ściskając Stone'a. Odpowiadał im wesoło, pokpiwając z zardzewiałego Mini i usiłując zamknąć wielką białą bramę, by nie mogli wyjechać. Ale gdy znikli - znikła także jego energia. Skinieniem odprawił lokaja, który pytał się, kiedy wyświetlić film, wziął ze stołu serwetkę i wytarł twarz, by pozbyć się zapachu perfum, który pozostawiły pocałunki Joan Forrest. Był wściekły i zawstydzony, że świadkiem tej sceny była Suzy Delft.

105

Weinberger nie ruszył się od stołu, wstał dopiero gdy wrócił Stone. Stone objął go ramieniem i poprowadził do salonu. Był to wielki, ale ciemny pokój, mimo że szerokie okna wychodziły na ogromny trawnik - znów był chłodny sierpniowy dzień, na kominku płonęła kłoda drzewa. Wszystko tu było kosztowne, cisza i półmrok nasuwały myśl o muzeum. Nie znajdował się w tym pokoju żaden przedmiot z czasów ubogiej młodości. Nie było żadnej fotografii, żadnej pamiątki, która by o niej przypominała. Tak jakby nie istniała jego rodzina, dni szkolne, małżeństwo, lata wojny, lata początków aktorskich.

Stone podszedł do stolika i nalał dwa duże koniaki z wodą sodową. Rzadko pił alkohol, ale dziś gwałtownie go potrzebował. Weinberger położył na dywanie stos dokumentów.

- Marshall, muszę pogadać z tobą o twojej karierze.

Stone poczuł mdłości. Jak zwykle, gdy miał rozmawiać o pieniądzach, interesach, ubezpieczeniach, zdrowiu, o tych wszystkich aspektach życia, z których strony mógł mu zagrażać los. Podał Weinbergerowi drinka, mając nadzieję, że w ten sposób oddali przykrą

chwilę, ale Weinberger odstawił szklanę, nawet na nią nie spojrzawszy.

- W ciągu ostatniej dekady dokonałeś cudów - powiedział Weinberger. Stone milczał. - W zeszłym roku żaden aktor nie zarobił więcej. Tak, ciężko pracowałeś, ale przyznaj, że było warto. - Nachylił się nad papierami i niemal dotknął czołem podłogi, zupełnie jakby się modlił. Wziął kartkę pokrytą cyframi.
- Dzięki tobie, Winiaczku - odparł Stone. Wiedział, że słowa Weinbergera mają osłodzić jakąś gorzką pigułkę. Weinberger wzruszył ramionami. Stone przygotował się na najgorsze.
- Ale wiesz przecież, Marshall, że w branży dużo się zmieniło. - Weinberger wciąż nachylał się nad dokumentami.
- Co roku, już od pięćdziesięciu lat, coś się zmienia... Oni zawsze chcieli się pozbyć gwiazd. Wszyscy nas nienawidzą - dystrybutorzy, producenci, reżyserzy i pisarze - wszyscy! Byliby znacznie szczęśliwsi, gdyby mogli się bez nas obejść.
- Niewykluczone - odpowiedział ostrożnie Weinberger. Usiadł i spojrzał na Stone'a. - Ale dotychczas cały przemysł

106

filmowy był przekonany, że to nazwiska gwiazd sprowadzają do kin szeroką publiczność. A teraz widzę, że podaje się to w wątpliwość. Stone wstał.

- Słuchaj, Winiaczku, przemysł filmowy wciąż szuka kamienia filozoficznego. Kiedy „Przeminęło z wiatrem” pobiło wszystkie rekordy kasowe, zaczęto prześcigać się w produkcji filmów kostiumowych. Kiedy „Sound of Music” odniósł sukces, rzucono się na musicale. Po „Love Story” przyszła kolej na melodramaty. Ale wszystkie imitacje

utonęły w morzu niepamięci.

- Imitacje są bardzo niebezpieczne.
- No właśnie. Ile razy słyszeliśmy, że zobaczymy następnego „Easy ridera”, albo „Absolwenta”, a okazywało się, iż był to tylko brak nowego pomysłu.
- Albo następna „Parszywa dwunastka” - zauważył Wein-berger.
- Nie miałem racji biorąc „Konfidenta” i chętnie to przyznaję. Ale chciałem wyświadczyć przysługę naszemu biednemu Edgarowi.
- Nie haftuj! Przecież starałeś się, żeby Leo odkupił „Konfidenta” od Edgara i wyznaczył innego kierownika produkcji.
- Nie pamiętam szczegółów. Ale pamiętam, że żądałem, aby Edgar na tym tak czy owak zarobił.
- No i zarobił. Dostał pieniądze z góry i nie musi się martwić, co będzie z filmem. Jeśli ten smarkacz źle go zmontuje, to nie on będzie tym sobie zaprzętał głowę, tylko Leo.
- Leo ma łeb na karku. Zna się na rzeczy. Słyszałeś, co mi powiedział na tej kolacji. On nie wątpi, że to gwiazdy sprzedają film.

Weinberger wstrzymał się od komentarza.

- Leo ma bardzo rozwinięty instynkt samozachowawczy. Póki w tej branży da się zarobić dolara, to zarobi go na pewno on.
- Jeszcze długo, Winiaczk, będzie się zarabiać kupę forsy. W zeszłym roku sprzedano bilety za trzy miliardy dolarów.
- Musimy zacząć myśleć o telewizji i wideokasetach, Marshall. Kina skazane są na wymarcie.

- Kina na sześćset, siedemset miejsc świetnie prosperują. Zamyka się te na półtora tysiąca.
- Za chwilę; będą już prosperowały tylko te, które mają dwieście miejsc. A potem pięćdziesiąt. I wreszcie ludzie będą tylko parami wysiadywać przed telewizorem. Nie okłamujmy się, Marshall. Nadeszła era telewizji.
- Znów zaczynasz! - Stone uśmiechnął się. - Winiaczk, dlaczego nie próbujesz się ostrzyć u Andre, wiesz, u tego mojego fryzjera. Zaraz byś inaczej wyglądał.

Weinberger spojrzał na Stone'a, uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

- Nie musisz zrywać ze swoim fryzjerem. Wystarczy, żeby cię Andre ostrzygł raz na miesiąc.
 - Nie jestem związany z moim fryzjerem na śmierć i życie, Marshall. Ale nie mam dość pieniędzy ani czasu, ani włosów, żeby chodzić do twojego Andre.
 - To ci się udało, Winiaczk! - Stone roześmiał się. Weinberger roześmiał się także i śmiał się tak długo, aż się upewnił, że Stone zwrócił na to uwagę.
 - Posłuchaj mnie, Marshall. Musisz podjąć poważną decyzję- Stone skinął głową i usiadł.
 - Wideokasety opanowują rynek. Co do tego obaj się zgadzamy.
 - Tak! Tak! Tak!
- Weinberger mówił dalej, nie zwracając uwagi na owe wykrzykniki.
- I rynek ten jest coraz bardziej pod wpływem telewizyjnych programów.
 - Niewykluczone.
 - Nikt, Marshall, nie może być niczego pewien, ale osobiście uważam, że

filmy pokazywane tylko w kinach skazane są na to, że zginą naturalną śmiercią. Koolman sprzedał do telewizji trzy swoje „Kąty”. Teraz chce nakręcić kilka filmów, które pokażą, że można zrobić serial oparty na jednym i tym samym bohaterze. A telewizja zgadza się na specjalne warunki. Będzie pokazywała te filmy raz na miesiąc.

- Ze mną w roli głównej?

108

- Leo wie, że nie może wziąć nikogo innego, jeśli chce być pewien sukcesu.
- Nie zalewaj.
- Powtarzam, co powiedział.
- Ile chce takich filmów?
- Dziesięć.
- Nie dwadzieścia?
 - Owszem, chce dwudziestu, ale potrafię go przekonać, że korzystniej będzie dla obu stron, jeśli każda z nich uzyska możliwość wycofania się po dziesięciu. Wie przecież, że zawsze mógłbyś zachorować.
- Zupełnie mi się to nie uśmiecha, Winiaczku.
 - Marshall, obawiam się, że nie mamy wyjścia. „Ludowy pieśniarz” i „Mierz i pal” przyniosły straty. „Pułapka na tygrysy” marnie idzie. Przy następnym filmie możemy mieć kłopoty z twoją gażą.

Stone dostał dreszczy. Weinberger nie mówiłby takich rzeczy, gdyby wiedział, jak to działa na jego metabolizm. Poczł nudności. Przez co najmniej dwadzieścia cztery godziny będzie miał kłopoty z przełykaniem.

- „Pułapka na tygrysy” zaczyna iść. Czy widziałeś ostatnie „Variety”? Nad

liczbami z Filadelfii jest tytuł „Pułapka zaskoczyła”, a nad liczbami z Seattle „Brawo, Pułapka!”.

- Czy obejrzałeś dane z komputera? Film idzie dobrze tylko w normalnych kinach. W kinach na otwartym powietrzu i kinach uniwersyteckich upadł.
- W kinach na otwartym powietrzu... - obruszył się Stone. - Oni równocześnie wyświetlali dwa inne filmy. „Czas na dziewczyny” i stary film z Doris Day. Nikt nie wytrzymałby takiej konkurencji. A kogo obchodzą kina uniwersyteckie?
- Do nich chodzi młodzież! A ty teraz masz głównie fanów po czterdziestce. Ci zaś wolą zostać w domu i gapić się w telewizor. I to dlatego właśnie jesteśmy skazani na ofertę Lea.
- Co ty wygadujesz, Winiaczku! Przecież młodzież stanie za mną jak mur. W „Pułapce na tygrysy” gram człowieka zbuntowanego i musimy tylko poczekać, aż smarkacze się o tym dowiedzą. I chyba nie słyszałeś, jaki tłum młodzieży oblegał mnie, gdy wychodziłem z „Tiktoka”.

109

- Przecież tam byłem, Marshall; nie pamiętasz, że po ciebie przyjechałem? Ale ci smarkacze przyszli pod Tiktoka zobaczyć The Counting House Sih/er.
- Co?
 - Zespół pop, który nagrywał płytę w tym dużym studiu piętro wyżej. To na niego czekali. Ty im dodatkowo spadłeś z nieba.
- To cios poniżej pasa, Winiaczku.

- Czytałeś dzisiejsze recenzje?

Stone potrząsnął głową.

- Przestań, Weinberger, proszę cię, przestań. Miałem męczący dzień. Jeździłem konno... ta kobyła jest chyba żrebna... próbowałem sprowadzić weterynarza... A potem rozmowy z Prestonem...
- Marshall!
- Są takie złe?
 - W każdym razie uniemożliwiają nam zatarg z Koolma-nem.
- Boże!
- Nie chcę ci robić przykrości, Marshall. - Weinberger szczerze pożałował, że nie potrafi się zgrywać, tak jak to w tym światku było przyjęte. Miał ochotę objąć Stone'a, pocieszyć go. Każdemu z aktorów, których reprezentował, przysłoby to z najwyższą łatwością. Dużo by dał, aby umieć powiedzieć Stone'owi, jakim jest on świetnym aktorem i jak zachwyca miliony widzów. Chciałby mu wyznać, że jego Hamlet pozwolił mu nowymi oczyma spojrzeć na sztukę, którą znał niemal na pamięć. Chciałby mu powiedzieć, że jego dynamizm był jedyną mocną stroną „Pułapki na tygrysy”. I zapewnić, że mimo jego kłamstw, egomanii, chamstwa, woli go od swych innych klientów, bo nie tylko docenia jego talent, ale kocha jak brata. Jednakże Weinberger umarłby raczej, niż zdradził się ze swoimi uczuciami.

Przesunął ręką po twarzy, jakby za karę chciał ją splaszczyc. Zamrugał oczyma i oświadczył:

- Leo liczy się z tym, że przy każdym kontrakcie będziemy się drożyć. Pewnie by się zaniepokoił, gdybyśmy się nie zachowali jak przerażone dziewice. Ale zna nas dostatecznie dobrze,

żeby wiedzieć, kiedy „nie” ma oznaczać definitywne „nie”. Chcę, żebyś zrozumiał - jeżeli mu odmówimy, to nie widzę tej kolejki, która się do ciebie ustawi, by ci coś zaproponować, gdy skończysz „Konfidenta”.

- Kiedy zacznie się montaż „Konfidenta”, będę już miał pewnie nominację za „Cichy raj”.
 - Jeśli nie podpiszesz tego kontraktu, to nie. Leo da „Cichemu rajowi” utonąć i nawet mu nie przyjdzie do głowy, żeby ci rzucić ratunkowe koło, jeśli nie będzie w tym miał interesu na przyszłość.
 - Nie, Winiaczk, nie rozumiesz duszy producenta. Im zależy na nominacji, mówili, że chcą zmienić tytuł...
 - Na „Polistyrenowy raj”, tak?
 - Okay, Winiaczk. Wiem, że nie cierpisz tego filmu.
 - Twoja rola znikła tam w tych przeróżnych efektach specjalnych. To specjalista od nich powinien zobaczyć swe nazwisko nad tytułem filmu. - Weinberger roześmiał się z własnego żartu, a Stone pokiwał tylko żałośnie głową.
 - Ale jest to film naprawdę męski.
 - Raczej dla dzieci. Widzowie mogą chodzić całą rodziną. Koolman powinien wypuścić film podczas wakacji szkolnych. I to w sześćdziesięciu kinach na raz.
- Stone gwizdnął.
- Jeśli się go tak zareklamuje, to mogę pożegnać się z nominacją.
 - No właśnie. Więc sam widzisz, że Koolmana będzie interesować twoja nominacja tylko wtedy, kiedy będzie mógł cię sprzedać do telewizji.
 - Zobaczymy najpierw, jaką oglądalność będą miały te trzy filmy.

- Marshall, musimy zrobić wszystko, by Leo zapewnił tym filmom godziny największej oglądalności. O ósmej wieczór będą miały trzy razy tyle widzów co o dziesiątej. Jeśli puści się je po jakiejś popularnej audycji, to odziedziczą dużą część widzów. I należy się upewnić, że na innych kanałach nie będzie szło nic pasjonującego. Ale to wszystko nie obejdzie się bez kosztów.
- Telewizją rządzi mafia.
- Nie tylko telewizją. Mafia rządzi także radiem, przemy-

111

słem płytowym, nutami i dużą częścią prasy. Znajdziesz się we wszystkich filmowych czasopismach, w czasopismach telewizyjnych, twoje filmy kupią wszystkie stacje. Przecież widzisz, ile to dało Valowi. Rok temu zapraszałem na obiad facetów, żeby mu dali jakąś rolę w „Coronation Street”. Wierz mi, Marshall, zważywszy, że ta, jak to nazywasz, mafia może łatwo wykreować nową gwiazdę, ofertę Lea należy uznać za bardzo wspaniałomyślną. - Weinberger uważnie obserwował reakcję swego klienta. - Powtarzam - wspaniałomyślną.

Stone skinął głową. Bardzo chciał wierzyć, że z takiego telewizyjnego serialu wyjdzie bez uszczerbku na opinii, ale wystarczyło przekręcić gałkę, by przekonać się, jak wygląda taki serial. Byle jaki scenariusz, wyprodukowany na kolanie przez stada pismaków. Tandetne dekoracje, złe oświetlenie, nakręcane pospiesznie sekwencje. A cały ten ciężar będzie musiał udźwignąć on, Marshall Stone. Będą go oglądały miliony i co tydzień będzie to taka sama klapa. Przyjaciele będą wzruszać ramionami, wrogowie otwarcie kpić, wszyscy zgodzą się, że Marshall Stone znalazł się wreszcie na właściwym miejscu. I co gorsze ma podpisać długotrwałą opcję. Jeśli

serial odniesie sukces, będzie trwał parę lat. I kto wtedy kupi bilet do kina, żeby go móc zobaczyć, skoro będzie go mógł oglądać we własnym domu?

- Nie chodzi mi o pieniądze.
 - Mnie też nie, Marshall. Ale nie możemy dopuścić, żeby te twoje trzy filmy w telewizji zrobiły klapę. Jeśli Leo się o nie nie zatroszczy - bo będzie wściekły albo zwyczajnie przestanie mu na tobie zależeć - wtedy przy następnej okazji nie uda mi się uzyskać dla ciebie tak dobrych warunków jak obecnie.
 - Leo taki nie jest!
 - Owszem, jest, Marshall, i im prędzej to sobie uświadomisz, tym lepiej. - Przez chwilę patrzyli na siebie.
- Stone otrząsnął się.
- Ja jestem tylko aktorem, Winiaczk. Nie jestem człowiekiem interesów.
 - Więc pozwól mi zająć się twoimi interesami. Zgódź się na ten kontrakt. Wytarguję dla ciebie większą zaliczkę i dam opcję tylko na dziesięć filmów. Ale musisz dziś podpisać.

112

Stone bardzo chciałby oddać całą tę sprawę w ręce Weinbergera, ale nie mógł zapomnieć jego zarejestrowanego przez Jaspera telefonu do Koolmana. Przestał mu już tak całkowicie ufać. Kto wie, co on knuje. To, że ostrzega go przed Koolmanem, może być tylko częścią ich diabelskiego spisku. Widział kiedyś film na podobny temat.

Val Somerset jest klientem Weinbergera. I jest młody. Przed nim długie lata ewentualnych wielkich zarobków, od których Weinberger będzie brał dziesięć procent, (eśli będzie miał między nimi wybierać, kogo poświęci? I dlaczego nie zareagował podczas tej sceny przy obiedzie? Weinberger

nienawidził wszelkich scen, Stone nieraz to widział, gdy uskarżał się na obsługę w restauracji - a zatem owo milczenie było chyba oznaką winy.

- Nie - powiedział Stone. - Nie ma mowy o telewizji. Po wiedz to Koolmanowi. Jestem człowiekiem filmu. I mam za miar nim pozostać. - Wpatrywał się bacznie w twarz Weinbergera oczekując reakcji.

Weinberger nie podniósł oczu. Nachylił się jeszcze niżej nad stosem dokumentów i zaczął je porządkować, ruchem gracza, który układa karty.

- Marshall, jedno nie wyklucza drugiego.
 - Mam ochotę na „Człowieka z pałacu”, Winiaczku. Załatw mi to, zagram za trzysta tysięcy.
 - Oni proponują sto pięćdziesiąt po zakończeniu filmu plus pięć procent zysków.
 - Chryste Panie! Pięć procent od zera to zero. Mogą się odpieprzyć. Znajdź mi inny fajny film.
 - Spróbuję, Marshall, ale chciałbym, żebyś się jeszcze dobrze zastanowił. Może pogadamy o tym serialu jutro?
 - Ani jutro, ani nigdy! Rozejrzyj się za filmem. Jeśli jeszcze raz wspomnisz o telewizji, będę się musiał z tobą rozstać.
- Zrobię, jak zechcesz. Klient ma zawsze rację.
 - W życiu człowieka nadchodzi moment, kiedy musi on zająć zdecydowane stanowisko. Zgodne z wewnętrznym przekonaniem. Obserwował swego agenta, gotów wpaść w złość, jeśli ten uśmiechnie się albo westchnie.

Weinberger schował dokumenty do czarnej teczki. Przyjrzał się jeszcze kontraktowi z TV, jakby chciał wyobrazić go sobie z podpisem Stone'a. Potem schował go do osobnej przegródki. I zatrzasnął zamek.

Zostawszy sam Marshall Stone zaczął krążyć po pokoju dotykając mebli, przyglądając się cennym obrazom i ozdobnym drobiazgom. Kolekcja wycinków prasowych pozwalała mu zapomnieć o tym, gdzie się urodził i chodził do szkoły, a ten dom był próbą stworzenia sobie innej przeszłości. Zawsze marzył o takim domu. Niemniej czuł się tu jak w obcym choć przyjaznym kraju, czuł się na wygnaniu. Na boazerii w bibliotece widniały ślady po cięciach mieczy - które nie były mieczami jego przodków. I to nie jego przodkowie podejmowali królów, którzy sypiali w wielkim łóżu z baldachimem, w którym obecnie spał on.

Najbardziej lubił salon, który chętnie nazywał swoją pustelnią. Było tu sześć lusterek i ani jednego zegara. To dziwne, nigdy dotąd tego nie zauważył. Na wielu cackach widniał jego monogram. (Oczywiście nie E.B., to by mogło zdziwić tych wszystkich, którzy znali go jako Marshalla Stone'a.) Oglądanie i dotykanie namacalnych dowodów sukcesu dodawało mu odwagi i pewności siebie.

Na końcu salonu stał bar, z pełnym wyposażeniem. Za nim wisiał na ścianie ozdobny sztylet z „Hamleta”. Wokół fotosy i lśniący od złota dyplom najlepiej ubranego mężczyzny 1965 roku, przyznany mu przez zrzeszenie firm odzieżowych. Wisiał plakat „Pomóż Kalekom” ze zdjęciem Stone'a i menu od Lasserre'a podpisane przez Bette Davis kredką do ust. Zostały oprawione najlepsze recenzje i rysunek Jaka z „Evening Standard”, na którym Stone przewodzi manifestacji aktorów przeciwko wojnie w Wietnamie. Wisiała plakietka amatorskiego zespołu teatralnego z New

Jersey, który wziął go za swego patrona. Brudna chusteczka do nosa, którą Stone pożyczył od Bogarta i nigdy mu jej nie oddał ani jej nie uprał. Wiele fotografii najsłynniejszych osobistości branży filmowej. Na wszystkich widać było także Stone'a. Podczas jednego z festiwali stoi pod rękę z OHvierem i Richardsonem, całuje gwiaz-

114

deczkę w Wenecji, obejmuje ramieniem 150 pudową Catalinę Island, uśmiecha się do księcia Edynburgu, gimnastykuje się z Burtonem na zalanej słońcem karaibskiej plaży. Często o swoich kolegach aktorach myślał bez sympatii, ale nie dzisiaj. Czuł przynależność do „branży”, do tej kochającej rozrywki koterii, która stworzyła sobie własny świat, bogaty, wygodny i przyjazny. Może i pełen fałszu, ale o ileż przyjemniejszy niż tamten okrutny i szary, o którym mówił Weinberger. Miłszy od świata, który oglądał przez niebieskie szyby swego Rollsa, od agresywnego świata, o którym donosiły gazety.

I tym razem jak zwykle Stone znalazł pociechę w swej kolekcji pamiątek. To był jego paszport do świata, który tak uwielbiał. Uspokojony chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Paryża. Spojrzał na zegarek i przeraził się, że już nie zastanie Suzy. Westchnął z ulgą słysząc jej głos.

- Mówi Suzy Delft.
 - Suzy? Mam pyszny pomysł. Polecę zaraz do Paryża i spędzę z tobą jutrzejszy dzień.
- Kochanie, przecież ty masz jutro zdjęcia...
 - Nie, kochanie, znowu zaszła zmiana. Co dzień coś zmieniają.
- Ach, biedaku, to ci strasznie utrudnia życie.
 - Tak, mam już tego zupełnie dość. Gdybym wiedział, umówiłbym się na

postsynchrony albo na przymiarkę kostiumów. I mam stos scenariuszy do przeczytania. Ale mogę wziąć parę ze sobą i przeczytać w Paryżu. Nie chcę ich odsyłać bez przeczytania, bo nigdy nie wiadomo... któryś może być świetny...

- Tak jak „Człowiek z pałacu”?
- Po zastanowieniu się obaj z Weinbergerem doszliśmy do wniosku, że to nie dla mnie.
- Przecież byłeś taki zachwycony!
- Mam ochotę na coś trudniejszego, Suzy. „Człowieka z pałacu” mógłbym zagrać z zamkniętymi oczyma.
- Aktorowi potrzebne jest wyzwanie. Powiedziałam Leowi, że chętnie bym zagrała w kostiumowym melodramacie.
- A co on na to?
- Zamówił dla mnie scenariusz.

115

- Wspaniały facet! - powiedział Stone. Nastąpiło dłuższe milczenie.
- Muszę lecieć, kochanie. Na Champs-Elisees jest dziś potworny korek. Będziemy jechać i jechać. Val zamówił auto na godzinę wcześniej. Dziesięcioosobowego Mercedesa, żebyśmy się wszyscy zmieścili. Będzie wesoło. Val mówi, że na premierę przyjdzie cały Paryż.
- Ale co ty na to, żebym się pojawił? Mógłbym spotkać się z wami na kolacji, film już i tak widziałem...
- Przecież twój samolot jest w naprawie.
- Przylecę samolotem rejsowym.
- Zdążysz? No i londyńskie lotnisko o tej porze **roku wygląda** jak slumsy.

- Tylko nie chciałbym ci w niczym przeszkodzić...
 - Najwyżej się wynudzisz, bo ja muszę być jutro u fryzjera no i pochodzić po sklepach.
- W to mi graj! Gdzie dziś jecie kolację?
 - U Fouqueta. Tak będzie najwygodniej, jest o parę kroków od kina. Kochanie, muszę lecieć, wszyscy już na mnie czekają.
 - Z szybkością strzały przeleczę nad wzburzonymi wodami na grzbiecie potężnego ptaka.

Roześmiała się.

- Marshall, kochanie, jak wspaniale, że do mnie zadzwoniłeś. Będę o tobie myślała w ciągu tego nudnego filmu. Śpiesz się, skarbie!
 - *Au revoir* - powiedział Marshall Stone i odwiesił słuchawkę.
- Cóż, rzeczywiście pewnie się wynudzi chodząc z nią jutro po sklepach. Zastanawiał się, czy Suzy nie ma w Paryżu jakiegoś romansiku. Somerset zabrał z sobą swą dziewczynę, więc to na pewno nie on. Ale co z tym francuskim reżyserem, który zaszłego roku w Cannes wciąż biegał za Suzy? Ciekawe, czy dziś się pojawi. Niewiele by go to zresztą obeszło. Umiał sobie radzić z młodymi reżyserami.

Znów wykręcił numer. Richard Preston był w domu.

- Rich?
 - Halo, Marshall. Właśnie wróciłem. No co, ciągle się boisz tej jutrzejszej sceny?

116

- Właśnie chciałem o tym z tobą pomówić, Rich. Po naszej dzisiejszej rozmowie byłem, jakby to powiedzieć, cały obolały.

- Tak mi przykro.
- Daj sobie spokój, kochany. Jestem ci bardzo wdzięczny. Pomogłeś mi, kiedy czułem się zablokowany. Pomogłeś mi się otworzyć. Aktorowi jest to cholernie potrzebne. Skoro umiałeś poradzić sobie ze mną, potrafisz także pomóc innym. Tylko najwięksi reżyserzy to potrafią: Huston, Ford, Fellini, Hitchcock. Mówię ci teraz otwarcie to, co całe popołudnie powtarzałem Weinbergerowi. Zdobędziesz międzynarodową sławę, Richard. I to już wkrótce.
- Cieszę się, że ci pomogłem, Marshall. Z początku bałem się, że tylko pogorszyłem sprawę.
- Właśnie dlatego dzwonię, Rich. Potrzeba mi paru dni, żeby wszystko przetrwać. Żeby zagrać tę rolę tak, jak to sobie dzięki tobie uświadomiłem.
- Ależ ja niczego nie sugerowałem.
- Owszem. Zerwałeś zasłonę. - Stone zaśmiał się. - Sam nie wiesz, ile dla mnie zrobiłeś. Ale byłbym ci nieskończenie wdzięczny, gdybyś mógł zmienić na jutro plan zdjęć. Żebym nie musiał być na planie.
- Zadzwoń do Edgara. Niech pogada z pomocnikami. Zobaczymy, co się da zrobić.
- Nie daj się tym ludziom wodzić za nos. Z przykrością patrzę, jak te stare wygi usiłują stłamsić młodzików, pod pretekstem, że są nowi. Zawsze się nawzajem wspierają, nie zauważyłeś? Sam powinieneś podjąć decyzję co do jutrzejszego dnia, Rich.
- Zaczekaj chwilę, Marshall. Zajrzę do planu zdjęciowego i zobaczę, co dałoby się przesunąć. Zadzwoń za pięć minut.
- Nie śpiesz się. Czekam przy telefonie.

Preston zaczął grzebać wśród papierów na biurku. Znalazł budżet, listę pracowników, plan postsynchronów. Plan zdjęciowy był złożony we czworo, potrzebował obu rąk, aby rozłożyć go na stole. Była to fotokopia i miał kłopoty z odszyfrowaniem jej. Niemal już zrezygnował, kiedy usłyszał w leżącej słuchawce głos Marshalla Stone'a. Chwycił ją i chciał wyznać, że zmiana grafiku ujęć przekracza jego siły. Ale Stone mówił właśnie:

117

- Zawsze mnie zadziwia, że wy wszyscy tak świetnie radzicie sobie z tą łamigłówką. Godard, Kubrick, Antonioni. Jak wy się potraficie w tym połapać?
- Próbuję coś wymyślić - powiedział chłopiec. Z lewej strony była lista aktorów, szukał, którego dnia każdy z nich ma pojawić się na planie. Zawsze można było robić przebitki, ale nie wychodziło to filmowi na dobre. Jutro miała być nakręcana scena, kiedy Stone z dwoma sierzantami ukrywają się pod ładunkiem w porcie. Tak, mógł nakręcić ujęcie 143, plan ogólny ciężarówki wjeżdżającej do portu. I ujęcia 148-153: Japończycy szukają Stone'a. A w środę nakręci tę sekwencję ze Stone'em, ujęcia 144-147.
- Okay, Marshall. Jutro i we wtorek zrobię bez ciebie przebitki, ale w środę musisz już być, bo inaczej w piątek nie skończymy zdjęć w dokach. A jeden pan Bóg wie, kiedy władze portu pozwolą tam nam znowu kręcić.

Stone chciał mu gorąco podziękować, ale instynkt podpowiedział mu, że stosowniej będzie przybrać ton profesjonalny.

- No to do środy, cześć.

Na dźwięk nazwiska Marshalla Stone'a trzepoczą wszystkie niewieście serca. Ale mogę wam w zaufaniu wyznać, że dzień spędzony na jego kolanach może być bardzo męczący. Tak przynajmniej utrzymuje pieśniarka Marcia Morgan. W ostatnio nakręconym filmie „Ulica sławy” musiała spędzić osiem godzin na kolanach Marshalla. I podczas przerwy na obiad zażądała miękkiej poduszki.

6

Telewizyjny Serwis Prasowy

Najlepszym ze scenarzystów był William Szekspir. Historia „Króla Lira” zawiera w sobie wszystkie elementy sensacyjnego dreszczowca - napięcie, seks, bohaterstwo i humor.

Reklama filmowa („Król Lir”)

Ach! Nie wiedziałam, że Komanczowie potrafią tak całować.

Scenariusz filmowy („Ostatni wagon”)

Marshall Stone już dawno zapomniał, jak towarzystwa lotnicze maltretują swych klientów. Zwykle machał tylko ręką w kierunku straży granicznej, nim Rolls podwiózł go do jego prywatnego samolotu. A kiedy leciał samolotem rejsowym, pracownik biura podróży czekał na niego wraz z policjantem na tym skrawku chodnika, gdzie widnieje napis „Parkowanie surowo wzbronione”, tuż obok poczekalni dla VIP-ów. Stone'owi proponowano drinka, odprawiano jego bagaż, wreszcie prowadzono do samolotu na wybrane przez niego miejsce. U stóp drabinki czekał zatrudniony przez tę linię fotograf, na górze steward mroził szampana.

Tym razem też by się tak stało, gdyby nie to, że z powodu niedzieli biura

podróży były zamknięte. Na lotnisko nie można się było dodzwonić, Stone uznał, że najlepiej będzie pojechać tam autem via Londyn. Ale kiedy zbliżali się do Londynu, wpadli w korek i Jasper orzekł, że szybciej będzie wsiąść w podziemną kolejkę. Po raz pierwszy od wielu lat Stone miał okazję przekonać się, jak wygląda los przeciętnego obywatela.

Jazda kolejką była jednym wielkim koszmarem. Windy, poobdzierane plakaty, buczenie generatorów, słodkawy smród. Zapomniał już, jak ciemno jest w metrze. Stone zmienił się, a tu od ćwierćwiecza nie zmieniło się nic. Z przerażeniem przyglądał się scenerii swej młodości.

119

Kasjer podał mu bilet i powiedział:

- Ja chyba pana znam?... Pan Marshall Stone?
 - Nie - odpowiedział Stone. Wąsy pomogły mu przekonać kasjera, że się omylił, i szybko uciekł, aby go nikt więcej nie zaczepił.

Przy kasie na lotnisku zaczął wołać: - Proszę bilet pierwszej klasy do Paryża! - Ale stojące przed nim trzy osoby nie chciały go przepuścić.

Tu miał ochotę oświadczyć: „Jestem Marshall'em Stone'em", ale na jego paszporcie widniało nie znane nikomu nazwisko Edwarda Brummage. Chciał prosić o sprowadzenie znanego sobie kierownika lotniska, nie było jednak na to czasu. Ktoś potknął się o jego walizki od Hermesa i zaczął mu wymyślać.

- Jak pan śmie! - zawołał Stone. Rozejrzał się dokoła i oświadczył światu, że nie dopuści, by ktoś go znieważał, świat wszakże bardzo się spieszył, a rozgniewany gość kopnął walizkę i oddalił się bez zbytniego pośpiechu. Teraz Stone był rad, że nie został rozpoznany. Uśmiechnął się sam do siebie wyobrażając sobie tytuły gazet. Na przykład: „Marshall

Stone wywołuje awanturę na lotnisku".

- Nie może pan wziąć z sobą tego bagażu - powiedziała panienska odbierająca bilety.
- Zapłacę - oświadczył Stone.
- Niestety, za późno. Walizki załadowano już na samolot. Może pan wziąć z sobą tylko bagaż podręczny. Albo poczekać na samolot Air France.
- Te rzeczy są mi niezbędnie potrzebne - tłumaczył Stone.

Panienska wzruszyła ramionami. Zwróciła się do koleżanki przy sąsiednim kontuarze:

- ...I wyobraź sobie, że wszystkie włosy szesnęła na bok.

Wyglądała jak straszidło.

Stone nalegał.

- Ten bagaż jest mi niezbędny w związku z moją pracą...
- zaczął.

Panienska wciągnęła dolną wargę, pozbawiając ją ostatniego śladu szminki, i spojrzała na niego spod powiek dając do zrozumienia, że wszystko jest w jej mocy. Z miną królowej oczekiwała błagań.

120

- To specjalna odzież - nalegał Stone. - Dla uciekinierów.

Dziś wieczorem ma odjechać do Afryki.

Panienska nie uwierzyła mu i wcale tego nie ukrywała, ale najbardziej nieprawdopodobne kłamstwo było jakąś rozrywką. Więc chętnie je zaakceptowała. Wzięła słuchawkę i przygotowała się do nowej roli. Teraz mówiła skupionym, natarczywym tonem.

- Halo, Jimmy. Tu odprawa biletowa. Mam ładunek odzieży dla afrykańskich uchodźców. Muszę go zaraz odprawić do

Paryża, żeby zdążył na lot do Afryki.

Spojrzała na Stone'a i skinęła głową.

- Dziękuję pani.
 - W takich wypadkach okazujemy wszelką pomoc - powiedziała panienka.
 - Doceniam to - odparł Stone. Zastanawiał się, czy powinien jej wręczyć napiwek, Jasper wiedziałby... Stone często zazdrościł Jasperowi umiejętności trafnej oceny sytuacji.
- Ja pana skądś znam - zauważyła panienka.
- To możliwe... - zgodził się Stone.
 - Czytał pan w telewizji dziennik, prawda? Jakies parę lat temu?
 - Tak - odpowiedział Stone. To było najprostsze.

Panienka skinęła głową. Już obmyślała opowieść, którą uraczy rodzinę. Zawsze wypytywali ją, co działo się na lotnisku. Stone uśmiechnął się. Oto zwycięstwo show-biznesu nad biznesem. Każdy, kiedy tylko ma szansę, lubi zagrać jakąś rolę.

Samolot wzbijał się do góry, prosto ku zachodzącemu słońcu. Stone zaciągnął zasłonkę i otworzył pismo na stronie poświęconej spektaklom. Parę tygodni temu zjechało tu „Pułapkę na tygrysy”. Dziś Stone z przewrotną satysfakcją przeczytał mało entuzjastyczną recenzję o roli Vala Somerseta w „Wyroku cesarza”. Krytyk nazwał go „szykownym centurionem” i dalej pisał: „rzymski elegancik żywcem przeniesiony do starożytnego Rzymu”. Stone przeczytał to aż trzy razy. Nie mógł przed sobą ukryć, że sprawia mu to cholerną satysfakcję. I na pewno rozbawiło wszystkich czytelników.

„Fouquet” był jeszcze otwarty, ale uczestnicy premierowego bankietu - osiemdziesiąt pięć osób, które spożyły kolację skła-

dającą się z pięciu dań - już wyszli. Na tarasie siedziało jeszcze sporo gości, w środku natomiast było prawie pusto. Dwóch angielskich pilotów linii lotniczej popijało Carlsberga i porównywało listę pasażerów z odebranymi biletami. Spojrzeli na Stone'a i coś do siebie szepnęli. Poznali go, ale Stone nie usłyszał, co powiedzieli. Miał ochotę odezwać się do nich, tylko po to, by znów usłyszeć, że ktoś mówi: „O, Marshall Stone”. Ale nie zrobił tego.

„George Cinq” znajdował się w pobliżu. Kiedy Stone był młodym aktorem, patrzył na ten hotel jak na świątynię show--biznesu. Byłoby mu tam wygodniej niż w ciasnym mieszkanku Suzy - w dodatku czekała go długa jazda taksówką do Saint-Cloud - ale przecież przyjechał tu dla Suzy.

Kiedy znalazł się już u niej, poczuł, że było to prawie warte tej okropnej podróży. Nastawił starą płytę Hardy'ego i przyciszył głos. Wziął chłodny prysznic, przebrał się w lniane spodnie i kaszmirowy pulower. Suzy powinna wkrótce wrócić.

Mieszkanko było na jednym z najwyższych pięter, widział Paryż. Łuna kolorowych świateł, w dali błyszczała Sekwana. Podróż była koszmarem. Okazją do przekonania się, jak świat traktowałby Edwarda Brummage. Nie, nie wolno mu za żadną cenę stać się z powrotem Edwardem Brummage. Poszedł do kuchni i nalał sobie szklanek wody Perrier. Przed rokiem świetnie się bawili z Suzy urządzając w skromnym wnętrzu coś na kształt chaty. Ale teraz wyglądało tu jak w sklepie - antyki z St. Honore, stare grawiury z Twin Beeches i emaliowane wywieszki z Pchlego Targu. W łazience Suzy zostawiła jak zwykle straszny bałagan. Umywalka wyglądała jak zebra -przecinały ją szare smugi zmywanego tuszu do rzęs. Na posadzce leżały cztery kolorowe ręczniki, telefon stał w kałuży wody.

Usiadł przy białym mini-fortepianie i zagrał początek intermezza Brahmsa, wyuczył się go do roli w „Sobolach dla ciebie”. Kamera pokazała jego ręce i cofnęła się, nastąpił plan amerykański. Znał tylko pierwsze trzydzieści dwa takty - potem kamera pokazała jego twarz. Ale te pierwsze takty grał jak zawodowy pianista.

Jednocześnie przyglądał się stojącej na fortepianie fotografii

122

Suzy. Suzy była piękna. Wszędzie stały jej fotografie. Wszyscy lubili, by robiono im zdjęcia w towarzystwie słynnej Suzy Delft, nawet Leo Koolman. Suzy potrafiła owinać sobie Lea Koolmana naokoło małego palca. Stone zastanawiał się, jak do tego doszło. I uznał w końcu, że lepiej o tym nie myśleć.

Skończył grać Brahmsa, wziął parę akordów, wstał i zaczął krążyć po pokoju. Brzęknął w struny starej gitary, którą ofiarował Suzy na urodziny, i przyjrzał się obrazom, które namalowała wówczas, gdy miała zamiar zostać wielką malarką. Łatwo było się zorientować, czym ulegała wpływom - Soutine, Seu-rat, o, tu coś z Modiglianiego, no i oczywiście Van Gogh. Rodzinna słabość - on też wiele zapożyczył od Marlona Brando, OHviera, Paula Muni, sposób chodzenia ukradł Cooperowi. Ilekroć się kimś zachwyił, oddawał się temu entuzjazmowi bez reszty ku rozpacz i wściekłości reżyserów. Gdyby częściej słuchał ich argumentów, wyszłoby to na korzyść filmom.

Kiedy młodociani przyjaciele Suzy zaglądali do Paryża, pozwalała im korzystać ze swego mieszkanka. Nie pochwalał tego, choć lubił tych młodzików, ich obłąkane teorie polityczne, entuzjazm, z jakim przyjmowali każdą nową modę. Było to ważnym elementem jego stosunków z Suzy.

Razem potępiali reakcyjność starszego pokolenia, mimo że Stone w głębi duszy wiedział, że do niego przynależy.

O pół do trzeciej nad ranem przestał układać przemówienie, którym miał nakłonić Suzy, by wybrali się do „New Jimmy's” lub „Castela” i spojrzął na nie posłane łóżko. Na pewno spał w nim niedawno jakiś pryszczaty hipis - pomyślał, miał jednak za sobą długi męczący dzień i wsunął stopę między prześcieradła. Pod kołdrą natknął się na zdechłą żabę, która okazała się mokrym zielonym ręcznikiem. Cisnął go na środek pokoju, wściekły, że się przestraszył. Po chwili rozśmieszyło go to i dłuższą chwilę nie przestawał się śmiać na myśl o tym, jak bardzo zmieniło się życie od czasu, kiedy nawet nie marzył choćby o brudnych, ale prześcieradłach. U wezgowia łóżka siedział miś, którego Suzy wszędzie z sobą wozila. Patrzył na Stone'a niewidzącymi oczyma, zupełnie jak Val Somerset podczas obiadu.

- Ach, ty skurwielu - szepnął Stone, chwycił go za łapę

123

i cisnął w kąt. Potem zawołał: - Prawdziwie niedźwiedzia bezczelność! - I znów się roześmiał.

Co za dzień. Preston, ten obiad, Weinberger, tłok na lotnisku. Wszystko jakby żywcem z francuskiej farsy. Kiedyś grał w farsie Feydeau.

Przypomniawszy sobie, w jakim brawurowym tempie wtedy zagrał - na granicy hysterii. Jakby przez dwie godziny odbijał raketką piłkę od ściany. Wieczór w wieczór. I tak jak w grze w piłkę wszystko polegało na pracy nóg. To były czasy. Dziś nie zagrałby już Feydeau. Przerastałoby to jego siły. W filmie zatracą się umiejętności gry jednym tchem przez parę godzin z rzędu, podczas których trzeba podbić publiczność, rozgrzać ją, doprowadzić rolę do punktu kulminacyjnego - i następnego dnia zacząć da capo.

Jeszcze dziś pamiętał parę kwestii z tej farsy. Przypomnił sobie najzabawniejsze i roześmiał się. Zасыpiając powtarzał szeptem to, co mówił, gdy znaleziono go w szafie bez spodni. Bardzo pasowało do tego dnia.

Moja najtrudniejsza rola? Dorosnąć.

Elisabeth Taylor

Pewnie muszą istnieć szkoły z internatem koło St. Tropez, ale wszystkie znane Suzy dziewczęta były albo w szkole pod Genewą, albo nad Marną, gdzie spędziła pięć nudnych lat ucząc się malować złe obrazy, mówić po francusku jak Francuzka i przełazić przez mur nie budząc nocnego stróża.

W porównaniu do innych dziewcząt nie mogła się skarżyć na swój los. Jej kieszonkowe nadchodziło punktualnie, a w ciągu ostatniego miesiąca każdego semestru mogła zawsze pożyczyć trochę forsy na kiecki. Jej prawnymi opiekunami było dwóch ponurych urzędników bankowych, ale dość łatwo było ich skłonić, by pokrywali koszty podróży wakacyjnych i godzili się na to, by jeździła do koleżanek, od których rodziców udało się zdobyć zaproszenia. Jeszcze lepiej - jeśli takie zaproszenie udało się sfalszować, wówczas bowiem cieszyła się swobodą w ciągu całych wakacji.

Miała już dziewiętnaście lat, gdy sekretarka szkoły wywołała ją z wykładu o sztuce chińskiej. Czekali na nią opiekunowie

124

i Marshall Stone. Wlepiła wzrok w słynnego aktora i nie mogła wykrztusić słowa, gdy stary bankowiec oświadczył jej, że jest już na tyle dorosła, by dowiedzieć się prawdy - jest nieślubną córką Marshalla.

Marshall wyściskał ją, zrozumiała, że jest mu potrzebna, a on jej. Odtąd

odwiedzał ją co niedziela. Siadała przy oknie u szczytu schodów, czekając, aż Rolls minie bramę. Zdawało się, że upłynęły całe lata, nim zdała egzaminy, a Stone ukończył zdjęcia w Normandii.

Tak jak większość jej koleżanek, marzyła o zamieszkaniu w Paryżu lub Londynie; przed zaśnięciem opowiadały sobie, jak urządzią swe nowe domy. Kiedy opuściła szkołę, stał się cud - Stone kupił jej mieszkanie w Paryżu i Londynie.

Od początku zachowywali się jak brat i siostra. Mówili sobie po imieniu, sprzeczekali się i krytykowali się nawzajem. Stone wiedział, że bardzo młodzi ludzie często używają szorstkich, rubaszných słów, by ukryć swoje uczucia.

Póki Suzy była w szkole, cieszyła ją niedźwiedzie uściski Marshalla, taka serdeczność była tu niemal nie znana, rodzice wobec swych córek zachowywali na ogół duży dystans. Później uznała pieszczoty i pocałunki za nieodłączny atrybut filmowego światka, w którym się ku swemu zachwytowi znalazła. Ale od czasu do czasu zauważała, jak przyjaciele Stone'a patrzą na siebie porozumiewawczo, i zastanawiała się, ile osób zna ich sekret. Teraz unikała objęć ojca; kiedy byli w towarzystwie, starała się znaleźć poza zasięgiem jego rąk. Wiedziała, że dziwi go to i martwi, ale nie potrafiła już rzucać mu się spontanicznie w objęcia, a jednocześnie nie umiała mu wyjaśnić, co ją zaczęło niepokoić.

Czasem musiała się naprawdę przezwyciężyć, by dać się uściskać. Te pieszczoty wydawały się teraz czymś nie na miejscu, zwłaszcza po nocy spędzonej na tańcach i flircie z rówieśnikami. Zamknęła cichutko drzwi mieszkania i oparła głowę o framugę. Zobaczyła, że jest kwadrans po trzeciej. Chłopak, który ją odwiózł, ruszył mimo jej błagań ostro z miejsca i warkot auta gotów był obudzić cały dom.

- Marshall! - zawołała niespokojnie. - Marshall, kochanie!
Może jednak nie przyjechał, albo ukrywa się gdzieś i nagle

125

na nią skoczy. Nie cierpiała tego, zwłaszcza że kończyło się to zwykle żartobliwą bójką na podłodze.

- Marshall!

Zapaliła światło w błękitnej sypialni, na której ścianach Stone zawiesił plakaty „Hamleta” i ogromne barokowe lustro. Zobaczyła, że śpi.

- Kochanie - szepnął mrużąc oczy. - Zgaś to piekielne światło.

Zapaliła nocną lampkę i usiadła na brzegu łóżka.

- Gdzieś ty była, kochanie? Przepraszam, że nie czekałem, ale kiedy przyjechałem z lotniska, zaraz poszedłem spać.
- Byliśmy u Lippa, a potem poszliśmy do czyjejś pracowni na poddaszu. W trójce. Była cudowna, zupełnie taka jak pracownia Gene'a Kelly'ego w „Amerykaninie w Paryżu”. Pamiętasz?
- Nie - odparł Stone.
Suzy wstała i zakręciła się wokoło, aż zawirowała jej lekka sukienka. Marzyła, żeby zatańczyć w filmie.
- Oczywiście, że pamiętasz, ty stary misiu! „Amerykanin w Paryżu”... zagracona pracownia. I Gene Kelly tańczy na wielkim fortepianie. Wspaniały film.
- Która godzina?
- I z okienka widać było Notre Dame, oświetloną i białą. To cudownie być znowu w Paryżu.

- Podaj mi papierosy i zapalniczkę.
 - Marshall, kochany. To już oznaka pewnego wieku, kiedy człowiek się budzi i zaraz sięga po papierosa.
- Stone uśmiechnął się.
- W czwartek Val idzie na manifestację. Studenci grożą podpaleniem Palais de Justice. Jak ja mam się ubrać?
- Włóż strój Vanessy Redgrave.
- Nie bądź taki zgryźliwy! To także oznaka starości!
 - Możliwe. - Nie przejął się. Zapalił papierosa, wypuścił dym i oparł się o poduszki.
 - Paryż jest boski. - Nachyliła się nad Stone'em, wzięła jego twarz w obie ręce i zaczęła go całować tak jak w „Damie kameliowej” Garbo całowała Roberta Taylora.

Kiedy go puściła, Stone przygładził włosy. Wiedział, że bez

126

tuszu na rzęsach wygląda jak wymoczek, ale głupio było wstać i przyczernić rzęsy.

Zapiął pod szyją pidżamę. Czy Suzy wciąż go widzi jako zbiedniałego barona z „Soboli” lub rannego pilota z filmu „Kierunek jeden osiem”? Kiedyś dużo o tym mówiła. Czy też teraz jest dla niej tylko Edwardem Brummage, podstarzałym bogatym wszetecznikiem, od którego odwraca się, gdy jego pocałunki stają się zbyt gorące.

Za wezglowiem łóżka Suzy widziała swe odbicie w szkle oprawionego plakatu. Objęła dłońmi mosiężną poręcz łóżka i oparła o nią brodę. Stone zaczął opowiadać długą anegdotę o tym jak pewnemu producentowi pokazywano materiał reklamowy nowego filmu. Słyszała ją już, ale

oczywiście reagowała w odpowiednich miejscach.

W ciągu tych trzech lat dobrze poznała Stone'a. Pierwszy rok był okresem utraty złudzeń. Z oburzeniem patrzyła, jak czarujący bywa w kontaktach z ludźmi wpływowymi i jak niegrzecznie odnosi się do pomniejszych śmiertelników. Była dumna, że widzi matactwa i obłudę, które umykają uwadze jego otoczenia. Dopiero ostatnio przekonała się, że Weinberger i inni bliscy Stone'owi ludzie znają go równie dobrze jak ona, ale mimo jego egoizmu, tchórzostwa i chamstwa są do niego autentycznie przywiązani.

Uśmiechnęła się. Stone uśmiechnął się także, zbliżał się bowiem do pointy.

- ...i wtedy spojrzał na plakat i zawołał: „Dobry Boże! Co ci mówiłem, Mayer? Moje nazwisko miało być wydrukowane większymi literami niż innych twórców filmu, a co dopiero tego Tołstoja!”

Suzy Delft roześmiała się i wstała.

- Wrócę tu jeszcze powiedzieć ci dobranoc.
- A co dopiero tego Tołstoja - powtórzył Stone i sięgnął po następnego papierosa.

Zamykając za sobą drzwi obitej jedwabiem ubieralni słyszała jeszcze jego chichot.

Rozbierała się powoli, wpatrując w fotosy Garbo, które poprzypinała wokół luster. Wielokrotnie oglądała filmy Garbo, nauczyła się naśladować jej sposób chodzenia, z rękami z dala

od ciała, nauczyła się uśmiechać rozchyłonymi wargami, przekrzywiając

leciutko głowę. I im bardziej stosowała te triki tym bardziej przypominała Vanessę Redgrave.

Włożyła jedwabną pidżamę i kaszmirowy szlafroczek. Wyglądała skromnie, z przyjemnością przyjrzała się sobie w lustrze. Potem wróciła do Stone'a.

- Kochanie, w lodówce mamy szampana.

Uśmiechnęła się. Była już i tak wstawiona i nie umiała wykrzesać z siebie entuzjazmu.

- Nie, nie ruszaj się, ja go przyniosę - powiedział Stone.

Zrzuciła nocne pantofelki, podwinęła nogi i usiadła na łóżku, opierając się o mosiężną poręcz. Piła cały wieczór, niemniej w odpowiednich momentach ochąła i achąła, udając, że otwieranie butelki szampana jest trudnym i niebezpiecznym przedsięwzięciem, któremu potrafi sprostać tylko prawdziwy mężczyzna.

Stone usiadł u wezłowania łóżka i nim nalał szampana, okrył się kołdrą. Zauważyła, że przyciemnił brwi, i ucieszyła się, iż wciąż jeszcze stara się wyrzeć na niej jak najlepsze wrażenie.

Stone powiedział:

- Prawda, że w Twin Beeches jest pięknie?
- Cudownie, Marshall.
 - Czy widziałaś ogródek warzywny? Pani Pimm nie musi już kupować żadnych jarzyn.
- Mówiłeś mi. Sałata była pyszna.
- Wiesz, kochanie, co mi przyszło na myśl? Oglądałem rano nowe boksy stajenne i pomyślałem sobie, że można by tam założyć szkołę jazdy konnej.

- Znakomity pomysł.
 - Chciałabyś mieć szkołę jazdy?
 - Ja? - Zwilżyła językiem wargi.
 - Tak. Mogłabyś ją prowadzić. Byłoby to dla ciebie świetne zajęcie.
- Zaśmiała się z rozchyłonymi wargami, odrzucając do tyłu głowę.
- Brzmi to cudownie, kochanie, ale przecież musiałabym mieć kogoś, kto zna się na konnej jeździe i umiałby się tym zająć... Ja mam przecież mój zawód.

128

- Zastanawiam się, Suzy...
- Na litość boską, Marshall. Znów zaczynasz...

Przez chwilę milczeli; gdy odezwała się, mówiła miękkim, konfidencjonalnym, ale bardzo stanowczym tonem.

 - Jestem aktorką filmową i chcę nią pozostać. Tyle razy już to omawialiśmy...
- Suzy, gdybyś wiedziała, na co się narażasz...
 - Gdybyś wiedziała, Suzy, to wszystko, co ja wiem - zaśpiewała niskim chrapliwym głosem.
 - Czemu nie chcesz posłuchać dobrej rady? Ty naprawdę jeszcze niewiele wiesz.
 - Nie męcz mnie, Marshall. Doprawdy, rozśmieszasz mnie, gdy zaczynasz zgrywać się na ojca.
- Suzy, nigdy nie traktowałem cię jak dziecko.
 - A teraz już na to za późno, mój ty kochany tatusiu. Nie wiem, czy przypominasz sobie, że poznałam cię, kiedy już byłam dorosła.

Stone uśmiechnął się.

- Masz w sobie tyle energii, witalności...
- Przestań mnie głaskać po nogach, Marshall!
- Co to za nowa fobia?
 - Tak, fobia. Nie pochwalam kazirodztwa. Trudno, żebym nie obruszała się, kiedy rodzony ojciec próbuje się do mnie dobierać. Bardzo cię proszę, Marshall, przestań.

Stone zaczerwienił się. Ale zaraz się uśmiechnął tym swoim zawodowym uśmiechem licząc, że ona też odpowie mu uśmiechem. Nachyliła się, wzięła go za rękę i obsypała ją pocałunkami.

Suzy Delft знаła Marshalla Stone'a znacznie lepiej, niż przypuszczał. Wiedziała, dlaczego przyznał za nią do Paryża, wiedziała jak bardzo stara się współzawodniczyć z jej młodymi przyjaciółmi. Wszystko to dobrze rozumiała, niemniej znosiła to z trudem. Oparła się o poręcz łóżka i przymknęła oczy.

- Kiedy zagrałem mojego Hamleta... - zaczął Stone nalewając następny kieliszek szampana.

Suzy wydeła usta i powtórzyła:

- Kiedy zagrałem Hamleta, kiedy zagrałem mojego Hamleta - wibrującym głosem chłopca, który przerzeźnia starszych.

129

Stone uśmiechnął się.

- Marshall, kochanie, nie bądź **taki staroświecki... No**, opowiedz mi o tym twoim Hamlecie.
- To nieważne.

- Dla mnie ważne. Proszę cię, kochanie.
 - Nie, nie.
 - Ja naprawdę chcę usłyszeć.
- Stone dał się przebłagać.
- Kiedy zagrałem Hamleta, wynoszono mnie pod niebiosa. Same świetne recenzje. I widzisz Suzy, nagle znalazłem się u szczytu. Mogłem zagrać, co chciałem... Nie masz pojęcia, ile miałem pomysłów.
 - Jesteś romantykiem, Marshall.
 - Przyznaję się. Aktor musi być... Słyszałaś dzisiaj o tym napadzie na bank? Kiedy się coś takiego zdarza, sympatyzuję z tymi, których ścigają. Miałbym ochotę im powiedzieć - chętnie pomógłbym wam się ukryć. Nigdy nie biorę strony władzy.
 - Marshall, nie zgrywaj się!
 - Jeżeli tak uważasz, to...
 - Kochanie, uspokój się. Ktoś ci to musi powiedzieć. Masz wokół siebie samych lizusów. Co ty wygadujesz o władzy... Jesteś po stronie władzy... Należysz do posiadaczy... Nie znam nikogo, kto by miał więcej domów, aut i służby.
 - Mam to wszystko, ale wcale nie jest mi to niezbędne do szczęścia.
 - Myślisz, że młodość musi się opowiadać po stronie wyrzutków społeczeństwa. A to po prostu dziecinne. Ja w i e r z ę we własność. Chcę, żeby strzegła mnie policja, i gdybym trafiła na tego faceta, który obrabował bank, zaraz bym go wydała w jej ręce.
 - Chodzi mi o coś innego... Widzisz, ta historia z Hamletem strasznie mi dała w kość. Bardziej, niż mi się wtedy wydawało.
- Suzy już ją słyszała.

- Za poważnie to traktujesz. Ja tam nie uwierzyłabym Koolmanowi.

130

Nigdy nie wyjaśniam aktorom, jaką mają zagrać postać. Chcę, żeby zachowywali się biernie.

Michelangelo Antonioni

Garrick, Sheridan i jak twierdzą niektórzy - OHver Goldsmith, dobrze znali ciasne garderoby w teatrze Old Royalty. Wiadomo, że przeciągi prześladowały tam Wilde'a, Barrie'ego i młodego Shawa. W 1929 roku powiększono dwie garderoby kosztem galerii, toteż obecnie w garderobie Marshalla Stone'a mieściło się dwadzieścia osób, które pojawiały się po zapadnięciu kurtyny, wznosiły jego szampanem toasty, czytały telegramy okalające jego lustro i wdychały zapach wciąż napływających kwiatów.

Portier przyzwyczał się już, że Stone wychodzi z teatru ostatni. Często była już pierwsza po północy, kiedy słyszał jak gwiazdor mówi szeptem dobranoc, a potem trzaskają drzwi i rusza Rolls.

Wieczór, kiedy za kulisami pojawił się słynny producent Leo Koolman, z kwiatami i szampanem, otoczony obłokiem dymu cygara, pobił dotychczasowe rekordy.

Koolman był na przedstawieniu, spektakl był wyjątkowo udany. Widownia świetnie reagowała, Stone przeszedł samego siebie, grał jak w natchnieniu, znajdując najwłaściwszy ton. Nie umiał jeszcze grać automatycznie. Koolman był zachwycony i wraz ze swoim zastępcą Sanchezem zostali po wyjściu innych wielbicieli. Stone widział wzrok Koolmana, Koolman wyraźnie nie rozumiał jak ten drobnej postury aktor

mógł być przed chwilą majestatycznym Duńczykiem, który górował nad całą sceną.

Stone'owi także wydawało się to pasjonującym paradoksem. Przeпоcony zdobiony drogimi kamieniami kostium, koło wiaderka z szampanem nie dojezdzony hamburger, monologi Szekspira, sprośne przekleństwa kolegów. Na tym polegała magia sceny, że z podobnego chaosu powstawał olśniewający spektakl. Spojrzał w lustro i zobaczył nad wysmarowanym szminką podkoszulkiem szlachetną twarz Hamleta.

Koolman powiedział:

- Ostatnia wersja scenariusza filmu młodego Franco jest

131

znakomita. Przyniosłem ci egzemplarz. - Między szczotkami, pędzelkami, ołówkami i szminkami znalazł skrawek miejsca.

Stone zbliżył twarz do lustra i oderwał brwi. Mniej bolało, gdy zrywało się je jednym ruchem, ale Stone robił to bardzo powoli.

- Tylko dziesięć dni zdjęciowych... nazwisko nad tytułem i pięć procent od zysku...

Chwilę odczekał, bo Stone zdejmował właśnie tusz z rzęs. Małym pędzelkiem, który wycierał w papierową chusteczkę.

- Gaża pozostaje nie zmieniona.

Stone zrobił pół obrotu, by dojrzeć w lustrze twarz Lea.

- Leo, mówiłem ci pięćdziesiąt razy, że nie zamierzam odnawiać kontraktu. „Hamlet” będzie szedł pół roku. A potem chcę zagrać w jakiejś współczesnej sztuce.
- Dziesięć dni, Marshall. Przyślemy po ciebie samolot... Albo choćby osiem... będziemy kręcić podczas weekendu.

Kollman wykrzywił usta w grymasie, który miał uchodzić za uśmiech, tylko wyższa konieczność mogła go skłonić do uśmiechu. Stone z przerażeniem zobaczył, jak bardzo zmienił się Koolman, odkąd został szefem firmy. Krzepki sprężysty mężczyzna skurczył się i pomarszczył jak gumowa piłka na ciepłym piecu. Złapał katar i mówił zachrypniętym głosem, oczy były zażawione jak u bardzo starego człowieka. Miał na sobie ciężkie tweedowe palto, garbił się, nie widać było szyi.

Stone uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

Koolman spojrzał na pokryte sadzą szyby okienka, którego od pokoleń nie myto, na naftowy piecyk, na skraplającą się na ścianach wilgoć, wsadził głębiej ręce do kieszeni i wysyczał:

- Ty chyba oszalałeś, Marshall.
- Tutaj się naprawdę gra, Leo. Te wasze szarady z operatorami nie mają nic wspólnego z prawdziwym aktorstwem. -Stone wyjmował wsuwki z włosów - musiały ciasno przylegać do głowy, by mógł włożyć perukę.
- Ten film jedynie z tobą w roli głównej stanie się prawdziwym filmem.

Aha, to nie Koolman, nie jego firma potrzebowali go, potrzebował go film. Stone odpowiedział:

132

- Za każdym razem chodzi rzekomo tylko o jeden jedyny film. Ale sam dobrze wiesz, że się na tym nie skończy.
- Nie mów tak, Marshall. Zagrałeś, dla mnie w paru świetnych filmach. Wciąż jeszcze mówi się o „Ostatnim vaquero”, idzie tu w kinach...
- Słuchaj, Leo, parę tygodni temu, podczas prób, byłem właśnie tylko „Ostatnim vaquero” - bogatym hollywoodzkim kabotynem, któremu zachciało się zagrać Szekspira. A teraz... - Stone potrząsnął głową, by

okazać swoje zdziwienie. - Cóż, udało mi się. Teraz jestem Hamletem, a jeśli komuś nie uda się dostać biletu na spektakl, to może mnie zobaczyć w jednej z tych hollywoodzkich chał.

- Marshall, proszę cię o przysługę.
- A ja mówię: nie. Leo, czy ty nie rozumiesz, co znaczy po angielsku NIE?
- Cóż, jak sobie chcesz. - Leo odwrócił się, ale Phil Sanchez nie ruszył się z miejsca.
- Chłystek z ciebie - powiedział Sanchez. - Podły chłystek. Pamiętam, jak podlizywałeś się panu Koolmanowi! - Dwukrotnie otworzył usta szukając mocniejszego słowa. - Chłystek!

Stone zwrócił się w stronę Sancheza. Nie dziwiło go, że współpracownicy Koolmana są w stosunku do niego lojalni, ale to wystąpienie potulnego, małego Sancheza zadziwiło go.

Koolman oświadczył:

- Pora na mnie.

Wszyscy mieli za sobą długi dzień pracy, Koolman wiedział, że dalszą dyskusję lepiej chwilowo odłożyć.

- Phil, idę.

Stone z uśmiechem spoglądał na rozgniewanego Sancheza, a jednocześnie żegnał się z Koolmanem.

- Leo, zamknij za sobą drzwi. Tu są straszne przeciągi.

Stone wyciągnął rękę w pożegnalnym geście, a Sanchez chwycił go za mały palec i wykręcił tak, że Stone wiedział, że jeśli się nie schyli - kość pęknie. Schylił się. Sanchez puścił palec i wytarł dłoń o marynarkę, jakby się bał zarazić.

Stone'a bardzo bolało, niemniej zdołał się zastanowić, czy była to

zawodowa zręczność kogoś, kto uprawia judo, czy chwyt, który przypadkiem się udał.

133

- Zostaw go - powiedział Koolman. Powiedział to przez ramię, cedząc słowa.
- O, nie! - Sanchez podszedł do siedzącego przy lustrze Stone'a i stanął tuż nad nim. - Chłystek!

Nienawiść w głosie Sancheza, która odebrała mu możliwość znalezienia mocniejszych słów, przeraziła i zadziwiła Stone'a.

- O co ci chodzi, Phil? Przecież wywiązałem się ze wszystkich zobowiązań. Kontrakt wygasł.
- Kontrakt! Pan Koolman wyciągnął cię z rynsztoka, zrobiłeś dzięki niemu karierę Kopciuszka, a ty powołujesz się na kontrakty.
- Czego jeszcze chcecie ode mnie? Krwi? - Stone wyciągnął nagie ramię.
- Pan Koolman musi zrobić ten film. - Sanchez oświadczył to takim tonem, jakby pod prostym faktem ukrywało się coś niezwykle skomplikowanego, mógłby równie dobrze powiedzieć $E = MC^2$.
- Dlaczego?
- Musi! Nie zadawaj głupich pytań. Koolman powtórzył:
- Daj mu spokój, Phil. Sanchez zdawał się nie słyszeć.
 - Ponieważ jeśli nie zagrasz w tym filmie Franco, wiele się może wydarzyć. Oświetleniowcy zaczną spadać z drabin, któryś z aktorów wpadnie pod auto. Będziemy mieć strajk i spędzimy trzy tygodnie na rozmowach ze związkowcami, którzy

będą pletli bzdury.

Stone wpatrywał się w odbicie Sancheza w lustrze i starał się zrozumieć sytuację.

- Takie rzeczy zdarzają się - mówił Sanchez. - Wy o tym nic nie wiecie... paradujecie sobie w świetle reflektorów i rozkoszujecie się rozkładówkami w pismach.

Stone zwrócił się do Koolmana.

- O czym my tu mówimy, Leo? O mafii?
- Dziś działa ona legalnie. Ma dziką forszę.

Stone patrzył na Lea starając się zobaczyć w nim człowieka, którego można zastraszyć i szantażować, ale nie mógł dostrzec żadnej słabości. Nigdy nie widział Koolmana w rozterce, nie-

134

straszne mu były żony, kelnerzy, oceany i trzęsienia ziemi. Koolman zdawał się w pełni panować nad swoim światem. Dlatego zresztą Stone w niego wierzył i ostatnio trochę się nawet martwił, że ich drogi muszą się rozejść.

- Nie bardzo rozumiem... chodzi o gangsterów? - spytał.
- O akcjonariuszy, głupcze! O akcjonariuszy.
- Czy mały Franco jest jednym z nich?
 - Ci faceci mają dużo brudnych pieniędzy, Marshall. A przemysł filmowy ma problemy finansowe. Musimy korzystać z ich pieniędzy.
 - Chcesz powiedzieć, że ci gangsterzy mają dosyć udziałów, żeby dyktować ci, jakie masz robić filmy?
 - Kiedy chcą, żeby jakiś ich krewniak zaczął pracować w branży nie czekają na zebranie akcjonariuszy - wyjaśnił Sanchez.

- Wysyłają posłańca z karabinem maszynowym - dorzucił stojący przy drzwiach Koolman.
- Jezu!
- Marshall - oświadczył nagle zakatarzonym głosem Koolman -
zapomniałem ci powiedzieć, że ostatnio trafiliśmy na ślad dziecka.
- Mojego dziecka? - powtórzył Stone.
- (eden z detektywów wytwórni pracuje nad tym.
- Mówiłeś, że nie sposób jej odnaleźć.
 - Ale natrafiliśmy na ślad. Oczywiście możliwe, że to nic nie da...
- Tak jak przedtem!
 - Chciałem ci tylko powiedzieć, że niezależnie od tego, czy podpiszesz umowę, czy nie, zrobimy, co w naszej mocy, by odnaleźć małą, tak jak ci to obiecałem.
 - Tego pan nie musiał dodawać - wtrącił się Sanchez tonem, który mówił, że taki niewdzięcznik jak Stone wcale na to nie zasługuje.
 - Porozmawiamy o tym jeszcze przed moim powrotem do Nowego Jorku - oznajmił Koolman. Mówił chrapliwym szeptem, odchrząknął i podniósł do ust chusteczkę.

Stone zapalił dziesięć żarówek otaczających lustro. Garderoba wypełniła się światłem, znikły cienie, nędzna cela rozjaś-

135

niła się złocistym blaskiem. Zegar wskazywał północ. Stone wziął papierowy ręcznik i wytarł twarz. Szminki rozmazały się tworząc groteskową maskę.

- Dobrze, osiem dni, Leo. Ale ani minuty więcej. - Usunął specjalnym

kremem resztki szminki i książkę Danii przestał istnieć.

- Dziękuję ci, Marshall - powiedział nie odwracając głowy Leo Koolman. Jego zakatarzone oczy nie wytrzymałyby blasku.

Drzwi zatrzęsły się tak mocno, że zabrzęczała stojąca w wiaderku butelka. Zatrzęsął je przeciąg.

Któż chciałby wychodzić z domu, by zobaczyć zły film, skoro w domu może zobaczyć taki sam w telewizji?

Sam Goldwyn

Paryż umożliwił Stone'owi ucieczkę od dręczących go lęków - przyszedł do siebie. Ranek był cudowny, niebo przejrzyste błękitne, Sacre-Coeur wyglądało jak biały obłok. Stone był szczęśliwy i zachwycony Suzy. Chwalił nawet śniadanie - ne-skę z paroma sucharkami, które przetrwały tu dwa miesiące od jej ostatniego pobytu. Nawet kiedy z prysznicą trysnął ukrop, objawił tylko zawodową troskę.

- A gdybym się poparzył, kochanie? Mogło mnie to naznażyć na całe życie. I co wtedy powiedzieliby producenci?

Kelner w „La Quetsch” znał go i zaprowadził do najlepszego stolika, skąd mogli patrzeć na znajdującą się poniżej salkę, w której szumiało jak w ulu. Dwóch mężczyzn od Pathe poznało Stone'a, zamachali do niego rękami. Odpowiedział im uśmiechem, a oni pokazali go swoim towarzyszkom. Suzy włożyła czarne okulary i patrzyła prosto przed siebie. Jeden z mężczyzn wziął ją za Nancy Sinatrę, ale drugi upierał się przy Jane Fondzie.

Stone przypomniał sobie jak uwielbiał Paryż, kiedy przyjazd tutaj był jeszcze wielką przygodą. Powietrze było naelektryzowane, było w nim coś, co sprawiało, że wszyscy myślą i poruszają się szybko. W Berlinie można

było może znaleźć więcej poczucia humoru, w Rzymie panował większy przepych, w Londynie łatwiej było się odprężyć, ale dla Stone'a Paryż pozostał miejscem, gdzie spełniają się dziecięce sny

136

- Paryż był niebezpieczny, zepsuty, elegancki, był stolicą dobrego smaku i kultury. Paryż pociągał Stone'a tak jak świat show-biznesu. Kiedy otaczała go ta niepowtarzalna paryska aura, wszystko przestawało istnieć.

Wyszukanym gestem oddał kelnerowi menu i zamówił obiad tak staranną dykcją i z równie starannie wystudiowanymi pauzami, jakby wygłaszał monolog. Obserwował sam siebie, oceniając swą grę, potem się tym zgorszył. Zastanowił się, czy nie wybrał takich potraw, których nazwy umożliwiłyby wypowiedzenie zamówienia rytmicznie i po aktorsku. Co za okropieństwo, pomyślał.

Ale wiedział, że częstką gry aktora jest to narcyzowate zapatrzenie się w samego siebie. Nie wolno było oddać się całkowicie roli. Musiał obserwować innych aktorów, zważać na tempo ich gry, dostosowywać się do nich, przygotowywać się do następnej kwestii. Nikim nie mógł stać się w pełni, nawet samym sobą.

Suzy odchyliła się lekko, by móc przejrzeć się w lustrze.

- Muszę ci powiedzieć, że czasami bardzo cię kocham. Naprawdę. - Zdjęła ciemne okulary i uśmiechnęła się do niego poruszając głową tak, by włosy opadły jej na twarz. Wyciągnęła rękę nad stolikiem.
- Moja kochana Suzy - powiedział Stone. Położył rękę na jej palcach, zadrżały talerze. Starsza pani przy sąsiednim stoliku pokazała ich mężowi. Przyjemnie było spojrzeć na ludzi tak zakochanych, że przestał dla nich istnieć cały świat.

Suzy i Marshall zapomnieli, że są gwiazdami filmowymi, i trzymając się za ręce krążyli po rozświetlonych ulicach jak studenci. Przyjemność psuło Stone'owi tylko to, że Suzy знаła zbyt wiele osób i zbyt radośnie je witała. Długo mieszkała we Francji i mówiła po francusku niemal jak rodowita Francuzka. Choć wiedział, że to niemądre, miał jej za złe, iż czuje się tutaj bardziej w domu niż on. Usiedli na tarasie przed Deux Magots i patrzyli, jak idealne popołudnie przekształca się w idealny wieczór. Stone przysłuchiwał się dość nieuważnie paplaninie Suzy, gdy rozmawiała z dwoma młodzieńkami Francuzkami w wypłowiałych dżinsach i z włosami do ramion. Nagle usłyszał amerykański głos:

137

- Marshall, tak mi przykro, że nie dogadaliśmy się w sprawie „Człowieka z pałacu”.

Był to liczący sobie pięćdziesiąt lat Amerykanin. Można by go wziąć za kapitana z Pan American lub za pułkownika armii izraelskiej, gdyby nie miał na sobie drogiego francuskiego garnituru i dwukolorowych butów, które nosił z taką miną, jakby nie wiedział, że dawno już wyszły z mody. Miał okrągłą, ale wcale nie obwisłą twarz. Był kościsty, dobrze umięśniony, pod kalifornijską opalenizną znikły prawie wojenne blizny. Włosy na skroniach były tak dystyngowanie szpakowate, że zawodowy wzrok Stone'a od razu odkrył w tym rękę fryzjera. Stał nad stolikiem, szurając z szacunkiem nogami i bawiąc się fajką. Był on producentem „Ostatniego vaquero”. To on mógł się szczycić tym, że odkrył w Stonie materiał na gwiazdę.

- Kagan! Kagan Bookbinder! - Stone zerwał się, objął Book-bindera, uściskał go i ucałował w oba policzki, tak jak to robią tylko aktorzy i francuscy generałowie. Wypuściwszy go z uścisku wciąż trzymał za

ramiona i śmiejąc się mierzył wzrokiem.

- Tak, nie mogę tego odżalować - powtórzył Bookbinder.
 - Ja też bardzo żałuję. - Stone skrzywił się jak małe dziecko, z którym ktoś się droczy. - Ale wiesz, Kagan, nikt nie powiedział mi, że to ty chcesz zrobić.
 - Wyglądałoby, że proszę cię o szczególne względy, Marshall. Nakłoniłem Weinbergera, żeby nic o mnie nie wspominał.
 - Kagan Bookbinder - powtórzył Stone, jakby nie wierząc własnym oczom. - Kagan Bookbinder. To jest świetny scenariusz, Kagan.
 - Scenopis jest jeszcze lepszy. Ta scena zbiorowa, kiedy księżę Felix doprowadza manifestantów do tego, że zaczynają śmiać się z własnej głupoty jest po prostu wielka.
 - Nie chodziło tu tylko o pieniądze, Kagan.
- Bookbinder obronnym ruchem wyciągnął rękę.
- Gdybym miał taki budżet, jaki zwykle miewają twoje filmy, Marshall - dostałbyś, ile byś tylko chciał, choćbym miał ci oddać ostatni grosz! Tylko ty potrafisz nadać temu filmowi odpowiedni wymiar.
 - Powieść cieszyła się dużym sukcesem. Kto będzie reżyserem?

138

- Bert Hanratty.
- Usiądź, Kagan, powspominamy dawne czasy. Bert Hanratty? Bert to naprawdę ktoś. Film na pewno będzie miał powodzenie...
- Chciałbym, żebyś to ty zasiadał za biurkiem na Wardour Street. - Kagan roześmiał się i zapalił fajkę. - Targowali się ze mną o każdego centa.
- To gangsterzy.

- Co mogłem zrobić? Książka ciągle szła jak woda, termin opcji dobiegał końca, inni gotowi byli dać za nią dwa razy tyle.

- Trzeba ją było szybko im sprzedać.

Bookbinder uśmiechnął się.

- I zająć się sprzedażą trawki pod przedszkolami, tak?

Przecież wiesz, Marshall, że jestem człowiekiem filmu, nie chodzi mi o szybki zysk.

Suzy Delft nie słuchała rozmowy dwóch starszych panów. Patrzyła na spacerujący tłum i wspominała dawne czasy. Ile razy siedziała tu przy stoliku nad małą czarną i czekała, aż pojawi się ktoś znajomy, żeby mogła zaprosić go do stolika, pogadać, on zaś żeby potem zapłacił rachunek. Przyglądała się przechodzącym dziewczynom. Uszyte w domu luźne wdzianka, przezroczyście suknie, nagi pas ciała między spódnicą i bluzką, bardzo umalowane oczy. I we wzroku niepokój. Suzy parokrotnie zobaczyła znane sobie twarze, jednakże te dziewczęta i chłopcy nie rozpoznawali jej w sukience od Pucciego, we fryzurze od Charity. Wczorajszy świat znajdował się o krok, ale już na zawsze zniknął z jej życia. Na świat, w którym znajdowała się teraz, sama wczoraj spoglądałaby z zazdrością. Tu do największych światowych sław mówiło się Larry, Frank, Ralphie i Duke. W tym świecie nawet ci, którzy już wyszli z obiegu, latali pierwszą klasą i zatrzymywali się w „George Cinq”.

Wiele jeszcze musiała się nauczyć, ale zdecydowana była opanować słownictwo i obyczaje tego nowego życia tak, jak kiedyś odmianę czasowników nieregularnych.

- Kochanie - to jest Kagan Bookbinder. Opowiadałem ci o nim. Był producentem mego pierwszego filmu.
- Jestem Suzy Delft. Wiele o panu słyszałam, panie Bookbinder.

- Nie panie Bookbinder. Kagan.
 - Marshall też był producentem kilku swoich filmów - oznajmiła z dumą Suzy.
 - Nigdy więcej - zapowiedział Stone. Pamiętał nie kończące się dyskusje z kierownikami filmowych atelier, kłopoty z transportem, kłopoty z tysiącem nieprzewidzianych drobiazgów. Co prawda potem wielokrotnie żądał, by umieszczono jego nazwisko w czołówce filmu jako jednego z producentów, potrzebne mu to było dla lepszego samopoczucia, nie lubił myśleć o sobie tylko jako o aktorze. Ale na przyszłość pozostawi już troskę o produkcję takim ludziom jak Bookbinder. - Wolę dostawać gażę z góry!
 - I mądrze robisz. Tylko że czasem wpada mi w ręce historyjka, którą chcę pokazać na ekranie. I wszystko mi jedno, kto na tym zbije forszę.
 - To piękne - zachwyciła się Suzy Delft.
 - Kiedy obejrzę pierwszą kopię „Człowieka z pałacu”, będę najszczęśliwszym nędzarzem w całym mieście; będę wiedział, że dzięki mnie pojawił się naprawdę ważny film. - Spojrzał na zegarek. - Umówiłem się z żoną, muszę lecieć. - Stuknął fajką o nogę krzesła i uchylił przed Suzy kapelusza.
- Stone spojrział na niego ze zdziwieniem. Był przekonany, że niełatwo pozbędzie się Bookbindera.
- Gdzie macie zamiar zjeść kolację? - spytał Stone.
 - Wy kręcilibyście na ten lokal nosem!
 - Dlaczego? - spytała Suzy. Przez chwilę wyobrażała sobie orgię w tajnym burdelu.

- O nie, my uwielbiamy przytulne bistra na bocznych uliczkach. Prawda, Suzy?
- O tak! - zgodziła się Suzy.
- „U Dyplomatów” - wyjaśnił Bookbinder. - Najlepsza langusta w mieście.

Brzmiało to nieźle, ale jeśli Suzy oczekiwała, że zobaczy tam panów w sztucznych spodniach i cylindrach, to bardzo się myliła. „Dyplomaci” było to małe bistro niedaleko ulicy Vaugirard. W jednym zaledwie pomieszczeniu stało pięć stolików, dwa gazowe piece i stary stół, na którym Max oprawiał żywą langustę, przygotowywał steki Chateaubriand, krajał kieł-

140

basę z czosnkiem i szykował frytki. Tu także stała ogromna miska z sosem z trufli. Sufit poczerniał od ognia, a parę zawieszonych na ścianie widokówek było kompletnie osmalonych.

Kiedy Bookbinder ze swymi gośćmi pojawił się w drzwiach, Max przywitał ich machając nożem. Pani Bookbinder siedziała tuż koło Maxa i omawiała z nim ceny skorupiaków na targu.

Suzy w swojej tęczowej jedwabnej sukience od Pucci'ego była niewątpliwie zbyt wystrojona i nie pasowała do koślawych giętych krzeseł, ale nawet jej to nie przyszło do głowy. Cieszyła się, że jest ośrodkiem uwagi.

- Uwielbiam takie dziury - oświadczyła wycierając serwetką siedzenie krzesła. - Wprost uwielbiam!

Madame przyjęła zamówienie, postawiła na stole półmisek z rzodkiewkami i ogórkami oraz talerz z szynką. Bookbinder zamówił dla wszystkich kir, choć Suzy prosiła o americano. To było w jego stylu.

Stone doznawał mieszanych uczuć. Wierzył w instynkt Bookbintera. Po „Ostatnim vaquero”, Bookbinder przez parę lat był od wszystkiego odsunięty, ale potem wielokrotnie odnosił *succes d'estime*. Zebrał co najmniej tuzin nagród na festiwalach europejskich za bardzo rozmaite filmy. Jeden z nich - o opóźnionych w rozwoju dzieciach - został nie tylko nagrodzony przez Światową Organizację Zdrowia, ale odniósł kasowy sukces. Drugi - o plemieniu indiańskim w Arizonie - zachwycił europejskich intelektualistów. W „Cahiers de Cinema” oraz w „Sight and Sound” ukazały się długie wywiady. „Człowiek z pałacu” ma być filmem komercyjnym, Hanratty jest modnym reżyserem - to wszystko może być świetną okazją do ugruntowania swojej pozycji w nowoczesnym kinie. Stone cenił sobie przy tym bezpośredniość Bookbintera.

- Nic mi po tych hipisowskich gwiazdach, Marshall. Lubię pracować z naprawdę wielkimi twórcami filmu. Jeżeli snobizmem jest chęć współpracy z Marshalllem Stone'em i Bertem Hanrattym to, owszem, jestem snobem.

Stone skinął głową. Za plecami Bookbintera Max wbił nóż w łeb żywej langusty. Zaczęła walczyć. Max zręcznym ruchem rozplatał ją na pół. Suzy cicho jęknęła, nikt nie zwrócił na to uwagi.

141

- Nasze dni są policzone - zauważył Stone. - Wszyscy utrzymują, że obecnie publiczność domaga się nieznanymi twarzami.

Max wrzucił langustę na patelnię. Coś zaskwierczało, pewnie masło. Stone powachlował się serwetką. Ale uznał to za zniewieściałość i zaraz przestał.

- O, nie - zaprzeczył Bookbinder. - Niewątpliwie w kinie następują duże zmiany. Pojawia się inny rodzaj filmów. Owszem, będą wśród nich

tanie filmy z nieznanymi aktorami, ale stosem pacierzowym przemysłu filmowego pozostaną słynne gwiazdy i słynni reżyserzy.

- Rzekłeś - odparł Stone.
- Nieznane twarze mogą się sprawdzać w marginesowych filmach, ale żeby nawet najlepiej napisana historyjka nabrała życia, potrzebne jest prawdziwe aktorstwo. A mogę go szukać tylko u gwiazd. Spróbuj tych czarnych oliwek, marynowano je w oliwie z czosnkiem.

Stone wzgardził oliwkami, ale słowa Bookbindera uśmierzyły jego niepokój. Nalał wszystkim wina. Patrzyli na piecyk, na którym Max oblał langustę koniakiem i zaraz go podpalił.

- Sam się zastanów - powiedział Bookbinder ustami pełnymi oliwek. - Suma, którą ci zaofiarowałem za „Człowieka” to dla ciebie pestka. Ale kiedy sprawdzisz, jaką część mego budżetu ona stanowi, zrozumiesz, jak bardzo chciałem zdobyć cię dla mojego filmu.
- Komu teraz zaproponowałeś tę rolę?
- Dopiero wczoraj dowiedziałem się o twojej odmowie. Przyjechałem tu pogadać z moim francuskim agentem. Któryś z wielkich filmowych aktorów Francji czy Anglii chętnie zagra księcia Felixa za te pieniądze. - Bookbinder ruchem ręki zamówił następną butelkę.
- Chętnie zajrzałbym do scenopisu - powiedział Stone. - Ta historia bardzo mi się podobała.
- We wtorek wieczorem wracamy do Londynu. Przyślę Weinbergerowi egzemplarz.

Stone w niemej podzięce dotknął rękawa Bookbindera.

- Lubię tę dziurę - powiedział Bookbinder. - Wiesz dlaczego go, Marshall? Bo przypomina mi tę twoją restauracyjkę. „La

tający Taco", prawda?

142

- To były czasy, Kagan.

Bookbinder nachylił się nad stołem, zwracając się do Suzy Delft. Wskazał kciukiem na Stone'a.

- Ten człowiek jest skazany na sukces. Czy pani o tym wie? Wszyscy odradzaliśmy mu kupno tamtej restauracji, a on wcale się tym nie przejmując zrobił z niej najmodniejszy lokal w Los Angeles. Ma nosa. - Żartobliwie uderzył Stone'a w ramię. - Ty, Marshall, nigdy nie zaznasz głodu. Jesteś urodzonym zwycięzcą. Czego się dotkniesz, obraca się w złoto.
- Wiecie co? - powiedział Stone. Zwrócił się do całej trójki, kolejno patrząc im pytająco w oczy. Suzy uwielbiała te jego dziecinne zagrania. Kiedyś będąc w takim nastroju kupił jej Lamborghini.
- Widzę, że masz jakiś wspaniały pomysł. - Suzy wypowiedziała te słowa zmysłowym szeptem i złożyła ręce jak do modlitwy.
- Coś mi się wydaje, że zagram tego „Człowieka z pałacu”. Coś mi się tak wydaje. - Uśmiechnął się.
- Brawo, Marshall - zawołała Suzy i zaklaskała. Już od dłuższej chwili się do tego przygotowywała.
- To by było byczo, Marshall - powiedział Bookbinder.
- Ale pod jednym warunkiem - oświadczył Stone, zauważywszy z satysfakcją wrażenie, jakie wywołał. - Natychmiast zdejmiesz z głowy ten cholerny kapelusz.

Bookbinder roześmiał się i zdjął słomkowy kapelusz, na czubku głowy

pokazała się łysinka.

- W porządku, Marshall, oto masz przed sobą Bookbindera w naturze! - Znów się roześmiał. Śmiał się tak szczerze i zaraźliwie, że Stone pozazdrościł mu tego śmiechu. Suzy też się roześmiała. Pokazała równe białe ząbki, zasłoniła usta upierścienioną ręką.

Kiedy na stole pojawiła się langusta, wszyscy już zapomnieli o jej bolesnej śmierci.

Szofer Bookbindera odwiózł Suzy i Stone'a na lotnisko. Stone rozmyślał po drodze o rozmowie z Bookbinderem. Film dobrze się zapowiadał. Stone uważał się za świetnego znawcę ludzi. Zmieniła się atmosfera polityczna, przed paru laty nie-

143

bezpiecznie było powiedzieć Bookbinderowi „dzień dobry”. A teraz marksizm stał się atutową kartą.

Sklepy paryskie pełne były przepięknych owoców i jarzyn, pulchnych kurcząt, befsztyków i *charcuterie*. Ten dobrobyt uspokajał, uspokajał też kalejdoskop neonów, wśród których mknęły luksusowe auta.

Na Orły przedstawiciel biura podróży ułatwił wszystkie formalności. Reporter z „Paris Match” błagał o parę słów. Kiedy mijali grupy wycieczkowe, podniosła się wrzawa.

- O, Marshall Stone! Widzicie Marshalla Stone'a?

Policjant torował drogę do poczekalni dla VIP-ów. Dwukrotnie błysnęły flesze, Stone znów usłyszał swoje nazwisko.

Poczuł się szczęśliwy. Był zadowolony z Paryża, z samego siebie, z Suzy i

z Bookbindera. Zaczął układać krótką wypowiedź dla reportera, który pojawi się w poczekalni. Musi w niej wymienić tytuł swego następnego filmu. A może wspomnieć o „Człowieku z pałacu”? Albo przynajmniej o tym, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności spotkał w Paryżu Bookbindera, producenta swego pierwszego filmu. Nie, lepiej nie. Edgar powiedział kiedyś, może żartem, że nie należy nikomu robić reklamy.

7

Wystrzegajcie się lustra. Narzuca ono aktorowi wyraz zewnętrzny, a on powinien go szukać w tym, co podpowie uczucie wewnętrzne.

Stanisławski, „Praca aktora nad sobą.”

Istnieją sklepy, które nie są ani wytwornymi antykwariatami, ani zakurzonymi składami starzyzny. To tam właśnie sprzedaje się wygniecione kanapki, porcelanowe pamiątki z kurortów, posrebrzane trofea z zawodów pięściarskich i wyścigów oraz brązowe fotografie matron w tiurniurach. Wygodne mieszkanie pani Syl-vii Brummage w Titcham przypominało właśnie taki sklep. Wszędzie stały pamiątki rodzinne - jej oraz zmarłego męża. Była ich ostatnią opiekunką, nie pasowałyby do domu filmowej gwiazdy.

Obaj dziadkowie Eddie'ego byli drobnymi urzędnikami, ojciec matki pracował w biurze okrętowym, dziadek ze strony ojca w firmie ubezpieczeniowej. Obie rodziny od wielu pokoleń mieszkały w Titcham. Położone o dwadzieścia kilometrów od Londynu Titcham było kiedyś prawdziwą wsią, nie brakowało tam zieleni, strumyka i pubu. Teraz było to gorzej niż przedmieście. Podmiejska sypialnia pozbawiona eleganckich sklepów centrum Londynu, ale także ogrodów warzywnych i sklepików położonych zazwyczaj na odległych przedmieściach. Zamiast pubu był

supermarket, szosy mknęły wiaduktami. Mrożona żywność, automatyczne pralnie, garaże z używanymi samochodami. Pozostało tu trochę dawnych mieszkańców, którym dzięki emeryturom lub oszczędnościom udawało się jakoś utrzymać poprzedni tryb życia.

Sylvia Brummage wskazała ręką na stół.

- Domowe bułeczki, domowy dżem i prawdziwa herbata, nie taka z torebek. Nie cierpię tych torebek. Wypadają z dzbanka jak zdechłe myszy.

Nalała herbaty z dzbanka Wedgewood do dwóch filiżanek z tej samej porcelany.

W moich notatkach mam zastenografowane: „...głos bar-

145

mańki udającej księżną", ale napisałem to pod wpływem gniewu, potraktowała mnie bowiem z ironią. W rzeczywistości mówiła głosem pozbawionym akcentu charakterystycznego dla jakiegokolwiek klasy, wyraźnie artykułując każde słowo, dobrze to pasowało do jej nieco teatralnego sposobu bycia. Tego właśnie należało oczekiwać od matki gwiazdy.

- Niech pan siada, panie Ashley, proszę zdjąć te książki i usiąść w wygodnym fotelu. Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu kocia sierść.

Wyglądała jak ogromny, wypchany przez tapicera Marshall Stone. Włosy miała upięte w kok, okulary ozdobione były błyskotkami. Podobnie jak jej syn podkreślała każde słowo ruchem rąk. Były to bardzo białe, pocętkowane na brązowo ręce z dołeczkami w nadgarstkach. Sherlock Holmes odgadłby od razu, że te ruchliwe dłonie są dłońmi nauczycielki. Ja już o tym wiedziałem.

- Nie, nie przeszkadza mi kocia sierść - odparłem przesia dając się na fotel.

Zapach detergentów mieszał się z kwaśnawym, stęchłym zapachem gotowanej kapusty. Na podłodze stały spodeczki z przysmakami dla kotów, dwa starszawe bure koty grzały się w padającym przez okno słońcu.

- Od razu widać, że pan pisze. Wszyscy jesteśmy tacy sami - rozmarzeni idealiści, dla których nie ma miejsca we współczesnym świecie ceniącym nade wszystko praktyczność.

Spojrzałem na nią i skinąłem głową, choć wyglądała na osobę wręcz niezwykle praktyczną.

- Na litość boską, niech pan zdejmie ten płaszcz. Po co go pan włożył? Mamy taki piękny dzień. Młody mężczyzna powinien się hartować.
- Po co?
- Widzę, że z panem trzeba uważać na każde słowo, panie Ashley.
- Anson.
- Ma pan ostry język. Nic nie szkodzi, lubię zadziornych młodych ludzi. Wciąż ubolewam, że mój syn nie ma poczucia humoru. Traktuje siebie ze śmiertelną powagą i tak samo odnosi się do reszty świata.

146

- Ludzie na świeczniku muszą zachowywać ostrożność, pani Brummage.
- Nie przejmowalibyśmy się tym, co ktoś o nas może pomyśleć, gdybyśmy uświadomili sobie, że rzadko komukolwiek chce się w ogóle o nas myśleć. To nie mój aforyzm. Ambroży Bierce.
- Chciałbym ustalić parę rzeczy...

- Niech pan pyta.
 - Jaka jest dokładna data urodzin Eddie'ego?
 - Dwudziesty lipca 1922 r. W Leeds, o pół do jedenastej wieczorem.
 - Sądziłem, że urodził się w Londynie?
 - Pewnie tak podał. Uważa, że Leeds jest nazbyt plebejskie.
 - I chciałbym dowiedzieć się czegoś o ojcu Eddie'ego.
 - Straciłam męża w 1926 roku. Podczas wojny został zagazowany i od tego czasu chorował. Ale trzeba go było widzieć w 1915. Kiedy zgłosił się na ochotnika, był dwa razy taki jak Eddie. Po śmierci męża, wróciłam tutaj do matki, mieszkała w tym właśnie domu, tyle że wówczas nie był jeszcze podzielony na mieszkania. Dla dziecka nie było to najlepsze, dom pełen kobiet, zwłaszcza dla chłopca. Nie da się zaprzeczyć, że mam silną osobowość. Jak kobieta przez trzy lata musi pielęgnować chorego męża to staje się twarda. Musiałam zacząć zarabiać. Nie chciano nam dać wojennej renty. Posłałam Eddie'ego do szkoły z internatem. Mało mi nie pękło serce, moja matka też była zrozpaczona, ale dla niego tak było lepiej. Dziecku potrzebna jest męska ręka.
 - Czy Eddie czuł się nieszczęśliwy w szkole?
 - A które dziecko czuje się szczęśliwe?
 - No tak...
 - Zapewniam pana, że żadne. Szkoła służy temu, byśmy się nauczyli znosić nudę, niesprawiedliwość, dyscyplinę i brak wszelkiej prywatności.
 - To brzmi, jakby chodziło o totalitarne społeczeństwo.
- Nachyliła się i pogłaskała kota, który się właśnie obudził.
- Ziewnął i przeciągnął się. - Coś panu powiem, panie Ashton. Mało mnie obchodzi, jak to brzmi. Mówię o tym, jak wygląda stan faktyczny.

- Chciałbym, żeby książka, którą piszę, była bogato ilustrowana...
- Historia Marshalla Stone'a w obrazkach. Polecam panu taki tytuł, panie Ashton.
- Byłbym pani wdzięczny za wypożyczenie mi odpowiednich fotografii. Oddam je pani za parę dni i obiecuję strzec ich jak oka w głowie.

Wstała bez słowa i podpierając się łaską podeszła do staroświeckiego biurka, zręcznie wymijając spodki. Podniosła nadwyrężoną klapę. Leżał tam album. Podała mi go i odsunęła kretonową zasłonę na oknie.

Oprawa albumu wyglądała tak, jakby parę razy objechał on dookoła cały świat. W środku naklejonych było co najmniej sto zdjęć. Za siedmioletnim Eddie'm przebrany za kota stał mężczyzna w zbroi. Pod spodem napis głosił: „Eddie w «Dicku Whittingtonie». Brighton 1929 r.” Potem było zdjęcie Eddie'e-go-kota na tle malowniczej dekoracji Highgate Hill. Zdjęcie Eddie'ego z fajką, gdy po wojnie objeżdża Afrykę Południową występując w spektaklu - „Tu czeka śmiech”. Na brzegu morza, obok wielkiej amerykańskiej limuzyny, na zdjęciach zbiorowych zespołu, gdzie obok wszystkich prócz niego widniały podpisy. Parę wycinków z „Yorkshire Evening Press” omawiało bez entuzjazmu „Pasażera na gapę” i wśród „innych” wymieniało nazwisko Edwarda Stone'a. Zatem już wówczas zaczął używać pseudonimu. Parę reklamowych pocztówek. Eddie patrzy prosto w reflektor, stoi przed kinkietem i wokół głowy ma świetlną aureolę. Amatorskie zdjęcie Eddie'ego w mundurze wojskowym opartego o Humbera. Nie widać stopnia, bo ma na sobie kożuszek lotniczy, takie kożuszki nosili żołnierze generała Alexandra. Dwa fotosy z „Ostatniego vaquero”, fotos ze sztuki Noela Cowarda, w której Stone grał w Londynie

w 1952 roku i posępne zdjęcie reklamowe z Ibsena.

Wycinek ze słynną recenzją z „Hamleta”, w której znany krytyk napisał, że kiedy Stone pojawia się na scenie - scena się rozjaśnia. Wielokrotnie cytowano to zdanie. Ale mało osób wiedziało, że Stone namówił reżysera, żeby przy jego wejściu używano silniejszych reflektorów -*fiat lux*.

Pani Brummage naląła mi jeszcze herbaty i tonem Brillat-

148

-Savarina zrobiła wykład na temat maślanych bułeczek. Było w tym dużo aktorstwa. Oczy jej spoglądały równie twardo jak oczy syna, a ta paplanina o bułeczkach miała na celu przekonanie mnie, że jest niezbyt mądrą, naiwną staruszką. Wydaje mi się, że uniknąłem tej i innych pułapek.

Często się zdarza, że ktoś źle wymawia moje nazwisko. Czasem tak samo konsekwentnie jak ona - i za każdym razem inaczej. Niemniej trudno mi było uwierzyć, by akurat osoba, która w ciągu dwudziestu lat wywoływała w szkole nazwiska uczniów, myliła się teraz nieumyślnie. Zwłaszcza że chodziło o nazwisko męża jej byłej synowej. Może właśnie dlatego, że była nauczycielką, potrafiła odpowiadać na pytania wymijająco. Kiedy wspomniałem o wyczynach żeglarskich Eddie'ego, opowiedziała mi o chłopcu z sąsiedztwa, który marzył o samotnym przepłynięciu przez Atlantyk. Kupił nawet mapy żeglarskie, sama je widziała. Biedak, powiedziała, zaczął pracować w firmie Sainsbury i jego najdalszą podróżą była wycieczka do Brighton.

Dobiegły mnie - skądś z bliska - takty muzyki Birda. Odkąd pamiętam, BBC co środa o czwartej nadawała chóralny śpiew. Zastanawiałem się, kto tego słucha. Teraz wiedziałem. Parę milionów Sylvii Brummage.

Przewróciłem kartki albumu. Pokazałem fotografię Stone'a w kożusku.

- To z czasów wojny, prawda?
- Tak, on był w wojsku.
- Mówi, że był w tajnej służbie.

Podawała mi list napisany ręką Marshalla Stone'a.

12 luty 1944 Kochana Mamo!

Chciałbym, żeby mi było wolno opowiedzieć Ci o nowej pracy. Jestem w samym centrum decyzji o tym, co zrobimy, gdy dobierzemy się do Hitlera na jego terytorium, prędko tego nie zapomną... Ale nie muszę ci mówić, że bardziej niż kiedykolwiek należy zachowywać całkowitą tajemnicę. Pisz do mnie na ten sam adres, szeregowiec Brummage, listy świetnie dochodzą. W zeszłym miesiącu nauczyłem się prowadzić czołg, jeździć na motocyklu i konno.

149

Jako że jest to Kwatera Główna, nie ma prawie dyscypliny, są tu sami pułkownicy, poza paroma specjalistami takimi jak ja. Facet, z którym współpracuję, generał Millington-Ash, zdobył dla mnie kożuszek, załączam zdjęcie obok Humbera, które to auto często prowadzę.

Dziękuję Ci za paczkę, ale proszę Cię niczego się dla mnie nie wyrzekaj, nasze dzienne racje są większe niż to, co cywile kupują na kartki, i nie bywamy głodni. Będę się starał o urlop przed Wielkanocą.

Ściskam Cię najserdeczniej Eddie

Odebrała ode mnie list i powiedziała:

- Ojciec Eddie'ego był najłagodniejszym człowiekiem pod słońcem, niemniej podczas pierwszej wojny światowej wstąpił na ochotnika do wojska i zdobył medal za odwagę.

- Musiała pani być z niego bardzo dumna.
 - Ale może nie powinnam była opowiadać o tym Eddie'-emu. Rozumie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Na końcu albumu były trzy świadectwa szkolne.

Matematyka: C, Angielski B, Francuski C, Sprawowanie A.

Uwagi: jedyne poza tym A dostał z gimnastyki. Powinien więcej się uczyć, a mniej zabiegać o popularność wśród kolegów.

Uczeń Brummage powinien mniej czasu poświęcać zajęciom pozalekcyjnym, przynajmniej dopóki nie uzyska lepszych stopni.

Liczba uczniów w klasie: 31. Wyniki w nauce: na dwudziestym siódmym miejscu. Prawdopodobnie w ciągu dwóch ostatnich semestrów zbyt wiele czasu poświęcał na pracę w szkolnym kółku dramatycznym.

- Niech pan nie sądzi, panie Ashley, że Eddie nie był zdolny. Ale chciał być we wszystkim pierwszy. Jeśli nie mógł, chciał pokazać, że mu na tym nie zależy, i przestawał przykładać się do nauki.
- Rozumiem - odpowiedziałem. Pomyślałem, że ona zachowuje się podobnie. Była z syna bardzo dumna i nie chciała się z tym zdradzić.

150

- Tak samo było z lekkoatletyką. W biegach mierzył potajemnie czasy kolegów i nie brał udziału w wyścigach jeśli nie miał pewności, że zwycięży.
- Dlaczego?
 - Często się nad tym zastanawiałam. Może uważał, że ja i jego ojciec do niczegoś w życiu nie doszli. Osobiście jestem zdania, że szczęście jest największym sukcesem, a my, panie Ashley, byliśmy bardzo

szczęśliwi.

- Czy był dzieckiem skłonny do refleksji? - Miałem nadzieję, że uda mi się ją utrzymać w nastroju skłonny do wspomnień. Niestety, nie udało się. Spojrzała na mnie ostro i powiedziała:
- Czy to ironia?
- Ależ skąd.
- Eddie miałby być skłonny do refleksji? Zaczyna mnie ciekawić ta pana książka, skoro sądzi pan, że taki ekshibicjonista jak mój syn - który odciąłby sobie nos, żeby zdobyć poklask - miałby być skłonny do introspekcji.
- Czy dużo czytał?
- Nic nie czytał poza sztukami, w których grał w szkole, a i to podejrzewam, że czytał tylko swoje kwestie. Raz pojechałam go zobaczyć - nigdy więcej, było to okropne przedstawienie. Był pan kiedyś na przedstawieniu kółka dramatycznego szóstej klasy?
- Nie dotarłem do szóstej klasy.
- Zresztą miał pan na pewno zbyt dużo rozsądku. Dobrym uczniom zwykle nie chce się wygłupiać. Często to obserwowałam. Eddie za wszelką cenę chciał na siebie zwrócić uwagę, a ja to tępiłam. Wiele tu zawinił jego wuj Bernard - nabił mu głowę bzdurami.
- Na tym zdjęciu z „Dicka Whittingtona” to on?
- A on. Mój brat. Zginął podczas bombardowania. Był aktorem kabaretowym. Biedny jak mysz kościelna, ale zwykle w okresie Bożego Narodzenia udawało mu się zagrać w jakiejś pantomimie. Przez wiele lat pracował tylko raz do roku. I kiedyś Eddie wystąpił z nim w tym kostiumie kota. Wtedy się to wszystko zaczęło.

- Była pani w złych stosunkach z bratem?

151

- Z moim bratem wszyscy byli w jak najlepszych stosunkach, a to z bardzo prostego powodu. On nie dopuszczał myśli, że ktoś może być do niego źle usposobiony. Pojawiał się zawsze w porze posiłku - rękawiczki, kamasze, laska, garnitur - sąsiedzi brali go za milionera. Sąsiadka spod czterdziestego drugiego nie chciała wierzyć, że jest moim bratem. I zawsze przed wyjściem udawało mu się pożyczyć parę szylingów! Teatr, teatr, cudowne teatralne życie! Opowiadał Eddie'emu mnóstwo historyjek. Mówił o braterstwie panującym w tym zawodzie. Namawiałam, żeby zaczął naciągać braci i dał spokój siostrze.
- Powiedziała mu to pani w obecności Eddie'ego?
- Inaczej nie miałyoby to sensu. Mało mnie obchodziło, co Bernard robi ze swoim życiem, ale nie życzyłam sobie, żeby przewracał Eddie'emu w głowie. Jeździł do niego do szkoły i opowiadał o swych sukcesach na West Endzie. Kłamał jak z nut. Eddie to po nim odziedziczył. Poczula, że powiedziała zbyt wiele. Obciągnęła sukienkę i zapięła sweter. Wzięła na kolana kota i zaczęła go głaskać tak, jakby chciała obudzić dzina.
- Eddie był zawsze dobrym synem, panie Ashley. Gdyby jego ojciec żył, inaczej by się ułożyło jego życie.
- Ależ, pani Brummage, na pewno połowa matek na świecie zazdrości pani. Wiele by dały, żeby mieć tak sławnego syna! Spojrzała na mnie spod oka.
- Widzę, że pan go bardzo ceni, panie Ashley. Poczulem się głupio.

- Tak, proszę pani. On ma naprawdę wielki talent.
- Czym pana zdobył? „Głosem gołębiczy” czy „Jest czas miłości i czas umierania”?
- Nie rozumiem.
- Wuj Bernard po paru kieliszkach deklamował zawsze fragment Biblii przekręcając słowa. Czy Eddie też przekręca tekst? Hm, pewnie nie zna pan na tyle Biblii, żeby się móc w tym zorientować.
- Dla mnie może się mylić. I tak mówi to cudownie.
- Ja wolę „Zimę naszych rozczarowań” - powiedziała.
- Poproszę, żeby mi ją zarecytował.

152

- Widzę, że pan, panie Ashley, jest też opętany teatrem.
- Nazywam się Anson. I nie jestem opętany teatrem, pani Brummage. Za to pani okazuje kompletny brak zrozumienia dla tego wszystkiego, co stanowi życie Eddie'ego.
- Nie oszuka mnie pan. Połknął pan tego teatralnego bakcyła. - Zaśmiała się kpiąco. - Znam się na tym. Zapomina pan, że jestem matką słynnego Marshalla Stone'a.

Był to gorzki śmiech. Powiedziałem:

- Pewnie czasem czuje się pani osamotniona.

Spojrzała na mnie ostro. Widać wyczuła w moim tonie coś, co się jej nie spodobało.

- Nie przyszło pani na myśl zaadoptować dziecko tej małej Reinbow?
- Proszę wyjść!

- Czemu pani się gniewa? Co panią obchodzi Edgar Nicol-son?
- Nie powinien był pan tego powiedzieć, panie Anson.

8

Obaj żyją w fikcyjnym, wywróconym do góry nogami, obłąkanym świecie. Moje normy moralne nie mają nic wspólnego z ich normami. Powinien ich osądzać człowiek, który zna ten wymyślony świat.

Sędzia Harrison (proces Vidor contra Cohn)

Japońskie drogowskazy, budki strażnicze i część wojskowej wartowni przyniesione tu z dachu domu w Notting Hill przekształciły tę część londyńskich doków w Okinawę czasów wojny. Wyglądało to dosyć przekonywająco dla kogoś, kto - tak jak scenograf - nigdy tam nie był. Z drugiej strony wody widać było dźwig i stary węglowiec. Oprócz tego węglowca, który stał już tutaj na kotwicy od miesiąca i nie oczekiwano, by wkrótce odpłynął, ekipa dysponowała - za sto pięćdziesiąt funtów dziennie - przybrzeżnym dziewięćsettonowym statkiem, na którym namalowano japońską nazwę, udekorowano flagą wschodzącego słońca i działem z rekwizytorni. Z tyłu stał holenderski ośmiotysięcznik. Pochodził z tamtych czasów i Preston - rad z tego bezpłatnego daru losu - włączył go do paru sekwencji. Teraz tego żałował. Zaczęto go ładować i Preston patrzył niespokojnie, koncentrując całą siłę woli, by spowodować jakies opóźnienie.

Preston zreformował swój wizerunek, zniknęła opaska wyszywana paciorkami i afgański kaftan. Miał na głowie beret Che Guevary, kurtkę od munduru i wojskowe buty ozdobione jaskrawożółtymi sznurowadłami.

Bezczynność demoralizuje każdą ekipę. Richard Preston wiedział o tym i

wymyślił parę ujęć. Ekipa posłusznie wykonywała każde zlecenie, ale Nicolson i Preston wiedzieli, że robi to z czystej uprzejmości.

- Jeśli ten skurwiel nie pojawi się tu do obiadu, możemy zwijać manatki. - Preston przyłożył do oczu wizjer i skadrował Nicolsona. Potem rozejrzał się po dokach.

Jeden z wielkich okrętów przygotowywał się do odpłynięcia.

154

Preston pomyślał, że przy montażu przyda mu się ujęcie z wyciąganiem kotwicy. Powiedział o tym operatorowi. Wrócił do Nicolsona. Ekipa śledziła ich rozmowę. Nie dało się ukryć faktu, że obaj byli zdenerwowani. Edgar Nicolson postanowił nie szukać pociechy w alkoholu, ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wypalił pięćdziesiąt papierosów, niedopałki znaczyły jego drogę, rzucał je jak konfetti.

- Przysięgał, że się stawi punktualnie - powtarzał po raz setny Preston.
- Pewnie poleciał do Paryża na premierę „Wyroku cesarza” - powiedział Nicolson. - Lubi takie rzeczy.
- Jak się tu pojawi, ekipa gotowa go zlinczować. - Preston potrząsnął głową, jakby chcąc opanować wściekłość.

Na Nicolsona wpłynęło to kojąco. Bezsilne miotanie się chłopca dostarczało mu perwersyjnej przyjemności.

- Zlinczować? Co ty wygadujesz? Nie masz oczu? Ekipa gotowa jest całować ziemię, po której stąpa Marshall Stone.
- Stąpa nie omijając ludzi!
- Uwielbiają go nawet ci, po których depcze. I tylko dlatego tolerują ciebie i mnie. Marshall Stone zna wszystkich członków ekipy lepiej, niż my ich kiedykolwiek poznamy. Wie, ile lat ma każde dziecko i co dolega żonie.

Wie z kim pogadać o filmie, a komu opowiedzieć pieprzny kawał. Nie, mój mały, wiele się jeszcze musisz nauczyć. Kiedy Stone raczy się wreszcie pojawić, powita go entuzjastyczne hurra, a w dodatku ekipa złoży się i kupi mu w pożegnalnym upominku kryształową karafkę.

Preston walnął pięścią w japoński drogowskaz i kopnął riksę.

- A co więcej, Rich, kiedy Stone się pojawi, ty także dołączysz do powitalnych okrzyków. Będziesz się z nim obchodził jak z jajkiem. Bo inaczej następnego dnia znów zniknie i z filmu nici!
- Mam dosyć tych kretyńskich sztuczek. Jeśli nie pojawi się do południa, musisz coś zrobić!

Wóz Nicolsona miał na przedniej szybie filmową plakietkę, szofer mógł więc wjechać na teren doków i zabrać go ze stanowiska kamery. Nicolson wsiadł, opuścił szybę i poradził Prestonowi:

155

- Zaczekaj jeszcze parę godzin. Kto wie? **Może nie** spodało mu się w Paryżu.

Jeśli Paryż to orgazm, Londyn jest postcoitalnym smutkiem. Kiedy Jasper zabrał ich z lotniska, padał deszcz. Suzy siedziała w kącie auta wpatrując się w mikroskopijne plamki wina na swej gabardynowej spódnicy od Ungaro. Stone siedział w drugim kącie, zżerany nieuchronnymi wątpliwościami. Czy trafnie osądza Bookbindera, Hanratty'ego, scenariusz Belmon-ta i czy naprawdę wie, czego chce.

Wyciągnął rękę. Suzy przez chwilę udawała, że nie widzi jej na swoim kolanie. Potem odsunęła się, a Stone cofnął rękę i udał, że szuka portfela. Suzy zrozumiała, iż trzeba rozpocząć rozmowę.

- Wiesz, czego życzy sobie Richard? - Jej miś siedział dotąd w podróżnej torbie, teraz wyjęła go i przytuliła do siebie.
- Czego?
- Uważa, że mam zbyt niskie czoło.
- No i co?
 - Można je podwyższyć. Za pomocą wosku albo elektryczności.
- Myślisz o elektrolizie, kochanie.
- Co o tym sądzisz? - Ściągnęła do góry włosy.
- Bzdury.
 - Spytałam się Lea Koolmana. Jego najlepszy charakteryzator spreparował tak moją fotografię. Leo mówi, że wyglądam wspaniale.
- Co tam Leo wie...
- Val także tak uważa.
 - O, jeśli ta wielka międzynarodowa supergwiazda też tak uważa, to oczywiście ruszaj do dzieła!
 - Val i ja mamy razem zagrać - powiedziała szybko. Ilekroć Stone okazywał zniecierpliwienie, zaczynała paplać. Bała się go. Bała się tej jego nedorzecznej zaborczości. Kiedy Stone namówił Nicolsona, by powierzył jej rolę w „Konfidencie”, gazety rozpisywały się o romansie - nowa miłość Stone'a! I Stone zaczął się zachowywać bardziej jak zazdrosny kochanek niż jak troskliwy ojciec. Mogło to wywołać komentarze,

156

czuła się bardzo niepewnie. Marzyła, by znów rozpoczął jeden z tych swoich słynnych romansów. Przedstawiała mu wiele pięknych dziewczyn,

ale nie zwracał na nie uwagi. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie dobiera się do niej po to, by ukryć swą impotencję. Penelopa twierdziła, że jest „ukrytym pedziem”, a Penelopa miała największe doświadczenie ze wszystkich znanych Suzy dziewczyn.

- W jakim filmie? Odłóż tego cholernego niedźwiedzia.
 - Mam być żoną astronauty, który ugrzązł w kosmosie. Jest tam parę dobrych scen. - Położyła misia na podłodze.
- Ano, rób co ci każe Val. - Stone kopnął misia.

• Dlaczego mówisz takim dziwnym tonem? Nie kop go!

- Jakim? - Stone posadził misia i poklepał go serdecznie.

Spojrzeli na siebie. Już przedtem w swych rozgrywkach

często posługiwali się misiem. Stone wyładowywał na nim zazdrość, Suzy pieszcząc go objawiała potrzebę serdeczności. W małżeństwie taką rolę odgrywają często dzieci.

- Jakbyś chciał mi dać coś do zrozumienia.

- Trzyletnie dziecko nie miałoby wątpliwości. Somerset w scenach z tobą bynajmniej nie będzie próbował ci pomóc.

• Ach, ty świnió! Stone zachichotał.

• A ty sądzisz inaczej?

- Przecież nie namawia mnie, żebym **sobie podwyższyła** czoło po to, by mnie oszpecić!

Stone milczał.

• Chce mnie oszpecić?

• Jak będziesz w filmie tyle czasu co ja, to dowiesz się, do czego ludzie są zdolni.

Poprawiła włosy, starając się przejrzeć w szybie samochodu.

- Myślisz, że nie powinnam ruszać czoła?
 - Jakoś ci dotąd, kochanie, nic nie przeszkadzało. Robisz karierę.
- Dzięki tobie.
 - Dzięki swojej własnej urodzie i talentowi. - Stone zgasił światło i objął ją ramieniem. Suzy przytuliła się do niego, a on zaczął ją całować. Poczowała, że nastąpił odpowiedni moment i szepnęła:

157

- Ten facet od reklamy, Bud Short, chce rozpocząć kampanię prasową o mnie i o Valu.
- A mianowicie?
 - No wiesz, młodzi zakochani itd. Bud uważa, że to dopomoże mojej karierze.
- Tak - powiedział Stone. - Bardziej niż ja.
 - Nie, kochanie. Kochanie, kochanie, kochanie. Byłeś **dla** mnie wspaniały. Wszyscy wiedzą, ile dla mnie zrobiłeś.
- No, to co teraz wymyślili?
 - Pokażą dwie młode gwiazdy Nowego Kina, które się w sobie zakochały. Ja będę utrzymywać, że nie dbam o karierę, byle być z nim, i oboje zaczniemy dużo pleść o tym, jak staramy się dobierać filmy tak, żebyśm nie musieli się rozstawać...
 - A potem ogłoszą, że zagracie w tym filmie o astronau-tach.
 - No właśnie! - roześmiała się. - Przed tobą nie da się niczego ukryć.
- Strasznie wyświechtane. - Odsunął się od niej.
 - Chcą wydać na tę historyjkę sto tysięcy dolarów. Zatrudnią najlepszego fotografa i reportaż o nas opublikują w czterystu pięćdziesięciu pismach

całego świata.

Marshall Stone odsunął się w kąt. Wciągnął przez zęby powietrze, aż zaświstało. Miało to oznaczać, że jest człowiekiem całkowicie pogrążonym w myślach. Nagle skinął głową i zwrócił się do Suzy.

- Pójdź na to, kochanie. Może ci się to przydać.
- Naprawdę tak uważasz?
- Tak, kochana.
 - Jesteś pewien, misiu? - Poglaskała Stone'a po twarzy i zajrzała mu w oczy, sprawdzając, czy nie pojawił się w nich smutek.
 - Zrobię, co powiesz. Dla żadnej kariery nie zgodziłabym się poświęcić naszych stosunków. Przecież my... - głos jej zadrżał. Kiedy po chwili znów się odezwała, spytała cicho i bardzo poważnym tonem:
- Jesteś pewien?

Stone poklepał ją po ręce.

158

- Dałbym bardzo wiele, żeby twoja matka żyła... To wszystko moja wina... Ten przeklęty zawód pochłonął całe moje życie...

Chciała się spytać, jak się to stało, ale wiedziała, że nic więcej nie powie. Uścisnęła jego dłoń.

- My, kochanie, jesteśmy teraz dla siebie najważniejsi.
- O tak, Marshall.
- Nie pozwolimy, żeby nam to popsuł ten cholerny zawód?
- O nie! Mówię prawdę, Marshall.
 - Jasper! Jedziemy najpierw do mnie. Potem odwieziesz pannę Delft.

W mieszkaniu Sjtone'a na Mayfair służba czekała w holu. Państwo Patterson - kucharka i lokaj, oraz pani Brooks, sekretarka. Jasper i pan Patterson przynieśli z auta bagaże, kucharkę posłano, by zaparzyła kawę. Stone odprawił panią Brooks z tacą pełną listów.

Pani Angela Brooks dobrze знаła Stone'a. Wiedziała, dokąd pójdzie. Do swojej „hinduskiej” ubieralni. Była to jego ulubiona kryjówka. Stały tam jaskrawo pomalowane czerwone i zielone hinduskie meble i złocisty posąg ze świątyni z filmu „Za górami”. Dywany i parawan Stone kupił na bazarze, gdy nakręcano plenery. Może dlatego tak bardzo lubił tę atmosferę, że film pobił wszystkie rekordy powodzenia. Wielu fanów obejrzało film paręnaście razy, a Stone do dziś otrzymywał pełne zachwyty listy.

Wziął prysznic i ustawił wysokie lustra tak, by móc siebie widzieć ze wszystkich możliwych stron. Starannie wycierał się ręcznikiem, co chwila przyglądając się, czy nie dojrzy gdzieś plamki lub pryszczka. Potem wykonał parę ćwiczeń gimnastycznych, skłony, przysiady, ruchy ramionami. Tańcząc na czubkach palców odpierał wyimaginowane ciosy szablą. Roześmiał się i z rozchylonymi wargami przyjrzał bacznie w powiększającym lusterku swoim zębom i dziąsłom.

Kiedy był już zupełnie suchy, natarł się wodą kolońską i talkiem. Potem otworzył drzwi wielkiej kupionej w Kaszmirze szafy. Tylne ściana była usunięta, wszedł więc do następnego pokoju. Była to dżungla marynarek i spodni, podszycie stanowiły buty. Dłuższy czas zastanawiał się, co włożyć. Wyjął

159

z szuflady różową koszulę z woalu. Chiński medal na złotym łańcuszku podkreślał opaleniznę. Wyblakłe dzinsy od Douga opinały ciasno wąskie

biodra. Zadowolony odwrócił się od lustra i podszedł do toaletki. Przyczernił tuszem rzęsy. Uważnie skontrolował, jak wygląda cera. Dopiero gdy się upewnił, że wygląda korzystnie, zaczął się zastanawiać nad swymi problemami. Tak było zawsze. Nawet gdy był zupełnie sam, musiał mieć świadomość, że jest w jak najlepszej formie, tylko wówczas potrafił stawić czoło nękającym go problemom i podjąć trudne decyzje. Znowu spojrzął w lustro.

- Ach, ty głupie dziecko - powiedział. - Co za niemądra, niewdzięczna dziewczyna. Ten skurwiel Somerset chce się na pewno z tobą przespać.

Pani Angela Brooks odczekała równo godzinę, nim zadzwoniła.

- Stone. - Siedział za swoim antycznym biurkiem.
- Mówi Angela. Za piętnaście minut ma pan być na planie. Jasper uprzedza, że są korki.
- Nie pojedę tam dzisiaj.
- Czy mam zatelefonować?
 - Tak, mają telefon. Numer jest na scenopisie. Niech pani porozmawia z samym Prestonem.
- Mam powiedzieć, że źle się pan czuje?
 - Że całą noc miałem bóle żołądka. Że chciałem i tak przyjechać, ale pani mi odradziła, bo może to być wrzód albo ślepa kiszka.

Pani Brooks nic nie odpowiedziała.

- Angelo, niech im pani da do zrozumienia, że wbrew mojej woli zatrzymała mnie pani w łóżku.
- Zaraz zadzwonię.

- Cudownie, Angelo. Niech ich pani poczaruje. Jeśli Preston chciałby ze mną rozmawiać, to śpię. Proszę mu powiedzieć, że nie spałem całą noc.
- Czy przynieść panu pocztę?
- Są jakieś scenariusze?
- Trzy.
- To niech je pani przyniesie. Może rzucę na nie okiem.

160

Od razu poczuł się lepiej. Chwała Bogu wytwórnicy, scenarzyści i wariaci wciąż zasypują go scenariuszami. Stos na jego biurku znów urośnie.

Dwadzieścia dwa scenariusze, dotknął ich, to już czwarty raz tego ranka je przeliczał. Reprezentowały pieniądze, talenty, prestiż i władzę. Każdy z nich oznaczał, że kupiono jakiś pomysł, scenarzysta ślęczał nad nim wiele miesięcy, większość przerobiono potem albo wręcz napisano od nowa. Każda z tych cienkich teczek oznaczała rok pracy pisarza, dobrze opłaconego przez producenta, który tylko wówczas odzyska swe pieniądze, gdy znajdzie gwiazdę.

Stone nakręcił zastrzeżony numer Weinbergera. Weinberger natychmiast podniósł słuchawkę, pod ten numer dzwonili tylko jego klienci.

- Winiaczek?
- Jestem przy telefonie.
 - Mówi Marshall. Jesteś zajęty? Chciałbym z **tobą chwilę** pogadać.
 - Dla ciebie zawsze mam czas. Przecież wiesz, Marshall. - Weinberger ruchem ręki odprawił sekretarki, ale dał znak prawnikowi, z którym klauzula po klauzuli przyglądał jakiś kontrakt, żeby został.
- Widziałem się wczoraj z Bookbinderem.

- Co? „Człowiek z pałacu”?
 - Ano tak. Dopadł mnie w restauracji. Wiesz, jak to jest. Nie potrafię nikogo odprawić z kwitkiem. To nie leży w mojej naturze. - Zaczekał chwilę, ale agent milczał. - A zresztą to by było niepolitycznie - dorzucił.
 - Co ty mu właściwie powiedziałaś, Marshall? - Weinberger szybko się poprawił: - Czy powiedziałaś coś, z czego on mógłby wywnioskować, że się zgadzasz?
- Stone roześmiał się.
- Przecież nie urodziłem się wczoraj, Winiaczku. Siedzę w tej branży od blisko trzydziestu lat.
 - Czy ktoś był przy tym obecny?
 - Bookbinder nic się nie zmienił, trudno go zbyć byle czym. Więc przyszło mi na myśl, że dobrze będzie, jeśli do niego napiszesz i potwierdzisz, że chętnie przeczytam scenopis. I opatrzysz to swoimi uwagami, żeby nie mógł sobie za wiele

161

wyobrażać. Tak będzie bezpieczniej. Lepiej mieć wszystko na piśmie.

- Kto był przy tej rozmowie?
- Tylko jego żona.
- Okay, Marshall, napiszę. Czy naprawdę ten „Człowiek z pałacu” tak cię interesuje?
- Zlituj się, Winiaczku, leży tu u mnie parę tuzinów scenariuszy, jeszcze nie przeliczyłem, po co mi Bookbinder? Chyba że będzie gotów zapłacić... Obiecałem mu tylko, że przeczytam scenopis. Ciekaw jest

moich uwag.

Pani Brooks informowała Weinbergera o wszystkich scenariuszach, które otrzymywał Stone. Toteż Weinberger wiedział, że większość z nich pochodzi od dramaturgów, wielbicieli Stone'a, którzy wokół jego postaci skonstruowali jakąś historyjkę - mając nadzieję, że pokaże ją producentom. Cztery scenariusze były kopiami maszynopisu, widać tych pisarzy nie było stać na ksero. Siedem wyglądało na mocno sfatygowane, zapewne już dawno krążyły z rąk do rąk. Ostatnio nadeszły cztery, z którymi można było wiązać pewne nadzieje. Weinberger już się skontaktował z ich autorami. Powiedział:

- Okay, Marshall, zrobię to.
 - Musimy się wkrótce spotkać i zjeść razem kolację. Tylko my dwaj, jak za dawnych dobrych czasów.
- Już się na to cieszę.
- W najbliższych dniach...
 - Świetnie - zgodził się Weinberger i dał prawnikowi znak, by położył na biurku następną stronę kontraktu.
- Co, Winiaczku, może w przyszłym tygodniu?
- Kiedy zechcesz.
 - No, to będziemy w kontakcie. I dziękuję ci z góry za ten list. Do widzenia.

Ledwie Stone skończył mówić, usłyszał brzęczenie domowego telefonu. Była to pani Brooks.

- Proszę pana, strasznie mi przykro, ale pan Preston nalega, żeby z panem pomówić osobiście.
- Nie powiedziała mu pani, że jestem chory?

- Był wręcz niegrzeczny!
- Co powiedział?

162

- Wolałabym nie powtarzać.
- Co mówił o mnie?
 - Że nie wierzy w pana chorobę. Nalega, żeby pan natychmiast przyjechał.
- Proszę go ze mną połączyć.

Stone przetarł ręką twarz, przejrzał się w lustrze i dotknął srebrnej oprawki, w której stało jego zdjęcie z Chaplinem. Człowiek, który fotografuje się z Chaplinem, nie może dopuścić, żeby rządził nim dwudziestojednoletni reżyser kręcący pierwszy film.

- Marshall Stone? - Głos Prestona brzmiał szorstko i gniewnie, takim tonem sierżant wydaje rozkazy swym podkomendnym. Stone był ciekaw, czy Preston ma słuchaczy.

- Richard! Cieszę się, że cię słyszę. Zbił chłopca z tropu.
- Marshall, podobno jesteś chory?
- Bardzo źle się czuję, Rich.
- Widział cię lekarz?
- Nie. To nic nowego. Znowu zatrucie pokarmowe.
- Co ty opowiadasz! Jakie zatrucie?
- Zatrucie pokarmowe, panie doktorze Preston.

- Nie wygłupiaj się, Marshall. Próbuję zrobić film i mam dosyć kłopotów bez takich zagrywek!

- Czy można wiedzieć, czego sobie życzysz?
- Żebyś natychmiast pojawił się na planie i żebyś do soboty zdążył sfilmować ten cholerny japoński skład. W poniedziałek okręt odpływa i trzeba by powtarzać połowę zdjęć.
- Ależ, Rich, plan zdjęć Edgara powinien przewidzieć taką ewentualność.
- Edgar ułożył plan dla profesjonalistów, a nie dla zwariowanych hipochondryków!
- Masz na myśli mnie?
- Dlaczego dziś rano nie wezwałeś lekarza? Dlaczego nas natychmiast nie zawiadomiłeś? Co ty sobie...
- Pozwól, że udzielę ci dobrej rady - powiedział bardzo uprzejmie Stone. - Jeśli masz zamiar pracować w tej branży - a zapewne wiesz, że w biurze pośrednictwa pracy czeka wielu geniuszów, którzy nakręcili jeden film - to musisz się

163

jeszcze bardzo dużo nauczyć. Czy nie dotarło jeszcze do ciebie, że w każdej chwili mogę sprawić, że tego filmu nie będzie? Mogę ciężko zachorować nie wtedy, kiedy filmujesz w dokach, ale podczas zdjęć w plenerze, gdy cała ekipa będzie mieszkała w hotelach... Mogę co dzień pojawiać się o parę minut później, aż...

- Chwileczkę, Marshall.
- Co to za historia, że Val Somerset ma zagrać amerykańskiego generała zamiast Maxa Georga? Val jest jednym z moich najlepszych kumpli, żyjemy z sobą jak bracia.

Preston coś mruknął.

- Gdybyś się w niedzielę tak nie spieszył, spotkałbyś się z Valem, który przyjechał do mnie na obiad. Chryste Panie, Dickie, gdyby Val wiedział, jak ty się do mnie odnosisz, to byś nie uszedł z życiem. Val jest wspaniałym kumplem. Przejął się tą historią z Maxem Georgem. Pytał mnie, co usiłujesz zмайstrować.
- Marshall...
 - Ty powinieneś mówić raczej: panie Stone. Bądź uprzejmy mnie wysłuchać. Czy wiesz, ile razy dziennikarze prosili mnie, żebym skomentował fakt, że ja pracuję w tej branży całe życie, a ty robisz swój pierwszy film? Czy wiesz, że obecnie na każdym kroku towarzyszy mi pisarz, który chce wydać historię mojego życia? Pomyśl, co mogę mu o tobie opowiedzieć!
- Marshall...
 - Panie Stone, powiedziałem. Jeśli szepnę słówko przyjaciołom - aktorom i producentom - to równie dobrze możesz się uważać za umarłego, a o twoim filmie nikt nigdy nie usłyszy ani słowa. Jestem chory. Przyjadę, gdy się poczuję lepiej. Odpieprz się.

Stone rzucił słuchawkę, obserwując się w lustrze. W ten sposób wiele się można nauczyć.

Ryszard Preston odłożył słuchawkę tak, jakby był w niej ukryty ładunek dynamitu. Przez ostatnie parę dni ekipa miała do rozporządzania tylko ten telefon przy wadze pomostowej. Zajmował się nim goniec i czwarty asystent. Odnowiono budkę. Pomalowano ściany na białą, wniesiono stolik i krzesła, elektryczny czajnik, elektryczny piecyk i eleganckie biurko.

były w tym starym domu w Notting Hill. Preston spojrział i nakręcił numer.

- Edgar?
- Halo, Richard. Wszystko w porządku?
- Ten skurwiel nie przyjechał.
- Dzwoniłeś do niego do domu?
- Mówi, że jest chory.
- Może jest.
- Równie dobrze może być w ciąży.
- Nie umiesz z nim postępować.
 - Uważasz, że jestem gruboskórny? Więc co mam robić - całować go w tyłek za to, że pieprzył mój film?
- Nie możesz robić przebitek?
 - Przebitek! A jak myślisz, co robiłem od poniedziałku rano? Słuchaj, Edgar, ty chyba nie pamiętasz, że dziś w nocy musimy zburzyć ten japoński skład. A przedtem muszę zrobić plan ogólny i parę zbliżeń Stone'a na jego tle. Czyli dziś nie możemy się obyć bez Stone'a, jeśli nie mamy ochoty powtarzać wszystkich zdjęć, na których widać było ten holenderski frachtowiec.
- Porozmawiam z nim.
 - Porozmawiasz? To trochę mało. Może byś wymyślił coś lepszego?
 - Przestań, Rich. Sam doprowadziłeś do tego kryzysu, a teraz chcesz, żebym to ja znalazł rozwiązanie.
 - Musi tu być przed piętnastą trzydzieści, bo będziemy mieć godziny nadliczbowe.

- Porozmawiaj zaraz z przedstawicielami związków o godzinach nadliczbowych. I radzę ci zachować zimną krew. Nie takim rzeczom trzeba stawić czoło, jak się robi filmy, popytaj się ludzi, którzy się tym zajmują od ćwierćwiecza!
- Aha. Tak, Edgarze. Ale coś ci powiem. Gdy wracam do domu i włączam telewizję, i oglądam filmy, które ci ludzie zrobili, to myślę sobie, że mądrzej byłoby radzić się takich, co ostatnie dwadzieścia pięć lat przesiedzieli beczynn timer na tyłku.

Edgar Nicolson zachichotał.

- Tak to właśnie jest, Rich. Zrobisz jeden zły film i odsądzą

165

cię od czci i wiary. A kiedy przez dwadzieścia pięć lat będziesz robił dwa złe filmy rocznie, to zaczną wypisywać na twoją cześć peany w „Sight and Sound”.

- Co za kloaka!
- Trochę rozsądka, Richard.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
 - Że powinieneś pogodzić się z rzeczywistością. Wiesz, Richard będę z ciekawością śledził twoją dalszą karierę. Nigdy dotąd nie byłem przy narodzinach filmowego geniusza.
- Musi tu być o trzeciej!
 - Jeśli rozmawiałeś z Marshalllem takim tonem jak ze mną, to niewykluczone, że o trzeciej film będzie już miał innego reżysera.
- Odpieprz się - zawołał Preston i odwiesił słuchawkę. Edgar Nicolson

westchnął.

- Czy mamy prywatny numer Lea Koolmana? - spytał. Sekretarka zajrzała do notatnika w torebce, który zawierał takie ściśle poufne informacje. Odczytała go głośno, ale uważając, by nie było jej słychać w sąsiednim pokoju.

- Dobra.

Weinberger nazwał gabinet Koolmana „wczesnym Disneylandem”. Nawet sam Koolman przyznawał, że urządzone jest w stylu „nowoczesnego Hollywoodu”. Dzieła sztuki i antyki były autentyczne, choć wcale na to nie wyglądały, bo dwie ściany pokryte były błyszczącym, powyginanym srebrzystym metalem, człowiek czuł się jak we wnętrzu pokierszowanej puszkii. Za biurko służył antyczny dębowy stół, w który wpuszczono telefony. Za abstrakcyjnym obrazem znanego twórcy ukryty był telewizor, regał z autentycznymi książkami otwierał się i wchodziło się do niewielkiej łazienki.

Koolman był z niej szczególnie dumny i pokazywał ją niemal każdemu gościowi. Ściany były pomalowane na czarno, sufit na szaro. Wanna i umywalnia były także szare, ręczniki pomarańczowe, padało na nie światło maleńkich reflektorków i wszędzie płaśały pomarańczowe kropki. Kiedy ktoś stawał przed umywalnią, automatycznie włączało się światło, bateria promienników podczerwieni między wanną a prysznicem na-

166

grzewała przestrzeń przed szafą. Ta ogromna szafa zadziwiała gości, bo Koolmana widywało się zazwyczaj w ciemnym jednorzędowym garniturze i jedwabnej koszuli. Zdania były podzielone, część osób twierdziła, że nigdy

go nie zmienia, część utrzymywała, że parę razy na dzień przebiera się w identyczny garnitur. W lutym 1968 roku oświetleniowiec nazwiskiem de Wit usiłował rozwiązać zagadkę i kapnął na rękaw Koolmana białą farbą. Koolman zauważył to i z miejsca go wyrzucił. Potem już nigdy nie udało mu się znaleźć w pobliżu Koolmana.

W gabinecie Koolmana znajdowało się wiele tajemniczych przyrządów. Nie ruszając się z fotela mógł wprawić w ruch zdalnie sterowany polaroid i magnetofon. Kiedy naciskał butem guzik pod fotelem, przy telefonie jego sekretarki zapalało się czerwone światelko. Tego ranka wielokrotnie naciskał ten przycisk. Od chwili gdy Edgar Nicolson powiadomił go o sytuacji, sekretarka co dziesięć minut próbowała połączyć go ze Stone'em. Doszła do wniosku, że Stone odłożył słuchawkę. Miała rację.

O dwunastej trzydzieści pięć Koolman oświadczył:

- Proszę odwołać mój lunch. I podać szoferowi adres Marshalla Stone'a. W pół godziny po moim wyjeździe zawiadomi pani Weinbergera, że pojechałem odwiedzić jego chorego klienta.
- Na pewno spyta się po co - zauważyła Minnie White. Ta krucha, zbliżająca się do pięćdziesiątki kobietka była londyńską sekretarką Koolmana. Widząc ją w kolejce do autobusu odnosiło się wrażenie, że za chwilę gotowa zemdleć. Ale Minnie White była twardą babką, tak jak wszyscy pracownicy na Wardour Street.

Koolman zapiął marynarkę i poprawił krawat.

- Żeby mu zanieść winogrona.

Minnie White uśmiechnęła się, a zdarzało się to rzadko.

Koolman nie tyle wszedł, co wtargnął do mieszkania Stone'a. Odsunął siłą Jaspera i wpadł do salonu. Stone jak oparzony zerwał się na nogi.

- Leo! - zawołał nieco zbyt głośno. - Leo, jak miło cię zobaczyć.

167

Otworzył ramiona gestem z „Niebezpiecznych ulic Damaszku”. Gest ów do dziś zachwycał facetów od reklamy. I konstruowali wokół niego całą kampanię. Opalony, ponadnaturalnej wielkości Stone z rozpostartymi ramionami stał na Times Square, a na innym plakacie zajmował cały fronton kina na Leicester Square.

Leo skinął głową.

- Zostań na obiedzie, Leo - zaproponował Stone. - Nigdy nie mamy czasu pogadać. Powinniśmy się częściej widywać, nie tylko w interesach, ale dla przyjemności.

Leo mruknął coś, usiadł i wzrokiem komornika rozejrzał się po meblach, głęboko przeświadczony, że zostały kupione za jego pieniądze. Stone zapragnął, by Leo uśmiechnął się, okazał mu ciepło i współczucie. Nachylił się i poklepał Lea po ramieniu.

- Świetnie wyglądasz.
- Ty także, Marshall.

- To dla polisy ubezpieczeniowej! Koolman uśmiechnął się zwycięsko.
- No, to dlaczego nie jesteś na planie?
- Znów dostałem tych cholernych boleści.
 - Ja też. Jakby mnie ktoś dźgnął sztyletem w plecy. Wiesz, **jak** to boli, Marshall?
 - Co ty chcesz przez to powiedzieć, Leo?

Koolman odpowiedział cicho, cedząc każde słowo:

- Chcę powiedzieć, że p ł a c ę ci za grę w filmie. Płacę kupę forsy. Cały film będzie mnie kosztował o sto tysięcy mniej niż twoja gaża. Twój reżyser, kierownik produkcji i pięć osób ekipy siedzą beczynnienie, bo ty dostałeś boleści. Oni przyszli do pracy, choć też chorują, mają kupę zmartwień, psują im się auta, a dzieciaki drą się po w nocy i nie dają spać. Ci ludzie przyjechali do pracy pociągami, autobusami, kolejką podziemną i teraz czekają... - Nagle Koolman zaczął krzyczeć: - ...czekają na ciebie! - Stone skrzywił się. - Bo rzekomo dostałeś boleści!

Stone roześmiał się nerwowo, jak ktoś, komu nie zdarzyło się jeszcze, by powątpiewano w jego słowa.

- Na litość boską, Leo. Co ci się stało? Czemu krzyczysz?

168

Mam znowu te gastryczne przypadłości, zostało mi to z czasów wojny.

- Czy w twoim kontrakcie jest mowa o gastrycznych przypadłościach? Czy twój agent zastrzegł, że jego klient będzie pracował tylko w takie dni, gdy nie będzie miał przypadłości gastrycznych? Czy ja może mniej płacę aktorom z takimi przypadłościami? I czy badania lekarskie przed rozpoczęciem filmu mówiły coś o wadliwym działaniu przewodu pokarmowego?
- Zachorowałem w czasie wojny - tłumaczył Stone. - Teraz zdarza mi się to rzadko... raz na parę lat.
- Kiedy oglądał cię lekarz?
- Przecież ja wiem, co mi jest, Leo. - Stone roześmiał się. - Dobrze

wiem. Mam jeszcze pigułki zapisane mi podczas ostatniego ataku.

- Gdzie je kupiłeś? W drogerii na Saint Germain?
- Paryż nie ma nic wspólnego z moją chorobą. - Stone okręcił sygnet na palcu lewej ręki.
- Owszem ma, ty smrodzie.
- Nie mam zamiaru wysłuchiwać obelg. - Stone odwrócił się, ale Koolman chwycił go za ramię.
- Wysłuchasz wszystkiego, co zechcę ci powiedzieć, pętaku. Zerwałeś już kontrakt, więc nie narażaj mi się, nim zdecyduję, co z tobą zrobić.
- A co możesz mi zrobić? - roześmiał się Stone.
- Poleciałeś do Paryża bez pisemnej zgody producenta. Czy wiesz, co na to powie towarzystwo ubezpieczeniowe? Gdyby samolot się rozbił, musiałoby zapłacić wytwórni ponad milion dolarów, bo trzeba by od nowa kręcić film z inną gwiazdą.
- Bardzo mi przykro, Leo.
- Bez tych umizgów. Zanim do ciebie przyjechałem, przeczytałem twój kontrakt. Ty też powinienesz być go przeczytać przed podpisaniem.
- Jestem chory, Leo.
- A jesteś. Ale tu nie miejsce, żeby dochodzić, co ci jest. Radzę ci pójść do dobrego psychiatry. - Teraz w jego tonie pojawił się ton pogrożki. - Bądź uprzejmy przyjąć do wiadomości, że moja sekretarka zawiadomiła lekarza towarzystwa

169

ubezpieczeniowego, że będę go prawdopodobnie potrzebował.

Prawdopodobnie. Jeśli wezwę go tutaj, żeby ciebie zbadał, nie będzie cię

trzymał za rękę i błagał o autograf jak ten stary pedał z Harley Street, do którego zwykle chodzisz. To cwany twardziel. Jeśli stwierdzi, że jeszcze oddychasz, to powie swemu towarzystwu, że dla kaprysu nie pojechałeś na plan. - Koolman zaśmiał się złowieszczo.

- No i co?
 - No i potem żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie zgodzi się ubezpieczyć twojego filmu. Złe wiadomości rozchodzą się lotem ptaka. Nikt nie będzie chciał się ciebie dotknąć. Rozumiesz, Marshall?
- Może do popołudnia mi się polepszy...
 - No właśnie! - wykrzyknął Leo Koolman tonem nauczyciela zadowolonego z pojętności ucznia. - Pojedź po obiedzie na plan. Jeśli źle się czujesz, pracuj tylko pół dnia. Rób przerwę na obiad. Szybko przywykniesz. Większość ludzi postępuje tak całe życie, zamiast harować tylko od czasu do czasu, za to bez wolnej chwili.
 - Po tym filmie, Leo, już nigdy nie będę dla ciebie pracował. Na następnym walnym zebraniu możesz to oświadczyć swoim akcjonariuszom.
 - To pewne, mój mały - odparł Koolman. - Ale nim to zebranie nastąpi, może się zdarzyć, że już w ogóle nie będziesz pracował.
 - Będziesz inaczej śpiewał, jeśli dziś po południu zemdleję na planie...
 - No jasne, Marshall. Zemdlej na planie, a towarzystwo ubezpieczeniowe bez problemów wypłaci mi całą sumę.

Marshall Stone pojawił się w londyńskich dokach o drugiej dwadzieścia siedem po południu. Jasper jechał za luksusową furgonetką. Przysyłano ją po Stone'a w ramach kontraktu, na podstawie którego otrzymał milionów

dolarów, obietnicę 4 procent od zysku i pobierał tysiąc dolarów tygodniowo jako zwrot bliżej nieokreślonych kosztów własnych. Dwór Stone'a czekał na niego z nadmuchanymi poduszkami, najnowszym numerem „Yariety”, ploteczkami i chłodzonymi napojami.

170

Garderobiani przygotował kostium. Brytyjski mundur polowy z rozerwanym rękawem i zabłoconymi spodniami był jednym z trzech identycznych, podartych i zabłoconych w tym samym miejscu, tak że Stone mógł się w czasie zdjęć przebierać. W przyczepie wisiał jeszcze jeden, w którym kaskader miał w przyszłym tygodniu wpaść do rzeki.

Kiedy Stone się przebrał, przeszedł do następnej przyczepy, gdzie znajdowała się świetnie wyekwipowana charakteryzator-nia. Usiadł na krześle, a charakteryzator spiął jego długie włosy na czubku głowy, żeby nie wystawały spod kapelusza. Siedział cierpliwie, przymykając oczy i napinając usta zgodnie ze wskazówkami charakteryzatora. Szminka numer pięć i numer dziewięć, tusz, którym przyciemniono wąsy, jasny puder.

Stone pojawił się na planie osiem po trzeciej. Na dublerach wypróbowano już światło, asystent operatora zmierzył natężenie światła w stopoświecach. Asystent reżysera narysował kredą znaki wokół nóg dublerów. Często oceniano aktora według jego umiejętności zatrzymania się w odpowiednim miejscu bez zerkania w dół. Jeśli źle wypowiedział linijkę dialogu, dawało się to naprawić w postsynchronach, jeśli źle stanął - trzeba było powtarzać ujęcie.

- Marshall! - zawołał Richard Preston. - O Jezu, przyszedłeś. Nie powinienes.

Stone uśmiechnął się niepewnie. Preston wziął go za ramiona i spojrzał

mu w oczy, jakby chciał z nich wyczytać tajemnicę tego osiągnięcia. Pewnie mu się to nie udało, gdyż go uściskał. - Tylko supergwiazda potrafi tak postąpić! Wstałeś z łóżka wbrew zaleceniom lekarza!

- Przedstawienie musi toczyć się dalej - pisał Stone przedrzeźniając Judy Garland.

- Przynieście panu Stone'owi czterocalową skrzynkę! - zawołał Preston.

Stone już dawno przestał się przejmować tym, że kiedy ma być zdejmowany na tle aut, drzwi i innych aktorów, trzeba sztukować jego wzrost. I teraz tylko się ucieszył, że reżyserowi zależy, by wypadł bardziej imponująco. Kiedy miał być plan ogólny, pomniejszono drzwi dekoracji, a riksza w tej sekwencji też została zminiaturyzowana.

171

Preston objął Stone'a ramieniem i zaprowadził na pierwszą pozycję szepcząc słowa zachwytu. Przy wysokim, chudym chłopaku aktor wyglądał jak karzeł.

- Pierwsze ujęcie - zawołał asystent. - Nie będziemy powtarzać! -
Dublerzy zniknęli, dwunastu statystów zajęło miejsca.

- Kamera! Drugi plan! Akcja!

Stone skradał się zbliżając do miejsca, gdzie sześciu japońskich żołnierzy ładowało skrzynie.

- Japończycy! - wrzasnął Preston. - Te skrzynie są ciężkie!

Japońscy żołnierze zaczęli się poruszać wolniej i ciężko dysząc podnosząc te puste tekturowe skrzynie. Kamera jechała za Stone'em.

Wszyscy obserwowali, jak czołga się Stone. Udawał, że widzi, co jest za rogiem. Nagle podniósł się na nogi, zrobił krok naprzód i skamieniał z przerażenia. Stał dokładnie tam, gdzie były znaki i gdzie kamera miała

zrobić zbliżenie.

- Stop! Do wywołania! - zawołał Preston. Scena nie wy padła tak, jak ją sobie wyobraził, ale uległ atmosferze melodra matu. - Genialnie, Marshall! - Wskazał go ręką ekipie. - Ten człowiek powstał dla nas z łoża boleści! - zawołał i zaczął klaskać. Zawtórowali mu wszyscy obecni.

Edgar Nicolson i jego zastępca, który współpracował już z nim przy pięciu filmach, spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Zastępca Nicolsona dobrze wiedział, że jego szef dał Prestonowi burę i wyreżyserował całą tę scenę.

- Dobrze zagrał - zauważył Nicolson.
- Stone był także niezły - odpowiedział zastępca.

9

Ludzie na wschodzie kraju udają, że interesują się narodzinami filmu, ale kiedy zaczyna się im o tym opowiadać, okazuje się, że nie odróżniają brzuchomówcy od jego laleczki.

F. Scott Fitzgerald

Twin Beeches

Tonbridge

Kent

Poniedziałek wieczór

Peter, mój drogi!

Przyszła mi do głowy świetna myśl, a nie mogę się do Ciebie dodzwonić. Dlaczegoż to nie mielibyśmy posłużyć się moim nazwiskiem? Czy autobiografia nie byłaby czymś intymnie-jszym, czymś co bardziej

przemówi do czytelników? Co prawda w takim wypadku musiałbyś grać drugie skrzypce, ale Twój wydawca wiedziałby, że to ty tę książkę napisałeś, a przecież właśnie o to chodzi, prawda?

I chyba nie dałoby się znaleźć lepszego tytułu niż „Autobiografia Marshalla Stone'a”, a na obwolucie i okładce można by umieścić mój portret zrobiony przez ICarsha. Wpadła mi dziś w ręce ta fotografia, świetnie mnie uchwycił! Aż trudno pojąć, jak mu się udało tyle wyczytać z mojej gęby.

I chyba dobrze będzie dać wstęp. Czy mam pogadać z Larrym albo Steve'em McQueenem? A może z Vanessą? Co o tym myślisz, skrybo?

Serdeczności Marshall

97 Greenwood Gardens Londyn NW6 Wtorek Drogi Panie Stone!

Dziękuję za list. **Obawiam się, że miałbym duże kłopoty**

173

z napisaniem Pańskiej autobiografii. Nie mógłbym odwoływać się do opowieści Pana otoczenia ani pisać o niczym, przy czym Pan nie byłby obecny. I chyba moja umowa z wydawcą wyklucza taką ewentualność.

Jeśli chodzi o dalsze sugestie, to sądzę, że należy z tym jeszcze poczekać. Myślę, że najpierw muszę książkę ukończyć i musi ją zobaczyć wydawca.

Łączę wyrazy szacunku Peter Anson

Twin Beeches

Tonbridge

Kent

Czwartek

Peter!

Czyżbym popełnił gafę? Widziałem, że wkładasz w tę książkę mnóstwo pracy i serca, chciałem Ci więc pomóc w uzyskaniu możliwie największej liczby czytelników.

Wiem bowiem, ile zbłąkanych duszyczek - niech Pan Bóg • ma je w swojej opiece - kupi każdy tekst podpisany moim nazwiskiem. A wstęp opatrzony wielkim nazwiskiem może być jeszcze bardziej pomocny.

Przemyśl to jeszcze

Ściskam Marshall

Oszukiwałem, oczywiście, pisząc o warunkach umowy. Wydawca byłby zachwycony, gdyby na okładce zamiast mego nazwiska pojawiło się nazwisko Marshalla Stone'a.

Bernie - rzecznik prasowy „Konfidenta” - przysłał mi wycinek z amerykańskiej gazety. Zaopatrzony w liścik na kartce przyozdobionej rysunkiem dżungli.

Skoro już kolekcjonujesz reklamy, załączam jeszcze jeden okaz. Bądź uprzejmy zauważyć, że pochodzi on z biur MFW w Nowym Jorku i nie jesteśmy za niego odpowiedzialni. Ukazał się w 248 pismach.

Pozdrowienia.

Bernie

174

SUZY - CZYLI NOWOCZESNOŚĆ

Walijska aktoreczka, Suzy Delft, jest na najlepszej drodze do zostania milionerką, nim jeszcze ukończy trzydzieści lat. Wygląda jak wesoły cherubinek w stylu lat siedemdziesiątych, a uwielbia ciężką pracę.

- Mam show-biznes we krwi - mówi Suzy. - Urodziłam się za kulisami. -

Suzy chętnie posługuje się młodzieżowym slangiem. - Pewnie, tu także - tak jak wszędzie - zdarzają się zgniłe zgredy, ale prawdziwi profesjonaliści czują bluesa i chętnie się z nimi nasładzam.

Jednakże serce Suzy bije w innym rytmie. Dobrze zna siebie. Mówi: - Cały szmal wydaję na szmatki. Już jako mała dziewczynka we wsi sąsiadującej z tą, w której urodził się Burton, umiałam się modnie ubrać. Gdybym miała na to czas, zostałabym projektantką mody.

Suzy - słynna modelka - odwiesiła do szafy swoje sukienki mini i włożyła pumpy, by zagrać u boku Marshalla Stone'a w „Konfidencie”. Jej paryski fryzjer, którego nazywa najlepszym tapiromanem świata, ufryzował jej różnokolorową czu-prynkę tak, że wygląda teraz jak leśny skrzat.

Suzy dobrze wie, czego nie lubi, i określa to dosadnymi słowami. Polityka to bujanie gości. Ostro wyraża się o „świntuchach”, kapuścianych łbach i weekendach, podczas których trzeba się przebierać do kolacji. Uwielbia spaghetti, Micka Jaggera i swoje piękne lamborghini za dwadzieścia tysięcy dolarów.

Artykuł urywał się nagle, prawdopodobnie skrócił go redaktor dyżurny, bo potrzebował miejsca na reklamę mebli.

Tą samą pocztą nadeszło wiele listów, w tym list od mojego pasierba. Zarówno Mary, jak i Marshall Stone od lat już widywali go rzadko. Na parę tygodni przed moim ślubem z Mary pojawił się w Londynie, ale kolację, którą zjedliśmy z nim i z jego żoną - Niemką, trudno było zaliczyć do udanych. Mary cierpiała z powodu oddalenia się syna, ale nigdy o tym nie mówiła. Kiedy zacząłem pisać tę książkę, uznałem, że to dobra okazja, by nawiązać kontakt z Edwardem. Bardzo się myliłem.

Północnozachodnia Fabryka Maszyn do Pisania i do Liczenia

Dyrektor filii: E. J. Brummage Szanowny Panie!

Dziękuję uprzejmie za list. Nie jestem w kontakcie z ojcem i nie śledziłem jego kariery tak bacznie jak Pan.

Moje wspomnienia o ojcu nie należą do takich, którymi chciałbym się z Panem podzielić, i nie widzę możliwości, by spotkać się z Panem celem przedyskutowania Pańskiego projektu.

Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale kategorycznie żądam, by moje nazwisko nie pojawiało się w tej książce, w przeciwnym razie wystąpię na drogę sądową.

Łączę wyrazy szacunku E. J. Brummage.

Mary przeczytała ten list i uśmiechnęła się, by nie zdradzić się przede mną, jak ją zranił. Zacząłem podejrzewać, że jej listy do syna spotykały się z podobną odprawą. Jeśli wiedziała, czemu jej syn unika wszelkiego kontaktu ze światem ojca, nigdy mi o tym nie powiedziała.

Odłożyła list na biurko gestem, który miał mnie przekonać, że wszystko, co dotyczy mojej książki, jest dla niej niezwykle ważne. Doceniłem to. I sądzę, że ów list Edwarda Johna wpłynął na jej decyzję w sprawie dziennika. Następnego ranka znalazłem na biurku notesy, kilka luźnych kartek i oprawiony w skórę pamiętnik.

1948 r. Wrzesień. Londyn. Poniedziałek.

Eddie ma zostać gwiazdą filmową. Cieszę się, że te miesiące rozstania na coś się zdały. Rozpisują się o tym gazety, cały dzień wydzwaniał telefon. Eddie przysłał telegram. Przykro mi, że nie zatelefonował.

1948 r. Wrzesień. Londyn. Czwartek.

Dziś pięć razy dzwoniłam do londyńskiego biura Koolmana. Panna Samson była bardzo uprzejma i nie chce mi się wierzyć, by coś przede mną ukrywała, pewnie rzeczywiście nie może się dowiedzieć, gdzie w tej chwili jest Eddie. Musiała usłyszeć

176

w moim głosie panikę, gdy wspomniałam o rachunkach i przysłała mi przez gońca dwadzieścia funtów z podręcznej kasy. Poprosiła, żeby resztę rachunków przesłać jej i biuro je bezpośrednio ureguluje.

Ten mój dziennik zaczyna coraz bardziej przypominać zeszyt z rachunkami.

1948 r. Wrzesień. Londyn. Wtorek.

Przecież gdybym wiedziała, że Eddie miał romans z tą Samson nigdy bym jej nie opowiedziała o nie zapłaconych rachunkach ani nie zwierzała się z mojego osamotnienia. Ta głupia dziwka myślała na pewno, że muszę o wszystkim wiedzieć. Eddie się ode mnie nasłucha. Wieczny chłopaczek. Nie jest normalny i chyba nigdy nie był. Nie umie z nikim współżyć na równej stopie. Tacy ludzie chcą być prorokami albo reformatorami, albo aktorami, gdyż największą satysfakcję sprawia im wykorzystywanie czyichś uczuć. (Słowo „wykorzystywanie” zostało przekreślone i zastąpione słowem: „manipulowanie”).

Chyba nie powinnam była mówić Eddie'mu przez telefon o tej Samson. Pewnie od tego czasu był tuzin takich panienek. Wcale się nie przejął, że o niej wiem. Mówi, że sypia tylko z tymi dziewczynami, z którymi nie chciałby się zaprzyjaźnić. Pewnie uważa, że to komplement dla mnie. Nigdy nie

zrozumiem, jak funkcjonuje męski umysł. (Słowo „nigdy” zostało dwukrotnie podkreślone). Cały czas oczekuję jego telefonu. A kiedy dzwoni, kłócimy się. Pewnie już więcej nie będzie telefonował. Na pewno go to rozstraja i trudniej mu się skupić na roli. Kocham go.

1948 r. Październik. Londyn. Poniedziałek.

Przecież ze szkołą dla małego Eddie'ego nie byłoby problemu. Czemu Eddie nie sprowadza nas do siebie? Boję się nawet o tym myśleć.

1948 r. Październik. Londyn. Piątek.

Zaczęli zdjęcia. Cieszę się ze względu na Eddie'ego, ale chciałabym być razem z nim. Jeden list na tydzień to bardzo mało. Ja piszę co dzień. A jego listy są napisane na maszynie. Czyżby dyktował je sekretarce? Mam nadzieję, że nie.

177

Eddie na pewno wspaniale zagra kowboja. Chciałabym przeczytać scenariusz. Eddie dobrze się czuje w takich rolach, z akcentem nie będzie miał kłopotu, zawsze mistrzowsko „odgrywał” każdego spotkanego człowieka. W biurze powiedziałam szefowi, że odejdę, ale nie odchodzę, jego zastępca podejrzewa już, że między mną a Eddie'em coś się nie układa. Moja sekretarka w ogóle nie wierzy, że te wszystkie zdjęcia w prasie są zdjęciami mojego męża. Małego Eddie'ego wypuszczają teraz ze szkoły już w piątek, więc jest mi dużo przyjemniej. Za cztery tygodnie zaczną się ferie świąteczne. Chwała Bogu, mam teraz dosyć pieniędzy, żeby mu urządzić prawdziwą Gwiazdkę.

1948 r. Grudzień. Czwartek.

Cudowna niespodzianka. Eddie'emu na urodzinach pana Koolmana udało

się go przekonać, żeby pozwolił mi przylecieć. Zaraz od niego zadzwonił, słyszałam odgłosy przyjęcia.

1948 r. Grudzień. Malibu, Kalifornia. Sobota.

Wiem, że zachowuję się jak pensjonarka olśniona filmem, ale nic na to nie mogę poradzić. Mieszkamy nad samym brzegiem oceanu i całą noc słyszymy, jak o brzeg rozbijają się fale. Chociaż to zima, mogę się opalać. Ale najwspanialsze jest to, że szukamy własnego domku, a Eddie z największymi gwiazdami rozmawia jak równy z równym. Wszystko wydaje mi się snem. Prawie już zapomniałam o tym smutnym okresie londyńskim. Tylko Eddie zanadto haruje, nie powinni tak w niego orać. Nawet w pierwszy dzień świąt miał zebranie, które skończyło się późnym popołudniem. Ale nigdy się nie uskarża.

1949 r. Styczeń. Malibu, Kalifornia. Wtorek.

Niepokoję się o Eddie'ego i o tę jego restauracyjkę w San Francisco. Nie tyle chodzi mi o pieniądze - to w końcu tylko pięć tysięcy dolarów - ale Eddie dziwnie się zachowuje. Ten staruszek jest naprawdę kochany, choć ledwie rozumiem, co mówi - wiem, że Eddie posłużył się w filmie jego wymową. Ale dlaczego Eddie'emu tak zależy, żeby ta restauracyjka stała się modna?

178

Dziś ktoś się spytał: - Dlaczego ona nazywa się „Latający Taco?” - i pan Bookbinder odpowiedział: Bo będzie musiał spać. - Eddie się śmiał, ale poczerwieniał. Skąd ja to znam...

Co się ze mną stało? Przed chwilą napisałam „tylko pięć tysięcy”. Rok temu byłaby to dla mnie fortuna.

1949. Kwiecień. Malibu, Kalifornia. Piątek.

Dziś widziałam film, nazywają to próbnym montażem. Bardzo mi się spodobał. Dopiero teraz dowiedziałam się, że vaquero to meksykański kowboj. Eddie powiada, że film wygląda tak, jakby go ułożył z kawałków ktoś w bokserskich rękawicach. Zmontują go od nowa. Chodzą plotki, że dużemu skróceniu ulegnie rola biednego Edgara. („Skończy na podłodze w montażowni”, jak to się mówi). Biedny Edgar chodzi strasznie zasmucony.

A znowu na temat „Latającego Taco” opowiadają następujący kawał. Eddie'emu strasznie zależało, żeby ktoś sławny pochwalił jedzenie. I ponoć Gary Cooper powiedział: - Jest dobre, ale trzeba prawdziwego chłopca, żeby to strawił.

Eddie był bardzo przygnębiony. Identyfikuje się z tą restauracyjką i uważa, że jeśli ktoś z niej żartuje, to naprawdę chce uderzyć w niego; jasne, że to nieprawda. Niemal co wieczór zmusza mnie, żebyśmy tam jedli kolację. Mam po uszy meksykańskich potraw, a steki są zbyt wysmażone. Dziś Eddie poszedł do kuchni i zwymyślał kucharza. Wszyscy słyszeli. Tak nie wolno. Dlaczego się po cichu nie wycofa, pieniądze nie grają dla niego roli. Już mówi się o tym, że za następne filmy będzie dostawał po pięćdziesiąt tysięcy. Jest wart cztery razy więcej, ale ma siedmioletni kontrakt z wytwórnią Koolmana. Eddie powiada, że jest najbogatszym niewolnikiem w Ameryce.

Dziś po kolacji poszliśmy do kasyna z panem Koolmanem i panem Bookbinderem. Miałam uczucie, że chcieliby, aby Eddie zaczął uprawiać hazard. I namawiają go, by kupił wielki dom w Beverly Hills koło Hotelu B.H. Pewnie uważają, że jeśli przyzwyczaimy się do luksusowego trybu życia, łatwiej im będzie nami kierować. Wiele gwiazd jest zadłużonych w

wytwórni. Jak oni to znoszą? Mnie jest bardzo dobrze w Malibu.

179

Nie mogę nawet myśleć o następnej przeprowadzce. I w dużym domu czułabym się jeszcze bardziej rozdzielona z Eddie'em.

1949. Kwiecień. Malibu, Kalifornia. Poniedziałek.

Dziś poprosiłam pana Bookbindera, żeby mi jeszcze raz pokazał film. Pewnie można się przyzwyczaić do oglądania filmu w pustej salce, ale ja czułam się głupio. Wczoraj wieczorem podczas seansu wszyscy gadali i robili notatki, więc dopiero dzisiaj obejrzałam naprawdę film.

I teraz jest mi wstyd. Wstydzę się, że nie doceniałam człowieka, z którym żyję. Eddie w roli szeryfa w małym miasteczku na Zachodzie gra tak, że człowiekowi zapiera dech. Choć jest to zupełnie inny człowiek niż Eddie i na tym właśnie polega cud. Jako aktor rozumie ludzi, kocha ich i okazuje im ciepło, a przecież nie leży to w jego naturze. Jak to jest możliwe? Kiedy na końcu wyszedł, by zginąć z ręki tych, którzy byli jego przyjaciółmi, zaczęłam płakać. Płakałam myśląc o jego żonie. Co ja wyprawiam, pomyślałam, przecież to ja jestem jego żoną.

Cedric Hardwicke mówi, że obecnie świat stał się takim widowiskiem, że teatr wydaje się nudny. Z Eddie'm jest inaczej (czy może powinnam zacząć mówić o nim Marshall, jak domagają się tego spece od reklamy?). On w życiu jest strasznie teatralny, obawiam się nawet, że coraz bardziej, ale jednocześnie jest coraz wspanialszym aktorem.

1949. Maj. Malibu, Kalifornia. Wtorek.

Eddie stał się sławny. We wszystkich niemal nowojorskich pismach ukazały się entuzjastyczne recenzje. Zaczął się diabelski młyn, w domu nie

zamykają się drzwi Eddie jest nieprzytomny ze szczęścia.

1949. Czerwiec. Beverly Hills, Kalifornia. Piątek.

Nowy dom jest wręcz fantastyczny. A jaki miałby być za pół miliona dolarów? W tym domku w Malibu nigdy nie czułam się bezpieczna. Rozkosznie było mieszkać nad brzegiem oceanu, ale bardzo bałam się złodziei, zwłaszcza że Eddie'ego często nie było

180

w domu. Ktokolwiek szedł brzegiem, mógł rozbić szklane drzwi prowadzące na taras i wdrzeć się do domu.

Nasz nowy dom wygląda jak arabski pałac. Rosną przed nim dwie palmy, zraszacze na trawniku wyglądają jak metalowe grzyby. Eddie'emu jest wygodniej w Beverly Hills, bo jego nowy film jest kręcony w atelier Koolmana. Jest to film gangsterski. Zdjęcia do następnego też będą się odbywać w atelier. Dziś poszłam zobaczyć Eddie'ego na planie. Mam wrażenie, że czuł się skrępowany moją obecnością. Ale było to fascynujące. Na piersiach pod białą koszulą miał woreczek z czerwoną farbą. W atelier zbudowano całą ulicę nowojorską, która była oświetlona tak, że miało się wrażenie dnia. Kręciły się setki osób, nie przypuszczałam, że film wymaga aż tylu pracowników. W tych warunkach musi być trudno grać. Była tam dziewczyna, której jedynym zadaniem było czesanie Eddie'ego przed każdym ujęciem. Inna pudrowała go. A tyle lat potrafił się bez tego obyć.

Im więcej dowiaduję się o pracy w filmie, tym mniej ją rozumiem. Dziesięć razy zakładano Eddie'emu czystą koszulę. Dopiero po dziesiątym ujęciu reżyser był zadowolony, a ja nie widziałam żadnej różnicy.

Mieszkanie w Beverly Hills ma tę dobrą stronę, że tutejsza policja jest

najczujniejsza na świecie. Bo na tym skrawku ziemi znajdują się nieprzebrane skarby. Co siedem minut obok każdego domu przejeżdża radiowóz policyjny. A poza tym wszyscy mają - my też - założone elektroniczne systemy alarmowe, ogród otoczony jest kolczastym drutem i każdy ma własnego strażnika z owczarkiem alzackim. Na bramie Eddie kazał wymalować szyld: „Kto ujdzie z życiem, stanie przed sądem”. Niby żart, ale cały ten świat show-biznesu podszyty jest okrucieństwem i brutalnością.

Dziś po południu wybrałam się na spacer. Przejeżdżający przyglądali mi się przez ciemne okulary oczekując, że w pobliżu zobaczą mój rozbity wóz. Bo tutaj chodzi się piechotą tylko wówczas, gdy popsuło się auto. Eddie mówi, że to cud, że nie zatrzymała mnie policja. Pieszyc nazywa się „łatwo zniszczalnymi pojazdami” i rzadko zdarza się kogoś takiego zobaczyć.

Furgonetki zaopatrzeniowe wyposażone są w specjalne tab-

181

liczki. Nocą słyszeć, jak o całe mile stąd naszczekują psy. Eddie kazał wyposażyć cały dom w podwójne szyby.

Eddie nie może się opędzić od propozycji. Filmy kowbojskie, film kostiumowy - Lincoln! Proponują mu nawet komedię muzyczną w zoo. I zaproszenia na przyjęcia - co wieczór. Czasem zapraszana jestem także ja, ale zwykle przypominają sobie o mnie poniewczasie.

Przysłuchuję się, jak pracuje ogrodnik, pokojówka przynosi mi herbatę, kucharka gotuje obiad i zastanawiam się, co ja tu właściwie robię. Jestem nikim, *Doppelgangerem* Eddie'ego. Kiedy gdzieś pojawiajemy się razem, słyszę jak mówi się „o, Stone'owie”, tak jakby Eddie przyszedł ze swoim sobowtórem.

1949. Maj. Beverly Hills, Kalifornia. Sobota.

Zaraz za rogiem, na San Ysidro Drive, jest dom Freda Astaire'a.

Uwielbiałam go za moich szkolnych czasów. Tak żałuję, że Eddie go dziś nie zaprosił. Niemal wszyscy poza tym wpadli do nas choćby na moment. Było to uroczyste obławanie naszego nowego domu. Eddie chciał, żeby to przyjęcie odbyło się w wielkim stylu, i tak też się stało. Oprócz czwórki naszej służby zatrudniliśmy dziesięciu kelnerów, a dwóch ogrodników zajmowało się parkowaniem aut.

Goście witali się z kelnerami, mówiąc do nich po imieniu. Gary Cooper wyjaśnił mi, że widuje się ich na wszystkich przyjęciach.

Nie wiem, jak udało mi się przeżyć ten wieczór, zwłaszcza że ostatni goście - trzech zatwardziałych pijaków z działu scenariuszy - wyszło o dziesiątej czterdzieści rano. O dziesiątej czterdzieści jeden położyłam się i wstałam dopiero na spóźniony lunch. Czułam się hollywoodzką dekadentką. O pół do trzeciej zjadłam awokado z sałatką z kurczęcia, siedząc w kostiumie kąpielowym na brzegu własnego basenu.

[Ten wpis zajmował także miejsce przeznaczone na następny dzień.]

Kiedy przyjechałam tu, uległam magii Hollywoodu, ale tym bardziej jestem teraz rozczarowana. Wczoraj w nocy gościłam w moim domu największe sławy filmowe. Pojawiły się wszystkie twarze, które wielbiłam w młodości, a cały czas miałam

182

uczucie, że to koszmarna karykatura herbatki u Szalonego Kapelusznika. Widziałam, jak starszawy aktor, o którym mówią, że ma powiązania gangsterskie, wkłada rękę pod spódniczkę młodziutkiej dziewczynie, a jego kilkunastoletnia córka mruga do niego z aprobatą. Stary pedał, którego

zawsze uważałam za szczyt męskości, cały wieczór przesiedział w kuchni usiłując umówić się na kolację z kelnerem - młodym tlenionym blondynkiem. Parę aktoreczek miało już tyle operacji kosmetycznych, że ich skóra była nienaturalnie naciągnięta i błyszczała jak powleczone woskiem. Kalifornijskie słońce potwornie niszczy skórę. Wszyscy mają zmarszczki. Słyszę stale, jakie ja miałam szczęście, że dorastałam w Anglii.

Te postarzałe kukły są karykaturą ludzi, których pamiętam z ekranu. Zrozumiałam tej nocy, że długo w tej atmosferze nie wytrzymam. Powiedziałam to Weinbergerowi, a on oświadczył, że wystarczą trzy, cztery lata i polubię to. A więc jeszcze jeden powód, by tych trzech, czterech lat nie wytrzymać. Modlę się tylko, żeby Eddie też doszedł do takiego wniosku. Muszę bardzo uważać, żeby nie pomyślał, że chcę wpływać na jego sprawy zawodowe, jest pod tym względem okropnie drażliwy.

Chyba wczoraj wieczorem widać było, że nie czuję się najszcześliwsza, bo sam Leo Koolman - to on jest teraz szefem wytwórni - podszedł do mnie i powiedział:

- Pani mąż będzie wielką gwiazdą - pani Stone - wielką gwiazdą.

Skinęłam tylko głową. A on ciągnął:

- Nie będzie to dla pani takie łatwe.

Miałam ochotę powiedzieć mu, że przedtem też nie było mi łatwo, ale tylko się uśmiechnęłam.

- Jeśli mógłbym w czymś pani pomóc, to proszę szepnąć słówko.

Pewnie przypuszczał, że poproszę go o próbne zdjęcia. Eddie mówił, że większość żon chce próbować grać. Ale ja powiedziałam:

- Czy nie mogłabym zacząć pracować u pana w dziale prawnym?

Długi czas zwlekał z odpowiedzią, zaczął się nagle intereso-

183

wać przyjęciem. Przyglądał się, jak Edgar Nicolson tańczy z Jane Wyman, która właśnie dostała Oscara za „Johnny Belin-da”. W końcu spytał:

- Czy tańczy pani mambo?

Odpowiedziałam: - Nie.

A on: - Będzie się pani musiała nauczyć. Mamy w wytwórni nauczyciela tańca. Co tydzień daje lekcje - chyba w czwartki po południu - niech Eddie panią zapisze.

Śmieszny człowiek. Uśmiechnęłam się.

- Będę o tym pamiętała, panie Koolman.

- Wiem, że pani ma angielski dyplom prawniczy, ale, złotko, w stanie Kalifornia nie jest on ważny.
- Dlatego właśnie chcę pracować przygotowując się do tutejszych egzaminów.

Zaczął się kołysać w takt muzyki.

- Ja też chodzę czasem w czwartki na ten kurs tańca.

- Wciąż wpatrywał się w Edgara. Pewnie zastanawiał się, czy
- zważywszy, że zainwestował już w Eddie'ego sporą fortunę
- wygodniej mu będzie mieć mnie w swoim biurze prawnym czy też trzymać z dala.

- Okay, pani Stone. Zadzwoń do pani jutro.

Sądzę, że oznacza to, że dostanę posadę.

1949. Lipiec. Beverly Hills, Kalifornia. Niedziela.

Przez ostatnie dwa tygodnie ślęczałam nad podręcznikami prawa i nie pisałam dziennika. Taka przerwa nie zdarzyła mi się od dwunastego roku życia. Czyżby to była oznaka starości? Nie wolno mi się uskarżać. Rzadko bywałam tak szczęśliwa jak teraz. Choć Eddie podejrzewa mnie, że chcę go szpiegować i dlatego zaczęłam pracować w wytwórni.

Myślałam, że praca w dziale prawnym pomoże mi zrozumieć Hollywood, ale tu także mam takie uczucie, jakbym się znalazła w domu wariatów. Obejrzałam budżet „Ostatniego vaquero” i znalazłam rachunek za pięćset plastikowych kaktusów, które przyleciały do Nowego Meksyku samolotem. Wokół obiektu zdjęciowego pełno było kaktusów, okazały się więc niepotrzebne, ale ponieważ przedtem sfilmowano już te plastikowe, prawdziwe pomalowano zatem na jaśniejszy zielony

184

kolor, by je upodobnić do imitacji. Kosztowało to sześćdziesiąt siedem tysięcy dolarów i dwa dni zwłoki.

W biurze prawnym grasuje zaraźliwa choroba: prawnicy łapią bakcylię kina i zostają producentami. Pracuję tu od ośmiu tygodni i w tym czasie zaraziły się nią trzy osoby.

1949. Lipiec. Beverly Hills, Kalifornia.

Wciąż fascynuje mnie teren wytwórni. Całe akry dekoracji. Świat z koszmaru sennego: port bez wody, galion pozbawiony żagli, tak by widać było pokładowe działa, wodospad, a za nim kamery, strome ściany nadmorskich skał, sadzawki i kryte trzcina chaty. Budynek, który w zeszłym tygodniu był sądem w Nowej Anglii, zamienił się w grecką

świątynię. Dużo alei i wąskich uliczek, które w zależności od filmu stają się ulicami Paryża, Moskwy czy Wiednia, *made in Hollywood*. Scenografowie ozdabiają je szyldami, plakatami, skrzynkami pocztowymi i kioskami. Za pawilonem, w którym mieści się księgowość i dział prawny, jest trzyakrowy plac. Służy on za skład - leżą tam setki drzwi i kominków i ścian. Oczywiście powiada się o nas, że pracujemy na Wall* Street. Wiele ścian pokrytych jest gąbką, aby można w nie walić głową - w Hollywood często się to przydaje! Sama miewam na to ochotę.

1949. Grudzień. Beverly Hills, Kalifornia. Piątek.

Leo Koolman dzwoni do mnie co piątek rano - osobiście, nie przez sekretarkę - żeby spytać, czy zadowolona jestem z pracy. Zabawne jest to, że wciąż się dziwi, czemu chcę pracować, choć Eddie zarabia u niego taką kupę forsy. Dwa razy zabrał mnie na obiad do kantyny, raz do francuskiego bistra w Beverly Hills. Za każdym razem powtarzał mi, że film, aby odnieść sukces, musi być zwarty, barwny i agresywny. Koolman nie jest bynajmniej takim ludojadem, za jakiego chce uchodzić. Wyraźnie pogardza tymi, którzy biją przed nim czołem, a ponieważ robią to niemal wszyscy - z wyjątkiem Phila Sancheza, do pewnego stopnia We-inbergera i Eddie'ego - czuje się więc dosyć osamotniony. I jak chłopiec doprasza się komplementów.

* Wall - ściana, Wall Street - centrum finansowe Nowego Yorku.

185

Eddie, kiedy ktoś mówi mu komplement czy robi jakąś uprzejmość, oświadcza z namaszczeniem: „Niech Bóg pana błogosławi”. Nie uważam tego za bluźnierstwo, ale mam mu za złe nieszczerłość. Nauczył się tego od jednego z prezenterów telewizyjnych, który mówi to zawsze zamiast

„dobranoc”. Chciałabym móc wytłumaczyć Eddie'emu jak źle to brzmi, ale wiem, że rozpętałyby się awantura. Choć muszę przyznać - wielu osobom się to podoba. Gdybyż tylko Eddie chciał zapomnieć o tej restauracyjce. Wciąż o niej rozpowiada, a ja się wstydzę. Dziś Leo chciał mnie na ten temat wybadać. I co ja miałam powiedzieć? Eddie wiele razy próbował zabrać tam Koolmana, ale bez powodzenia.

- Myślisz, że by mi tam smakowało? - spytał Koolman.

Nie, nie smakowałoby mu, nie spodobałoby mu się ani atmosfera, ani obsługa.

Powiedziałam:

- To bardzo skromna restauracyjka.

Nigdy nie nauczę się mówić o Eddie'em - Marshall.

[Potem wpisy do dzienniczka stają się rzadkie i powierzchowne, dotyczą zwłaszcza książek prawniczych i egzaminów. Dopiero gdy Mary otrzymuje dyplom i jadą z powrotem do Blade w Nowym Meksyku, gdzie nakręcono „Ostatniego va-ąuero”, zapiski nabierają osobistego tonu.]

1953. Czerwiec. Blade, Nowy Meksyk. Sobota.

Marshall skończył dziś trzydzieści jeden lat. Kiedy grał tu w „Ostatnim vaquero”, miał dwadzieścia sześć. Tyle się przez ten czas wydarzyło. Wszyscy odnoszą się do nas zupełnie inaczej. Chyba uległam już tej hollywoodzkiej zgniliznie, oczekuję, że każdy będzie się z nami cackać. Z hotelu w Albuquerque dowozi nas na pustynię helikopter. Najczęściej Marshall leci sam. Czwarta rano to dla mnie trochę za wcześnie, a na pustyni, nawet w przyczepie Marshalla, która jest klimatyzowana, cały czas popijam wodę z lodem, żeby wytrzymać upał. Czy kiedyś byłam aż tak zakochana, że nic mi nie przeszkadzało gorąco, kurz, karaluchy, moskity,

węże i skorpiony?

186

1953. Czerwiec. Blade, Nowy Meksyk. Poniedziałek.

Dziwnym zbiegiem okoliczności jest tu także Kagan Book-binder, też kręci western. Mało się zmienił. Bez przerwy gada. Ale teraz patrzę na niego zupełnie innymi oczyma. Przedtem odnosiłam się do niego z ogromnym szacunkiem, tak jak Marshall - był przecież człowiekiem, który dał Marshallowi jego wielką szansę. Ale dowiedziałam się, że przez dwa lata obnosił się ze scenariuszem „Ostatniego vaquero”, próbując zdobyć pieniądze na film i dopiero kiedy pokazał Koolmanowi próbne zdjęcia Marshalla, udało mu się go przekonać.

Kagan łągał wówczas o Marshall na potęgę. Opowiadał, że jest jednym z czołowych aktorów szekspirowskich w Anglii i jest tak popularny w Europie, że wpływy kasowe w Wielkiej Brytanii wystarczą, by zwrócić się koszta filmu. Wtedy akurat wyrzucono dyrektora biura Koolmana w Londynie i mówiło się, że Kagan dał mu piętnaście tysięcy dolarów, by nie zdradził, iż Marshall jest w Londynie zupełnie nieznany.

Pamiętam, że Marshall opowiadał mi, jak Kagan przedstawił go wielkiemu Koolmanowi. Bookbinder wziął Marshalla na bok i powiedział: - Poręczyłem za ciebie głowę, Eddie, powiedziałem mojemu wspólnikowi, panu Koolmanowi, że jesteśmy dawnymi przyjaciółmi. To „mojemu wspólnikowi"! I od początku wciągnął Marshalla w swoje matactwa. Marshall nie mógł przecież powiedzieć, że dopiero co poznał Bookbindera, skoro został przedstawiony jako stary przyjaciel. To typowe dla Kagana Bookbindera. Zawsze przechwala się, że dobrze zna każdego aktora,

pisarza czy reżysera, o którym akurat jest mowa. Przyjaciel gwiazd - Kagan Bookbinder. Bezczelny oszust - i do czasu mu się to opłacało.

1953. Czerwiec. Blade, Nowy Meksyk. Wtorek.

Przykro mi dziś, że wczoraj tak zjechałam Kagana. Nisko upadł. Robi byle jaki film i ma ekipę najgorszą z możliwych. Jego oświetleniowiec to notoryczny pijak, a połowa ekipy nawet nie należy do związku.

Nasze zdjęcia odbywają się w prześlicznym ranczo zbudowanym przez scenografów na pustyni. A Kagana na ulicy miasteczka zbudowanej jeszcze do „Ostatniego vaquero”. Po-

187

większono je od tego czasu: z jednej strony stanęła stajnia, z drugiej kościół. Teraz, kiedy właściciele starego ranczo odkryli, ile mogą zarobić na turystach jest tam koszmarnie. Ekipa Bookbindera jest oblegana podczas zdjęć przez przyjezdnych i choć obiekt zdjęciowy jest niby to odgradzony linami, gapie włożą pod nogi. Z jednej strony ulicy pojawiły się sklepy. W knajpie, gdzie Marshall strzelał się z bandytami, którzy napadli na pociąg, urządzono teraz pizzerię. Pełno sklepów z pamiątkami, lodami i prażoną kukurydzą. Wszędzie walają się opakowania od taśm Kodaka.

Oczywiście żadna z wielkich wytwórni już tam nie pracuje, robi się tylko filmy kategorii B i seriale dla telewizji. A nawet telewizja ma często lepsze miejsca - Apacheland i Old Tucson. Marshalla bardzo to przygnębiło. Nigdy nie należy wracać, mówiłam mu to, nim tu przyjechaliśmy.

Dziś Kagan leciał naszym helikopterem i zjedliśmy razem kolację. W Albuquerque. Opowiadał o swoim filmie. Będzie cudowny i ni mniej, ni więcej - dostanie Oscara! Sześciotygodniowy film! Ach ten Bookbinder!

Oboje roześmialiśmy się, gdy zaproponował Marshallowi rolę. Myśleliśmy, że żartuje. „Zamaskowany jeździec” zająłby Marshallowi zaledwie jeden dzień. Pomysł polegał na tym, że na początku filmu Marshall włożyłby maskę, a na końcu zdjęł. Przez cały czas grałby dubler w masce. Marshall byłby wymieniony jako gwiazda i otrzymał trzydzieści pięć procent od zysku, ale żadnej gaży.

Kagan niewątpliwie liczył, że Marshall zgodzi się ze względu na „dawne dobre czasy”. Marshall powiedział, że się zastanowi, a kiedy napił się jeszcze szampana (za dużo ostatnio pije i utył), tak się rozczulił, że obiecał zagrać, o ile nie będzie to kolidowało z innymi kontraktami. Kagan Bookbinder niemal się rozpłakał. Byłam okropnie zakłopotana. Wiedziałam, że Marshall na pewno nie zagra. Powiedział mi to, ale nie potrafił powiedzieć tego Kaganowi, Marshalla Stone'a bowiem wszyscy powinni kochać. Pewnie za kozła ofiarnego posłuży Marshallowi biedny Weinberger.

Dziś Marshall kupił nowy wóz - Edsela. Strasznie chciał być wśród grona swych przyjaciół pierwszym, który będzie nim jeździł.

188

1958. Kwiecień. Brighton, Anglia. Sobota.

Trudno sobie wyobrazić bardziej nieudany pobyt w Anglii. Błędem było próbować robić film w plenerze o tej porze roku. Jedenaście dni bezczynnego oczekiwania na pogodę tak wytrąciło Marshalla z równowagi, że blisko tydzień prawie się do mnie nie odzywał. Wciąż pada deszcz, nic dziwnego, że na zdjęciu przysłanym przez agenta ogród wygląda jak bukiet kwiatów. Cały dzień palę ogień na kominku, włączam piecyki elektryczne, ale prześcieradła pozostają wilgotne i Marshall jest wściekły. Chociaż jest

za młody, by rzeczywiście obawiać się reumatyzmu. Może to po prostu pretekst, żeby móc mnie zbesztać? A tak naprawdę to nigdy nie powinien był zaakceptować tego scenariusza, mimo wszelkich gróźb Lea. Jestem pewna, że dałabym sobie z nim radę. Dickens naprawdę nie jest dla Marshalla, ale nie śmiałam mu szepnąć słowa. I płacę za to, że on się wygłupił, wyładowuje na mnie całą złość. Żal mi samej siebie. No, jeszcze osiem filmowych dni, a potem przed postsynchronami będziemy mieć wakacje.

1958. Maj. Brighton, Anglia. Wtorek.

Gdybyśmy mieli wakacje, to by pewnie dalej było brzydko. A tak, co dzień świeci słońce. Siedzę w ogrodzie, słucham BBC i zapominam, że Kalifornia stała się częścią mojego życia.

Marshalla znowu nie ma. Powiedział, że jedzie do Pinewood na postsynchrony i zostanie tam, póki nie skończy. Dziś po południu zadzwonił do niego montażysta. Nie wspomniałam o postsynchronach, montażysta musiałby o nich wiedzieć. Powiedziałam, że Marshall jest w Londynie na zebraniu. Sądząc z tego, jak szybko się pożegnał, na pewno domyśla się, gdzie jest Marshall, i jego podejrzenia pokrywają się z moimi.

Pan Weinberger zawsze adresuje swe listy do państwa Brummage, sądzę, że w ten sposób chce mi dać do zrozumienia, że nie pochwała flirtów Marshalla. Jak długo jeszcze będę znosić te upokorzenia? Do listu dołączył wycinek dotyczący filmu, który Kagan Bookbinder nakręcał w Nowym Meksyku, kiedy byliśmy tam pięć lat temu. Potem nic o tym filmie nie słyszałam, okazuje się, że zdobył nagrody na czterech europejskich festiwalach, włączając w to Wenecję i Cannes. Pewnie,

że to nie Oscar, ale Marshall bardzo się zdziwi. Był pewien, że film zrobi klapę. A dużo dałby, żeby otrzymać jakąś festiwalową nagrodę.

1958. Maj. Brighton, Anglia. Piątek.

Dziś powiedziałam Marshallowi, że życzę sobie rozvodu. Jego umysł dziwnie funkcjonuje, zaraz zaczął się głośno zastanawiać, z kim z naszych przyjaciół się przespałam, i wymieniać nazwiska. Powinien wiedzieć, że z żadnym z tych ludzi nic nie mogłoby mnie łączyć! Oskarżył mnie o niewierność. Spytałam go: „Jaka niewierność? Czy niewiernością jest to, że mówię ci, że już dłużej nie zniosę takiego życia? Czy raczej to, że przez ciebie roi się w domu od pieczeniarczy, rajfurów i oszustów, przy czym oni wszyscy wiedzą więcej o twoim życiu, planach i ambicjach niż ja?” Nawet już nie wspomniałam o kociakach, nic by to nie dało.

1958. Maj. Brighton, Anglia. Sobota.

Wszędzie kwiaty, miłosne listy, brylantowa broszka. Ach, Marshall! Nie chcę go więzić. W dodatku w tym maleńkim domku. Ale chwilowo zachwyca się, jak to miło siedzieć przed ogniem na kominku i wiedzieć, że telefon źle funkcjonuje. Mały Eddie dorasta, cieszy mnie, gdy widzę ich razem, ale Marshall jest dla niego obcym człowiekiem i nie powinien się gniewać, kiedy chłopiec nie zachowuje się swobodnie w jego obecności. Kocha ojca, ale Marshall nigdy nie poświęcał mu czasu, więc teraz mały czuje się nieswojo.

Wiem, że rozwód mógłbym zaszkodzić karierze Marshalla. Ale on chyba oszalał żądając przyznania mu opieki nad Eddie'em.

Nie śmiem wierzyć, że uda nam się rozpocząć nowe życie i znaleźć

szczęście.

[Teraz następują cztery wpisy z 1952 r. Kartki są pomięte, tak jakby zostały wrzucone do kosza, a potem wyjęte i włożone w niewłaściwe miejsce.]

1952. Lipiec. Hotel Dorchester, Londyn. Czwartek. Zapadła decyzja, że Marshall zagra we włoskim filmie

190

„Chmura gradowa”, włoski reżyser uważany jest za geniusza. Wygląda na to, że Marshall nie chce, bym pojechała z nim do Włoch. Mówi, że nie Życzy sobie tego Leo Koolman, ale rozmawiałam z Leo przez telefon - tylko się roześmiał i powiedział, że to załatwi. Marshall gotów uznać, że knuję coś za jego plecami i wtedy wpadnie we wściekłość.

Chętnie bym znów pojechała do Włoch. Zaraz po wojnie byliśmy tam z Marshalllem na wakacjach, nie był to może bardzo udany pobyt, ale byliśmy tacy zakochani. Gdybyż można było cofnąć czas. Teraz nigdy nie czuję się szczęśliwa i tak marzę o odrobinie szczęścia. Leo zorganizuje mi podróż jachtem. Kiedy się spotkam z Marshalllem będę już ślicznie opalona.

1952. Wrzesień. Na jachcie, Spool, Włochy. Sobota.

Rozminęliśmy się z Marshalllem o jeden dzień. Wczoraj jeszcze był w Porto Sepino, a my spędziliśmy tam w porcie noc. Dziś rano przybyliśmy do obiektu zdjęciowego, zadzwoniliśmy do jego hotelu, on jednak wyjechał nie zostawiając adresu. To moja wina, ale chciałam mu zrobić niespodziankę. Przez cały tydzień nie jest potrzebny na planie, może więc być absolutnie wszędzie. Nie wiem, czy wrócić do Monte Carlo na jachcie Lea, czy zostać tutaj i czekać na Marshalla. Miejscowy hotel jest bardzo brudny, a w

dotąd ktoś z ekipy musiałby się przeprowadzić do jeszcze podlegszego hoteliku.

1952. Październik. „Hotel de Paris”, Monte Carlo. Czwartek.

Od dwunastu dni Marshall nie daje znaku życia. Weinberger zawiadomił nas z Rzymu, że zadzwoni o piątej - może ma jakieś wiadomości? Zamówił rozmowę z przywołaniem Lea, więc nie mogę zatelefonować i spróbować się od niego czegoś dowiedzieć.

Nie śmiem pojawiać się w holu hotelu, bo pełno taro fotografów i reporterów. Na szczęście hotel ma podziemne wyjście, którego używa się podczas automobilowych rajdów. Więc mogę wychodzić. Ale i tak wczoraj mnie rozpoznano. Nie wiem, jak się zachowywać. Jeśli ubiorę się w jakąś kolorową

191

sukienkę, pomyślą, że nie przejmuję się zniknięciem Marshalla. Jeśli włożę czarną, napiszą, że noszę żałobę. Na szczęście połowa kobiet w Monte Carlo nosi ciemne okulary i kapelusze z dużym rondem, więc stosunkowo łatwo jest mi ukryć się w tłumie. Ach, niech ten Marshall w końcu zadzwoni.

1952. Listopad. „Hotel de Paris”, Monte Carlo. Środa.

Lepsza jest nagła katastrofa niż powolne konanie. Czy to naprawdę moja wina? I czy ja naprawdę chcę rozwodu? Nic nie rozumiem z tych wszystkich kruczków dotyczących rezydencji Marshalla, ale zajmą się tym specjaliści Koolmana. Ważne jest tylko, żeby sąd przyznał mi opiekę nad Eddie'm. Zawsze na nas dwoje potrafię zarobić. Oni targują się o pieniądze dla mnie, bardzo jest to przykre. Nie wrócę do Kalifornii. Nie zniosłabym widoku domu,

wiąże się z nim zbyt wiele wspomnień. Nie wierzę, żeby Marshall wniósł sprawę o rozwód oskarżając Lea. To nieuczciwe i niemądre, jestem pewna, że Leo nigdy tego Marshallowi nie wybaczy. Przecież Marshall wie, że płynęliśmy jachtem po to, by go odwiedzić. O co mu chodzi?

[I potem bardzo wyraźnym, prawniczym charakterem pisma następuje wpis dokonany w 1959 roku.]

1959. Hampstead, Londyn. Nowy Rok.

Chyba mogę oczekiwać pomyślnego roku? Byłam wczoraj u pana Brooksa z firmy Brooks i Gerber. Większość ludzi z City uważa, że to staroświecka firma, jednak - odkąd związała się z biurami inwestycyjnymi w Rzymie i w Paryżu, a także w Nowym Jorku - zaczyna się liczyć.

Interesują się przemysłem rozrywkowym, ale tylko w pewnym zakresie. Brooks słusznie uważa, że nie mają ekspertów, którzy mogliby rozmawiać z wytwórniami płyt i filmów, z ludźmi teatru. Wszyscy ich liczący się prawnicy mają ponad pięćdziesiąt pięć lat, to prawdziwa rewolucja, że zaproponowali mi kierownicze stanowisko. Wyjaśniłam, że mimo mego kalifornijskiego dyplomu i praktyki w MWF nie jestem ekspertem. Wiem, jak zawiera się umowy z aktorami i jak finansuje produkcję filmów. Ale dystrybucją zajmowali się prawnicy nowojorscy.

192

Mam spędzić pół roku w Rzymie, a potem pół roku w Nowym Jorku. Brooks zamierza wycofać się w 1965 r., gdy skończy siedemdziesiąt lat. Gerber ma syna, ale ten nie ma żadnych kwalifikacji i z rzadka pojawia się w biurze. Więc naprawdę powinnam się cieszyć z czekających mnie perspektyw.

1959. Luty. Hampstead, Londyn. Wtorek.

Wreszcie oficjalnie rozstałam się z Marshalllem, wygląda na to, że jesteśmy w dobrych stosunkach, choć nie jestem tego taka pewna. Mieszkanko mam malutkie, ale zamykam drzwi i jestem naprawdę u siebie. Żegnaj, Marshall. Nie będę już dalej współzawodniczyła z każdą napotkaną przez ciebie seksowną aktoreczką. Żegnajcie, niskokaloryczne sałatki, witaj, homarze z majonezem. I nareszcie mogę słuchać Bartoka i Brucknera, zamiast Herba Alperta, nosić okulary i nie biegać co chwila do fryzjera, bo mamy się zobaczyć z jakimiś ważnymi osobistościami. Żegnajcie, aktorskie żony, żegnajcie, premiery i plotki i filmy! Nigdy więcej nie pójdę do kina.

Odłożyłem dzienniczek i zajrzałem do moich notatek. Próbowałem pisać o dawnej żonie Marshalla Stone'a tak, jakby nie była obecnie moją.

Mary Singleton w swej zawodowej pracy występowała zawsze pod panięńskim nazwiskiem. Czyżby przeczuwała, że któregoś dnia rozstanie się ze Stone'em? I czy to dlatego postarała się o ten kalifornijski dyplom?

Jest szczupła, ciemnowłosa, ma 157 cm wzrostu. Duże poczucie humoru, ujawniające się rzadko, ale za to z zabójczą siłą. Odznacza się niezwykle witalnością, a kiedy rozmawia przez dwa telefony jednocześnie, jej rozmówcy prawie nigdy tego nie zauważają. Całkowite przeciwieństwo hollywoodzkiej techniki - tam rozmawia się z jedną osobą tak, jakby miało się na linii drugiej.

W jej biurze kłębią się książki i dokumenty, tak samo wygląda jej gabinet w domu. Między tomami dzieł prawniczych stoją roczniki hodowców bydła, a wśród czasopism

policyjnych leżą numery „Elle”. Ma wysoki głos i sobie tylko właściwą kadencję zdania. Zaczyna o czymś z zapalem mówić, ale nie kończy myśli, bo tymczasem przychodzi jej do głowy coś zupełnie innego. Kiedy z sąsiedniego pokoju słucha się, jak ona rozmawia przez telefon, odnosi się wrażenie, że to południowoamerykańska muzyka. Z jej zachowaniem kontrastuje wygląd - ubiera się konserwatywnie i starannie, chanelowskie kostiumiki, krótko obcięte włosy, leciutko podmalowane oczy, złota broszka, którą jej kiedyś ofiarował Marshall Stone, i prościutkie złote klipsy. Gdy odbiera telefon, zdejmuje je, a potem obraca w palcach, jeśli rozmowa stwarza problemy.

Odnotowałem parę jej komentarzy na temat Stone'a.

„Sztuka aktorska wymaga tyleż wytrzymałości i witalności, co wyczyny sportowe. Inaczej zabrzmiałby monolog Hamleta, gdy aktor będzie zmęczony, inaczej wówczas, gdy pod powierzchnią słów będzie się czuła energia, i ta różnica może być właśnie różnicą między miernotą a genialnością.

Aktorzy - a o ile się mogłam zorientować, także aktorki - czerpią tę energię z tego, co reszta świata zwie pochwałami i pochlebstwem. Nie wolno nie doceniać nawet nieszczerých wyrazów zachwytu. Kiedy pochwalili się słabą rolą, często staje się ona lepsza. Kiedy się ją uczciwie skrytykuje, to nie tylko nie pomaga, ale aktor zupełnie traci głowę. Dlatego tak trudno być reżyserem, a jeszcze trudniej żoną.

Eddie lubił zapraszać co wieczór wiele osób, i to raczej do restauracji niż do domu. Zamawiał przy tym zwykle coś bardzo skomplikowanego. Na przykład potrawkę z kurczęcia, ale żądał tylko białego mięsa. Albo

cielecinę ze świeżą bazylią i wtedy kelner musiał mu przedtem pokazać, że bazylia nie jest suszona.

Te wymagania sprawiały, że wszyscy biesiadnicy omawiali smak Eddie'ego, jego przewód pokarmowy, jego zdrowie i urodę. Kiedy starannie przygotowane danie pojawiała się na stole, Eddie ledwie je kosztował i odsuwał talerz. Spełniło już swoje zadanie.

Było to charakterystyczne dla jego postawy wobec świata.

194

Kiedy ktoś był mu potrzebny, poświęcał tej osobie mnóstwo czasu, energii, starał się ją oczarować. A potem już jej nie dostrzegał - przestawała dla niego istnieć.

PETER: - Jednokierunkowość bywa często cechą geniusza.

MARY: - I każdego komiwojażera. Niestety pod tym względem natura naśladowuje sztukę. We współczesnym społeczeństwie wiele osób nauczyło się posługiwać aktorskimi trikami we własnych celach. Politycy nauczyli się po mistrzowsku mówić szeptem, wywoływać łzy, a nawet źle wymawiać słowa, tak jak to robią przeciętni obywatele. Wiedzą wszystko o oświetlaniu, makijażu i rozmaitych obiektywach kamer. Kiedyś ci mówiłam, jak się cieszę, gdy widzę polityka, który mówi niezręcznie, przejęzyczą się, bo napawa mnie to nadzieją, że show-biznes nie opanował jeszcze całego świata."

10

Na pogrzeb Louisa B. Mayera przybyły tłumy, bo każdy chciał się upewnić, że on naprawdę umarł.

Sam Goldwyn

Ów świątek, dla którego Stone wyrzekł się swego poczucia humoru, nauczył go sztuki opowiadania. Tylko najbliżsi zauważyli, kiedy jego anegdoty przestały być spontaniczne i zamieniły się w kunsztownie odgrywane skecze.

- Coś ci opowiem, Winiaczk. - Stone wstał. Musiał mieć swobodę ruchów, w przeciwnym razie czuł się spętany. Kiedy był zbyt zmęczony, żeby grać, w ogóle się nie odzywał. Często pojawiał się u kogoś na kolacji i przez jakąś godzinę był duszą towarzystwa. A kiedy się zmęczył, przeproszał gospodarza i wychodził. Gospodarz - jeśli dobrze nie znał aktorów - bywał tym bardzo urażony.

- Dwie kozy spotykają się na pustyni Mojave. Znasz to, Winiaczk?
Weinberger pokręcił przecząco głową.

- Znalazły pudełko z filmem. Jedna z nich poty majstrowała przy nim pyskiem, aż zrzuciła pokrywkę. I zaczęła zajadać taśmę odwijając ją ze szpuli. Druga się do niej przyłączyła. W końcu skonsumowały cały film. I pierwsza powiada: „Świetny film!” A druga na to: „Książka była lepsza”.

Stone zaczął się serdecznie śmiać i Weinberger zawtórował mu, choć już ten kawał słyszał. Agenci zawsze dowiadują się o wszystkim pierwsi. Regularnie zachodzą do wszystkich filmowych wytwórni. Weinberger zaglądał także do telewizji, do wydawców, do wytwórni płyt i do redakcji gazet. Często wiedział, kto zostanie zaangażowany, a kto zwolniony wcześniej niż sami zainteresowani. Zdarzało się, że jakiś kierownik widział, jak Weinberger zmierza do biura jego zastępcy, nim został oficjalnie powiadomiony, iż ów zastępca awansował właśnie na jego miejsce.

Stone dotknął wąsów, tak jakby się bał, że odkleiły się przy

śmiechu, choć były to wąsy prawdziwe. Trzymał w ręku egzemplarz „Człowieka z pałacu” i położył go na przywiezionym przez Weinbergera scenopisie.

- Scenariusz jest lepszy niż książka!
 - Kto go napisał?
 - Szukasz scenarzystów, Winiaczku? - Stone uśmiechnął się i pogroził mu palcem. - Scenariusz napisał autor książki.
 - Pewnie pierwszy raz w życiu - zauważył Weinberger. - Dużo to Kagana nie kosztowało. Młodzi pisarze chętnie sami piszą scenariusz, żeby im ktoś nie popsuł arcydzieła. - Weinberger uśmiechnął się. - Zawodowcy biorą forszę i rozpoczyna się egzekucja...
 - Chwała Bogu nie jestem takim cynikiem jak ty. Kocham film. Naprawdę kocham. Jak możesz pracować w tej branży,
- 0 której nigdy nie zdarza ci się powiedzieć dobrego słowa.
- Pracuję w niej, Marshall, bo pracuje w niej także wielu świetnych aktorów, scenarzystów i reżyserów, którzy mają twórczy stosunek do pracy i kochają ją tak samo jak ja.
- 1 dlatego nie potrafią użerać się o kontrakty i zajmować różnymi praktycznymi detalami, których nie należy jednak lekceważyć.
- Masz rację, Winiaczku. Twórcy nie mają głowy do interesów.
 - Jak się miewa Suzy? Muszę z nią pogadać o podatkach, a ona wciąż się wymiguje.
 - Będzie z niej wielka aktorka, Winiaczku. Ma mnóstwo uroku, świeżości i entuzjazmu. Jest w niej ta sama siła, co we mnie przed dwudziestu laty.

- „Konfident” pomoże jej w karierze.
 - Jak myślisz, czy Leo jest wciąż wściekły za to, cośmy zrobili, żeby wyciągnąć z niego, gdzie jest Suzy?
 - Pozwól, że sprostuję. Adres Suzy zdobyliśmy za cenę wielu ustępstw i obniżenia procentu od zysku.
- Leo uważa, że go nabraliśmy. Często o tym opowiada.
 - Leo chętnie przyznaje się do moralnej porażki, jeśli na tym zarobił. W przeciwieństwie do ciebie - ty wolisz zrezygnować z zysków dla zadowolenia swojego *ego*.
- Chyba jesteś niezbyt uprzejmy.

197

- Świadomie. Chcę ci otworzyć oczy.
- Suzy była tego warta.
 - Na pewno, Marshall. Kiedy postanowiłeś odnaleźć Suzy, nie mieliśmy wyboru, musieliśmy się zgodzić na proponowany przez Lea kontrakt. Nie mam do ciebie pretensji, ale w ciągu paru lat straciliśmy na tym sporo forsy. Cóż, było warto... jeszcze parę filmów i Suzy zacznie otrzymywać wysokie stawki.
 - A propos Suzy... Przyszło mi na myśl, że nieźle byłoby zaaranżować dla prasy historyjkę o jej romansie z Valem. Chłopcy od reklamy Koolmana też wpadli w zachwyty. Chcą połączyć to z kampanią reklamową filmu o astronautach.
- Z Valem Somersetem?
 - Ty sądzisz, że go nie lubię, Winiaczku, ale nie masz racji. Bardzo miły chłopak. Dużo bym dla niego zrobił. Myślę, że darzy mnie głębokim

szacunkiem...

- No jasne, Marshall.

Stone odstawił „Człowieka z pałacu” na półkę, gdzie stały same bestsellery. Zawsze je czytał, uważał, że powinien znać gusty publiczności. „Dolina lalek”, „Maria, królowa Szkocji”, „Kochanka Francuza”, „Love story”. Niżej stało parę książek, które czytał dla przyjemności. Ellery Queen, Rex Stout i Ed McBain. Nie było wśród nich kieszonkowców. Gardził nimi - to było dobre dla klas niższych, wyglądały tandetnie, po jednym przeczytaniu były już zniszczone. A Stone nie znosił wszelkiego nieporządku. Dotknął książki wyglądającej już nieświeżo i po chwili wahania zdjął ją z półki, i wrzucił do kosza na śmieci, który był ręcznie pomalowaną kopią bębna szkockiej gwardii. Odszedł od półki.

- Czy rozmawiałeś z Kaganem?

- Wysłałem do niego list. Przecież tego sobie życzyłeś. Stone wydał usta.
- Ty, Winiaczku, sam najlepiej wiesz, co robić.
- Podoba ci się scenopis?
- Wiesz, co ci powiem? To może być arcydzieło.
- Tak szybko zdążyłeś przeczytać?

- No, przecież przeczytałem tylko swoją rolę. - Otworzył scenopis. - Ktoś w biurze Bookbindera pozakreślał ją czerwo-

198

nym ołówkiem. Kagan załączył strasznie miły list. W zeszłym tygodniu obejrzał jeszcze raz sześć moich filmów. Pisze, że czułby się „zaszczycony”, gdybym wystąpił w jego filmie. I że każda moja rola została głęboko przeanalizowana, a mało który aktor mógłby mi dorównać w twórczej inwencji. Uważa, że mój Hamlet wyprzedził swój czas. Uroczy list,

Winiaczkę. Byłby „zaszczycony”, dwukrotnie użył tego słowa. - Stone roześmiał się, by rozładować atmosferę. - Nieźle byłoby mieć takiego producenta.

- Czy „zaszczycony” też ktoś podkreślił czerwonym ołówkiem?
- No, no, Winiaczkę. W tej branży są nie tylko tacy zatwardziali cynicy jak ty. Parę osób potrafiło docenić Hamleta.
- Ale tylko jeden chce z tobą zawrzeć kontrakt, więc mam go na oku.
- No cóż, przecież ci mówiłem, Winiaczkę, że nie będę już dłużej pracować dla Lea.
- Owszem, mówiłeś.
 - To barbarzyńca... i wiesz przecież, na co sobie pozwolił w moim własnym domu. Mam ochotę ogłosić w „Variety”, jaki to człowiek.
 - Nie rób nic bez porozumienia ze mną, bo zapłacisz Leowi pół miliona odszkodowania. Zresztą wszyscy w branży doskonale wiedzą, jaki Leo jest, i będą się tylko z ciebie śmiać, że dopiero teraz to zauważyłeś.
- Napiszę tylko prawdę i wyjaśnię, czemu ją publikuję.
 - Im prawda jest prawdziwsza, tym większym staje się oszczerstwem, Marshall. Znasz przecież prawników. A jeśli pozwolisz sobie na złośliwość, to zapłacisz o milion więcej.
- Nie pouczaj mnie.
 - Nie ryzykuj, Marshall. Leo ma wspaniałych radców prawnych, nikt tego nie wie lepiej ode mnie, nieźle się musiałem naużerać o twój kontrakt na „Konfidenta”.
- Wszystko zostało ustalone?
 - Tak. To miła odmiana, że raz wreszcie kontrakt zostanie podpisany przed ukończeniem filmu.

- Leo to skurwiel. Teraz to zrozumiałem. Mówiłem ci, co mi oświadczył, kiedy bałem się, że zemdleję na planie.

199

- Żartował.

- Nie żartował, Winiaczku. Potrafię poznać, kiedy ktoś żartuje. Zresztą Leowi się to nie zdarza. Co ci powiedział, kiedy się z tobą spotkał?

Przeprosił?

- Był wściekły, Marshall.

- Nie boję się tego buca.

- Jakoś to naprawimy.

Stone pokręcił głową.

- Pamiętasz, jak zachował się w stosunku do Petera? I spójrz na tego biednego Freddy'ego. Obaj znikli bez śladu. Peter w ciągu osiemnastu miesięcy spadł z pół miliona na sto tysięcy. A teraz pracuje dla Niemców. Żadna amerykańska ani angielska wytwórnia go nie chce, wszystkie trzymają się razem.

- Tobie to nie grozi, Marshall. Masz dosyć pieniędzy, by poczekać, aż ktoś ci zaproponuje coś naprawdę dobrego.

- Jak długo? - Stone podszedł do lustra, wyszczerzył zęby i zaczął przemawiać do własnego odbicia. - Nie jestem Duke'em Wayne'em, Winiaczku. Ani Jimmym Stewartem. Oni mają twarze jak eleganckie skórzane walizki, im bardziej są zniszczone, tym wspanialej wyglądają. A ja zaczynam mieć plamy na twarzy, obsuwają mi się dziaśła i zaczynam łysieć, choć Andre staje na głowie. Próbował naświetlać, próbował tej nowej szwedzkiej kuracji, tymczasem ja co rano mam więcej włosów na grzebieniu i mniej na głowie.

Weinberger roześmiał się.

- O, Jezu! Marshall, pierwszy raz słyszę, żebyś żartował z samego siebie.
- To nie żart, Winiaczku. Spójrz na mój kałdun. Już prawie nic nie jem, a nie mogę się pozbyć tego wałka tłuszczu.
- Marshall, wierz mi. Wyglądasz świetnie.
- Roger - mój masażysta i trener - uważa, że powinienem częściej przychodzić. Nie może zrozumieć, co się ze mną stało.
- Ile ten twój Roger liczy sobie za godzinę?
- Na litość boską, przestań.
- W zeszłym tygodniu, gdy oglądaliśmy „Cichy raj”, wszyscy twierdzili, że nigdy nie byłeś w lepszej formie.
- Ja mówię o tym, jak będę wyglądał za trzy, cztery lata.

Weinberger zauważył, że Stone nerwowo obraca **wokół**

200

palca sygnet i trzęsą mu się ręce. Podeszedł do barku, zadzwięczały butelki.

- Napijesz się?
- Okay.
- Ja też. Do diabła z dietą. - Stone nalał drinki i usiadł obok Weinbergera na sofie. I Weinberger zauważył, że Stone'owi drżą mięśnie pod oczyma i że zaciska kurczowo ręce, by się przestały trząść. - Te scenariusze, które dostaję...
- Co ci się w nich nie podoba?
- Połowa proponowanych ról to role charakterystyczne.

- Nie zauważyłem ani jednej.
 - Owszem, Winiaczku. Są to główne role, bo chcą reklamować film moim nazwiskiem, ale połowa to role starców. Weź tę historię o fizyku atomowym - to stary wariat. Widzowie będą po stronie reportera. Albo ten scenariusz o wiosce hipisów. Wyobrażasz sobie mnie w roli nauczyciela?
 - To zupełnie niezły scenariusz. I ta wytwórnia zajdzie daleko.
- Ale nauczyciel! Co pomyśli o mnie młodzież!
 - Zanadto się przejmujesz detalami, Marshall. Obie te historie dotyczą mężczyzn przeżywających jakiś kryzys. Nauczyciel musi wybierać między córką a ludźmi, wśród których żył i których szanuje. Jeśli zagrasz tę rolę, nikt nie uzna cię za antyhipisa.
 - Znow nie masz racji, Winiaczku. W oczach nastolatków stanę się nauczycielem. Pamiętasz, jak po „Kacie” wciąż przy-łazili do mnie różni ludzie i traktowali mnie, jakbym naprawdę był katem?
- Obląkańcy...
 - Nie tylko obląkańcy. Zupełnie normalni, przyzwoici obywatele. Zrozum, Winiaczku - zaczęła się młodzieżowa rewolucja. Musimy poprzeć ich bunt.
- O czym ty mówisz?
 - Mówię o tym, że zamierzam poprzeć młodzież w jej walce z władzą. Chcę mieć młodzież po swojej stronie.
- A oni? Czy oni życzą sobie twojego poparcia?
 - W zeszłym tygodniu nazwano Vala Somerseta super-gwiazdą młodzieżowego kultu.

- Jest od ciebie o dwadzieścia lat młodszy.
 - Do czasu tej historii z narkotykami na londyńskim lotnisku nikt o nim w ogóle nie słyszał. A moje filmy z serii „Ostatniego kata” dlatego właśnie cieszyły się takim sukcesem, że „Kat” stał się symbolem anarchii, był człowiekiem, który sam dla siebie ustanawia prawo.
 - Tak czy owak filmy te były prawdziwą bombą. Stale ci to powtarzam. A ciebie, nie wiedzieć czemu, to przygnębia.
- Ty uważasz, że powinienem zrobić ten serial dla Lea, tak?
- Należałoby to przemyśleć. Chyba tak.
 - Przedwczoraj gorączkowałeś się, że nie chcę się zgodzić, a dziś powiadasz: chyba. Jeśli naprawdę powinienem, zadzwońmy do Lea i załatwmy to. - Stone spojrział na zegarek.
- Pewnie jest teraz na pokazie w kinie.
 - Zaczekaj, Marshall. Nie możemy do niego tak po prostu zadzwonić.
- Bo jest na mnie zły?
 - Marshall, chodzą słuchy, że zaproponował tę serię jakiemuś młodzikowi z zespołu Royal Shakespeare. Może to plotka, ale jeśli nie, to nie chcę, byś ty to od niego usłyszał. Lepiej, żebym zajął się tym sam. I tak muszę się z nim w najbliższych dniach zobaczyć w sprawie podatków Suzy.
- Myślisz, że wróci do pierwszego projektu?
 - Nie chcę się bawić w przepowiednie. Nie można przewidzieć, jak się ktoś zachowa, wiele zależy od okoliczności.
- Weinberger chciał dodać, że Stone też może do jutra zmienić zdanie, ale nie powiedział tego głośno.

Stone podszedł znów do lustra i nim się odezwał, przejrzał się w nim.

- W „Mierz i pal” miałem taką kwestię: „To my sami jesteśmy i miłością, i nienawiścią. Kiedy stajemy przed lustrem i mamy przed sobą głupiego dzieciaka, pełnego energii, nadziei i planów na przyszłość - powiadamy: Kocham cię. A kiedy z tego lustra spogląda na nas stary człowiek, który stracił wszelką nadzieję - z nienawiścią odwracamy od niego wzrok”.
- Idiotyzm. Ach, ten cholerny film. Powinniśmy byli zastrzec sobie wgląd w scenariusz.
- Boję się, Winiaczku. - Wyznanie to, a także wyraz oczu

202

Stone'a zaalarmowały Weinbergera. Spojrzał na niego. Zobaczył na czole krople potu.

- Marshall! Masz wszystko, czego może żądać człowiek. Jesteś bogaty, sławny, jesteś świetnym aktorem. Czego jeszcze chcesz?
- Boję się. - Powiedział to piskliwym tonem małego dziecka; w innych okolicznościach byłoby to śmieszne. - Czuję się tak, jakby się podę mną zapadała ziemia. Pierwszy raz w życiu.
- Co za bzdury!
- To prawda, Winiaczku. Mam uczucie, jakby mi się kręciło w głowie. Kiedy człowiek wspina się, nigdy mu się nie kręci w głowie. A ja teraz...
- Co, Marshall?
- Będziesz się śmiać. - Stone zadrżał. Wstał i rzucił polano na ogień. Kucnął koło kominka. Nawet w rozterce Stone uciekał się do aktorskich sztuczek: odezwał się przez ramię - gdyby to był film,

kamera pokazałaby ogień, a potem jego zbliżenie: - Boję *się* o mój wygład. Starzeję *się*, Winiaczk, a świat nienawidzi starych ludzi.

- Ja nie.
- A ja tak. Przypominają mi, co mnie czeka.
- Spójrz na Bogarta.
 - Spójrz na Bogarta! Wszyscy, kiedy zaczynają się zbliżać do grobu, powołują się na Bogarta. Tak, my kochaliśmy Bogarta, ale to wcale nie takie pewne, że kochałaby go dzisiejsza młodzież. Ci smarkacze o różowych buziach chcą oglądać samych siebie. Żądają okrucieństwa i gwałtów. Nienawidzą wszystkich, zwłaszcza starszych. Ja, Winiaczk, zbliżam się do pięćdziesiątki. Dla tych smarkaczy mógłbym równie dobrze mieć sto lat. Oni nas nienawidzą. A nie zaprzeczysz, że do kina chodzi obecnie prawie wyłącznie młodzież.
 - Jesteś dziś w złym nastroju. Ten mały Preston nie jest dla ciebie odpowiednim reżyserem. Moja wina, nie powinienem się na niego zgodzić. Znajdziemy dobry scenariusz i lepszego reżysera i zaraz przyjdiesz do siebie.
 - Chyba nie, Winiaczk. Zobaczyłem wylot tunelu, ale nie świeci tam słońce, nikt nie oczekuje pociągu, a szyny zarosły chwastami.

203

- „Rycerz i jego dama”, rolka trzecia.

Stone lekko się uśmiechnął. Cóż z tego, że był to cytat, skoro mówił prawdę.

- Myślałem o tym, żeby się ze wszystkiego wycofać, ale nie jestem pewien, czy zniósłbym puste dni. Mogłoby mnie to doprowadzić do szaleństwa.

Po dłuższym milczeniu Weinberger powiedział:

- Mógłbyś zostać własnym producentem.
- Cha, cha, cha, dokładnie tak pisze prasa, ilekroć komuś powinie się noga. „Co się stało z takim to a takim?” - Stone do złudzenia naśladował głos Koolmana. - „Świetny facet. Od dawna chciał robić filmy niezależne. Jeśli nie będzie to kolidowało z naszymi planami, podamy mu pomocną dłoń”.
- Na pewno znaleźlibyśmy kapitały. Jeśli natrafisz na scenariusz, który ci się naprawdę spodoba, i jeśli damy odpowiednią obsadę...
- Dopiero co twierdziłeś, że nie znam się na scenariuszach.
- Robię, co mogę, żeby ci wytłumaczyć, że niepotrzebnie się martwisz, Marshall. Masz przed sobą dwadzieścia lat wielkich ról.
- Nie traktuj mnie jak dziecko, Winiaczku. Może i jestem tylko niemądrym komediantem, ale na filmie zjadłem zęby. Opadają mi policzki. Patrz! - Powiódł palcem naokoło owalu twarzy. - Byłem już u specjalistów z Harley Street. W Zurychu poszedłem do tego szwajcarskiego lekarza, który zdziałał cuda dla biednej Joan. Pojechałem nawet do Nowego Jorku do tej słynnej kliniki. Mówią, że na to nie ma rady. Że to normalna rzecz. Dla nich może normalna, a dla mnie śmierć.
- Uspokój się, Marshall.
- Przestań, Winiaczku.

Weinberger lepiej od wielu psychologów potrafił zauważyć zbliżający się atak hysterii. Zwiastowała go nienormalna ruchliwość. Zaalarmowany patrzył, jak Stone wymachuje rękami, a potem zaczyna biegać po pokoju. Widział, że niemal upuścił papierosa, a potem miał kłopoty z zapaleniem następnego. Wreszcie uspokoił się na tyle, że udało mu się gorzko uśmiech-

nać.

- Dosyć tego, Marshall.

204

Stone zaciągnął się.

- No i co mam według ciebie zrobić? Zadzwoń do centralnej agencji teatralnej i oznajmić, że jestem do wzięcia? Czy nie widzisz, że znalazłem się w pułapce? Gdybym ja wiedział, jak się to wszystko skończy! Nie potrafię już iść ulicą, wsiadać do autobusu, kupować papierosów nie odgrywając jakiejś roli. Czy twoi klienci, Winiaczku, nigdy ci nie mówią, w jakim znaleźli się więzieniu? Oddałbym cały swój majątek, żeby znów zagrać w teatrze w Birmingham albo być halabardnikiem w Royal Shakespeare. Ale stałem się trędowatym. Oto co gwiazdorstwo robi z człowieka - naznacza go jak ospa, już nikt nigdy nie będzie go osądzał według jego zasług. Już na zawsze pozostanę była gwiazdą, słynnym niegdyś Marshalllem Stone'em. - Roześmiał się. - A to nawet nie jest moje nazwisko! - Rzucił papierosa.
- Czy to ten mały Preston zalazł ci tak za skórę?
- To nie ma nic wspólnego z Prestonem, Winiaczku. Preston ma swoje pięć minut. A ja potrafię sobie z nim poradzić. - Wzruszył ramionami. - Przepraszam cię. - Pełne łez oczy wydawały się większe i bezradne. Poruszył głową i łzy spłynęły po policzkach. Siąknął nosem i gniewnie otarł twarz wierzchem dłoni. - Ja ci tu, Winiaczku, urządzam sceny, a ty i tak masz dosyć kłopotów bez moich hipochondrycznych wygłupów.
- To nie hipochondria, Marshall, hipochondria to bezpodstawny strach. A ty boisz się starości, starość zaś obiektywnie istnieje. Musisz się po prostu pogodzić z tym, że się starzejesz...

- Tylko nie mów, że każdego to czeka. - Stone przełknął łyżę, jego głos brzmiał niewyraźnie. - Jeśli jeszcze raz to usłyszę, wpadnę w histerię.
- Starość nikogo nie ominie, Marshall. I wielu ludzi wcale by tego nie pragnęło. Jest taki wierszyk: „Choć to się wydaje koszmarem, wiesz, że się postarzałeś, kiedy przestajesz cierpieć, że jesteś stary”.

Stone znów uśmiechnął się gorzko. Wiedział, że Weinberger stara się go podnieść na duchu, ale cóż z tego, skoro go wcale nie rozumie.

205

- Chodzi przecież o moją pracę...
- Nie, Marshall. Rzadko ci się sprzeciwiam, ale tym razem muszę. Wielu aktorów ma problemy ze starzeniem się. I niemal wszyscy szukają racjonalnego wytłumaczenia, mówią, że chodzi im o pracę. Tylko, że to nieprawda, jest tyleż ról dla starszych aktorów, co dla młodych. A nawet więcej. I to ról ciekawych. Któryż aktor nie marzy, żeby zagrać Makbeta. Albo Króla Lira. To chyba najwspanialsza rola, jaka istnieje, i nie może jej zagrać młody aktor.
- A co z Romeem, co z Hamletem?
- Romeo to manekin, Hamleta już zagrałeś. Twój Hamlet stał się kamieniem milowym w dziejach teatru. I czy nie uważasz, że teraz, po doświadczeniach ostatnich dziesięciu lat, zagrałbyś go jeszcze lepiej? Próbuję ci wytłumaczyć, Marshall, że twój strach nie ma nic wspólnego z twoją pracą. Boisz się starości jako mężczyzna. Boisz się, że już nie będziesz taki męski, że przestaniesz być pociągający dla młodych dziewczyn. To bzdura. Któż jest bardziej uwielbiany przez młodzież niż Bertrand Russell, kto cieszy się większym powodzeniem u dziewczyn niż Fred Astaire i Cary Grant? Dla swego własnego dobra musisz się

otrząsnąć z tych lęków.

- Nie chcę stać się muzealnym eksponatem, Winiaczku. Przecież wiesz, co mówią o tych biedaczyskach, którym powinęła się noga. Weź na przykład Petera.

- Tobie to nie grozi. On pił. Przeszono go angażować nie ze względu na wiek, tylko dlatego, że miał skłonność do butelki.

- Hm - mruknął Stone. - A dlaczego zaczął pić?

Weinberger nic nie odpowiedział. Stone miał rację.

- Zgódźmy się na tego „Człowieka z pałacu”. Hanratty ma być reżyserem, scenariusz jest dobry, Bookbinder cieszy się ogólnym uznaniem. To może być świetny film.

- Pewnie masz rację.

- Ale?

- Firma, która daje na to pieniądze, może zbankrutować.

- Jaka firma?

- Finansuje film Continuum. W City mówi się, że Continuum musi do października znaleźć osiem milionów.

- Czy to może mieć jakiś wpływ na film?

206

- Niekoniecznie. Bookbinder mówi, że do tego czasu ukończy pierwszy montaż. Hanratty ma zastrzeżoną końcową datę pracy, potem ma robić dla Lea film o astronautach.

- Kagan mówił, że będą to głównie plenery. A we wrześniu dzień staje się już krótki.

Weinberger skinął głową.

- Zatem przyjmijmy, że w październiku będziemy mieli pierwszy montaż. Nawet jeśli Hanratty zacznie już prace przygotowawcze do filmu Lea, to nasz nie ucierpi, bo z niego jest tytan pracy.

Weinberger pociągnął łyk drinka. Wyłowił palcami oliwkę i zjadł ją ze smakiem.

- Niemniej z Continuum mogą być kłopoty. Jeśli zabraknie im pieniędzy, gotowi „Człowieka z pałacu” sprzedać na pniu. Właśnie po ukończeniu pierwszego montażu, jeśli okaże się dobry.
- No i co z tego?
- Spójrzmy prawdzie w oczy - dużą część twojej gaży będzie stanowił procent od zysku. I zostaniemy zmuszeni wyklócać się o tę forszę z jakąś firmą, o której nigdy nie słyszeliśmy. A może się zdarzyć spryciarz, który film nie tylko kupi, ale zaraz go sprzeda, zobowiązując się spłacić wszystkie ciężące na nim długi. Potem zaś szybko zbankrutuje i ty otrzymasz za każdego dolara co najwyżej dziesięć centów.
- Chryste Panie! Winiaczku, ty masz w głowie kloakę!
- A mam. Gdybym, tak jak mnie namawiasz, napisał pamiętniki - tytuł gotowy: „Mam w głowie kloakę”.
- Nie wygłupiaj się. Ty wszędzie dopatrujesz się komplikacji. Słuchaj - to może być wielki film. Zgódźmy się. I wyciągnijmy z Bookbindera, ile się da, plus procent. Okay?
- Okay.
- Widzę, że nie jesteś zachwycony.
- Nie jestem. Ale martwię się o ciebie. I jeśli „Człowiek z pałacu” ma ci pomóc wyjść z depresji, to chętnie zgodzę się do niego dopłacić.

Stone uśmiechnął się. Tym razem nie był to ironiczny uśmiech świadczący o wewnętrznej rozterce, lecz prawdziwy uśmiech gwiazdy, który miał zarazić entuzjazmem każdego, kto znalazł się w jego zasięgu.

207

- Nie, Winiaczku, nie posuniemy się aż tak daleko. - Stone żartobliwie szturchnął agenta.

Weinberger uśmiechnął się, odłożył papiery i po raz pierwszy od wielu lat wychylił drugi kieliszek Martini.

- Napijesz się jeszcze? - spytał Stone. Weinberger pokręcił przecząco głową. - Może byś został na kolacji? Albo wybierzmy się do jakiejś miłej knajpy...
- Idź gdzieś na kolację z Suzy. Ja muszę wracać do domu. Ma do mnie przyjść ten literat.
- Jaki literat?
- Anson.
 - On daleko zaszedł, od czasu gdy był gryzipiórką w dziale scenariuszy za pięćdziesiąt dolarów tygodniowo plus tyle ołówków, ile udało mu się w biurze podwędzić.
- Muszę przyznać, że on umie pracować.
- Winiaczku, jak myślisz, co w nim zobaczyła Mary?
 - Oboje należą do gatunku samotników. Mary nigdy nie stała się częścią twojego świata.
- Ile on według ciebie może zarabiać?
 - Mają dwoje miłych dzieci, wygodny dom. Na pewno ich zarobki im wystarczają. Nie zależy im na tym wszystkim, na czym zależy tobie.

Weinbergerowi wyraźnie też „na tym wszystkim” nie zależało. Stone powiedział:

- Słucham, jak mówi o kinie przez duże K i zastanawiam, czym ja się przez całe życie zajmowałem.

Obaj roześmiali się. Weinberger przyjrzał się swemu klientowi, chciał się przekonać, czy już naprawdę przeszło mu chwilowe załamanie. Nie był pewien. Ale Stone potrząsnął głową.

- Wszystko okay, Winiaczk. Już przyszedłem do siebie.

- Jego głos znów brzmiał twardo i po męsku, teraz rozpozna liby go wielbiciele.

Weinberger poklepał Stone'a po ramieniu niezręcznym ruchem człowieka nieskłonного do poufałości.

- Nie martw się, Marshall. Zagrasz w „Człowieku z pałacu” i to będzie wielki film.

Stone odprowadził go do drzwi mając nadzieję, że agent wspomni coś o możliwości pogodzenia się z Koolmanem, ale

208

tak się nie stało. Próbował wyobrazić sobie, jak wygląda życie Weinbergera. Cały dzień ciężko pracuje, użera się w rozmaitych biurach, uspokaja znerwicowanych klientów. Wieczorem wraca do swego dużego domu koło Blackheath z teczką pełną dokumentów, nad którymi musi ślęczeć. Całuje żonę, martwią się, czy najstarsza córka nie zaszła w ciążę, czy najmłodszy syn dostanie się na uniwersytet. Strzyże trawnik, ogląda telewizję, je mrożonki i wkleja do albumu znaczki. Na kolację zaprasza czasem sąsiadów, maklerów giełdowych i miejscowych sklepikarzy, którzy chętnie słuchają anegdotek o zaczarowanym świecie, w którym on spędził dzień. Pewnie

wyglądało to zupełnie inaczej, niemniej tego typu tryb życia wydawał się Stone'owi powolnym umieraniem.

Nie było żadnego powodu, by Stone odstawiał do barku butelki z wódką i wermutem, wkładał szklanki do maleńkiego zlewu z tyłu i opróżniał popielniczki, jednakże zrobił to, wcale nie zdając sobie sprawy, że od bardzo wielu lat nic takiego mu się nie zdarzyło. W garażu stał Rolls, Jasper czekał tylko na znak, ale Stone nie miał ochoty na żadną eskapadę. Jacht w każdej chwili mógłby wypłynąć w morze, pilot dyżurował przy samolocie, ale nikt nigdzie na niego nie czekał. Wiele gościnnych pań domu, ambitnych gwiazdek i właścicieli knajpek zrobiłoby wszystko, by go rozerwać, ale dziś nie miał na to najmniejszej ochoty. W domu pełno było książek, nie przyszło mu nawet na myśl, żeby poczytać. Z wolna rozebrał się i położył.

W świecie gdzie każdy superlatyw brzmi jak najgorszy banał, jeszcze tylko łzy zachowały jakąś moc... Stone często to wykorzystywał: „wzruszał się do łez”, „płakał ze śmiechu”. Kiedy chciał wyrazić wdzięczność za jakiś dar albo szczodre pochwały, mawiał, że ma ochotę się rozpłakać.

Eddie Brummage nauczył się w dzieciństwie, że uciekając się do łez może uniknąć bury albo lania. Nigdy nie płakał, kiedy był sam. Kiedy był sam, nie umiał niczym się zająć, nie lubił więc samotności. Ale dziś ten niemal pięćdziesięcioletni człowiek rozpłakał się. Łkał w poduszkę, na powłoczce pozostały leciutkie ślady tuszu układające się w hieroglify.

11

Im bardziej McCarthy się wydziera, tym bardziej go lubię. To wspaniała robota: przepędza termity, które podgryzają naszą demokrację.

Louis B. Mayer

- Leo Koolmanie, zaledwie dwadzieścia miesięcy temu zacząłeś pracować w naszej firmie w dziale ekspedycji. Wkrótce zostałeś kierownikiem tego działu, a potem zastępcą dyrektora biura kadr. Po niecałym roku zacząłeś prowadzić dział reklamy, a po dalszych dwóch miesiącach otrzymałeś stanowisko wiceprezesa. Nigdy jeszcze nie mieliśmy tak młodego kierownika działu produkcji. Dziś zostaniesz prezesem. Tylko w dynamicznym, wolnym społeczeństwie amerykańskim można odnieść podobny sukces, prawda, Leo?
- Dziękuję, stryju.

Cyniczny podziw, który cechował ten dowcip, dobrze odzwierciedlał stosunek Hollywoodu do Koolmanów i całej ich działalności. Stosunki między starym Koolmanem i jego bratankiem dawały asumpt do wielu anegdot. Stary nie szczędził Leowi obelżywych słów przeplatanych przekleństwami, chętnie je cytowano.

Mało kto znosiłby takie obelgi, lekko tylko protestując. I chyba nikt nie umiałby tak jak Leo Koolman znaleźć w tych wyzwiskach ukrytych dobrych rad wynikających z wielu lat doświadczeń.

„Niech żyje Mister Hollywoodu" głosił transparent na hotelu „Beverly Hills", w którym cała branża filmowa zgromadziła się, by uczcić trzydzieści sześć lat działalności Międzynarodowej Wytwórni Filmowej Koolmana.

Do tytułu Mister Hollywoodu rościli sobie prawo także inni, ale stary Koolman chętnie odstąpił go bratankowi i przy tej okazji zrzekł się fotela prezesa, by mógł go zająć Leo, sam zaś zadowolił się przewodniczeniem radzie nadzorczej. Akcjonariusze nie byli zadowoleni, ale nie dali temu

wyrazu, dopiero

210

w dziesięć lat później zaczęli podnosić głowy. W 1947 r. słowo starego Maxa było prawem.

Fotografie pokazują uśmiechniętego karła w kolorowej chuście na szyi, wygniecionym białym ubraniu i w stetsonie na głowie. Kroniki kina zanotowały kilka najbardziej niedorzecznych wypowiedzi starego Maxa z czasów, gdy był uważany za przywódcę prawego skrzydła Hollywoodu. Ale kiedy jako młody awanturnik przybył tu w 1909 roku, Hollywood było dziurą, a on był w pewnym sensie uciekinierem. W Nowym Jorku nakręcił kilkanaście jednorolkowych filmów, jego ekipom jednak często sprawiano lanie, natomiast ostatnie dwa filmy zostały wyrokiem sądowym zarekwirowane przez „trust”. Max stracił wszystko co miał, zostało mu osiem dolarów.

Trustem było Towarzystwo Filmowych Patentów, tylko jego członkowie mogli kupować taśmę. Robili film za filmem, a kina płaciły od długości rolki - dziesiątka za stopę, niezależnie od walorów filmu i grających w nim aktorów. Właściciele kin musieli wypożyczać od Towarzystwa aparaty projekcyjne, ono zaś wypożyczało je tylko wówczas, gdy otrzymywało gwarancję, że będzie się pokazywać wyłącznie filmy trustu. Zęby złamać ten monopol, Max musiał sprowadzić kamerę z Europy, kupić taśmę na czarnym rynku i znaleźć miejsce, gdzie nie dopadliby go agenci trustu, komornicy, szeryfowie czy też zgoła wynajęci gangsterzy. W Nowym Jorku okazało się to niemożliwe.

Hollywood odpowiadało mu z wielu względów. Przez okrągły rok świeciło tu słońce, co w owych czasach było przy kręceniu filmów rzeczą

nieocenioną. „Wnętrzami” były zbudowane w plenerze pokoje bez jednej ściany umieszczone na obrotowej platformie, tak by zawsze można było ustawić je „twarzą” do słońca. Max produkował głównie westerny, a w Santa Monica znajdowała się - cóż za wygoda - osada Indian, tam właśnie, gdzie teraz jest Bulwar Zachodzącego Słońca. Nie opodal był Griffith Park - jeziora, lasy i kaniony. Ale najważniejsze było to, że kiedy w mieście pojawiali się agenci trustu lub banda wynajętych rzezimieszków, by niszczyć sprzęt filmowy, Max ładował swoje dwie kamery do Forda i gnał w stronę meksykańskiej granicy.

211

Aż do pierwszej wojny światowej europejski przemysł filmowy wyprzedzał amerykański. W Ameryce trust nie dopuszczał do wyświetlania filmów dłuższych niż jedna rolka, we Francji zaś pojawił się film czterorolkowy, w którym Sarah Bernhardt grała królową Elżbietę, a Włosi nakręcili osiem rolek „Quo Vadis”. Gdyby nie wojna, Hollywood pozostałoby może anonimowym miasteczkiem amerykańskim, ale w Europie całą celulozę trzeba teraz było zużywać na fabrykowanie materiałów wybuchowych. Kiedy w 1917 r. Ameryka przystąpiła do wojny, także i na Wschodnim Wybrzeżu przemysł filmowy został unicestwiony. Brakowało elektryczności, ludzi i materiału. W ten sposób, drogą eliminacji, Hollywood stało się centrum światowego kina. Zapytany w 1935 r. o tajemnicę swego sukcesu, Max oświadczył: - Trzeba się trzymać z dala od wojny. - Ale kiedy w 1942 r. jakaś gazeta zacytowała jego słowa, podał ją do sądu.

Max wprowadzał do kina nowe idee, ryzykował. Kiedy trust wciąż zabraniał pokazywania filmów dłuższych niż jedna rolka, nakręcił sześciorolkowego „Barnaby Rudge”. Kiedy kina trustu odrzuciły ów film,

wynajął w Chicago teatr i tam zaczął go pokazywać. Trust nalegał, aby aktorzy pozostawali anonimowi, z obawy, by nie żądali wyższych stawek niż ustalone raz na zawsze dziesięć dolarów za dzień zdjęciowy, Max nęcił aktorów pięćsetdolarową gażą i zapewniał umieszczenie w czołówce filmu nazwisk nie tylko producentów, lecz także aktorów i reżyserów. I to Max żądał zbliżeń gwiazd wówczas, gdy większość operatorów starała się w każdym ujęciu pokazać, że aktor ma nogi.

I to Max uświadomił sobie, że filmy nakręcane według klasyków literatury przyciągną publiczność z klas średnich; dotychczas do kina chodziły tylko warstwy niższe. I żeby nie wstyd było do tego kina iść, wysłał je dywanami, powiesił żyrandole, znikły nagie deski podłogi i spluwaczki.

Ale Maxowi wciąż groziło niebezpieczeństwo. Tak jak de Mille nie rozstawał się w pracy ze spluwą. Atakowano jego pracowników, tyle że zdarzało się to rzadziej. Jego wrogowie uprzytomnili sobie, że nie pozbędą się Maxa. Jadąc dziś bulwarem wzdłuż Santa Monica trudno uwierzyć, że jeszcze pod

212

koniec lat dwudziestych Max jeździł tędy do atelier konno. Kiedy okazało się to niepraktyczne, sprzedał swój dom wraz z przynależnym do niego dwudziestopięcioakrowym terenem za blisko milion dolarów i kupił dom w Cahuenga Pass. Co rano jadł na balkonie śniadanie - często w damskim, acz nie zidentyfikowanym towarzystwie - i krytykował ekipę, która na końcu ogrodu robiła zdjęcia do następnego westernu.

Sam handel nieruchomościami sprawił, że w latach trzydziestych Max był już multimilionerem. Jego jaskrawoczerwony, zrobiony na zamówienie

Mercedes Benz - jeszcze większy niż kremowy Mercedes Rudolfa Valentino - widywano często przed „Ogrodem Allacha”, „Brunatnym Derby” lub innymi nocnymi lokalami, gdzie bywał filmowy świątek. 1 często jeździł tym autem na swoje ranczo w dolinie San Fernando.

Max nie trzymał pieniędzy w banku. Zaczął budować własną sieć kin i całą gotówkę do ostatniego centa wpakował w aparaturę dźwiękową wówczas, gdy większość branży przepowiadała dźwiękowi klęskę. Potem sprzedał ranczo własnej firmie, która stała się Międzynarodowym Atelier Filmowym Koolmana, większym i cenniejszym niż, położone w pobliżu, atelier Universalu.

W latach trzydziestych firma Koolmana uzyskała opinię najbardziej drańskiego pracodawcy w całym Hollywood. Ze zdaniem scenarzystów liczone się mniej niż ze zdaniem kelnerek podających w dyrektorskiej jadalni. Aktorzy i reżyserzy musieli robić pół tuzina filmów rocznie, związani słynnymi siedmioletnimi kontraktami, na podstawie których można było posłać ich w każdej chwili w odstawkę, nie płacąc gaży i automatycznie przedłużając kontrakt. W ten sposób „trudny” aktor mógł przez całe życie nie wyzwolić się z kontraktu. Stary Max rozkoszował się awanturami, w których nierzadko dochodziło do łez, a potem pojednaniem, zakropionym obficie szampanem. Traktował swoje gwiazdy jak bajzelmama, zresztą jego atelier pod wieloma względami przypominało burdel.

- Dobry Boże, powiedzcie tym smarkatym przemądrzałym skurwysynom, żeby czasem zrobili film, w którym pozytywny bohater zdobywa dziwkę i szmal. Co do cholery! Rzygać mi się chce, gdy patrzę, jak porządni chłopcy z Oklahomy zamieniają się w podrzędnych rzezimieszków.

Ów wybuch starego Maxa Phil Sanchez przełożył na cywilizowany język i słowa te stały się maksymą firmy: „Nie zapominajcie, dżentelmeni, że nasze filmy muszą być przede wszystkim amerykańskie. Owszem, mają bawić, ale ucząc młodzież naszego wielkiego narodu, że wartości moralne, ciężka praca i talent przynoszą sukces i szczęście”. Pracownikom Koolmana trudno było przyjąć ową filozofię, bowiem ich codzienne doświadczenie uczyło ich czegoś wręcz przeciwnego. Niemniej wszędzie pojawiły się wywieszki: „Dżentelmeni, nasze filmy muszą być przede wszystkim amerykańskie”.

Niełatwo było robić w tej wytwórni filmy. Księgowi bacznie przyglądali się każdej pozycji budżetu, a kierownik produkcji, który by choć o parę dolarów przekroczył budżet, długo musiał się tłumaczyć, nim powierzono mu następny film. Leo Koolman w latach trzydziestych był jeszcze chłopcem, ale większość wolnego czasu spędzał w wytwórni u boku stryja Maxa. Kiedy zaczęła się druga wojna światowa, stał się nieoficjalnym pomocnikiem i gońcem. Stary Max przekroczył sześćdziesiątkę i żywił chłopską nieufność do kolei, a jeszcze większą do nowomodnych samolotów.

W latach czterdziestych rozpoczął się pobór do wojska i praca na trzy zmiany. Żony, narzeczone, matki i samotni żołnierze na przepustce mieli pełne kieszenie pieniędzy i puste domy. Dla przemysłu filmowego zaczęło się eldorado. Z każdym rokiem spółka Koolmana przynosiła coraz większe zyski. Pokój, powrót żołnierzy, kłopoty mieszkaniowe i dostęp do europejskich kin oznaczały jeszcze większą forszę. Każdy film bez względu na swoją jakość przynosił zyski i to uspiło czujność branży, kino spoczęło na laurach. Zdawało się niewątpliwe, że młody Koolman przejmie w spadku złotodajną żyłę. Starego Maxa nigdy jednak nie zawiódł nos i teraz też w odpowiedniej chwili wycofał się z interesów.

W 1947 r. okazało się, że wojenna koniunktura minęła. Akcjonariusze, którzy mieli nadzieję, że zeszłoroczny zysk w wysokości trzech milionów sześciuset dolarów jeszcze się powiększy, dowiedzieli się, że w tym roku spółka Koolmana zarobiła zaledwie czterysta dziewięćdziesiąt trzy tysiące dziewięćset dwadzieścia osiem dolarów.

214

Mruczący z zadowolenia akcjonariusze łatwo przeistaczają się w rozjuszone bestie. Dali się we znaki nawet takim potentatom jak Mayer, Schary, Schenk i Zanuck. Teraz już Leo przestał zazdrościć potężnemu MGM, rozporządzającemu wielką własną siecią kin, gdyż Sąd Najwyższy na podstawie Ustawy Przeciwtrustowej Shermana zakazał wytwórniom filmowym posiadania kin. Spółka Koolmana też musiała sprzedać swoje kina i młody Koolman objąwszy władzę od tego właśnie rozpoczął start, a nie było to wcale takie łatwe.

W latach pięćdziesiątych jedna czwarta kin została zamknięta, liczba odbiorników telewizyjnych doszła do pięćdziesięciu milionów. We wtorki wieczorem kina były puste, w telewizji występował Milton Berle z Texaco Star Theatre.

Z początku Hollywood bojkotował telewizję, skończyło się to, gdy Columbia sprzedała jednej z sieci telewizyjnych swoje stare filmy. W ślady Columbii poszedł natychmiast Koolman sprzedając dwieście filmów fabularnych. A kontrakt z odpowiednią siecią telewizyjną głosił, że prócz zapłaty Wytwórnia Koolmana otrzyma zamówienie na produkcję pięćdziesięciminutowych filmów telewizyjnych za ogólną sumę dwóch milionów. Leo sfinansował nowe atelier sprzedając wytwórnię płyt na Manhattanie i tereny pod miastem. Wpływy z telewizji posłużyły zbilansowaniu kwartalnych rachunków MWF,

inaczej miałyby ona kłopoty. Leo Koolman stanowczo opierał się sprzedaży części terenów atelier w Kalifornii, przekonał akcjonariuszy, że duży teren z każdym rokiem nabiera wartości, i obiecał rozpatrzyć ponownie sprawę w 1955 r. Spółka Koolmana w tym właśnie momencie przyjęła nazwę: Międzynarodowa Wytwórnia Filmowa, zyski znów wzrosły do dwóch milionów rocznie, filmy z Marshalllem Stone'em przyniosły jej i pieniądze, i rozgłos.

Stary Max zmarł w 1956 roku po męczącej podróży pociągiem przez cały kontynent. Siedział w hotelowym apartamencie, żona trzymała go za rękę, a on obsypywał wyzwiskami Lea za to, że wezwał lekarza.

- Ty głupi smarkaczu! Czego cię uczyłem? Przecież na wiadomość o mojej chorobie akcje Koolmana zaraz spadną.
- Zamknij się - odpowiedział Leo. - Wszyscy wiedzą, że to ja stoję na czele wytwórni.

215

Kiedy Max Koolman znów się odezwał, mówił tak słabym głosem, że Leo musiał się nad nim nachylić. I w ten sposób żona Maxa nie usłyszała ostatnich słów męża, które były ordynarnym przekleństwem.

Już w 1947 r. Max miał dosyć podróży z Los Angeles do Nowego Jorku. Wciąż nie ufał samolotom, a czterodniowa podróż pociągiem była ponad jego siły.

Obecnie samoloty przybliżyły Kalifornię do Nowego Jorku, jej oblicze zmieniło się. Do tej pory hollywoodzcy scenarzyści i scenografowie wzorowali się na swoich hollywoodzkich poprzednikach. Teraz duża część widzów wiedziała już z autopsji, jak wygląda Europa i Daleki Wschód. I domagała się realizmu. Europejscy reżyserzy - z braku pieniędzy na dekora-

cje, kostiumy, reflektory - zaczęli kręcić filmy w obiektach zdjęciowych i na ulicach miast. Jeśli Hollywood nie miałooby się ograniczyć do robienia filmów na użytek wewnętrzny - co było zawsze założeniem brytyjskiego przemysłu filmowego - musiało pobić europejskich twórców ich własną bronią.

Kiedy w 1947 r. Komisja do Badania Działalności Antyamerykańskiej znów zabrała się do Hollywoodu, stary Max nazwał to „wyglupami antysemitów” i pogratulował sobie, że nie zmienił nazwiska. Zanglicyzowane nazwiska kilku jego przyjaciół posłużyły Komisji za dowód przestępstwa. Ale Komisja dobrze wybrała swoje ofiary. Przesłuchiwani nie tylko zachowywali się histerycznie, okazując swe przerażenie, ale oskarżali innych. W dodatku wystarczyło, by któryś z członków Komisji szepnął jakieś słynne nazwisko, a rozpisywano się o nim na pierwszych stronach gazet całego świata, nie wspominając już o telewizji. Stanowiło to nieodpartą pokusę dla najbardziej powściągliwych polityków.

Z początku nikt nie brał tego na serio. Dorothy Parker zauważyła, że jedyną działalność antyamerykańską, w jaką wierzy Hollywood, to uprawianie plagiatów. Ale zareagowały banki. Dały znać Maxowi, że naciski na przemysł filmowy będą bardzo silne i nikt w rządzie nie ma takiej mocy - ani ochoty - żeby się temu przeciwstawić. Max stał się zatem ząartym antykomunistą, a Leowi wyznaczył rolę liberała.

No i Leo starał się ugłaskać postępową opinię, Max nato-

216

miast stanął przed Komisją i bezwstydnie błagał o przebaczenie, że zrobił parę filmów, w których Rosjanie byli ogoleni i nosili czyste koszule. Przysiągł, że się to nie powtórzy, i tak się też stało. Stary Max uczestniczył w słynnym zebraniu w hotelu „Waldorf Astoria”, gdzie uchwalono

deklarację, że żadna z dziesięciu osób, które stawiały czoło Komisji, nigdy więcej nie otrzyma pracy.

- Co to za powoływanie się na Pierwszą Poprawkę - albo ktoś jest Amerykaninem, albo zdrajcą. Odeślijcie tych czerwonych z powrotem do Rosji - oświadczył urodzony w Odessie Max Koolman.

Max tak świetnie odegrał swoją rolę, że Komisja w ogóle nie wezwała na przesłuchanie Lea, a kiedy w 1951 r. wznowiła swą działalność w Hollywood, spośród wszystkich pracowników Koolmana na czarnej liście znalazł się tylko Kagan Bookbinder.

Oczywiście Max i Leo mogli przysiąc, kładąc rękę tam, gdzie powinno się znajdować serce - że czarna lista w ogóle nie istnieje. Przecież lista powinna się znajdować na kartce papieru. A wszystko zostało ustalone niemal bez słowa, wystarczyło parę razy skinąć głową. Przemysł filmowy podczas poprzednich przesłuchań przekonał się, że zyska trzymając się razem. Rzecz jasna nie chodziło o wspólny front przeciwko Komisji, lecz przeciwko reżyserom, pisarzom i aktorom. Leo wskazał, że we wspólnym interesie należy pozbyć się ludzi podejrzanych o komunizm. A wraz z nimi paru facetów skłonnych do sarkazmu, mających „artystyczne pomysły” i sypiających nie ze swoimi żonami.

Bookbinder ze wszystkich tych względów pasował do mitycznej czarnej listy, ale strażnik przy bramie wytwórni bynajmniej mu jej nie pokazał, tylko powiadomił, że ma instrukcje, by go nie wpuścić, i wręczył zawiniątko z zawartością szuflady z jego byłego biura. Godzinne naleganie nie odniosło skutku, a centrali jakoś dziwnie nie udało się go połączyć z żadnym z zamawianych numerów.

Wszystko to jednak działo się w 1951 r. Kiedy Leo Koolman objął firmę,

sytuacja wyglądała już zupełnie inaczej. W pierwszym roku panowania nowemu prezesowi potrzebny był film, który dałoby się zareklamować tak, by nie tylko przyciągnął

217

widzów, ale także akcjonariuszy. Firma wzbogaciła się na westernach oraz śpiewających, pogwizdujących i tańczących na linie gwiazdach, ale obecnie pobiły ją na tym polu inne wytwórnie. Leo lubił westerny, lubił je także stryjaski Max oraz dwóch najważniejszych i sprawiających najwięcej kłopotu akcjonariuszy.

Bookbinder wszedł do gabinetu Lea z nowelą filmową odrzuconą już przez wszystkie wytwórnie; odrzucił ją także stary Max. Ale uwagę Lea przykuł nowy element: Edward Stone, słynny szekspirowski aktor z Wielkiej Brytanii, od dawna zaprzyjaźniony z Bookbinderem, zgodził się zagrać główną rolę za symboliczną zapłatą.

Leo przydzielił Bookbinderowi biuro, sekretarkę, scenarzystę, polecił wydać przepustkę do wytwórni i wyznaczyć miejsce na parking. Projekt MWF numer 130(A 42) 1948 został zarejestrowany. Leo miał wszelkie powody, żeby ufać, iż próbny montaż pokazany na dorocznym zebraniu akcjonariuszy wzbudzi w nich nadzieję, że historia gotowa jest się powtórzyć. I Leo zyska dwanaście miesięcy. Zatem dział reklamy otrzymał nowe zadanie. Anglik ma zostać gwiazdą.

Koolman miał dodatkowy powód, by za wszelką cenę starać się osiągnąć sukces. Kiedy został prezesem, oprócz pensji wynoszącej dwieście tysięcy dolarów rocznie zyskał prawo do nabywania przez pięć lat akcji po cenach z 1947 roku. Jeśli cena akcji wzrastałaby miałby szanse stać się multimilionerem. Jeśliby spadała - mógłby zbankrutować i stracić pensję.

Klauzulę tę wprowadzono po to, by stanowiła dla niego doping.

Tylko, żeby [Rita Hayworth] nie miała za wiele tekstu do wygłaszania... Film powinien liczyć dziesięć, dwanaście rolek, zawierać parę numerów tanecznych, konflikt między nią a Glennem Fordem i dziać się w jakimś egzotycznym otoczeniu. Dostarcz mi taki film, a zaraz podpisujemy następny kontrakt.

Harry Cohn

- Niech ci się szczęści, Leo!
- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, Leo!

218

Owej nocy księżyc wisiał tuż nad ziemią i różowawy kolor nieba przypominał, że Hollywood znajduje się pod tą samą szerokością geograficzną co Rabat, Bagdad i przełęcz Khyber. Koolman był jeszcze bardzo młody i tak pełen energii jak szczenię. Ścisnął ręce, uśmiechał się i przyjmował życzenia urodzinowe, obsypywano go nimi jak nowożeńców monetami.

- Wszystkiego najlepszego, Leo. Wspaniałe przyjęcie.

Felietonista obliczył, że na urodzinowym przyjęciu Lea Koolmana pojawiło się dziewięćset osób. O dziesiątej wieczorem, kiedy obsypano storczykami pływające w basenie dziewczęta, a orkiestra zagrała „Happy Birthday, Kochany Leo” - było obecnych co najmniej czterystu gości. Siedzieli w domu, na trawnikach, koło basenu. Niektórzy grali nawet w tenisa. Następnego dnia rano w garderobie przy kortach znaleziono na podłodze śpiącą nagą parę - kierownika produkcji i aktorkę, która pretendowała do głównej roli w jego filmie. Leo Koolman wciągnął ich

natychmiast na czarną listę.

- Nawet nie mieli przy sobie rakiet - oświadczył oskarżycielskim tonem.

Koolman krążył wśród tłumu, uśmiechając się do gości, rozmawiając z kolegami i kiwając głową prywatnym detektywom, którzy mieli czuwać nad kosztownościami. Filmowy świątek podziwiał przepych przyjęcia w chwili, kiedy większość osób uważała, że dobre dawne czasy już nie wrócą. Stary Max niespokojnie obserwował swego protegowanego, obaj obawiali się, że nepotyzm może się okazać tak niebezpieczny, jak to utrzymywali ich wrogowie. Max wiedział jednak, że nie wolno mu okazać bratankowi współczucia - byłoby to klęską.

Tak więc młody Koolman musiał sam uporać się z własnym strachem. Ale nie przestawał się uśmiechać, uśmiechał się nawet wówczas, gdy jego młodziutka żona Rochelle odkryła, że kosztów przyjęcia nie pokryje wytwórnia, i zaczęła ostro protestować.

W orientalnym ogrodzie wisiało pełno papierowych latarni i podawano chińskie potrawy. Zapach oleju sojowego i smażonej wieprzowiny dotarł do fontanny pod karłowatymi palmami, do której chodziło się by zapewnić sobie spełnienie marzeń. Stał przy niej Koolman rozmawiając ze Stone'em.

219

Koolman miał na sobie opięty biały zakiet, czarną jedwabną koszulę i białą muszkę. Żona oznajmiła mu, że w tej koszuli wygląda niczym Al Capone, mimo to jej nie zmienił.

Przed chwilą pozował ze swoją gwiazdą fotografom z prasy, a potem pozbył się Bookbindera i Weinbergera i zabrał Stone'a pod fontannę, by przeprowadzić z nim poważną rozmowę. Tylko ktoś bardzo nierozważny

ośmieliłby się ją przerwać.

Koolman oświadczył:

- Sytuacja wymaga nagłej decyzji. I to ty musisz ją podjąć.
 - No pewnie, że ja - odparł Stone. - A niby kto?
 - Zakochałeś się w tej małej Rainbow. Okay, rozumiem, bardzo miłusia. - Koolman lekko się odwrócił, żeby móc obserwować ogród. Dziewczęta wychodziły z basenu, ich przywódczyni zdejmowała czepek. Włosy opadły jej na ramiona. Oświetliły ją reflektory, wszyscy zaczęli klaskać, orkiestra zagrała „Stardust” i ruszono w tany. - Ale czy ona ma prawo żądać, żebyś poświęcił dla niej swą karierę?
 - Ona niczego nie żąda.
 - Bo wie, jakby wyglądało życie u boku kogoś, kto wyrzekł się kariery. Czy wyobrażasz sobie, co byś jej powiedział przy pierwszej sprzeczce? Pomyślałeś o tym?
 - Kocham ją - odparł Stone. - I będziemy mieć synka.
 - Skąd wiesz, że to nie będzie córeczka? I skąd wiesz, czy ta miłość nie minie? Za parę lat gotów jesteś się zakochać w następnej ślicznotce.
 - To jest prawdziwa miłość.
 - Czy nie mówiłeś tego samej żonie, kiedy siedem lat temu brałeś z nią ślub?
- Stone nie odpowiedział.
- Nie mówiłeś?
 - Pewnie tak.
 - Czyżbyś zapomniał?
 - Nie, nie zapomniałem. - Stone wiedział, że ten człowiek, który spędza

życie zawierając i zrywając kontrakty, potrafi w każdym wywołać poczucie winy. Japoński kelner zaproponował im smażoną ośmiornicę. Koolman odprawił go ruchem ręki.

220

- Nie jest tak, jak myślisz - powiedział Stone. - Kocham Ingrid. Zamierzam pogadać z adwokatem o rozwodzie.
- Nie, kochany, nie pogadasz z adwokatem o rozwodzie. Pogadasz ze mną. Pracuje u mnie wiele gwiazd - słyszysz, gwiazd! - które od lat czekają, żebym się zgodził na ich rozwód. Ze mną nie przechodzą takie numery, prowadzę przyzwoite przedsiębiorstwo.
- Ależ to nie jest tak, jak myślisz. Daję ci słowo - powtórzył Stone.

Zauważył nagle stojącego obok basenu szczupłego czterdziestoparoletniego mężczyznę. Rozglądał się on wokoło, ale co chwila zerkał na Koolmana. Nieznajomy miał na sobie różowy garnitur, w mankietach cienutkiej koszuli, które coraz to obciągał tkwiły ogromne kosztowne spinki. Mężczyzna zaczął się zbliżać, niby to się cofając. Podszedł do nich pod takim kątem, że udało mu się chwycić Koolmana jednocześnie za rękę i za łokieć.

- Jezu, jak ty wspaniale wyglądasz, Leo!
- Bo wspaniale się czuję - odparł Koolman.
- Właśnie wróciłem z Palm Springs...

Nieznajomy czekał, by Leo się odezwał, ale się nie doczekał, więc dorzucił: - Czyżbyś mnie nie pamiętał? Bernard Caven-dish. Zrobiłem dla ciebie „Kobietę i księżyc”.

- Aha - mruknął Koolman. - Oto facet, który kierował

produkcją mojej „Kobiety” - powiedział w przestrzeń.

Cavendish nie przestając się uśmiechać wpatrywał się w Koolmana. Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Tak się cieszę, że cię widzę, Leo. Ale ja nie byłem kierownikiem produkcji, byłem reżyserem.

- Aha - potwierdził Koolman przyglądając się, jak pływaczki wchodzą na trampolinę. - Jesienią czterdziestego drugiego roku. O dwa dni spóźniłeś się ze zdjęciami.
- Miło mi pana poznać, Bernard - powiedział Stone, ale nie wyciągnął ręki, Cavendish uśmiechnął się do niego i mu się przyjrzał. Nie rozpoznał jego twarzy, całą więc uwagę skupił na Koolmanie.
- Leo, masz prawo dać mi w pysk!
- Dlaczego?

221

Mężczyzna wdał się w długie wyjaśnienia, mówiąc tak szybko, że Stone z trudem go rozumiał. - Ty już pewnie zapomniałeś. Masz tyle na głowie, Leo. Mówię o „Pojedyнку królów”. Twierdziłem, że z tego nie da się zrobić filmu. Posprzeczałem się z tobą. Ale to ty miałaś rację. Wziąłem scenarzystów i udało nam się zrobić zupełnie niezły scenariusz. - Mężczyzna nie spuszczał wzroku z Koolmana próbując zorientować się, czy jego słowa odnoszą jakiś skutek, ale Koolman patrzył mu przez ramię przyglądając się przyjęciu. Skinął komuś ręką.

- To Greg Peck - wyjaśnił Koolman.
- Hej, Greg! - zawołał mężczyzna, ale nawet nie spojrzał w jego stronę. - „Pojedynek królów”... Owszem, mówiłem, że pomysł jest coś wart, ale uważałem, że nie da się z tego zrobić filmu... Sądziłem...

- Czy próbowałaś tych pierożków chińskich - *Pao tse* - są naprawdę świetne. To od tego faceta w pobliżu Bulwaru Zachodzącego Słońca. Najlepsza kuchnia chińska na Wybrzeżu.
- Wspaniale - odpowiedział mężczyzna. - Wszystko jest równie cudowne jak za dawnych dobrych czasów, kiedy panował tutaj twój stryj Max. Co ja mówię - jest jeszcze wspanialej. Więc widzisz, pomyślałem sobie, że warto się zastanowić nad ideą Lea. Leo zna się na scenariuszach. Może umówilibyśmy się we wtorek na obiad?
- Byłoby bardzo miło. Ale porozum się z sekretarką Phila Sancheza. Już za parę tygodni Boże Narodzenie... - Koolman podniósł rękę, by pokazać, jak wysoko sięga fala nie cierpiących zwłoki spraw.
- Będziesz miał niespodziankę, Leo. To zupełnie nowy rodzaj kina. Na pewno zainteresowałyby się tym Twentieth albo United Artists, ale uważałem, że muszę pokazać ten scenariusz najpierw tobie.

Koolman skinął głową. Cavendish podniósł głos.

- Świetna rola dla Davis albo Crawford. - Puścił łokieć

Koolmana tylko po to, by poklepać go po ramieniu. - Tak, to będzie wyciskacz łez. Ale w zupełnie innym wymiarze. „Stracony weekend”, tyle że będzie to dotyczyło kobiety - widzisz to?

222

- Mieliśmy właśnie...

Mężczyzna podniósł do góry rękę.

- Rozumiem. Chcecie pogadać o interesach. Już uciekam.

Ale pomyśl o tym filmie, Leo. To może być prawdziwa bomba.

- Nie doczekał się odpowiedzi.

- Ciekawe, kto wpuścił tu tę kreaturę - mruknął Koolman, gdy mężczyzna wreszcie odszedł.

Ta rozmowa odebrała Stone'owi odwagę. Z początku zdenerwowanie mężczyzny śmieszyło go. Ten sztuczny ton, ręce, które czepiały się rękawa Koolmana. Widział, jak kuli się, ilekroć Koolman daje mu po nosie. Wielu było tu takich ludzi, którym sekretarki broniły dostępu do szefów produkcji. I był wśród nich niejeden aktor.

Koolman postanowił dać Stone'owi czas do namysłu i przez dłuższą chwilę obaj przyglądali się przyjęciu. Hoagy Carmi-chael zaczął grać na fortepianie „Sleepytime Girl” i wokół fortepianu zaczęli gromadzić się goście. Była obecna większość gwiazd. Wcześniej tego wieczoru przybyli na motocyklach Bogart i Dick Powell, objechali wokoło wszystkie stoły. Benzyna była wciąż na talony i motocykle stały się modne. Stone postanowił już, że i on kupi sobie motor. Ale teraz rozmowa z Koolmanem wybiła mu ten pomysł z głowy.

- Pamiętaj, że nie spotkasz się z aplauzem - oświadczył Koolman.
- To nie o to chodzi...
- Aktorowi nie wolno się uchylać od swoich zobowiązań.
- Koolman przerwał. Grała orkiestra, a księżyc był tak ogromny, jak nie zdarza się go widzieć nawet na scenicznej dekoracji.
- Aktor ma zobowiązania wobec tych, którzy nauczyli go tego, co umie. I wobec swoich rodziców. I wobec samego siebie i swojej sztuki. - Koolman zastanowił się, czy wiernie powtórzył maksymę starego Maxa. - Ale co się z nią wtedy stanie?

Koolman zrozumiał, że jeśli nie wykona żadnego fałszywego ruchu, Stone

poweźmie odpowiednią decyzję. Nie będzie ryzykować swojej kariery dla tej dziewczyny w ciąży. Podświadomie wcale tego pewnie nie chciał, mimo niewątpliwego zakochania. Wygadywał bzdury, by przekonać samego siebie, że nie

223

jest nieczułym karierowiczem, dla którego najważniejsze są jego ambicje. A był nim. Koolman przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. W podobnych wypadkach zwykł obiecywać, że losami dziewczyny zajmie się wytwórnia, ale Stone'a należało potraktować w bardziej wyrafinowany sposób.

- Musimy się naradzić, Marshall. Nie będziemy szczenić kosztów, żeby matka i dziecko miały to wszystko, co chciałbym zapewnić komuś z mojej rodziny - najlepszą opiekę lekarską, zastępczych rodziców i fundusz powierniczy na koszt studiów dziecka.
- Ingrid będzie chciała sama wychowywać dziecko - oświadczył Stone. - Mówiliśmy o tym. Cokolwiek nastąpi, będzie to dziecko wychowywać i je kochać. Każde dziecko potrzebuje miłości, Leo.
- To się da urządzić - zgodził się Koolman. Znow zaczął się przyglądać, jak bawią się jego goście, czekając, aż Stone podejmie nieuniknioną decyzję. Ava Gardner pomachała Koolmanowi ręką, on jej odpowiedział.
- Nie mogę porzucić Ingrid - bąknął Stone.
- A jakie masz inne wyjście? Stracisz pracę w filmie i skąd weźmiesz pieniądze na rozwód i utrzymanie dwóch żon oraz dwojga dzieci? Wyobrażasz sobie, na co je narazisz? I nie wiem, czy ci się spodoba zamieszkanie w jednej z tych bud za Santa Monica?

- Nic mi to nie będzie przeszkadzało.
- Tobie, Marshall, nie, mnie także nie, ale nigdy nie chciałbym na to narazić mojej żony i dziecka.
- Masz chyba rację - zgodził się Stone. - Tak, przekonałeś mnie.
- Posłuchaj dobrej rady, kochany, i sprowadź tu żonę. Tak będzie lepiej.
Następny film kręcimy w Nowym Meksyku, czeka cię ciężka harówka.
Bookbinder stał z Weinbergerem u wejścia do różanego ogródka.

Wyraźnie czekali na gest ze strony Lea, bo ledwie zdążył podnieść rękę, już byli przy nim.

Koolman powiedział:

- Znaleźliśmy z Marshalllem wyjście z sytuacji. Jutro wieczorem wyjedzie z tobą, Kaganie.

224

- Wspaniale! - ucieszył się Bookbinder.

Koolman zwrócił się do Weinbergera:

- Zostań tu parę dni, żeby omówić szczegóły. Marshall jeszcze dziś wieczorem pogada z żoną. Zaproponuje jej, by możliwie szybko przyjechała do niego do Nowego Meksyku.

Prawda, Marshall?

- Ano, prawda.

Koolman ciągnął dalej:

- Kiedy pani Stone tu przyjedzie, Marshall wróci z Nowego Meksyku, żeby w czasie Bożego Narodzenia mogli się razem pokazać w paru modnych lokalach. Porozmawiaj o tym z moim działem reklamy.
- Jasne - przytaknął Weinberger.

- Teraz na parę miesięcy wyciszamy historyjki o seksapilu.
- Koolman spojrział na zegarek. - Czas na moje przemówienie
- oznajmił. Włożył ciemne okulary. Rozległ się trzask i promień reflektora poszukał na niebie balonu. W odpowiedniej chwili balon był w umówionym miejscu. Na tę noc reklamy papierosów zastąpione zostały napisem: „Wszystkiego Najlepszego w Dniu Urodzin, Leo”.
- Wszystkiego najlepszego - powiedział Stone.

Koolman, nim zrobił krok, by znaleźć się w kręgu kolorowego światła, poklepał go po plecach. Dziewczęta na trampolinie szykowały się do skoku, a pięćdziesięcioosobowy chór zaczął śpiewać urodzinową pieśń w takiej aranżacji, że nadawałaby się na żałobne nabożeństwo w Opactwie Westminster. Balon zniżył się jeszcze i goście dołączyli się do refrenu, gdy dziewczyna w kostiumie kąpielowym wyłoniła się z kopuły i wypuściła dwadzieścia osiem białych ptaków. Leo Koolman skończył dwadzieścia osiem lat.

12

Każdy film, który stara się opowiedzieć jakąś fabułę, oddaje się na usługi klasie rządzącej.

Jean-Luc Godard

W His Majesty's Theatre miała się odbyć premiera „Kupca weneckiego”. Taksówka Stone'a ugrzęzła w korku. Za pięć minut kurtyna miała pójść w górę. A on potrzebuje półtorej godziny na charakteryzację i przebranie się w skomplikowany kostium. Zaczął się zastanawiać, czy procedury tej nie dałoby się skrócić. Może wyjdzie na scenę włożywszy na garnitur płaszcz i

obywając się bez szminki? Co pomyślą krytycy i co, u Boga Ojca, napiszą? Supergwiazda, Szekspir, premiera...

Za trzy minuty początek. Dotknął zmarszczek na twarzy - może postarzał się już na tyle, że szminka nie będzie potrzebna? Przypomniał sobie, jak szwajcarski specjalista kazał mu się obchodzić z suchą skórą... Taksówkę minęła jadąca na rowerze Mary. Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, tak jak on wówczas, gdy zobaczył ją na jachcie.

Nie trzeba było przesadnej wyobraźni, by domyślić się, że Mary jedzie do teatru. Będzie na sali, gdy widzowie zaczną klaskać, domagając się rozpoczęcia przedstawienia. Mary to na pewno z góry zaplanowała. Obracał w rękach budzik usiłując zobaczyć, która godzina, i powoli otrząsnął się ze snu. Trzecia nad ranem.

Można wierzyć lub nie, że sny ostrzegają nas przed tym, co nam grozi, ale na pewno dają wyraz naszym podświadomym lękom. W tym śnie objawił się cały ten niepokój, który zawsze dręczył go, gdy miał podjąć jakąś decyzję. Zażył proszek, popadł w odrętwienie i jakoś przetrwał tę noc. O ósmej nacisnął dzwonek i przyniesiono mu do łóżka śniadanie: grejpfrut, kromka dietetycznego chleba i czarna kawa.

W czasie zdjęć do „Konfidenta” obowiązywał pięciodniowy tydzień pracy, a podczas tego weekendu nie miał postsynchro-nów. Otworzył leżącą na tacy „Yariety”. „Pułapka na tygrysy”

226

szła lepiej, ale nie na tyle, żeby można było oczekiwać zysków „Wyrok cesarza”, ten film Vala Somerseta, szedł w Nowym Jorku bijąc kasowe rekordy. Stone prychnął, każdy nowy film miał szansę pobić rekordy kasowe, bo ceny biletów ciągle rosły. Słuszniej byłoby podawać liczbę widzów niż

globalne wpływy z biletów. Przeczytał recenzje i listę osób, które w ciągu tego tygodnia miały się pojawić w Londynie. Nie, nie miał ochoty nikogo zobaczyć, zwłaszcza w obecnym nastroju. Podano, że w najbliższych dniach Koolman odleci do Los Angeles. O pół do dziesiątej zadzwonił telefon. Był to Weinberger.

- Marshall?
- Dzień dobry, Winiaczk.
- Jak się dziś czujesz? Piękne słońce.
- Dobrze, dobrze.
- Czy masz czas w porze lunchu?
- Dla ciebie?
 - Czy zjadłbyś lunch z Kaganem i Hanrattym? Zadzwonili do mnie dziesięć minut temu. Czy to ty podałeś im mój domowy numer?
- Nie.
 - Bardzo się do ciebie palą, Marshall. Kagan gotów jest osobiście zagwarantować drugą ratę gaży.
- W jakiej wysokości?
 - O tym trzeba będzie jeszcze pogadać. Chcą cię urobić opowiadając o planach Hanratty'ego.
- Okay.
 - Kagan chce, żebym był obecny, przy okazji omówilibyśmy stronę finansową. Wygląda na to, że nie mają zamiaru cię wykołować.
- No, no - mruknął Stone. - Widzę, że cię przekabacili.
- Więc zjemy razem lunch?
- Czy przyjechaliby tutaj do Twin Beeches?

- Polecieliby w kosmos.
 - No, to czekam o pół do pierwszej. Lunch będzie o pierwszej.

Stone od razu poczuł się lepiej. Najlepszym lekarstwem na jego obecny nastrój była świadomość, że ktoś kogo szanuje i podziwia, chce za wszelką cenę zdobyć go do swojego filmu, dobrego filmu.

227

- Muszę cię ostrzec, Marshall. Widziałem się wczoraj wieczorem z Ansonem. On coś wie o tej historii z Rainbow.
- Przecież Leo ustalił, że Edgar weźmie to na siebie.
 - I Edgar wziął. Ty też mu o tym wspomniałeś. Ale ci pismacy bywają jasnowidzami.
- Przecież Leo nie zdradziłby, że...
- Leo nie ma z tym nic wspólnego.
- Czy Mary wie?
- Jestem przekonany, że nie.
 - Do diabła z tym! Zresztą, cóż to ma teraz za znaczenie. Widzowie w obecnych czasach wiedzą, że takie rzeczy się zdarzają. Weź Bergmana...
 - Chyba nie chcesz, Marshall, żeby odgrzebano tę historię. I musimy myśleć o Suzy!
- Poczekamy, zobaczymy.
 - No właśnie. Na razie nie ma powodu do zmartwienia, ale uważaj, żeby się z czymś nie wygadać.
 - Do diabła z Cannes, Wenecją, a nawet z Akademią. Spróbujmy po prostu zrobić dobry film!

Bookbinder uśmiechnął się. Stone pomyślał, że wygląda on jak mandaryn. Żłocista skóra ciasno opinała kulistą głowę, oczy zamieniły się w szparki, usta zastygły w kpiącym uśmiešku. Nie był zupełnie łysy, ale nawet gdy był młody, miał rzadkie włosy, których z daleka w ogóle nie było widać. I jak zabawka chińska cały czas kiwał leciutko głową, by okazać, że słucha. Tylko od czasu do czasu podnosił do ust drogie hawańskie cygaro, którym wywijał, by podkreślić swój status społeczny. Większość producentów hollywoodzkich ścisnęło cygara w tłustych palcach, ale dłonie Bookbindera były dłońmi mandaryna - wydłużone i kościste. Paznokcie jaśniejsze były od skóry, a złota bransoletka, na której był wyryty numer wojskowy i grupa krwi, niemal się od skóry nie różniła.

Bookbinder zdjął welwetową marynarkę, która kiedyś stanowiła obowiązujący strój na Madison Avenue. Powiesił ją starannie na oparciu krzesła, ale zaraz zabrał ją lokaj i skrupulatnie oczyścił, nim umieścił na ramiączku w przedpokoju.

228

- Chciałem przywieźć tu autora książki - to fantastyczny facet, ale niestety nie mógł przybyć.
- Wspaniałe pióro - potwierdził Hanratty. - Chciałbym mieć tak pisać.

Tego typu spotkania zawsze się tak zaczynają, pomyślał Stone. Zawsze ktoś powie: O, to wspaniałe pióro. I padną nazwiska Greene'a, Chandlera, Dostojewskiego - jakby dzięki temu można było przenieść do filmu magię słowa. Stone przyjrzał się sławnemu Hanratty'emu. Był to wysoki Irlandczyk.

Tacy Irlandczycy - poczynając od Scotta Fitzgeralda, a kończąc na Joe Kennedym - wnieśli powiew fantazji i humoru w atmosferę Hollywoodu

przesiąkniętą sentymentalizmem i hucpą.

Hanratty wyglądał jak ogrodnik lub robotnik drogowy, podkreślał to wytarty garnitur i nie wyczyszczone brązowe buty. Był muskularny i krzepki, ale z powodu wysokiego wzrostu wydawał się szczupły. Miał krótkie, źle ostrzyżone włosy, które na czubku głowy sterczały, a z tyłu opadały nierównymi kosmykami. Koścista twarz, wystające kości policzkowe, wystający podbródek i nos jak guzik. Był rumiany. Taką powierzchowność często spotyka się w Irlandii, ale także we Francji i w Belgii. Typowy wieśniak. Z ziemią za paznokciami i słomą we włosach. Mocny milczący, pochłonięty swoją pracą.

Hanratty nic wiedział, co powiedzieć, więc tylko się uśmiechał. Dentysta w Hiszpanii namówił go na wstawienie paru złotych zębów i teraz uśmiech ten pobłyskiwał w słońcu.

- Świetne pióro - powtórzył.

Pewni reżyserzy dużo czasu i energii poświęcają reklamie, mają zwykle więcej do powiedzenia niż aktorzy i prasa często cytuje ich opinie. Ale Bert Hanratty do nich nie należał. Zrobił dwadzieścia pięć filmów, nie licząc paru podróźniczych krótkometrażówek i instruktażowych filmów podczas wojny. Kilka filmów było naprawdę wybitnych, ale dopiero ostatni - „Nagie lato”, film nakręcony w całości poza atelier i bez udziału gwiazd, przyniósł mu sławę. Kosztował z trudem uzbierane dwa miliony, a wszystko wskazywało na to, że wpływy kasowe przekroczą sześćdziesiąt. Mówiono nawet, że mogą dojść do

229

młodych fachowców, którzy opracowują ten projekt produkcji kaset.

- Pracowników nie da się zaliczyć do majątku firmy - zauważył

Weinberger.

- Kupili już prawa na Amerykę i Anglię do trzech filmów porno. Dwa niemieckie są takie sobie, ale ten szwedzki - „At-tis i jego kochanka” - nigdy jeszcze nie widziałem takiego seksu... W Niemczech i Skandynawii szedł jak woda. Prawa na same Stany warte są dziesięć milionów. I to właśnie nazywam majątkiem.
- Ale nie na wiele się to zda, jeśli trzeba będzie szybko zmobilizować żywą gotówkę.
- Najwyżej kina przejdą na rzecz wierzyciela. Continuum nie przestanie istnieć, to żyła złota.

Weinberger świsnął przez zęby wyrażając tym swoje niedowierzanie.

- Bądź pewny, że do października zdobędą te osiem milionów i jeszcze pięć na budowę wytwórni kaset.
- A to jak?
 - Na giełdzie. - Bookbinder oparł się wygodnie o krzesło. - Doradziłem im, co zrobić. Mają już teren i plany budowy wytwórni. Ale przysiągłem, że dochowam sekretu, więc nie mogę pisać słowa.
 - Aha, grają na bessę własnych akcji po to, by je tanio odkupić - domyślił się Stone.
 - Bardzo ryzykowne - oświadczył z dezaprobatą Weinberger, mimo że docenił pomysł.
- Kupiłem pakiet akcji i radzę wam zrobić to samo.
- Ale może ich cena jeszcze spadnie? - spytał Stone.
- Ja obliczam, Marshall, że lada dzień zaczną zwyżkować.
- Pewnie wiesz, co mówisz.
 - Jeśli chodzi o film, to nie uzyskałem dobrych warunków, bo nie są to

żadni filantropi, tylko ludzie interesu. Ale to jest taki film, że wolę wziąć większy procent niż dużą sumę z góry.

- Zawsze lepiej wziąć dużą sumę z góry - wtrącił oschle Weinberger.
- Oto przemówił agent. Tak samo doradzał agent Berta, kiedy chodziło o „Nagie lato”.

232

- Poddaję się - powiedział Weinberger.

Bookbinder roześmiał się.

- Cóż, jakoś się dogadamy - stwierdził Weinberger. - Pokażesz mi kontrakt z Continuum i zastanowimy się.
- Widzę, że zdrowy rozsądek zwyciężył! Bert, opowiedz im o twoich planach.
- Cały film zostanie nakręcony w obiekcie zdjęciowym i w plenerach - zaczął Hanratty) - Mam świetną ekipę, pracuję z nią już od dziesięciu lat.
- Kto ma robić kostiumy?
 - Billy Speed. Ale tylko uniformy. Pan będzie w większości scen występował we własnym ciemnym garniturze.
 - Wypożyczymy ci go - zapowiedział Bookbinderowi Weinberger.
 - Zrobione! - zgodził się Bookbinder i wszyscy się roześmiali.
 - Więc Billy kostiumy, a Swanny dekoracje z pomocą Jim-my'ego „Birda”.
 - Znam, znam, to wszystko najlepsi fachowcy - pochwalił Stone.
 - W tej chwili łatwo o najlepszych - oświadczył Hanratty. - W branży panuje zastój.
 - Jakie to smutne - zauważył Stone. Wstrząsnął nim dreszcz. Wszedł

Jasper i oznajmił, że podano do stołu.

Do stołu nakryto w małej jadalni. Wychodziła na różany ogródek i była ulubionym pokojem Stone'a, zwłaszcza w taki piękny słoneczny dzień. Menu jak na Twin Beeches było wyjątkowo skromne - zimna zupa ze szpinaku, kotlety z jagnięcia z sałatką, sery i maliny ze śmietanką.

Stone nalał do kryształowych kieliszków schłodzone wino rosę. Weinberger bacznie mu się przyglądał. Stone świetnie odgrywał rolę gospodarza, ale Weinberger widział, że Marshall nie przyszedł jeszcze do siebie.

- Opowiedz Marshallowi, jak chcesz rozwiązać problemy oświetleniowe, Bert - odpowiedział Bookbinder.

Hanratty spojrział na Stone'a. Tak, jego nazwisko bardzo pomoże filmowi. Nie tylko przyciągnie widzów, ale pozwoli przekonać Continuum, że warto jest nakręcić scenę bitwy we

233

Włoszech. Bez Stone'a będzie się musiał zadowolić jakimś podlondyńskim laskiem, by ekipa mogła dojeżdżać i nie trzeba było opłacać hoteli.

- Czy widział pan „Nagie lato”?
- Oczywiście. Dwa razy. Chciałem się upewnić, że to naprawdę wielki film.
- Światło będzie rozproszone i aluminiowane parasolem, takie jak u Wexlera w „Chłodnym okiem”. To przepiękne światło, Marshall. Będziesz się w nim wspaniale prezentował! Ma tę czarującą właściwość, że nie daje cieni - wokół oczu, nosa, nie trzeba więc żadnych zabiegów potem, żeby je usunąć. I bez warkotu „brutali” uda się od razu nagrać dźwięk, obędzie się bez postsynchronów.

- To będzie naprawdę aktorski film, Marshall, twój film - oświadczył Bookbinder.
- A znaki na podłodze?
 - Tak, ale już nie ze względu na światło, tylko na obiektyw. I nie będzie się pan przy każdym ruchu musiał martwić, czy nie pada cień - odpowiedział Hanratty.
 - Kagan mówił, że chce pan dwóch kamer. Nie jestem pewien, czy to mi odpowiada. Lubię grać na kamerę. I wiedzieć, jaki jest obiektyw. Mrugnięcie okiem przy dwusetce to tyle, co wymachiwanie rękami przy obiektywie szerokokątnym.

Bookbinder niespokojnie spojrzał na Hanratty'ego, a ten oświadczył:

- Przysięgam, że poczuje się pan jak nowo narodzony.

Będzie pan miał całkowitą swobodę ruchów. Proszę mi wierzyć!

- Nie jestem taki pewny. Muszę się zastanowić.

W tym momencie wtrącił się Bookbinder:

- Bert w czasie „Nagiego lata” robił trzynaście ujęć dziennie.
- Przestań, Kagan, aktorzy wpadają czasem w panikę na myśl, że mają tak szybko pracować - przerwał mu Hanratty.
- Trzynaście ujęć dziennie! - powtórzył Stone. - Maksimum robiłem osiem. Preston najczęściej nie przekracza dwóch, trzech. Zdarza się, że jedno i to samo ujęcie powtarza piętnaście razy.

234

- A ty za każdym razem grasz lepiej?
- Nie - odparł Stone. - Za szóstym wysiadam.

- Za pierwszym pewnie przymierzasz się tylko do roli?
 - Chyba tak. On nigdy nie zadowala się jednym ujęciem. To jego pierwszy film - odpowiedział Stone. Pomyślał, że przyjemnie będzie znów pracować z prawdziwymi fachowcami. - Ach, ten smarkacz! On więcej czasu poświęca ekipie niż aktorom. Jakby był ich reżyserem, a nie moim!
 - Smarkacze zawsze uciekają się do sztuczek technicznych. I powtarzają ujęcia w nieskończoność. Bo w ten sposób czują się naprawdę reżyserami. Też byłem taki.
 - Ale trzynaście ujęć dziennie!... Nie, Bert, to dla mnie za dużo.
 - Bynajmniej nie za dużo - oświadczył grzecznie, lecz stanowczo Hanratty. Wiedział, że ta chwila zadecyduje o tym, jak ułożą się stosunki między nim a aktorem. Lepiej od razu stracić Stone'a niż pozwolić mu jeździć sobie po głowie. - Chcę, Marshall, żebyś już za pierwszym razem dawał z siebie wszystko. Będziemy się starać, żeby żadnego ujęcia nie powtarzać.
 - Trudno jest czasem wejść z punktu w odpowiednią atmosferę, Bert. Wątpię, czy mi się to uda.
 - Nie będziesz musiał. Od tego są próby. Zdjęcia zaczniemy, gdy już będziesz gotów.
 - Zawsze mogę spróbować...
 - Poczekaj, aż zacznie się „oswajanie dekoracji”, zobaczysz. Bert jest pedantem - oświadczył Bookbinder.
 - Wy dwaj powinniście się pobrać - zakpił Stone.
- Bookbindera zamurowało. Ale tylko na chwilę, bo zaraz powiedział:

- Nie ma drugiego takiego reżysera, jak Bert, Marshall, nie ma.

Stone uśmiechnął się.

- Zobaczysz, Marshall, to będzie twój najlepszy film. Scena na strychu jest na miarę Dostojewskiego.

„Aha, zaczyna się - pomyślał Stone. Będziemy mieć dużo szczęścia, jeśli uda nam się uniknąć Nietzschego". Uśmiechnął się.

- No i w dodatku zdobędę fortunę.

235

- On chyba kpi sobie z nas. - Hanratty bezradnie zwrócił się do Bookbindera.
- Nam naprawdę zależy na tym filmie, Marshall! - oświadczył Bookbinder.
- To pewnie będę musiał wam ulec - powiedział Stone. Nacisnął guzik dzwonka, żeby zawiadomić służbę, iż nadszedł już czas na kawę, koniak i cygara.
- Czy zgodzisz się zagrać w tej scenie, kiedy książkę spada z dachu? Zależy mi na zbliżeniu.
- No to musimy nakręcić tę scenę jako ostatnią - zażartował Stone.
- A jeśli trzeba będzie powtórzyć ujęcie? - spytał ponurym tonem Hanratty.

Tamci dwaj roześmieli się, ale Stone jakby w ogóle tego nie słyszał.

- Pogadajmy lepiej o uniformach... - zaproponował.

Kiedy Bookbinder i Hanratty wyszli, Weinberger został jeszcze, by spokojnie porozmawiać ze Stone'em. Weinberger przyniósł egzemplarz

„Monday". Na okładce widniało kolorowe zdjęcie Stone'a. Bardzo niekorzystne. Stone podczas seansu jogi stał na głowie, policzki były wydęte, oczy zamieniły się w szparki. Kiedy pokazano tylko twarz - wyglądał śmiesznie. Enigmatyczny podpis: „Strawa dla ducha, precz z rachunkami" był cytatem z artykułu.

POWRÓT DO NATURY *Nasza „Kinomanka" odwiedza Marshalla Stone'a.*

Joga, wschodni mistycyzm i długie medytacje odmieniły świat Marshalla Stone'a. Jeśli na wiejskiej drodze hrabstwa Kent rowerzysta czy włóczęga usłyszy dźwięki hinduskiej muzyki - sitaru czy viny - wzywające do modlitwy, nie musi się obawiać, że zwariował.

- *Każdy dzień zaczynam od modlitwy - mówi z błyskiem w oku Marshall Stone i włącza swój kosztujący osiemset funtów magnetofon. Podskakuję ze zdziwienia słysząc tę dziwną wschodnią muzykę.*
- *To podczas zdjęć do „Pułapki na tygrysy" odkryłem jogę*

236

i zacząłem oddawać się medytacjom - powiada pełen młodzieńczego wigoru Marshall Stone. - Teraz co dzień spędzam dwie godziny w samotności, stosuję makrobiotyczną dietę i czytam hinduskich mędrców. Wschód umożliwia nam poznanie samych siebie. Nasze życie w zachodnim świecie to nieustanna gonitwa - rachunki, reklamy, korki, użeranie się o pieniądze, nerwy. Wschodni mędracy uczą nas poznawać samych siebie i znajdować prawdziwe, trwałe szczęście. Musimy poczuć się częścią wszechświata, wrócić do natury.

Marshall ma na sobie psychodeliczną szatę w pomarańczowe, czerwone,

różowe i żółte pasy, a na głowie opaskę w szafranowym kolorze. Na podłodze leżą maty z sitowia i kolorowe poduszki. Wszędzie stoją wazony z kwiatami. Marshall obejmuje ramieniem Suzy Delft, znaną modelkę, która jest obecnie jego partnerką w „Konfidencie”.

- Staram się zrozumieć świat - mówi. - Życie jest zbyt krótkie, by marnować je poddając się mieszczańskim konwenansom. Oboje z Suzy dobrze o tym wiemy. Wschodnie nauki pozwoliły nam lepiej uświadomić sobie wagę duchowej strawy. Odkryliśmy, na czym polega prawdziwe szczęście. Wielu starszym osobom już się to nie udaje, ale współczesna młodzież instynktownie go szuka. Mamy obecnie coś w rodzaju młodzieżowej rewolucji. Młodzież rozsądzi istniejący ład i dowiedzie, że dobrze znając samego siebie można rządzić światem miłością. Ale żeby zacząć od nowa, trzeba najpierw zniszczyć istniejące struktury.

Dawniej aktorzy - nie wyłączając samego Marshalla - unikali kontrowersyjnych tematów, teraz to się zmieniło. Dyskutowaliśmy o wszystkim, co interesuje Marshalla i Suzy - o komunach, narkotykach, „podróżach”, czarnej sile, zenie i rewolucji. Opowiadali o Yin i Yang - dwóch pierwiastkach życia według wschodnich proroków. A propos - Marshall i Suzy tak właśnie do siebie pieszczotliwie mówią. Pewnie wielu z moich czytelników pójdzie w ich ślady.

Stoję w małym obitym jedwabiem pokoiku, w którym Marshall oddaje się medytacjom, i czuję, że zaczynam go rozumieć. Pytam: - Czy ucieka się pan do LSD i halucynogennych środków, by rozszerzyć granice swojego postrzegania ?

Marshall uśmiecha się. Przez chwilę się zastanawia.

- *Na to wolę nie odpowiadać. Mogę powiedzieć jedno - na rękotyki są zbędne. Nawet moi przyjaciele z show-biznesu zrozumieli, ile można osiągnąć dzięki zbiorowym medytacjom. Podczas zdjęć do „Pułapki na tygrysy” namówiłem ekipę, by uczestniczyła w moich porannych modlitwach. Zrozumieli, że żadna modlitwa do Boga nie jest sprzeczna z wiarą chrześcijańską.*

Kiedy wychodzę z domu Marshalla Stone'a, tego położonego w samym sercu Kentu domu, który kosztował trzysta tysięcy funtów, w drzwiach stoi Marshall razem z Suzy.

- *Proszę do nas jeszcze wrócić - woła Marshall - Może następnym razem zechce pani wziąć udział w naszych modlitwach.*

Szczęście malujące się na ich twarzach jest najlepszą reklamą jogi. A może po prostu miłości?

(W przyszłym tygodniu „Kinomanka” odwiedzi Daniela Prosta).

- Co za cholerstwo? - zawołał Stone. - Ona to wszystko zmyśliła!
- Nie ma żadnej „onej”, Marshall. Kompilacja z wycinków prasowych. Rozmawiałem z George'em. Nie możemy ich podać do sądu.
- Tak, są tu fragmenty mojego wywiadu z okazji premiery „Pułapki na tygrysy” i kilka spreparowanych cytatów z mojej rozmowy z Prestonem, która ukazała się w tym francuskim piśmie. Ale w sumie to czysty wymysł. Ci cholerni skurwiele wysysają z nas krew niczym pijawki! - Jeszcze raz przeczytał artykuł. - Yin i Yang! Słyszałeś kiedyś, żebym tak mówił do Suzy albo ona do mnie?
- Nie przejmuj się.
- Cała ta historia z Suzy! Wyjdę na idiotę. Dlaczego tego z nami nie

uzgodnili?

- Jak to dlaczego? Bo wtedy te brednie nie mogłyby się ukazać.
- To prawdziwa klęska. Kiedy „Life” zobaczy te wypociny, gotowi wstrzymać swój artykuł. I jak ja będę wyglądał, gdy chłopcy Lea zaczną w przyszłym tygodniu rozwodzić się nad romansiem Suzy z Valem?

238

Weinberger skinął głową.

- Może poprosimy dział reklamy **Koolmana, żeby parę tygodni poczekali?**
- Już próbowałem, Marshall.
- I odmówili? A to buce! Porozmawiam z Leo.
- Leo ci nie pomoże. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Im ten artykuł spadł z nieba. Teraz zacznij się: „Czy Suzy Delft kocha Marshalla Stone'a?” Potem: „Suzy nie jest pewna swych uczuć...” I wreszcie: „Suzy Delft zakochana jest w Valu Somersetcie”.
- I przy tym zostaną.
- Tak - skinął głową Weinberger. - W ten sposób będą mieć dziesięć razy tyle czytelników.
- Prawdziwa klęska - powtórzył Stone. Miał nadzieję, że Weinberger zaprzeczy. Ale Weinberger milczał i Stone dorzucił: - A te pochwały rewolucji na wiele lat przekreślą moje szanse na otrzymanie tytułu. Stone często żartował z Weinbergerem na temat otrzymania od królowej szlacheckiego tytułu, ale nie były to jedynie żarty. Tytuł był obecnie czymś, co powinno wyróżnić mężczyznę w sile wieku. Stone'owi zależało na nim tym bardziej, że podniosłoby to jego prestiż w Ameryce. Amerykańscy

aktorzy nie mogli nawet marzyć o podobnym wyróżnieniu.

- Co radzi nasz przemądrzały George?
 - George radzi trzymać gębę na kłódkę. Bo zaczną wygadywać jeszcze gorsze rzeczy. On ma rację, Marshall. Mogli napisać, że Suzy z tobą mieszka. A nie zapominaj, że ten Anson wywęszył coś na temat Rainbow.
 - Peter Anson nie będzie opluwał własnego domu. Musi liczyć się z Mary.
 - Pewnie masz rację, ale jak słusznie radzi George, trzymaj język za zębami. I niczego nie prostuj, bo tylko to przekręcą i zaczną się nad tym rozwodzić, wkładając ci w usta następne wypowiedzi.
 - Na przykład: „Znienawidziłem Suzy Delft, pieprzę hinduską wiedzę tajemną, a od stawania na głowie człowiek zamienia się w impotentą!”
- Więc nie rozmawiaj z prasą.

239

- I to za takie rady płacę mojemu rzecznikowi prasowemu dwa tysiące rocznie.
- George jest w porządku - oświadczył Weinberger. -Zwróciłeś uwagę na to zdanie, że żadna modlitwa do Boga nie jest sprzeczna z wiarą chrześcijańską? George spędził godzinę przy telefonie i zaprosił redaktora na obiad do „Białego Słonia”, żeby to zdanie dorzucili. Gdyby nie ono, tak by to przekręcili, że oskarżono by cię, że uprawiasz czarną magię.
- Kim jest ta Kinomanka?
 - Już ci mówiłem, że nie istnieje. George twierdzi, że sklecili to młodzi

dziennikarze. Wiesz, ci, co marzą o nagrodzie Pulitzera.

- Wiem.

Po wyjściu Weinbergera Stone odczuł dużą ulgę. Potrzebował samotności. Przypomniały mu się wydarzenia z dzieciństwa, o których od dawna nie myślał. Wujaszek Ben nakłada na twarz szminkę. Matka dziwi się, że udało mu się w ciągu jednej nocy nauczyć roli. „Kawalkada” - gaża wynosi dwa funty tygodniowo i w dodatku musi grać we własnym ubraniu. Boże, jaki on wówczas był naiwny.

Towarzystwo Bookbindera i Hanratty'ego dostarczyło mu krótkotrwałej rozrywki, ale był rad, gdy wyszli. W gruncie rzeczy wcale go nie rozumieli. Nie potrafili zrozumieć problemów aktora. Naprawdę obchodzi ich tylko kariera. Nawet się nie zająknęli na temat jego roli. Chciało mu się śmiać, gdy słyszał opinie, że film jest dziełem reżysera. O filmie decydowali aktorzy. Ostatecznie wszystko sprowadzało się do odpowiedniego sfilmowania gry aktorów.

Zrobiło mu się ich żal, byli skazani na bezdomne życie, mnóstwo czasu spędzali w samolotach, pociągach i autach, żyli na walizkach gdzieś na zadupiu, gdzie akurat znajdował się ten przeklęty obiekt zdjęciowy. Kiedyś próbował opowiedzieć o tym matce, ale ona niczego nie zrozumiała. Owszem, wiedziała, co to znaczy samotność, bardzo była samotna w tym ponurym starym domu wśród pozostawionych przez dziadków rupieci. Ale to był inny gatunek samotności. Nie znała samotności bogactwa.

240

Usiadł przy biurku. Na jednej z tac leżał stos rachunków czekających na jego podpis. To go jeszcze dodatkowo przygnębiło. Wiedział, że kryje się w

nich mnóstwo drobnych oszustw. Godził się z nimi, tak jak godził się z wizytami u dentysty, podatkami i złymi recenzjami - wszystkimi niedogodnościami życia - ale niemniej czuł się rozżalony. Z początku oburzał się, kiedy spotykał się z nieuczciwością, był to rodzaj dodatkowego podatku, który obciążał ludzi bogatych. Wkrótce jednak zrozumiał, że skądinąd przyzwoici obywatele uważają, iż należy naciągać gwiazdy. Kiedy uskarżał się na to, nawet najbliżsi przyjaciele uśmiechali się z rozbawieniem. Teraz kiwał tylko głową. Weinberger obliczył kiedyś, że w ciągu pięciu lat Stone stracił około trzech milionów na skutek machinacji księgowych Koolmana. Zatem fakt, że jego gospodyni w Twin Beeches regularnie wliczała w koszty utrzymania domu zupełnie fikcyjne pozycje, nie powinien mu spędzać snu z powiek. Mógł ufać tylko swojej sekretarce Angeli, Jasperowi i Weinbergerowi i to zaufanie łączyło go z nimi silniej i głębiej, niż kiedyś uczucia łączyły go z żoną, a nawet z matką.

Oszukiwano go na najrozmaitsze sposoby. Wiele lat temu, na długo przed Jasperem, jego lokaj udzielił idiotycznego wywiadu dla telewizji w Los Angeles. Jego gospodyni w Grasse napisała oszczerczą opowieść o jego współżyciu z Mary i sprzedała ją polującemu na sensacje piśmidłu francuskiemu. Stara prukwa zrobiła na tym fortunę, a okazało się, że prawo nie daje możliwości pociągnięcia jej do odpowiedzialności kamej. Obecnie trzymał listy pod kluczem i w domu nie było nigdy drugiego aparatu telefonicznego na tej samej linii - należało uniemożliwić służbie podsłuch. Dwadzieścia lat trwało, nim się nauczył być gwiazdą, teraz umiał, ale czuł się zbyt stary, żeby móc z tej wiedzy odnieść pożytek. Może dzieje się tak w życiu każdego mężczyzny... Stone żałował, że nie znał ojca. Może od niego mógłby się wielu rzeczy nauczyć wcześniej.

Choć stale się nad sobą zastanawiał - mało siebie znał. Czasem czuł, że Marshall Stone jest kimś znacznie mniej realnym niż każda grana przez niego postać. Czyżby był tylko maską, którą nakładali jego bohaterzy? Całe życie szukał

241

samego siebie. Często identyfikował się z postacią przeczytanego scenariusza, ale po ukończeniu filmu z ulgą wracał do własnego bezosobowego świata. Dotąd utożsamiał się zawsze tylko z bohaterami, teraz zaczął podejrzewać, że nigdy nie był bohaterem i to stało się następną udręką.

Nawet Weinberger nie wiedział, ile nocy spędził Stone bezsennie, zamartwiając się jak następnego dnia wypadnie na planie. Nikt nigdy nie domyślił się, czemu podczas kręcenia „Pułapki na tygrysy” nie zgodził się na kontynuowanie zdjęć nad brzegiem morza. Weinberger uwierzył, że obawia się zapalenia płuc. Naprawdę zaś Stone doszedł do wniosku, że sztywny rybacki płaszcz ogranicza mu swobodę ruchów. Poruszał się w nim jak robot, a kiedy przyszło mu wdrapywać się po drabinie na stryszek, gdzie siedziała porwana dziewczyna, i nie widać było jego nóg, można go było wziąć za poruszaną przez sznurki marionetkę. Udając zaziębienie, namówił reżysera, by powtórzyć tę scenę w atelier. Tam pozbył się płaszcza, wystąpił w podartym podkoszulku, w podwiniętych spodniach, boso. Światła w atelier były mu bardziej przychylne. Nie mówiąc już o tym, że drabina w atelier nie trzeszczała, nie rozśmieszało to więc jego partnerki, która zwykle, gdy już ją obejmował, nie potrafiła ukryć uśmiechu, a to nie pasowało do atmosfery owej sceny.

Decyzja kosztowała go wiele nie przespanych nocy, ale nikt się o tym nie

dowiedział. Podczas przeglądu materiału chwalono sekwencję, ale nie piśnięto słówkiem, że jest teraz o wiele lepsza. I reżyser wciąż ubolewał, że opuścili tę nadmorską miejscowość, gdzie z góry opłacono hotele dla ekipy i gdzie wynajął dodatkową kamerę marki Mitchell. Oto jak funkcjonują umysły reżyserów i producentów: obchodzą ich tylko kamery, kontrakty, transport i forsa.

Chętnie mówi się o ekshibicjonizmie aktorów całkowicie zapominając o dyscyplinie, której wymaga prawdziwe aktorstwo. Uważa się, że aktorstwo ma tylko ożywić słowa scenariusza, a naprawdę jest wręcz przeciwnie - chodzi o destylację słów do niezbędnego minimum - ważny jest człowiek, nie to, co on mówi. Z miną pełną wyższości utrzymuje się, że aktor jest „zwierzęciem towarzyskim”. Nikt nie wie, jak czuje się

242

samotny, kiedy w ciągu wielu tygodni, a nawet miesięcy pracuje nad swoją rolą. Także i wówczas, kiedy czyta recenzje albo musi stawić czoło swoim wielbicielom. Nie mówiąc już o tym, że gdy nie otrzyma roli, czuje się jak wyrzutek społeczeństwa.

Stone wziął do ręki scenopis, ale odłożył go, nawet do niego nie zajrzawszy. Nie warto jeszcze raz czytać, nie pomoże mu to w podjęciu decyzji. Minał czas namysłów, nadeszła chwila decyzji. Nikt nie jest w stanie mu dopomóc. Jeśli film okaże się niewypałem, obciąży to jedynie jego. Krytycy zmieszają go z błotem, tak jakby został złapany na gorącym uczynku wystawiania czeku bez pokrycia. Tak traktowali każdego, kto nie sprostał ich wysokim wymaganiom. Czyżby uważali, że lepiej jest się powtarzać niż próbować przewyższyć samego siebie, nawet gdyby się to nie całkiem udało? Ciekawe, jak czułby się Weinberger, gdyby się rozpisywano,

jakim jest agentem. „...Pierwsze miejsce należy przyznać Willie'emu Morrisowi, któremu udało się zdobyć dla swego klienta wyjątkowo korzystny kontrakt w wytwórni Foxa, Weinberger spadł na ósme miejsce, ponieważ nie potrafił zdobyć dla Marshalla Stone'a klauzuli o wypłacie całej gaży nawet w wypadku, kiedy film nie zostanie ukończony. Niespodziewanie świetny okazał się nowy agent z Toronto...” A co powiedziałby jego bankier, gdyby każde jego posunięcie było recenzowane przez jakiegoś eks-urzędnika bankowego, albo klientkę, która nie ma zielonego pojęcia o rachunkowości? Czemu nie grozi to jego dentyście i psychoanalitykowi? Uważano, że za „Pułapkę na tygrysy” odpowiada Stone. Miał nadzieję, że „Człowiek z pałacu” okaże się odpowiednim wyborem.

Często miał świetne role w słabych filmach. Parokrotnie zdarzyło mu się źle zagrać w filmach dobrych. Marzył o wspaniałej roli we wspaniałym filmie. Marzy o tym każdy aktor. Znów wziął do ręki scenopis. Włożył go w okładkę od Guccie-go i poczuł się tak, jakby zrobił już pierwszy krok w kierunku realizacji filmu.

Przeczytał parę linijek swojej roli. Najpierw cicho, a potem głośno, szukając odpowiedniego rytmu. Być może później to jeszcze zmieni, ale głośne czytanie pozwalało mu uświadomić sobie, czy słowa są trafne, czy też kryje się w nich fałsz. Stone

243

często porównywał każdą rolę do symfonii: allegro, andante, temat, scherzo i najprostszy finał. Tak właśnie przygotowywał każdą rolę. I kiedy publiczność - lub reżyser - oczekiwali, że nastąpi punkt kulminacyjny, wyciszał ton. Na tym właśnie polegało prawdziwe aktorstwo i tylko ci, którzy sami zgłębili jego tajniki, wiedzieli, co jest sukcesem, a co porażką.

Idioci wychwalali „Ostatniego vaquero”, wcale nie zdając sobie sprawy, ile tam było trików. Nie wiedział jeszcze wówczas, jak buduje się rolę. Spodobały się jego ruchy, zręczne wymanewrowywanie partnerów i uśmiech; uśmiechał się bardzo powoli i długo trwało, nim taki uśmiech zamierał na jego wargach.

Dopiero teraz, ćwierć wieku później, potrafiłby tej roli naprawdę sprostać. A przecież krytycy do dziś się nią zachwycają.

Przypomniawszy sobie przyjęcie na tarasie nadbrzeżnego domku w Malibu. Nie mógł nic przełknąć, za każdym razem, kiedy odzywał się telefon, dosłownie zamierało mu serce. Dopiero przed samą północą zadzwonił z Nowego Jorku Weinberger: niemal wszystkie recenzje są wręcz entuzjastyczne! Bookbinder chwycił butelkę francuskiego szampana i oblał Stone'a. Skąpał go w szampanie. Mary zaprotestowała: „Jak już musiałeś to zrobić, to trzeba było wziąć krajowy”.

Bookbinder podał mu słuchawkę telefonu. Połączenie było fatalne, a Weinberger z przejęcia plótł bez sensu.

- Zawołaj do telefonu małego!
- Jestem, jestem. Mówi Eddie.
 - Nie Eddie! Marshall! Zapomnij, że byłeś kiedyś Eddie'em. Marshall!
Bomba!
- Bomba?
 - Sukces! Trafiliśmy w dziesiątkę. Marshall, zawsze ci mówiłem, że zajdziesz daleko. Za chwilę zaczniesz się u ciebie urywać telefon. Trzymaj się od niego z dala i nie udzielaj żadnych wywiadów, póki nie wrócę. Będę z powrotem jutro wieczorem. Rozpoczynamy tu wielką kampanię reklamową i nie chcielibyśmy, żeby wyprzedziła ją

hollywoodzka prasa.

Stone próbował powiedzieć, że się zgadza, ale struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Czytał o takich wypadkach,

244

ale nie traktował tego dosłownie. Tymczasem naprawdę nie mógł wydobyć z siebie głosu.

- Słyszysz mnie, Marshall? Ach, ten przeklęty telefon. Marshall, słyszysz mnie?

Stone oddał słuchawkę Bookbinderowi. „Trafililiśmy w dziesiątkę!” Nad barem w Twin Beeches wisiała oprawiona w ramki tytułowa strona gazety. „Młody Brytyjczyk trafił w dziesiąt-kę”.

Zaczęto szukać reżysera, by oznajmić mu dobrą nowinę, kąpał się w oceanie z młodym meksykańskim aktorem. Dopiero pół godziny później dało się odnaleźć ich ubrania. Śmieszne, Mary dotychczas nie zdawała sobie sprawy ze skłonności reżysera, zawsze była w takich sprawach ogromnie naiwna. Bookbinder poszedł do sypialni i zaczął wydzwaniać do wszystkich znajomych. To było pierwsze zaimprovizowane filmowe przyjęcie Stone'a. I pierwsze zetknięcie ze sławą. Ci sami ludzie, którzy poprzedniego dnia w ogóle go nie dostrzegali, teraz otoczyli go zwartym kręgiem. Kokietowały go dziewczyny, podlizywali się menedżerzy.

Pojawił się Gary Cooper. Stone wiedział, że Cooper obejrzał pierwszy montaż „Ostatniego vaquero”. Spytał się go, co o nim sądzi. Cooper odrzekł: - Musisz się rozluźnić... Po co te szelki? - Coop tak samo jak Stone wiedział, że nie jest to film wybitny, leszcze jeden western dla ubogich, jak to określił któryś z widzów. I Cooper zauważył, że krok Stone'a nie jest krokiem człowieka, który całe życie nosił ciężkie skórzane spodnie i

ciężką broń za pazuchą. Stone uparł się, że będzie nosił dwa prawdziwe pistolety, były bardzo ciężkie i zamiast pomóc mu w odpowiednim chodzeniu - przeszkadzały.

Od tego czasu wiele się nauczył. Prawdziwe akcesoria często stają się dla aktora zawadą. Owszem, przed zdjęciami dobrze jest je wypróbować, ale potem trzeba to grać, a nie zmagać się z opornym materiałem. Po następnym filmie - „Powrocie vaquero” - Coop podszedł do Stone'a w jednym z lokali Hollywoodu. Nic nie powiedział. Poklepał go po ramieniu i uśmiechnął się. Był to największy komplement.

Stone wstał, by spróbować zagrać parę scen z „Człowieka z pałacu”. W Rzymie widział starego kelnera, którego manie-

245

ryczne zachowanie mogło mu się przydać. Podając jadłospis przechylił on do tyłu głowę i chwilę się wahał. Trzeba mu się będzie jeszcze przyjrzeć. I to jego uczesanie, przedziałek, a z boków puszyste włosy. Stone spojrzął w lustro i spróbował zaczesać włosy. Zaczął zastanawiać się, jaka powierzchowność będzie najlepiej pasowała do charakteru księcia Felixa. Książę Felix był od Stone'a młodszy i dorastał w środowisku dworem *wśród arystokratów i wojskowych, odznaczających się* manierami z poprzedniego stulecia. I on, Stone, będzie to musiał pokazać w ciągu pierwszych pięciu minut. Bo inaczej podczas dyskusji z premierem (strona siódma) widzowie nie zrozumieją czemu aż tak oburzyła go drobna niegrzeczność.

Jedna kwestia ogromnie mu się spodobała. Przewertował scenopis, aż znalazł się na stronie pięćdziesiątej trzeciej. Tak, wiedział już, jak ją należy wypowiedzieć. Będzie ubrany w granatowy dziewiętnastowieczny szamerowany złotem mundur kawalerzysty, na piersi rząd medali. Pod

ramieniem wypolerowany hełm. Przyciśnie go mocno do boku, uniesie głowę, zwężą mu się oczy.

130. Wnętrze. Plari ogólny. Sala konferencyjna w pałacu.

Noc.

PREMIER: Wasza Wysokość chce stanąć na czele pułku. Nie, Wasza Wysokość, to nie wchodzi w grę.

KSIĄŻĘ FELIX: Ze mnie jest całkiem dobry żołnierz, Billy, a potrzeba nam dobrych żołnierzy. Minęła pora na dyskusje, *trzeba działać*.

PREMIER: A co ^robi ze mną rada ministrów, jeśli ich księciu coś się stanie?

KSIĄŻĘ FELIX: A co powie rada ministrów, jeśli ich księżę wyjedzie do Kalifornii i zajmie się smaženiem hamburgerów?

131. Wnętrze. Plan średni. Sala konferencyjna pałacu. Noc.

Premier schyla się po teczkę z dokumentami, stracił głowę.

PREMIER: Wasza Wysokość.

KSIĄŻĘ FELIX: Hamburgerów king-size, Billy. PREMIER: Wasza Wysokość mi grozi?

246

KSIĄŻĘ FELIX: Muszę się teraz przespać, Billy. Jeśli jutro ktoś będzie mnie szukał, powiedz, że wyruszyłem na wojnę.

132. Plener. Plan ogólny. Wzgórza za miastem. Dzień.

Patrol oddziału kawalerii. Nim go zobaczymy słyszemy stukot kopyt i brzęk oręża.

133. Plener. Plan średni. Trębacz. Dzień.

Trębacz na koniu wspina się na wzgórze. Wreszcie widzimy jego sylwetkę na tle nieba i wówczas słyszymy pobudkę.

Stone postanowił, że słowa „Kalifornia” i „hamburgery” rozbije na poszczególne sylaby, tak jakby mu były obce, jakby miał kłopoty z ich wymówieniem. A „na wojnę” wypowie bardzo szybko. W ten sposób przyciągnie uwagę widzów, musi to podkreślić, bo akcja się tutaj na chwilę zatrzymuje. I pobudka trębacza musi się rozpocząć zbliżeniem jego twarzy. Nie, to nie może być plan średni, nie będzie tego momentu dzielił z premierem. No, ostatecznie może to być plan średni, ale musi się skończyć zbliżeniem. I nie ma mowy o zderzeniu montażowym z kawalerią. Obecnie zbyt często szatkuje się w ten sposób film. Będzie walczył do upadłego, żeby to zbliżenie powoli zniknęło - żadnej muzyki, najwyżej stłumiony dźwięk trąbki. To była kluczowa scena - musi ją w pełni wykorzystać.

Zajrzał na koniec scenopisu. Chętnie skreśliłby ostatnie trzy strony. Film powinien się kończyć sceną, kiedy księżę Felbc leży martwy w blokhauzie. Tak, będzie na to nalegał. I dopiero kiedy będą pewni, że jest to jego ostateczna decyzja, zgodzi się na kompromis: może to być plan ogólny, co najwyżej średni. Nigdy nie zgodzi się na zbliżenie dziewczyny roniącej łzy. Wielki Boże, w ten sposób zdominowałyby cały film. To ją zapamiętałiby widzowie wychodząc z kina.

Pozostało jeszcze kilka problemów, ale Stone był nazbyt zmęczony, żeby teraz nad nimi się głowić. Miał ciężki dzień po źle przespanej nocy. Odłożył scenopis i zadzwonił na Jaspera.

- Tak, proszę pana.
- Czy zechciałby Jasper puścić dla mnie film?'
- Oczywiście, proszę pana. Który?

- Chyba już dawno nie oglądałem „Ostatniego vaquero”?
- Ostatni raz podczas tego przyjęcia na Boże Narodzenie.
- No to sobie na niego popatrzymy.

Stone włożył rachunki z powrotem do skrytki w biurku, spuścił blat i przekręcił klucz. Dotknął staroświeckiego zamka zachwycając się, jak wspaniale przylega do intarsjowanej powierzchni. Potem nalał sobie filiżankę mocnej czarnej kawy. To szaleństwo pić wieczorem kawę, ale miał przecież swoje nasenne pigułki.

Wziął z sobą kawę i poszedł za Jasperem do swego sanktuarium - prywatnej salki kinowej. Sama nowoczesność, stereofoniczny dźwięk, miękkie skórzane fotele, klimatyzacja. W komforcie tym Stone odnajdywał wewnętrzny spokój, tak jak jego poprzednicy w mieszczącej się tu ongiś kaplicy. W koniuszki skrzydeł dwóch aniołów wyrzeźbionych na plafonie wkręcono śruby, na których wisiał ekran. Stone rozparł się w fotelu, oparł ręcznie robione mokasyny na podnóżku. Błysnęło światło, gdy Jasper wypróbował projektor, zabzyczał wzmacniacz dźwięku. Zgodnie z obietnicami architekta akustyka była wręcz wspaniała.

Światło ściemniło się. Rozległa się fanfara, zagrały kotły. Na ekranie pojawiła się grecka waza, a na niej duże K. Był to znak firmowy wytwórni Koolmana, która miała zaszczyt przedstawić Marshalla Stone'a w filmie „Ostatni vaquero”. Kolejno pojawiały się nazwiska kobiet i mężczyzn biorących udział w filmie, dźwięki bandzo i harmonijki ustnej miały według Hollywoodu wprowadzać w nastrój Dzikiego Zachodu.

Stone uważnie czytał czołówkę, nigdy tego nie pomijał. Za młodu wydawało mu się to niepotrzebną stratą czasu. Ale teraz czołówka

interesowała go bardziej niż film - była to kronika jego przyjaciół i wrogów, mógł zastanawiać się, czy zrobili postępy czy też ponieśli porażkę.

Znikło nazwisko reżysera, pojawiła się poślizgnięta, obszarpana mapa. Napisy wykonane niezdarnymi literami głosiły: Plemię Czirokezów, Plemię Kri, Plemię Czoktaw. Mapa powoli bladła, przeszła w plan ogólny jeźdźca na koniu. Plan średni pokazał, że jest nim Marshall Stone, zaraz potem nastąpiło zbliżenie łba konia, który pił wodę z rzeki. Znowu plan ogólny - na tle nieba

248

symboliczne drzewo z którego sterczy jedyna, rachityczna gałąź - każdy wielbiciel westernów wiedział, że na tej gałęzi ktoś zawiśnie. Tak się też stało, Stone dobrze pamiętał, że gałąź się złamała. Czarny charakter runął na podłogę atelier. Jakże się zaśmiewali!

Rozległ się strzał. Zderzenie montażowe - plan ogólny całego kanionu. Potem plan średni, kaskader dublujący Stone'a spada z konia do rzeki. Znowu przebitka na konia, który spłoszony podnosi łeb, i zbliżenie ociekającej wodą twarzy Marshalla Stone'a. Ma zamknięte oczy. To ujęcie zrobiono w atelier, tylko w atelier mogło być odpowiednie światło. Przez szum wody słyszeć melodię „Spotkajmy się nad rzeką”.

Oto jak wyglądał świat Marshalla Stone'a. Wygodny i przytulny. Pełen znajomych twarzy, zaludniony ludźmi, którym mógł ufać. Czarne charakterki nosiły ciemne kapelusze, ginęły przy dźwiękach zamierającej muzyki, po zejściu z planu musiały dzielić z kimś garderobę. Za to gdy pojawiali się bohaterzy, muzyka brzmiała triumfalnie, to oni mieli prawo do najlepszego oświetlenia, zbliżeń i białych koni, odnosili co najwyżej lekkie rany. Trudniejsze sceny nakręcali za nich kaskaderzy, oni zaś otrzymywali

milion dolarów za film i kandydowali do Oscarów. I kto to powiedział, że na tym świecie nie istnieje sprawiedliwość?

13

Scenarzyści chcą być reżyserami. Producenci chcą być scenarzystami. Aktorzy chcą być producentami. A żony malarkami. Nikt nie jest zadowolony ze swego losu.

Gottfried Reinhardt

Marshall Stone nie bardzo potrafił dostarczyć materiału do swojej biografii. Patrząc wstecz na swoje życie, widział tylko domy, w których mieszkał, samochody, jachty i samoloty, które były jego własnością, pochwalne recenzje i ludzi, którzy go kochali. W tego rodzaju życiu nie było miejsca na tragedię; pożegnania stawały się pretekstem do nowych spotkań, przez łzy przeświecał uśmiech, choroby i śmierć - tak jak w scenariuszach - były czymś wprawdzie nieuchronnym, lecz bezbolesnym.

W tym, co Marshall Stone zapamiętał ze swego życia, tylko ludzie sławni wypowiadali jakieś kwestie, a i oni znikali ze sceny zaraz po wypowiedzeniu komplementów. Pokazał mi albumy wypełnione gratulacyjnymi telegramami i liścikami od kolegów-aktorów. Ludzie show-biznesu, tak samo jak lekarze i prawnicy, nie pozwalali sobie na luksus wzajemnej krytyki.

Szuflady jego biurka pełne były pamiątkowych drobiazgów opatrzonych serdecznymi słowami - wymieniano je po ukończeniu każdego filmu. To znaczy drobiazgi otrzymywała ekipa, a gwiazdy, producent i reżyser ofiarowywali sobie cenniejsze prezenty: onyksowe spinki do mankietów, srebrny nożyk do otwierania listów, jaspisowy przycisk do papierów. Każde

wygrawerowane nazwisko przypominało Stone'owi kogoś, kogo lubił i szanował, czyli kogoś, kto otaczał go podziwem i uwielbieniem.

Marshall Stone nie widział powodu, by jego biografia miała wykroczyć poza te ramki. Wyobrażał ją sobie jako literacką wersję audycji „Twoje życie” lub jednego z tych starych filmów w technicolorze, w których człowiek staje się twórcą nowej muzyki, udowadnia, że można fruwać, lub wynajduje nowy sposób malowania fresków na plafonie kaplicy. Ci bohaterowie

250

nie eksperymentowali, nie poświęcali czasu na odkrycia - od dzieciństwa wiedzieli, czego pragną dokonać, no i dokonywali.

Nieprzypadkowo Hollywood w ten właśnie sposób odmalowywało sukces. W Hollywood młodzi ludzie opętani ambicją zostania gwiazdami i reżyserami lub żądzą zysku, która pchała ich w kierunku produkcji, też od początku wiedzieli, czego pragną. Wielka szansa nie była rezultatem studiów i ciężkiej pracy - w odpowiedniej chwili należało znaleźć się w odpowiednim miejscu, żeby spotkać odpowiedniego człowieka.

Zatem trudno mi było przekonać Stone'a, że nie mogę zasiąść i napisać gotowej historyjki. Zapytałem go, jak do tego doszło, że po „Ostatnim vaquero” został od razu gwiazdą. Uśmiechnął się skromnie i pokręcił głową. To nie on, to pisarz miał dostarczyć odpowiednich wątków.

Ale i tak udało mi się zdobyć więcej danych, niżby mu się to mogło podobać. Poranna poczta przyniosła parę listów.

Na firmowym arkusiku zobaczyłem znajome bazgroły Petera Ouarella z przypiskami na marginesach.

Tak, tak, Eddie Brummage, szeregowiec, który wkrótce został kapralem, był w czasie wojny u wszechmocnego Milly--Asha. Jako jego ordynans - wszyscy są co do tego zgodni, że był świetnym ordynansem - aż do czasu, gdy stary pozwolił mu wziąć udział w koncercie: monologi i parodia Cagneya - potrafił imitować nawet policyjną syrenę i strzały rewolwerowe. Trafił więc naturalnie do zespołu teatralnego, aż wreszcie zagrał w „Beretach z Wimpole Street”.

Serdeczności P.Q.

P.S.i Czy wciąż jeszcze szukasz tytułu? Co byś powiedział na: „Per ardua ad astra”.

RS.2 Czy nie zastanawiałeś się nigdy, skąd E.B. tak dobrze jeździ konno? A może myślałeś, że w „Ostatnim vaquero” cały czas masz przed sobą dublera? O nie! Był masztalerzem Mil-ly-Asha - i przy okazji nauczył się jeździć.

Na kopercie drugiego listu były włoskie znaczki, a list napisany był na maszynie imitującej ręczne pismo.

251

Biuro Wynajmu Sprzętu Filmowego Rzym Londyn Hollywood Madryt.
Drogi Peter!

Milo mi, że odezwałeś się do mnie w związku z Twoją nową książką. Żałuję, że podczas „Ostatniego vaquero” byłem tak zajęty, że nie mogłem spędzić z tobą więcej czasu, zwykle starałem się możliwie często rozmawiać z autorami scenariuszy. Nie wiem, czy rzeczywiście zasłużyłem na twoje komplementy. A propos, Peter, chyba wiesz, że gdyby to zależało ode mnie, to twoje nazwisko pojawiłoby się w czołówce filmu.

W sumie nakręciłem czternaście filmów, wszystkie dla wielkich wytwórni

hollywoodzkich. Przedtem pracowałem jako montażysta - sześćdziesiąt filmów, ale połowa kategorii B. Moim ostatnim filmem był „Powrót walecznego O'Briena”, nakręciłem go zaraz po „Vaquero”.

Moje stosunki ze Stone'em nie były zażyłe, uważałem, że jak na debiutanta zbytnio jest pewny siebie, choć zwracając się do mnie udawał skromność. Dałbym głowę, że zniknie bez śladu - jakże się myliłem. Zapamiętałem tylko jedno anegdotyczne wydarzenie, gdy Edgar Nicolson przybiegł opowiedzieć Stone'owi i mnie jak wygląda ostateczny montaż filmu.

Nie muszę ci chyba przypominać, że w owych czasach Wytwórnia Koolmana nie dopuszczała reżyserów do montażu, zacząłem już zresztą zdjęcia do następnego filmu. Siedziałem ze Stone'em i z tym Weinbergerem (który potem został agentem Stone'a) i próbowałem zjeść sałatkę w taki sposób, by na nią nie spojrzeć, i wówczas pojawił się spocony Nicolson. Wkradł się do saiki projekcyjnej i aż się toaŁ. Pamiętasz, jaka była z niego baba. Opadł ciężko na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy zwrócił już na siebie naszą uwagę, ciężko westchnął. Marshall oczywiście zareagował: co ci się stało, Edgarze, marnie wyglądasz itd., itd. Kiedy się już wzajemnie ponasładzali, Nicolson opowiedział nam, jak wygląda ostateczny montaż.

- Jesteś wspaniały, Eddie, wspaniały - mówił. - Dominujesz nad całym filmem, no, może poza tą sceną w więzieniu, gdzie nie dali twojego zbliżenia z profilu, tylko plan ogólny, bo montażysta uważa, że tak lepiej wyglądasz; kamera filmowała z dołu i robisz wrażenie bardzo wysokiego. W całym filmie

252

jesteś świetny. Ale, Marshall, czy wiesz, że moją rolę sprowadzili do zera? Do zera, Marshall. Wygłaszam raptem dwie kwestie, oprócz tej sceny ze

strzelaniną, a tam mówię spoza kadru. Wycięli mnie także z tej sceny nad ogniskiem, a wszyscy mówili, że byłem w niej naprawdę dobry, pamiętasz, Marshall? - Zwrócił się do mnie: - Lawrence, ty też ją chwaliłeś. To była ważna scena, ważna! Jezu, co ja powiem ludziom? Moja rodzina pójdzie na film, pisałem im, że gram dużą rolę. Co ja mam zrobić, Marshall?

Marshall przeciągnął ręką po twarzy i zwrócił się do mnie.

- Słyszysz, Lawrence? Nie dali mego zbliżenia w scenie więziennej. A to skurwiele!

Wydaje mi się, że ta historyjka mówi o aktorach wszystko . Trzy lata temu Marshall siedział tu w Rzymie przy sąsiednim stoliku w knajpie, ale był tak zajęty sobą, że nawet mnie nie zauważył.

Nie potrafię ci odpowiedzieć, jak doszło do tego, że wybrano Stone'a - owszem, pochwaliłem zdjęcia próbne, ale w tamtych czasach reżyserzy nie mieli wpływu na wybór aktorów. Aktorzy, kierownicy produkcji i reżyserzy - a jak przypuszczam, także i scenarzyści - musieli robić, co im kazano, albo wylatywali za drzwi. Prawda, Peter?

Niestety mało ci mogę powiedzieć, ale już od dwudziestu lat nie siedzę w kinie. Załączam broszurkę poświęconą mojej firmie wynajmu sprzętu. Dwa lata temu otworzyliśmy także w Madrycie małe studio nagrań. Mamy dwie ekipy, które mogą w każdym obiekcie zdjęciowym nagrywać dźwięk.

Gdybyś wspomniał o mnie w twojej biografii Marshalla Stone'a będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli zamieścisz parę słów na temat mojej firmy.

Załączam zaadresowaną kopertę z prośbą o adres Edgara Nicolsona, który - jak słyszałem - został producentem. Bardzo chciałbym nawiązać z nim kontakt.

Z poważaniem Lawrence Clark Pastor

Nadeszła także paczka opatrzona nalepką „Biuro Produkcji Kagana Bookbindera”. W paczce znajdował się oprawiony scenariusz i książka. Oraz list. Jeżeli Bookbinder oszczędzał, to

253

w każdym razie nie na papierze listowym. Była to gruba, nieskazitelnie biała kartka. U góry wytłoczono elegancki nagłówek firmowy z rysunkiem wykonanym przez drukarza, który sądzi, że jest grafikiem. I dyskretnie, niewielkimi literami, nazwisko Bookbindera.

Drogi Peter!

Marshall opowiedział mi o twoim projekcie jego biografii. Ma obecnie zagrać rolę księcia Felixa w moim „Człowieku z pałacu”. Reżyserem będzie Bert Hanratty (jego „Nagie lato” to kamień milowy w historii kina). Załączam egzemplarz książki, która - jak wiesz - była bestsellerem, ale może nie miałeś czasu jej przeczytać. Uważałem za wielki zaszczyt, że autor zechciał sam napisać dla mnie scenariusz.

Z radością dowiedziałem się, że to ty piszesz biografię Marshalla - nikt by tego nie zrobił lepiej. Jeśli mógłbym ci w czymś pomóc, chętnie odpowiem na wszelkie pytania i nie wahaj się zadzwonić do mnie do domu.

Najserdeczniejsze pozdrowienia Kagan Bookbinder

Podpisał się czerwonym długopisem, czerwień miała dokładnie ten sam odcień, co rysunek w nagłówku. Na marginesie listu dopisał swój numer telefonu.

„Człowiek z pałacu” był naprawdę interesującą powieścią. Pozornie była to historia księcia, który obejmuje tron w wyimaginowanym europejskim kraju

- Rurymanii. Żeby dowiedzieć się, jak ukrócić rozruchy studenckie i strajki, zmniejszyć przestępczość, rozwiązać problemy komunikacyjne, poradzić sobie z tymi wszystkimi plagami nękającymi zachodni świat - kupuje komputer. Ironia polega na tym, że komputer daje racjonalne, logiczne odpowiedzi i okazuje się, że wszystkie uchwały rady ministrów są demagogiczne, staroświeckie i bynajmniej niebezinteresowne. W dodatku komputer nie został zaprogramowany tak, by brać pod uwagę narodową dumę, i proponowane przez niego rozwiązania nie uwzględniają tego drobnego faktu, że Rurymania uważa się za jedną z trzech potęg współczesnego świata.

Na końcu dochodzi do rozłamu. Przeciwko komputerowi występują związki zawodowe, kościół protestancki, rewolucyjna organizacja studencka i marynarka wojenna. W ostatniej chwili udaje się zapobiec próbie zniszczenia komputera, a to dzięki temu, że zostaje zawarte przymierze między armią i komunistyczną partią, na czele którego staje książę Felix. Podczas ostatniej bitwy widzimy, jak książę Felix na swoim rumaku i jego komunistyczny sojusznik zasięgają rady komputera w sprawie taktyki walki.

Książka odniosła wielki sukces w Ameryce i w Niemczech, natomiast we Francji i w Wielkiej Brytanii została przyjęta dość wstrzemięźliwie. Uznano, że Rurymania to wypaczony obraz tych właśnie krajów, intelektualistom nie odpowiadał pomysł, by bohaterem współczesności miał być komputer, a fabuła powieści bynajmniej nie wydała im się śmieszna. Recenzenci sugerowali, że powieść została napisana właśnie przez komputer i dawali wyraz swemu głębokiemu przekonaniu, że właściwą rolą dla robota jest rola czarnego charakteru.

Scenariusz Bookbindera już bez ogródek wskazywał, że Rurymania to

Anglia. Choć sceny bitewne miały się odbywać we Włoszech, film zaczynał się sekwencją, podczas której książę Felix jedzie w dół Mail, a w tle widnieje pałac Buckingham. Zaprzęgnięta w konie karoca pojawiała się w paru ujęciach łączących sceny, a gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, to musiałby je rozwiać widok Big Bena.

Zacząłem się zastanawiać, czy nie zamknie to filmowi drogi do sukcesu. Ironiczny ton powieści, który w minimalnym tylko stopniu wyrażał się w słowach, częściowo zaledwie udało się przełożyć na dialogi. Niemniej film dużo bardziej zapalczywie i bezpośrednio atakował brytyjską hipokryzję, konwencjonalność i korupcję. Nie oszczędzał żadnej klasy społecznej i żadnej ideologii. Niezłe też się dostało przedstawicielom „młodzieżowej rewolucji”. O ile mi wiadomo, młodzież nie przepada za krytyką. A do kina uczęszcza głównie młodzież - uczęszcza albo nie uczęszcza.

„Człowieka z pałacu” przeczytałem już w zeszłym roku, kiedy pojawił się na liście bestsellerów, jeden z recenzentów naszej gazety sprzedawał otrzymane egzemplarze za pół ceny.

Nawet Mary przeczytała niemal całą powieść, co stanowiło dowód najwyższego uznania dla autora. Zadzwoiłem do Bookbindera przed obiadem i umówiłem się z nim na trzecią.

Jego biuro znajdowało się na ósmym piętrze jednego z tych ohydnych wieżowców koło Holborn. Było to dość dziwne miejsce jak na producenta filmowego, ale nie brakowało nieodzownych atrybutów w postaci sztucznych roślin, komputerów IBM i włoskich kanap. Później dowiedziałem się, że jest to lokal firmy reklamowej, która ma się zająć promocją filmu. Było to odstępstwo od wszelkich zasad, zwykle reklamę brał na siebie dystrybutor.

- Jeśli chodzi o finanse, to balansuję na linie - oznajmił Bookbinder. - Tyle że to dla mnie nie nowina. Zwykle dystrybutorzy dawali mi dobrze w kość, ale niejednego się nauczyłem. Dostaję procent od każdego zakupu papieru, a resztki taśmy skrzętnie przechowuję na przebitki. I dawniej muzyką rozporządzali dystrybutorzy, natomiast tym razem to my dostaniemy procent, jeśli pojawią się płyty... - Bookbinder uśmiechnął się przebiegle, można by pomyśleć, że nikomu dotąd się z tego nie zwierzał.

W 1970 roku „Sight and Sound” poświęcił Bookbinderowi sześć stron.

KRYZYS PO KRYZYSIE KAGAN BOOKBINDER HOLLYWOODZKI NONKONFORMISTA Hollywood bynajmniej nie słynie z zaangażowanych filmowców. Kagan Bookbinder długo błąkał się w labiryncie komercyjnych przedsięwzięć i nim znalazł swą drogę do subiektywnego antyrealistycznego kina, często zdarzało mu się wygłaszać powierzchowne półprawdy. W „Zamku z piasku” nie brakowało modnych poglądów i niczym nie usprawiedliwionych rozważań socjologicznych. Niemniej jest to film o „amerykańskim marzeniu”, pełen liryzmu osiągniętego tak oszczędnymi środkami, że mogą mu tego pozazdrościć wszystkie filmy undergroundu razem ze swoimi irytującymi dłużyznami...

Zdjęcia ilustrujące artykuł pokazywały młodego jeszcze

256

mężczyznę w najróżniejszych nakryciach głowy. Teraz okazało się, że jest łysy, tylko nad uszami rośniętą troszkę siwych włosów. Z nosa spadały mu okulary, przypominał sowę. Jeśli moda męska z lat trzydziestych obecnie się nie przyjęła, stało się tak nie z winy Kagana Bookbindera - jego marynarka miała wywa-towane ramiona. Trudno jednak było uznać go za

eleganta. Węzeł krawata sterczał do przodu, w kącikach ust i tuż koło nosa widniała szczecina, do której nie dotarła brzytwa. Przygodny obserwator mógłby go wziąć za alkoholika, coś w jego powierzchowności rzeczywiście mogło na to wskazywać, ja jednak wiedziałem, że jest prawie abstynentem.

- Ach, gdybym ja umiał pisać - oświadczył wskazując fotel i rzucając mi cygaro. Powiedział to tonem człowieka, który żałuje, że nie umie jeździć na rowerze, że nigdy nie nauczył się jeździć na nartach. - Oszczędziłoby mi to wielu zbędnych dyskusji.
- Czyżby?
- Pochwalam ironię... - Na chwilę zamilkł. - Ale w książkach. W filmie jest niebezpieczna. Do połowy widzów nie dotrze i zrozumieją wszystko na opak. Wierzę w staroświeckie tak, które ma znaczyć tak, a nie ma oznaczać nie. Nikt niczego lepszego nie wymyślił. Chyba pan o tym dobrze wie.
- Mnie się ten scenariusz podoba.
- Autor zrobił, co mógł, świetnie zrobił, ale teraz musi tu wkroczyć zawodowy scenarzysta. - Obciął czubek swojego cygara i podał nożyk mnie. - Rozmawiałem dziś po południu z kilkoma autorami radiowymi. To najlepsza strona pracy w Anglii - BBC wychowało świetnych fachowców. Nie tylko pisarzy, także aktorów, a telewizja tutejsza - reżyserów. Czasem myślę, że bez BBC wasz przemysł filmowy wyglądałby tak jak w Nowym Jorku, a teatr jak w Los Angeles.
- Chciałbym móc podzielać pański optymizm.
- No, to niech pan się przyjrzy telewizji amerykańskiej - pustynia bez scenarzystów, same quizy, konkursy, nieustające dyskusje ze słuchaczami, które toczą się przez telefon, no i te podrzędne westerny.

Wesolutcy tajni agenci i czarnuchy... Jezu, gdyby smarkacze rzeczywiście chcieli wysadzić w powietrze ten system, to powinni dać spokój policji i zabrać się do

257

telewizji, to ona co wieczór hipnotyzuje milczącą większość. Widzowie polubili tę papkę, którą się ich karmi. W tym kraju nie potrzeba cenzury, telewizja tak upupiła publikę, że w Stanach każdy sam przekręca gałkę, jeśli przypadkiem pojawi się coś, co kazałoby mu pomyśleć.

- I te bzdety niedrogo kosztują.
 - To nie tylko o to chodzi. Widzowie patrzący na te banialuki głupieją i bez oporu wchłaniają reklamy. Jeśli ogląda się coś, co przykuwa uwagę, człowiek wścieka się, gdy mu nagle przerwą, wychwalając jakieś niezwykle pieluszki.

Czy wie pan, jaki miałem największy problem ze zdobyciem finansów dla „Człowieka”? Telewizja oznajmiła, że go nie zakupi, o ile się nie wprowadzi zmian do scenariusza. Chcieli, żeby w zakończeniu smarkacze wzięli górę, a książkę oświadczył, iż bardzo się pomylił odwołując się do komputera.

- No i co?
 - No i dotąd nie dostałem od żadnej sieci telewizyjnej złamanego grosza. Ale jeśli będzie to prawdziwy hit, to przyjdą do Canossy. Sam pan wie. W przeciwnym razie zakupi ten film tylko BBC.
 - Sam pan siebie oszukuje. Obecnie BBC zabiega o ilość widzów. Kiedy będziecie chcieli upchnąć ten film, BBC upodobni się już do Ameryki... Wie pan, prawo Greshama*.

- Co, te seriale z prywatnymi detektywami?
- No właśnie.

Mruknął coś i wstał. Podeszedł do okna, otworzył je i spojrzał na uliczny ruch. Był to gest aktora, nie obyło się bez efektu dźwiękowego, do pokoju wtargnął hałas. Przez chwilę stał z pochyloną głową. Zamknął okno i zwrócił się w moją stronę, zaciskał wargi, udawał, że zapomniał, o czym mówiliśmy. Powypychane rękawy swetra z Fair Isle znów upodobniły go do napuszonej sowy. Wziął cygaro i zaciągnął się.

- Dziś rano otrzymałem list od Lawrence'a Pastora -oświadczyłem.
- Od Lawrence'a Clarka Pastora?

* Prawo Greshama - gorsi ludzie wypierają lepszych.

258

- Ma w Rzymie wypożyczalnię sprzętu.
 - Jakbym nie wiedział! Co tydzień przysyła mi reklamowe ulotki.
Przeżywa ciężki okres. Za dużo zainwestował i teraz musi pić to piwo.
- Biedaczysko, nie poszczyściło mu się.
 - O tak, od dawna prześladowuje go pech. (a poszedłem w odstawkę za flirty z komunizmem, a Pastor za umizgi do drugiego asystenta, który miał za długi język. Wybraliśmy nieodpowiedni czas, teraz bylibyśmy pionierami tego, co Kool-man nazywa „młodzieżowym trendem”.
- Film ma być „zwarty, barwny i agresywny”, tak?
 - W tej branży, Peter, dużo się od twoich czasów zmieniło. Ciągłe jakieś niespodzianki, więcej ludzi, mniej posad.

Zgasło mi cygaro i Bookbinder nachylił się nad biurkiem, żeby mi podać ogień. Skinąłem głową, on zaś powiedział:

- Od twoich czasów, dużo się zmieniło, Peter. Dawniej zamartwialiśmy się refleksami odbicia, stroboskopem, pogłosem na ścieżce dźwiękowej... A teraz dostaje się za to nagrody.
- Technika w tej sztuce zawsze zajmowała poczesne miejsce.
- Operator manipuluje kamerą, reżyser operatorem, a producent reżyserem.
- A kto aktorami?
- Rany, Peter?! Wszyscy to robimy: aktorzy to uwielbiają.
- Tak samo myśliwi mówią o lisach.
 - Aktor jest naiwnym głuptasem. Ale nie należy zapominać, że jest także egomaniakiem.
- Czy mówimy o Marshall?
 - Z pomysłem „Ostatniego vaquero” nosiłem się przez trzy lata, nim udało mi się zainteresować Koolmana. Wydałem masę własnej forsy, wiedziałem, czego chcę, i byłem zdecydowany to osiągnąć, choćby wbrew Stone'owi, wbrew Pastorowi...
- I wbrew mnie?
 - Ty starałeś się wpakować w scenariusz sporą dawkę realizmu socjalistycznego, Pastor pierdolił się z tym meksykańskim gnojkiem, a Stone żądał, żeby nakręcić film w chronologicznym porządku.

259

- Niby czemu nie?
 - Chryste Panie! Peter, ty chyba nie pamiętasz, jaki był wtedy Eddie Stone. Kiedy pierwszy raz przyprowadziłem go, by omówić scenariusz, nie odróżniał Scarleta Pimpernela od Scarlett O'Hara. Nie potrafiłby

jeszcze zagrać w żadnej z kluczowych scen. Zwłaszcza że reżyserem był Pastor. Postanowiłem zacząć zdjęcia od planów ogólnych i przebitek. W ten sposób mógł wczuć się w rolę i po trochu kształtować swój sposób grania.

- To dosyć kosztowna metoda prób.

Westchnął i skinął głową.

- Koolman wciąż jeszcze uważał, że westerny można nakręcać w Kanionie Topanga albo na ranchu Corrigana, gdzie stary Max dochrapał się swego pierwszego miliona. Nie rozumiał, czemu chcę marnować jego forszę zabierając cały ten cyrk do Nowego Meksyku. I musisz wiedzieć, że Koolman i jego pomagierzy oglądali każdy metr nadesłanej przeze mnie taśmy. Kiedy Stone wypadał wyjątkowo źle, oszukiwałem i wysyłałem zdjęcia drugiej ekipy.
- Tak często bywał niedobry?
- Przez dwa dni w ogóle nie mogliśmy nic nakręcić. Wymyśliłem historyjkę, że kaktusy mają nieodpowiedni kolor i trzeba je przemalować. Tego pierwszego dnia Stone włożył kostium, ucharakteryzował się, spojrzął na siebie i uświadomił sobie, że jego gra w ogóle nie pasuje do jego wyglądu. Załamał się i zaczął szlochać.
- No i co?
- Cóż miałem robić... Pojechaliliśmy na rancho, żeby przyjrzał się, jak prawdziwi kowboje łapią na łąsku bydło, jak się ruszają. Wiedziałem, że to mu pomoże. W porze obiadowej zastaliśmy kowbojów na tym, jak leczą w corralu chore bydło. Wyglądali na znudzonych, gotowali na obiad fasolę z mięsem, zupełnie jak w filmach, co? - Bookbinder roześmiał się. - Śmieszne było jedno, że w tych swoich niedzielnych

Stetso-nach, koszulach od Gene'a Autry'ego i z zegarkami na rękach to oni wyglądali na przebierańców, Marshall zaś na autentycznego pastucha. Garderobiani ubrali go w poszarpane dżinsy i wygnieciony kapelusz. I umiał jedną ręką zrobić skręta - na-

260

uczył się tego z któregoś filmu z Duke'm Wayne'em. Przyglądali mu się z wytrzeszczonymi oczyma. Miałem skrzynkę whisky, więc zjedliśmy z kowbojami obiad, ich nadzorca wypytywał Stone'a, na którym ranczo pracuje, a on zasuwał im dialogi z filmu. Wszystko grało: Marshall wiedział, że uchwycił ton. Te pastuchy rozmawiały z nim tak, jakby był jednym z nich. - Bookbinder rozparł się w fotelu i dmuchnął dymem.

- Następnego dnia zaczęliśmy zdjęcia. I Marshall był już... sam wiesz, jaki był świetny.

- Tym kowbojom należała się od ciebie premia!
 - Jeśli ktoś powie, że jej nie otrzymali, podam go do sądu
- zagroził Bookbinder i wybuchnął tubalnym śmiechem. -

Wszystko to była jedna wielka manipulacja - cały ten gówniany biznes!

14

W Hollywoodzie jest się nigdzie, nie ma tam nikogo i z tym „nikimś” rozmawia się o niczym.

Michelangelo Antoniom

Bookbinder aż zbyt dobrze pamiętał dzień Bożego Narodzenia w 1948 r. Zastanawiał się, czemu Edgar Nicolson utrzymuje, że to wszystko zdarzyło

się w nieco przypominającym burdel motelu za San Jorge. Było publiczną tajemnicą, że Stone nie jest zbyt wybredny, zabiera swoje kociaki byle gdzie, ale ten motel był jednak poniżej jego poziomu. Przecież ledwie tu przyjechał, zaraz zaczął się ubiegać o członkostwo we wszystkich klubach.

Nawet w dzień Bożego Narodzenia Stone znalazł jakąś wymówkę, żeby zostawić Mary i wyjść z domu. Zawłókł Book-bindera na obiad do Klubu Plantatora. O jedenastej trzydzieści przygadał sobie dziewiętnastoletnią blondyneczkę z Denver, spędził z nią pół godziny w jednej z prywatnych salek konferencyjnych i dopiero potem zasiadł do obiadu.

Klub Plantatora był miejscem spotkań producentów, reżyserów i gwiazd, ale zarządzający był na tyle sprytny, że nie zabraniał wstępu młodym dziewczętom, o ile oczywiście miały odpowiednią aparycję. Wypełniając karty członkowskie podawały zawód aktorka, ale widywało się jak sprzedawały napoje chłodzące lub bilety do kina. Przyjechały tu po to, by ktoś je „odkrył”.

W ten świąteczny dzień w klubie panował tłok. Pełno było nawet w saunie i w salce gimnastycznej. W restauracji podawano specjalny obiad, kelnerom przyprawiono siwe brody i przyodziano ich w czerwone płaszcze. Teraz zrzucili te kostiumy i krążyli wśród opalonych ciał na plaży roznosząc napoje. Napoje te wyglądały niczym wazon z kwiatami, wepchnięto do nich ogórki, rzeżuchę, plastry ananasa i wiśnie. Za każdym razem, kiedy kelner wychodził przez obrotowe drzwi, rozlegały się dźwięki elektrycznych organów grających jakieś

262

popularne melodie. Od czasu do czasu była to „Cicha noc” i tylko to wskazywało, że dzień ów jest dniem Bożego Narodzenia.

Opalający się podchodzili do swego zajęcia bardzo serio. Dziewczeta rzadko się odzywały, obracając się do słońca to przodem, to bokiem, to tyłem, zasłaniając nos i regularnie smarując się olejkiem. Miały na sobie symboliczne kostiumy kąpielowe, odpinały staniki, rozchyłały nogi. Udawały, że nie widzą męskich oczu, kiedy prowokująco nacierały piersi i uda kremem, robiły to tak, że na pewno każdy cenzor filmowy kazałby tę scenę wyciąć.

Bookbinder odłożył „The Hollywood Reporter”, postawił na nim szklanę, żeby wietrzyk nie rozwiewał kartek. Rozejrzał się dokoła i przez chwilę przysłuchiwał się szumowi fal Pacyfiku. Dobiegł go chichot grupki osób spożywających późny lunch nad samym brzegiem oceanu; zapachniało smażonymi krabami.

Bookbinder rozpoznał siedzących tam mężczyzn - jego szef reklamy, Weinberger, dwóch urzędników Koolmana i Edgar Nicolson. Usłyszał, jak Stone klepie leżącą obok dziewczynę. Dziewczyna wyprężyła się jak kotka.

- Komu się tak przyglądasz, Kagan? - spytał Stone.
- To ty nie śpisz?
- Nigdy nie śpię na słońcu. Lekarz mi mówił, że to niszczy nieodwołalnie skórę. Kto tam siedzi?
- Weinberger i ten twój rodak, Nicolson, któremu robiłem próbne zdjęcia do roli w „Ostatnim vaquero”.
- I jak wypadł? - Stone przyjrzał się plamce na przedramieniu. Tak troskliwie jak lekarz, który bada bogatego pacjenta.
- Nadałby się na kamerdynera albo księcia. Ale chyba nieźle by było, żeby naszym złodziejaskiem został Anglik.

Stone był opalony na brąz - nie będzie potrzebował charakteryzacji, żeby

wyglądać na pastucha z meksykańską krwią w żyłach. Wypłowiałe, obszarpane u dołu szorty pasowały do jego muskularnej sylwetki. Włożył znoszone tenisówki i w pierwszej chwili wielu członków klubu brało go za włóczęgę lub pomywacza.

263

- Ejże, stary. Ja mam z tym złodziejaszkiem parę trudnych scen - zaprotestował rozleniwionym tonem.
- To jeszcze luźny pomysł... - Temat został wyczerpany. Bookbinder odwrócił się i spojrzał na ocean. Prąd przynosił ogromne, zdradliwe fale, zwodniczo łagodne i błękitne. Nie przypominały fal, które zalewały zamki z piasku, budowane przez Stone'a na plażach Anglii, kiedy był dzieckiem. Te były prawdziwymi olbrzymami. W tym kraju wszystko miało inne wymiary, ocean, burze, powodzie, katastrofy kolejowe... A także sława i forsa. Za to każde poniżenie strącało człowieka na dno niepamięci.

Stone potrząsnął szklanką, zastukały kostki lodu. Lubił ten dźwięk. W zeszłym roku o tej porze był bezrobotnym aktorem, który, deszcz nie deszcz, biega gorączkowo po Londynie, bo nie stać go na taksówkę. Położył się na wznak, przysypał ramiona piaskiem. Na błękitnym niebie liście palm tworzyły koronkę. Cudownie było wygrzewać się w słońcu. O tak, to wygodne luksusowe życie pod kalifornijskim niebem lepsze było niż uboga surowość Londynu. I tutejsze nieszczerze uśmiechy i fałszywe komplementy miłsze były niż londyńskie docinki uchodzące za dowcipy.

- Kagan, ja zamierzam tu zostać.
- Spieczesz się tak, że portier nie wpuści cię do środka!

Stone nerwowo się roześmiał.

- Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi. Chcę nakręcić ten film i następny, a potem sto innych. Zostanę tu i mam zamiar dojść do szczytów.

Bookbinder roześmiał się, nie, nie ironicznie, szczerze. Stone zawtórował mu, uświadomił sobie, że jego spontaniczna wypowiedź zabrzmiała jak kwestia z jednego ze starych filmów Joan Crawford.

- Złapałeś, Eddie, bakcyła Hollywoodu! - Zaledwie parę tygodni temu Stone przekonywał go, że nie ma to jak filmy europejskie, i rozwodził się nad wyższością teatru.

Stone wziął do ręki garstkę gorącego piasku. Jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć Bookbinder zapewnił sobie nad nim przewagę, ale nie miał mu tego za złe. Bakcył Hollywoodu. Stone uśmiechnął się. Bookbinder w czasie wojny zetknął się z trud-

264

nościami życia, ale i tak nie potrafił sobie wyobrazić, jakie były te, z którymi musiał się dotąd zmagać Stone.

- Mało mnie obchodzi, jak to nazwiesz - powiedział. -Hollywood to puszka Pandory... ty nigdy nie zrozumiesz, co ono oznacza dla takiego aktora jak ja. - Stone przybrał zatroskany wyraz twarzy, wyglądało to jak grymas. Często mu się to zdarzało, często także wybuchał nerwowym śmiechem, świadczyło to, że wciąż jest niepewny siebie, choć tak chciałby zachować wobec świata dystans gwiazdora.
- Puszka Pandory! - wykrzyknął Bookbinder. - Przecież z niej wypełzły wszystkie nieszczęścia świata!
- Znów udajesz, że nie rozumiesz.
 - Owszem, rozumiem - zaprzeczył Bookbinder.

Stone zmrużył oczy.

- Czy to nie Koolman wychodzi z restauracji - w tym zło-
cistym płaszczu kąpielowym? On chyba patrzy w naszą stro-
nę?...

Bookbinder usiadł podpierając się rękami.

- Słyszałem, że dziś przyleciał. Ciekawe, co się mogło stać, że przyleciał w dzień Bożego Narodzenia. Tak, to Leo Koolman, a za nim stoi na ganku jego stryjasek Max.
- „Koolmani nadciągają, hurra, hurra! Koolmani nadciągają, hurra, hurra” - zanucił cichutko Stone, starannie imitując akcent kowbojów. Niemal bezbłędnie.

Tuż za młodym Koolmanem kroczył facet z nowojorskiego biura reklam, a za nim ostrożnie stąpał Phil Sanchez, który został najbliższym współpracownikiem młodego Koolmana.

Phil Sanchez liczył sobie dwa razy tyle lat, co Leo. Przedtem był zausznikiem starego Maxa. To on zabrał małego Lea na pierwszy mecz futbolowy. Teraz stał się filarem imperium Koolmanów.

- Twój stryj nigdy by z tym facetem nie robił interesów!

- Albo: - Twój stryj zawsze sprawdzał takie rachunki w miej-
scowym banku - masz tu nazwiska i numery telefonu.

Sanchez pracował u starego Maxa jeszcze wtedy, gdy ten prowadził firmę kuśnierską, i jeden z kronikarzy Hollywoodu nazwał go „nadwornym błaznem sułtana Maxa”, inni, okrut-niejsi, nazywali go nadwornym karłem. Prawda była jeszcze

265

dziwniejsza - Sanchez był utalentowanym „opowiadaczem”. Czytał książki,

które ewentualnie mogłyby stać się filmami, i podczas podróży, między zebraniami, w długich wędrówkach po atelier, opowiadał je staremu Maxowi. Sanchez trzymał się blisko Koolmana. Wszyscy czterej mieli ciemne okulary, kroczyli w kąpielowych płaszczach i stanowili jedną całość, dziwnie do siebie podobni. Nucona przez Stone'a piosenka, choć niby trochę ich ośmieszała, wprowadzała jednocześnie element grozy.

Bookbinder wypił łyk whisky, Stone przyczesał się. Wokół nich wszyscy leżeli bez ruchu, jak manekiny, każde ciało na kolorowym ręczniku umieszczonym w samym środku prostokąta piasku.

- Idą do morza - zauważył ze zdziwieniem Bookbinder. Basen był zatłoczony, niemniej kąpiel w oceanie uchodziła za coś mało szykownego. - Ruszajmy.
- Dokąd?
- Wykąpać się w oceanie wraz z Koolmanem.
- Po co?
 - Nie bądź niemądry, Eddie. On wyraźnie chce **z nami** porozmawiać.
- O czym?
- Pan Bóg raczy wiedzieć.
- A niby skąd ty wiesz, że on ma do nas interes?
 - Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Ale jestem tego pewien. Ostatecznie już od dawna tkwię w tym świecie.

Leo Koolman nie był jeszcze wówczas zażywnym, łysawym, krótkoszym magnatem, którego Ben Shahn namalował na okładce „Time'u” w 1955 r. Szedł plażą krokiem zawodnika wagi półciężkiej. Jego głos nie nabrał jeszcze chrapliwych dźwięków, którymi wyrażał swoje wieczne niezadowolenie. Wówczas Leo Koolman umiał się jeszcze śmiać i choć

używał składni Cohnów, Schenksów i Mayerów, można było w tym wyczuć wyraźną ironię. Za to, że wkrótce owa ironia znikła, należało obwiniać jego otoczenie, które bardzo się pilnowało, żeby jej nie zauważać.

Ale podczas Bożego Narodzenia 1948 r. Leo Koolman był jeszcze młody. Bawiło go, gdy parodiował majestatyczny krok

266

Harry'ego Cohna, bawiło go, gdy groźnie podnosił do góry palec. Patrzył prosto przed siebie, kącikiem ust udzielając instrukcji swym podwładnym, by nie zapomnieli okazywać zadowolenia z kąpeli.

Koolman i jego dwaj akolici oddali ratownikowi płaszcze kąpielowe i weszli do wody. Akolici nieco zwlekali. Phil Sanchez na wysokości brody trzymał zaciśniętą pięść, jakby chciał się przed czymś bronić.

Bookbinder szedł za Stone'em, który starał się omijać ciała dziewcząt, patrząc na nie jednocześnie wzrokiem kucharza, który sprawdza, czy kurczęta na ruszcie już się upiekły. W powietrzu wisiał zapach perfum i olejków, wreszcie poczuli słony zapach wody. Stone ostrożnie wszedł do oceanu. Był nasmarowany specjalnym płynem do opalania, który przygotowała dla niego kosmetyczka z wytwórni zajmująca się jego charakteryzacją, miał lekko polakierowane włosy i przyczernione rzęsy. Stone nienawidził oceanów jako takich. Kiedy poczuł chłód wody, wykrzywił się i zamknął oczy. Co za dziecinny odruch, pomyślał Bookbinder.

- Czy nie ma tu rekinów? - spytał Stone.
- Jeżeli nawet są, to nie zbliżą się do Koolmana - odparł Bookbinder.

Kiedy byli już o parę metrów od niego, wielki człowiek zanurzył się wraz z głową, a potem zaczął prychać. Mokre włosy ciasno oblepiły czaszkę i

Bookbinder zauważył, że ma on na czubku głowy małą łysinę. Przed czterdziestką gotów całkiem wyłysieć, tak jak jego stryj.

Zastanawiał się, o czym Koolman chce z nimi mówić. Wszystkim trzem mężczyznom woda sięgała do piersi. Fala najpierw dotarła do Koolmana, unosząc go do góry o sekundę wcześniej niż tamtych dwóch. Wyglądali jak mechaniczne zabawki.

- No co, podoba ci się w Hollywood? - zawołał Koolman do Stone'a, kiedy ten znalazł się w odległości głosu. Nie czekał na odpowiedź, uważał ją za oczywistą. - Tak, tak, jasne, że ci się podoba.
- Jest mi tutaj wspaniale - oświadczył Stone.
- Bookbinder dba o ciebie? Masz auto? Osobną garderobę?

267

bę? Zabiera cię czasem do miasta? - Znów odpowiedział sam sobie. - No pewnie, że się o ciebie troszczy. Świetnie, świetnie. Dobrze wyglądasz, Kagan. Widziałem część materiału. Zupełnie niezły, może być bomba, no, jeszcze za wcześnie na przepowiednie... - Zwrócił się w stronę akolitów, którzy stali z ponurymi minami. Teraz zbliżyli się, bo choć przemówił do nich, nie podniósł głosu. - Czy nie mówiłem wam, że macie się pluskać w falach i rozkoszować kąpielą? Czy nie mówiłem, że nie chcę przyciągać niczyjej uwagi? Że chcę niepostrzeżenie pogadać chwilę z panem Stone'em? Wystarczy, że na plaży znajdzie się jakiś bałwan, który zna numer telefonu Louelli Parsons i gotowa się zacząć rozróżać... - Znów spojrzął na Stone'a. - W takich miejscach jest pełno nieudaczników, którzy są gotowi na wszystko, żeby zdobyć parę dolarów.

Za plecami Koolmana dwaj jego akolici zaczęli podskakiwać i zaśmiewali się ochlapując nawzajem. Ale ani kropla wody nie spadła na Koolmana.

Kiedy znów się odezwał, mówił zatroskanym, smutnym tonem.

- Co ty wyprawiasz, Eddie?
- Jak to? - spytał Stone.
 - Wydawało mi się, że wszystko zostało ustalone. Na tym moim urodzinowym przyjęciu, kiedy zdecydowaliśmy, iż sprowadzimy twoją żonę. Obiecałeś, że będziesz się od tej dziewczyny trzymał z daleka. Jak mogłeś mi, Eddie, zrobić coś podobnego?
- Zobaczyłem się z nią tylko raz.
- A telefony?

Stone musiał się do tego przyznać. Koolman znów ruszył do ataku.
- Wyrządzasz krzywdę mnie, czyli filmowi. Czyli samemu sobie. Czy ty tego nie widzisz, Eddie?
- Raptem dwa razy ją odwiedziłem i trzy razy dzwoniłem. Słowo daję, że to wszystko.
- Przecież jej portier mógł cię rozpoznać, mógł cię rozpoznać taksówkarz. Czy wiesz, co zaczęłyby wypisywać gazety?
- Pewnie masz rację.
 - Okay - oświadczył Koolman. Odwrócił się i zachwiał, bo uderzyła w niego fala. Facet od reklam trzymał pod ręką

268

zwinięty ręcznik, teraz wyjął z niego **kopertę**. **Podał ją** Stone'owi.

Mój kochany Eddie!

Pewnie Ci już wszystko opowiedzieli. Wyjeżdżam. Dali mi masę forsy, więc mogę wyjechać. Podpisałam wszystkie dokumenty, tak jak mi kazali Twoi przyjaciele. I tak nie moglibyśmy być razem, bo trzy lata temu wyszłam

za mąż za jednego faceta z Nowego Jorku. Rzucił mnie. To był nicpoń. A ja, Eddie, i tak się dla Ciebie nie nadaję. Lepiej, żebyśmy się zawczasu rozstali, skoro mam te pieniądze. Nie próbuj mnie odszukać. Chcę postąpić tak, jak będzie dla nas obojga lepiej. No i przecież masz żonę. Nie wyszłoby to nam na dobre. Bo jak mówiłeś, zaszkodziłoby to Twojemu filmowi. Nie mam tu po co dłużej siedzieć. Będę Cię oglądać na ekranach kin. A Ty czasem o mnie pomyślisz i będziesz się zastanawiał, czy widziałam Cię w ostatniej roli. Twoja żona jest szczęśliwą kobietą i na pewno o tym dobrze wie. Tak, nie wyszłoby to nam na dobre. Już dawno powinnam była Ci powiedzieć, że jestem mężatką, ale Cię za bardzo kochałam.

Ingrid

List napisany został na poliniowanej kartce papieru wyrwanej ze szkolnego zeszytu. Stone czytając go widział jak kropelki wody rozmazują słowa.

- Gdzie ona jest?
 - Oddaj mi ten list - zażądał Koolman. Wziął go i uważnie przeczytał. - Ten list ktoś zostawił wczoraj o północy strażnikowi przy czwartej bramie. Nic więcej nie wiem.
 - I tyś mi go tutaj przyniósł? - spytał Stone. Wyglądało to dosyć nieprawdopodobnie. Jeżeli dziewczyna rzeczywiście wyjechała z własnej woli, Koolman wszcząłby na pewno śledztwo, żeby wiedzieć, gdzie jest. Ale chyba wygodniej będzie w to uwierzyć, będzie miał spokojniejsze sumienie. Stone spocił się. Zanurzył rękę w wodzie i przetarł twarz. Poczł słony smak.
 - Och, zgadłem, że musi to być list od tej dziewczyny. Phil rozmawiał z nią w zeszłym tygodniu. Co prawda przysięgała,

że nie będzie pisać. - Koolman oddał kartkę Sanchezowi. - Ten skrawek papieru mógłby nas drogo kosztować, cała kampania reklamowa wzięłaby w łeb. Ładnie mi się odwdzieczyła!

- Biedna Ingrid!
- Dostała pięć tysięcy dolarów - zaprotestował Koolman.
- Dostała więcej - zauważył Stone.
 - Co prawda to prawda. Z tych dziesięciu tysięcy, które ostatnio wzięłaś, ani cent nie trafił do banku!

Stone nie odpowiedział.

- Lepiej przyznaj się - zaproponował Koolman. - Co, obskubała cię?
- Dałem jej używanego Chevroleta i parę groszy na szmatki. Ingrid nie należy do dziewczyn, które naciągają człowieka. Czułem się za nią odpowiedzialny.
- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś skupił uwagę na filmie. To się od ciebie należy reżyserowi i temu tu oto Bookbinderowi. Stawał na głowie, żebyś dostał tę rolę. Powinieneś okazać mu odrobinę wdzięczności.
- Ktoś musi się nią zająć.
 - Ja się już nią zająłem. I będę się dalej zajmował. Ale przestań się wtrącać.
 - Zajmiesz się nią? - Stone westchnął z ulgą. - Mogę się na ciebie zdać?
- Tylko nie próbuj mnie oszukać! - zagroził Koolman.
- Nie, nie. Zdaję się całkowicie na ciebie.

Koolman przyzwyczajony był do pochlebstw i wyrazów wdzięczności. Oczekiwał ich także od Stone'a.

- Czy pomyślałeś o swojej żonie? Jak mogłeś postawić nas

w takiej sytuacji.

Stone z najwyższym wysiłkiem opanował się i nie podniósł głosu.

- Mogę na ciebie liczyć?
- Masz taką wspaniałą żonę... Powinieneś się wstydzić. Obiecuj mi, że prosto stąd wrócisz do domu, poprosisz Mary o wybaczenie i otoczysz ją czułością. Czy możesz to dla mnie zrobić?

Koolman był jedynym spośród obecnych, któremu nie przyszło nawet do głowy, że Stone mógłby wpaść we wściekłość.

270

Nastąpiła cisza, przerwał ją ryk czerwonego Ferrari, które nadjeżdżało od strony San Jorge. Kierowca przejechał obok klubu co najmniej sto pięćdziesiąt na godzinę. Kolor auta, jego nowoczesny kształt, a może styl jazdy upewniły wszystkich, że za kierownicą siedzi ktoś sławny.

- Mogę to dla pana zrobić, panie Koolman - powiedział

Stone.

Koolman patrzył na znikające auto.

- Tu co dzień zdarza się jakiś wypadek. I za każdym razem oznacza to zwłokę w zdjęciach! - Skinął na swoich ludzi. Podeszli. Phil Sanchez wciąż trzymał jedną rękę nienaturalnie wysoko. Koolman powiedział do nich:
- Kłopoty się jeszcze nie skończyły. - A potem do Stone'a:
- Dziewczyna i dziecko muszą zniknąć z twego życia. Żadnych listów, żadnych telefonów, żadnych wizyt.
- Tak, panie Koolman.
- Załatwimy adopcję.

- Czy można to zrobić bez...
 - Tak, tak. Wytwórnia co roku daje pięćdziesiąt patyków towarzystwu zajmującemu się adopcją. Podpiszesz mi zobowiązanie.
- Tak, panie Koolman.
- A ten angielski aktor...
- Nicolson - podpowiedział Bookbinder. - Edgar Nicolson.
 - No właśnie. Nicolson przyzna się do ojcostwa. Ma odpowiednią grupę krwi. Podpisze, co trzeba, i będziesz czysty. Świadcami się zajmujemy, zresztą dla ludzi stąd wszyscy Anglicy wyglądają tak samo. - Wziął Stone'a za ramię. - Ale tym razem, ptaszku, *finito*. To twoja ostatnia szansa. Rozumiesz?
- podniósł do góry wskazujący palec.
Stone niemal niedostrzegalnie skinął głową.
- Czy mamy pewność, że Nicolson się nie wygada? - spytał Bookbinder.
- Tak - odpowiedział Koolman. Tylko człowiek obdarzony taką władzą mógł z całą pewnością przewidzieć jak się ktoś zachowa. - On chyba nie byłby zły w roli tego koniokrada...
- Zrobiliśmy już próbne zdjęcia.
- No i jak wypadł?

271

- Doskonale, Leo.

Koolman uśmiechnął się. Wsunął się między Bookbindera i Stone'a, wziął ich pod ramię i ruszyli w stronę brzegu. Walły fale próbując ich rozdzielić, ale Koolman mocno trzymał swoich towarzyszy.

- Kagan, daj temu Nicolsonowi parę dodatkowych kwestii. Przyślę ci

scenarzystów. Jeśli to źle wypadnie, zawsze przy montażu będziesz mógł wyciąć. Zrozumiałeś mnie, Kagan?

- Tak, Leo. - Teraz nawet Bookbinder się spocił. Na czole i nad górną wargą pojawiły się dwie krople. Może zresztą była to wina upału. Wszyscy poza Koolmanem byli spoceni. Koolman znów się odezwał.
- Pamiętaj, Eddie, że Wytwórnia zastępuje ci ojca i matkę. Jakby jeszcze były kłopoty, masz się natychmiast do mnie zgłosić. W dzień czy w nocy. Bo takie są obyczaje w naszej branży, a w każdym razie w mojej firmie.

Stone skinął głową. Wtrącił się szybko Bookbinder.

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Leo. Wierz mi, że nigdy tego nie zapomnimy.
- Tak - powiedział Stone. - Dziękuję ci, Leo. To piękne, że przyjechałeś, by mi to powiedzieć osobiście. I to w sam dzień Bożego Narodzenia.

Bookbinder z aprobatą kiwnął głową, jakby Stone'owi udało się bezbłędnie wypowiedzieć trudną kwestię w sanskrycie.

Koolman już prawie nie słuchał. Był zmęczony i teraz, kiedy wypełnił swoje zadanie, pozwolił zmęczeniu pojawić się na twarzy i w głosie.

- Kagan, zawieź go zaraz do domu. W takich miejscach jak to przebywają tylko kurwy i męty społeczne. - Nie czekał na odpowiedź Bookbindera, machnął ręką w stronę stryja Maxa. Starszy pan musiał zrozumieć, że wszystko zostało pomyślnie załatwione, gdyż odwrócił się i ruszył w stronę limuzyny.

Ratownik czekał z płaszczem kąpielowym Koolmana. Phil Sanchez otworzył zaciśniętą pięść i wygładził banknot, który podał ratownikowi.

Koolman ruszył plażą, wymijając opalających się. Jego po-magierzy

szybko skinęli pożegnalnie głowami, by dotrzymać kroku swemu panu.

272

15

MGM przypomina średniowieczną monarchię. Co chwila zdarza się jakaś pałacowa rewolucja.

Gottfried Reinhardt

„Człowiek z pałacu” zajmuje poczesne miejsce w historii filmu. Nim jeszcze zaczęto zdjęcia i mimo wszystkich późniejszych tarapatów stał się kamieniem milowym w dziejach kina. Rozpoczął się nowy styl finansowania filmów. Kompania Continuum zapewniła pokrycie kosztów. Z góry ustalono podział zysków z kaset, wiele osób uważało, że przyniosą one dziesięciokrotnie więcej pieniędzy niż wpływy z kin. Możliwość takich dochodów przekonała gwiazdę, że warto wziąć tylko procent. Budżet filmu ograniczył się więc do kosztów produkcji. Autorytet trzech mężczyzn firmujących film sprawił, że stało się to przykładem, i przemysł filmowy, który znajdował się w impasie, znów ruszył. Dziennikarze tak jak co roku w ciągu ostatnich dziesięciu lat zaczęli mówić o rewolucji w kinie.

Oczywiście dziennikarze i filmowcy jak zwykle przesadzali. Pieniądze pochodziły z nowej firmy, dwadzieścia jeden kin Continuum nie wystarczało, by pokryć inwestycje, więc na pewno trzeba będzie w przyszłości uciec się do dawnego systemu dystrybucji. Kasety mogą przynieść więcej niż zyski z kin, ale dłuższy czas potrwa, nim widzowie zmodernizują swoje telewizory. Pesymiści utrzymywali, że oprocentowanie kredytów może uniemożliwić zwrot kosztów. Stone zgodził się nie wziąć

gaży - tylko procent - niemniej otrzymywał tysiąc dolarów tygodniowo tytułem diet, a była to sumka nie do pogardzenia, jako że wolna od podatków. No i producent opłacał kosztowne garderoby, luksusowe furgonetki i limuzynę z szoferem, która przez dwadzieścia cztery godziny na dobę była do dyspozycji aktora. Rachunek za obiad, który miałem tego dnia zjeść ze Stone'em, także trafi do rąk Bookbindera.

Stone powiedział mi, że z telewizją upora się w ciągu przed-

273

południa. Bardzo w to wątpiłem. I rzeczywiście, jego ogromny dom stanowił nieodpartą pokusę dla telewizyjnej ekipy, we wszystkich pokojach przeciągnięto kable, w holu zgrupowano reflektory, chciano bowiem zdjąć Stone'a na rzeźbionej galerii tak, by z tyłu widać było weneckie freski na suficie.

W imieniu telewizji miał prowadzić wywiad elegancki młodzieniec około pięćdziesiątki. Jego czarne jak węgiel oczy i groźna mina znane były w każdym domu w Wielkiej Brytanii. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur - ale z brokatu. Ponoć był pierwszym, który sobie taki garnitur kazał uszyć. Włosy były na tyle długie, że zakrywały uszy, a z tyłu sięgały do kołnierzyka koszuli. Chusteczkę do kieszonki składano pięć razy, za piątym udało się.

- Możesz zabrać to lustro - powiadomił reżysera, który zaglądał mu przez ramię, usiłując coś powiedzieć.
- Co, litujemy się nad nieszczęsnym milionerem? - spytał reżyser.
- Raczej nad imperium bez dziedzica - wyjaśnił prezenter. - Na zakończenie trzydziestosekundowy klip. Najpierw wnętrza. Potem ujęcie z jazdą. Zbliżenie. Wreszcie detal - wielkie przerażone oczy.

- A jeśli Stone się połapie? Może chce być szczęśliwym bogaczem?
- Za późno na jakiegokolwiek zmiany. Zaakceptowano mój scenariusz. Reżyser mrugnął do mnie i podniósł wysoko brwi.

Na początek usadzono Stone'a przed kominkiem w jego bibliotece umeblowanej w stylu Ludwika XIV i kazano mu czytać jakiś okazały oprawny w skórę tom - „obojętne co, tytułu i tak nie będzie widać”.

Potem pokazano, jak idzie w stronę drzwi, po czym ekipa przeniosła całą aparaturę i zaczęły się zdjęcia w japońskiej jadalni. „Nikt nie będzie wiedział, że to inna część domu”, a wreszcie w małej jadalni wychodzącej na ogród.

- W trakcie tych ujęć będę wygadywał jakieś bzdury, na przykład: „Nie wszyscy absolwenci szkół aktorskich kończą swą karierę nie mogąc związać końca z końcem. Marshall Stone jest jednym z najlepiej płatnych aktorów na świecie. To

274

w jego wiejskiej posiadłości w Kent opowiada mi...” Hej, Agata, to zupełnie nieźle brzmi. Zastenografowałaś? Świetnie, świetnie. - Prezenter starał się zawsze wnieść do wywiadu jakąś osobistą nutę. I to dlatego zabraniał, by „TV Times” nazywał go telewizyjną osobowością. To było dobre dla komików, którzy udawali, że śpiewają i tańczą. On był człowiekiem twórczym, specjalistą w dziedzinie sztuki. Tak jak na poprzednich szczeblach swej kariery, był telewizyjnym specjalistą od aut, Ameryki i towarzyskiego tańca. Przyglądził siwiejące włosy i psiknął na nie lakierem.

Osobiście zawsze uważałem, że ten wielki dom, w którym każdy pokój umeblowany jest w innym stylu, przypomina atelier filmowe przygotowane do nakręcania tuzina filmów. Dziś obecność ekipy

telewizyjnej i jej sprzętu potęgowała jeszcze owo wrażenie. Program nazywał się „Telewizja odkrywa arkana sztuki. Współczesne aktorstwo”. Podejrzywałem, że chcą się dobrać aktorom do skóry, ale przecież nie mogli się z tym z góry zdradzić.

- O czym tak rozmyślasz? - spytał Stone.
- Że powinieneś uważać.
- Na co?
- Tego właśnie nie wiem.

Stone uznał pewno, że przemawia przeze mnie zazdrość konkurencyjnej gałęzi sztuki, uśmiechnął się i podszedł do prezentera.

Rad był z unізoności ekipy. Prezenter podziwiał jego antyki i konie, okazało się, że zna się tak na jednych, jak na drugich. Poszedł przez trawnik do Bentleya, w którym urządzono prowizoryczną garderobę i charakteryzatarnię. Oznajmił Stone'owi:

- W mojej posiadłości w Dorset zamierzam rozbudować stajnie. Dotychczas nie posyłałem jeszcze moich koni na wyścigi, ale mam jedną klacz, którą dwa lata temu kupiłem za pół darmo, i... - Skrzyżował palce, żeby nie zauroczyć projektów.
- To cholernie kosztowne hobby - zauważył Stone. Prezenter skinął poważnie głową z miną zatroskanego bogacza. Dotknął węzła krawata i przymknął oczy, kiedy charakteryzatorka barwiła mu wargi. Odeszła, a on rozejrzał się, chcąc spraw-

275

dzić, czy fotele ustawiono tak, by plan amerykański pokazywał w tle orientalny ogródek.

- Czy widać ten herbaciany pawilon i sklepiony mostek?
 - Nieostro - odpowiedział kamerzysta zduszonym głosem, patrząc przez zucher. Prezenter nachylił się i Stone poczuł zapach drogiej wody kolońskiej, która była reklamowana jako typowo „męska”, łączyła bowiem w sobie woń rumu i tytoniu.
 - Wie pan, Marshall, że takie dwie gadające głowy nie są zbyt sery. Niech pan się stara mieć jak najbardziej ożywioną minę.

Reżyser dźwięku dał znać, że wszystko gotowe.

- Zaczynamy! - oznajmił reżyser.

Głos prezentera przybrał głęboki ton sędziego Trybunału Najwyższego w procesie o zdradę stanu. Do ekipy zwracał się tonem pouczającym jakby miał przed sobą ławę przysięgłych, natomiast swego rozmówcę traktował jak oskarżonego.

- Marshall Stone, pan - supergwiazda - został sownie wy nagrodzony za swój aktorski trud. Ma pan do dyspozycji limuzyny, samolot, jachty i pałace. Wytwórnice filmowe drogo opłacały najwybitniejszych pisarzy, by przygotowywali dla pana scenariusze, niemniej pozostał pan aktorem *par excellence* komercyjnym.

Stone zamrugnął. Nie był pewien, czy oczekuje się od niego komentarza. Prezenter czekał na odpowiedź.

- Nie bardzo wiem, kogo należy uważać za aktora komercyjnego - powiedział wreszcie. - Chyba jedynymi niekomercyjnymi aktorami są ci, którzy żyją z zasiłku dla bezrobotnych.

Prezenter zachowywał się tak, jakby nie słyszał. Nachylił się nad trzymaną w ręku kartką papieru i przeczytał następne pytanie.

- Zatrudnia pan agentów, sekretarki, księgowych, prawników, a także speców od reklamy. W pana rozlicznych domach roi się od służby. Ma pan własną załogę jachtu i własnego pilota. Marshallu Stone, czy znajduje pan jeszcze czas na zajmowanie się sztuką aktorską?

Stone obruszył się. Dotknął palcem brwi, był to zupełnie spontaniczny gest.

- Mówi pan o czasie... Wszystko, co posiadam, ma na celu

276

uzyskanie jak największej ilości czasu. Czas jest najważniejszym elementem w życiu artysty - czas, by myśleć, by przygotowywać się do roli... - tu zrobił pauzę - ...czas, by obserwować życie, gdyż w tym właśnie tkwi sedno sprawy.

- Tak, w tym tkwi sedno każdej sztuki - zgodził się prezydent tonem wyroczni. - Ale w interesach istnieje prawo Parkinsona. A czy to się panu podoba, czy nie, Marshall Stone jest przedsiębiorstwem. Zatrudnia pan tyluż ludzi co niewielka fabryka. Czy aktor może prowadzić takie przedsiębiorstwo?

Stone uśmiechnął się do kamery.

- Nie spotkałem się z zażaleniami. Jestem chyba zupełnie niezłym biznesmenem.
- Czy prawdziwy biznesmen inwestowałby tak kolosalne sumy tylko w osobisty komfort? Czy poświęcałby swój czas na rozmyślanie i studiowanie życia? Prawdziwy biznesmen uważa, że pieniądź powinien rodzić pieniądź.
- Chyba nie oczekuje pan, że będę się zastanawiał nad hipotetycznymi

skłonnościami hipotetycznego biznesmena - oświadczył Stone. Prezenter czekał na bardziej wyczerpującą odpowiedź.

- Mój samolot oznacza dla mnie to, że z plenerów mogę wrócić na noc do domu, zamiast urządzać się w miejscowym hotelu. Mam dom w Beverly Hills, ponieważ często pracuję w Kalifornii... Jacht zapewnia mi jedyny prawdziwy i nie przerywany odpoczynek. A księgowi są złem koniecznym w systemie podatkowym nadmiernie obciążającym tych, którym się powiodło.

Prezenter uśmiechnął się.

- Po co panu to wszystko, panie Stone? Leci pan do domu odrzutowcem, ale do kogo? Dla kogo pracuje pan tak ciężko, by musieć od czasu do czasu odpocząć na jachcie? Komu zostawi pan to imperium, które pan sobie zbudował przy pomocy księgowych i menedżerów?

Stone siedział z przyklepionym do ust uśmiechem. - Marshallu Stone, jest pan człowiekiem samotnym. Już od dłuższego czasu nie słyszy się, żeby w pana życiu istniała jakaś kobieta.

- Znow zamilkł, tym razem czuło się, że chce sprawdzić, jak długo Stone potrafi zachować uśmiech. - W sztuce aktorskiej prześcignął pan wszystkich. Ale oddając się jej zbudował pan sobie udzielne księstwo, którego nie ma pan komu przekazać.

277

Jeśli to zdanie nie miało być konkluzją programu, to nie znam życia, kamerzysta musiał też tak pomyśleć, bo zaczęło się ujęcie z jazdą, które miało się zakończyć zbliżeniem przerażonych oczu Stone'a. Może liczyli, że szepnie: „Tak”.

- Stop! - polecił reżyser.

Stone nachylił się w stronę dziennikarza i zauważył:

- Kiedy spostrzegłem na pana zębach ten kawałek kapusty, pomyślałem, że musiała się panu złamać korona. Ale podczas ostatniego zdania udało się panu go połknąć. - Stone uśmiechnął się.
- Hm... - mruknął dziennikarz, przezornie nie otwierając ust.

Stone, odjeżdżając, machnął wszystkim na pożegnanie ręką i wziął nieco zbyt szybko zakręt. Żwir trysnął spod kół prosto w twarze ekipy. Prezenter wciąż siedział na trawniku, kiwając głową i uśmiechając się do obiektywu. Potrzebne były przebitki w trakcie odpowiedzi Stone'a. Kiedy zostali obsypani żwirem, skrzywił się i otrząsnął, kamerzysta przerwał zdjęcia, by umożliwić mu poprawienie fryzury.

- Od razu widać, że on pracował dla BBC 2 - orzekł Stone.

- Pytania są długie i sformułowane tak, by odpowiedź była krótka.

- I bardzo starannie przygotowane.

Stone zachichotał, nie ukrywał, że wie, co chce przez to powiedzieć.

- Bezczelna pułapka - mruknął. - Tak, ci skurwiele lubią sobie zapolować na gwiazdę. Nie cierpię telewizji. Wiesz, ja jej naprawdę nienawidzę, jej i tych wszystkich pracujących tam pompatycznych bałwanów.

Zauważyłem to - odparłem. - Bardzo mi się spodobała ta kapusta w zębach.

- Powiniennem był się ciębie posłuchać - przyznał Stone.

- Zanadto ufam ludziom, mam z tym masę kłopotów.

- Muszę ci przyznać rację, Marshall.

Jechaliśmy z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, więc tylko na mnie spojrzał. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie byliśmy sobie równie bliscy. Z jego twarzy zniknął

278

zwykły uśmiech. Wykrzywił żałośnie usta, na sekundę uchylił maski.

Przez jakieś piętnaście kilometrów koncentrował się na prowadzeniu auta.

- Widziałeś kamerę? - spytał.
- Tak - odparłem. - Szesnastka.
 - Kamera Eclair z zoomem Angenieux, dwanaście do dwudziestu jeden.
Wiesz chyba, co to znaczy?
- Co?
 - To że ostatnie ujęcie pokaże tylko moje gałki oczne. Chytre, fałszywe nygusy. Czy oni myślą, że jestem pedziem? Czy to właśnie chcieli zasugerować?
 - Bóg jeden wie - odpowiedziałem. Jechaliśmy w milczeniu.
Zastanawiałem się, czy nie zapomniał kazać odstawić do miasta mojego MGM, tak jak obiecał, kiedy nagle postanowił, że zjemy obiad w mieście.

Stone świetnie prowadził swego Rollsa. Skoncentrował się, dawał znaki ręką, przyśpieszał. Interesowało mnie, czemu tak przejmuje się autem, zamknął nawet za mną drzwiczki i wytarł klamkę, na której mogły pozostać ślady moich palców.

Trudno było rozmawiać, okna były otwarte, świszczwał wiatr, huczał motor. Nie rozumiałem, czemu Stone'owi tak zależało, bym usiadł koło niego, zamiast jechać za nim własnym wozem. Może potrzebował towarzystwa. Przyjrzałem mu się i doszedłem do wniosku, że zależało mu, bym go nie

tylko słuchał, ale miał okazję dobrze mu się przyjrzeć; widać w jego oczach słowa nie były takie ważne, ostatecznie zrobił karierę mówiąc cudzym, a nie własnym tekstem.

- Dałem się zrobić w konia, co?
- Nie, nie.
 - Owszem, Peter. Czasem trudno mi znaleźć odpowiednie słowa. Wy, pisarze, zawsze potraficie się wypowiedzieć. Czy zauważyłeś, że w każdej książce o filmie aktorzy to nędzne kreatury, producenci to skurwysyny, a pisarze uchodzą za prześladowanych geniuszów. W każdej książce.
- Cóż, piszą dla siebie najlepsze role - przyznałem.
 - Będziemy musieli szybko zjeść obiad. Mam się zobaczyć z tymi facetami od reklamy - oświadczył smętnym tonem.

279

- Gwiazdę kreuje reklama. - Spojrzał na mnie. - To dowcip, który przeczytałem w ostatnim „Reader's Digest”.

Dłuższy czas jechaliśmy w milczeniu, tylko on od czasu do czasu powtarzał: - Czyżby ci skurwiele naprawdę chcieli zrobić ze mnie pedzia?

Przy Marble Arch musieliśmy zwolnić.

- Co o nich myślisz?

Chodnikiem tuż przed nami szły dwie młode dziewczyny.

- Twoja mi się nie podoba - zażartowałem.

Stone uśmiechnął się i zatrąbił, po czym zatrzymał auto przy krawędzi chodnika.

- Wsiadać, panny.

Dziewczęta odwróciły się i zaczęły chichotać. Parę osób przystanąło

przyglądając się z rozbawieniem, ale i dezaprobatą. Gdyby Stone chciał mi zademonstrować swoją nieumiejętność postępowania z kobietami, nie mógłby się lepiej wziąć do dzieła.

- One mają ochotę wsiąść - zapewnił mnie. - Przecież mnie poznały.

Próbowałem się uśmiechnąć i zażartować. Może kronikarza powinno było to zainteresować, ale jako obserwator czułem się okropnie zażenowany.

Dziewczyny chwilę mu się przyglądały i szybko weszły do sklepu.

- Do diabła z nimi! - wrzasnął Stone. - Są miliony innych dziewcząt.

Wszystkie dziewczęta chcą się przekonać, jak to będzie z gwiazdą filmową. - Roześmiał się. - A ja, Peter, chętnie im pokazuję. Często na tylnym siedzeniu.

- Zazdroszczę ci, Marshall.

- Na co jak na co, ale na brak dziewczyn nie mogę się skarżyć. To jasna strona tego przeklętego zawodu. - Zręcznie wyminął furgonetkę z pieczywem i taksówkę. Taksówkarz gniewnie nacisnął klakson.

- Zjemy u Jamie'ego...

- Okay.

- Może jeszcze o nim nie słyszałeś. To prywatny, bardzo kosztowny klub koło St. James's Palace. Dobrze mnie tam znają, a wyzerka jest świetna.

280

- Przekonałeś mnie...

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, a potem roześmiał się.

Portier przyjął nas uprzejmie i obiecał zaparkować auto. Recepcjonista poznał Stone'a i wyraził radość, że znów ma okazję go zobaczyć. Ale kelner w

holu oznajmił Stone'owi, że restauracja jest tylko dla członków klubu. Gdyby Stone powiedział mu, że jest członkiem, pewnie by się na tym skończyło, Stone jednak oburzył się i kazał mu się nie wtrącać. Wdał się z nim w sprzeczkę, wezwano kierownika. Kierownik był niskim, uśmiechniętym człowieczkiem z wybrylantynowanymi włosami.

- Jak miło znowu pana zobaczyć, panie Stone. Kelner zgapił się i pana nie poznał. - Kierownik uśmiechał się i obciągał mankiety. Miał nadzieję, że Stone uśmiechnie się także i potraktuje to wydarzenie jak dobry żart, który podczas jego następnych wizyt będą z rozbawieniem wspominać. Ale po paru sekundach uświadomił sobie, że Stone oczekuje zadośćuczynienia.
- Głupiec z ciebie! - Kierownik napomniął odchodzącego kelnera. Uśmiechał się przy tym, żeby siedzący na sali goście nie zauważyli tego wydarzenia. - Ach, ty głupcze! Zabieraj się stąd. Dostaniesz tygodniową pensję i nie chcę cię tu więcej widzieć. Kretyn!
- Nie chodzi o to, że mnie nie poznał - wytłumaczył łaskawie Stone - ale on chwycił mnie za ramię. Nie znoszę, żeby ktoś mnie dotykał. - Poprawił się. - Nie zniosę, żeby dotykał mnie kelner.
- Proszę nie brać sobie tego do serca, panie Stone - błagał kierownik, Jeszcze raz machnął ręką, dając znać kelnerowi, że ma zniknąć. - Proszę pozwolić za mną. Patryk! Przynieś panu Stone'owi Krwawą Mary. Ale już. Zostaw wszystko i leć. Panie Stone, zechce się pan napić Krwawej Mary? - Kierownik prowadził nas w głąb restauracji, nie przestając mówić. Zgodnie z jego przypuszczeniami słowa te ułagodziły Marshalla. Postanowiłem się nie wtrącać, kierownik był zręczniejszy. Lepiej było zniknąć, kiedy jest się świadkiem czyjegoś wybuchu, często się za to

płaci.

Toaleta u }amie'ego wyglądała jak sień florenckiego pałacu. Marmurowa posadzka itepe. Z drugiego końca dobiegł mnie:

281

„Dzień będzie piękny”. Zabrzmiało to tak, jakby Leo Koolman ten dzień sobie zamówił i za niego zapłacił. Dojrzał mnie w lustrze. „Hej, zaczekaj!” - zawołał. Nacisnął kran w kształcie głowy lwa i opłukał ręce. Wywieszka głosiła, że woda została specjalnie zmiękczone i ma 68 stopni Fahrenheita. Koolman zmrużył oczy, żeby mi się przyjrzeć.

- Anson, prawda? Peter Anson.
- Tak, panie Koolman.
- Przyszedł pan tu z Marshalllem Stone'em?
- Piszę jego biografię.
 - Jutro zaczynają zdjęcia do tego tam filmu. - Trzymał się twardo zasady, że tylko jego filmy zasługują na to, by wymawiać ich tytuły, zawsze to rodzaj reklamy. - Jaki mają budżet?
 - Nie wiem. - Była to prawda, a Leo Koolman był jedynym człowiekiem, który mógł zadać takie pytanie. Najważniejszą regułą gry w przemyśle filmowym było zachowanie w tajemnicy wysokości budżetu.
 - Pewnie milion siedemset - zgadywał głośno Koolman. Spryskał wodą twarz. Nie byłem jego pracownikiem, więc bał się, czy dobrze go zrozumiałem, i dorzucił: - Dolarów!
- Możliwe.
 - Na taki film potrzeba naprawdę sześciu milionów. A poniżej trzech wyjdzie gie.

- Hanratty jest świetnym reżyserem.
 - Ale nie uda mu się nic zrobić, jeśli produkcja nie dostarczy mu środków. Jak wypadnie scena koronacji, jeśli będzie się na niej oszczędzać?
- Chyba ją pominą...
 - Zwariowali! - orzekł Koolman. Posługacz w bieli podał mu ogrzany ręcznik. Wywieszka głosiła, że pod działaniem promieni podczerwonych i ultrafioletowych ręcznik stał się całkowicie aseptyczny. Koolman wytarł twarz i włożył okulary, żeby mi się lepiej przyjrzeć.
 - To najlepsza scena w książce. Zwarta, barwna i agresywna. Czy wie pan, czemu odrzuciłem scenariusz?

Było to jedno z tych pytań, na które lepiej nie odpowiadać. Gdybym powiedział, że nie wiem, Koolman wyszedłby na idiotę, gdybym powiedział tak - gotów się spytać dlaczego.

282

Powiedziałem:

- No cóż...
 - Odrzuciłem, bo jest tylko trzech reżyserów na świecie, którzy potrafią nakręcić taką scenę zbiorową. A wszyscy trzej są zajęci przez najbliższe parę lat.

Skinąłem głową, choć bynajmniej Koolmanowi nie uwierzyłem. Wymyślił tę historyjkę dla swoich akcjonariuszy na wypadek, gdyby „Człowiek z pałacu” odniósł sukces. I chciał pokazać, że każdy scenariusz trafia najpierw w jego ręce.

- Nie myśli pan, że może to być świetny film?
- Pan jest mężem pierwszej żony Stone'a, prawda?

- Tak. Więc nie sądzi pan, że to może być hit?
 - Mów do mnie Leo, Peter - zaproponował. Chciał mieć czas na zastanowienie się nad odpowiedzią. Może zdziwiło go, że ktoś ośmiela się go o coś wprost spytać, zwykle to on zadawał takie pytania. Podszedł do mnie i zniżył głos. - Wiesz, Peter, jak to jest w tej naszej branży. Natkną się na sto problemów, których istnienia nawet nie podejrzewają. Okay, dostaną parę milionów z banku czy od jakiegoś sponsora no i na koniec będą mieli w ręku komplet gotowych rolek. Ale ten film trzeba będzie pokazać w kinach. Czyli przedtem wmówić wszystkim, że to absolutna bomba. Ja na reklamę i dystrybucję wydaję rocznie trzy miliony. Ci amatorzy nie mają przy mnie szans.
 - Jeśli odniosą sukces, to dystrybutorzy zgłoszą się sami.
 - Chcesz powiedzieć, że zrobią premierę w Europie i będą oczekiwać cudu. Ale czy założyłbyś się o dwa miliony mając jedną szansę na tysiąc, że możesz wygrać?
 - Ja osobiście nie, ale istnieją pewnie takie organizacje...
- Koolman pchnął się kciukiem w pierś.
- Owszem, moja. Ale myśmy to odrzucili. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z portfela tuzin kserokopii z prasowego wycinka. Wręczył mi jedno i powiedział:
 - Jeśli chcesz napisać biografię kogoś, kto będzie naprawdę wielki, to polecam ci Vala Somerseta.

Tiger Tamę 75 G in 6 Sites

Tornado Calm \$ 16,000 3d

Los Angeles.

„Wyrok Cesarza" w ciągu pierwszych dwóch tygodni w kinie Chinese przyniósł 150 tysięcy. Tyle samo co „Pułapka na Tygrysy" w sześciu kinach na otwartym powietrzu. „Tornado" uspokoiło się na poziomie 16 tysięcy.

- Wielki sukces. Zatrzymaj sobie ten wycinek - powiedział łaskawie Koolman wycierając buty ręcznikiem, który natychmiast zrobił się czarny. - Będę uważnie śledził, jak się sprawuje ten wasz filmik. - Wrzucił ręcznik do kosza. Odniosłem wrażenie, że każdego, kto ma cokolwiek do czynienia z „Człowiekiem z pałacu", Koolman uważa obecnie za swojego osobistego wroga.

- Pożyjemy, zobaczymy - powiedziałem sentencjonalnie.

Poklepał mnie po ramieniu.

- Pamiętaj, Peter, żebyś nie zainwestował w ten film ani grosza. - Rzucił na spodeczek pół dolara.
- To mogę ci spokojnie obiecać.
- Pozdrów ode mnie swoją uroczą małżonkę.

Wychodząc z toalety minąłem kierownika stojącego wraz z kelnerem, który tak naraził się Stone'owi.

- Nie zwariowałem jeszcze, żeby ciebie wyrzucić - tłumaczył kierownik. - Tylko pamiętaj, żebyś na przyszłość trzymał się od tego skurwiela z daleka. Oni przychodzą tu nacieszyć się swoją popularnością i tylko na nas mogą naprawdę liczyć.

- Rozejrzał się po restauracji, by upewnić się, że wszystko

przebiega sprawnie. Potem podszedł szybko, lecz bez pośpiechu, do swojego stolika przy drzwiach. Restauracje też stawały obecnie częścią show-biznesu.

16

Mówi się często, że minęła epoka gwiazd, to nieprawda. Gwiazdy filmowe są lepiej opłacane i mają większe wpływy niż kiedykolwiek. Jeśli to ma się nazywać śmiercią owego systemu, to życzyłbym sobie tak umierać.

John Frankenheimer

Cherrington jest niewątpliwie szkołą prywatną, ale niewiele da się powiedzieć na jej korzyść poza faktem, że powstała sto lat wcześniej, niż słynna szkoła Stone'a, i znajduje się w pięknej posiadłości w Shropshire liczącej 187 akrów i oddalonej od świata. Jej absolwenci mogą jednak w swych życiorysach podawać „uczęszczałem do szkoły prywatnej” za każdym razem, kiedy ubiegają się o posady, które otrzymują ci, co ukończyli Eton, Harrow lub Wykeham.

To w Charrington Eddie Stone po raz pierwszy uświadomił sobie, że jego drobna sylwetka, buzia cherubina i nerwowy uśmiech są wielkimi atutami. Wyzwalał w dorosłych instynkt opiekuńczy, pomagali mu odrabiać lekcje, chronili przed doku-czliwością kolegów i przymykali oczy na jego wybryki. Dorośli często - podobnie jak pan Greenwood, nauczyciel angielskiego - mieli łagodne głosy, miękkie, wilgotne ręce, a w ich wzroku kryło się coś szczególnego; szybko nauczył się to zauważać.

Przydało mu się to w dalszym życiu. Chętnie przestawał z homoseksualistami, którzy z reguły czuli do niego pociąg, korzystał z tego,

bynajmniej nie wstępując w ich szeregi. Zachował cnotę, nikt z kochających przyjaciół nie wyrządził mu krzywdy, ale czasem tracił głowę.

Tak się właśnie stało podczas „Ostatniego vaquero”. Była to wina Lawrence'a Pastora, reżysera. Któregoś wieczoru usłyszał podczas przeglądu materiału jakąś złośliwą uwagę, innym razem reżyser z błyskiem w oku ujął go za ramię i to wystarczyło, by Stone zaczął się afiszować z dziewczynami. Młode aktoreczki, sekretarki planu, poderwane w Klubie Plantatora przypadkowe dziewczyny, wszystko to wydawało mu się nie-

285

zbędne, by móc stworzyć między sobą i Pastorem stosowny dystans.

I jeszcze teraz odczuwał potrzebę, by w towarzystwie mało znanych ludzi przechwalać się swoimi konkietaami.

W gruncie rzeczy nigdy nie wydorósł, tamte lata w Cherring-ton, gdy jego anielska buzia przynosiła mu tyle korzyści, naznaczyły go na całe życie. Pewnie nie chciał wydorosnąć i znaleźć się na równych prawach w surowym świecie ludzi dojrzałych. W wojsku na przykład jego czar zupełnie nie działał.

Młodemu żołnierzowi ze szkoły prywatnej stosunkowo łatwo było stanąć przed komisją, która miała wybrać kandydatów na oficerów, selekcja jednak była surowa. Większe sukcesy odnosili młodzi prowincjusze, którzy wprawdzie mówili prostackim językiem, ale za to umieli ze starych drzwi zrobić most, znaleźć obłuzowaną śrubę w maszynie i dobrze „rozeznawali się” w terenie. W czasie wojny Armia Brytyjska nie zwracała uwagi na maniery przy stole i wymowę. W każdym razie w tych pułkach, do których Edward Brummage mógłby się teoretycznie dostać.

- Takiemu chłopcu z prywatnej szkoły jak ty nie trzeba chyba mówić, że

przeszkody wodnej się nie omija!

- Przepraszam.
- Mówi się: tak jest panie sierżancie, ty nieszczęsna fujaro.
- Tak jest, panie sierżancie.

Ale ten przeklęty sierżant przymknął oczy, kiedy tak samo zachowali się bliźniacy z Walsall. A w dodatku fakt, że był w szkole prywatnej, nie znajdował uznania ani w oczach kolegów, ani instruktorów.

- Cherrington?
 - W Shropshire. Założono tę szkołę dwieście lat wcześniej niż Stowe.
 - Stowe to też taka prywatna szkoła z internatem? Nie wiedziałem, że jest ich aż tyle!

Ach, gdybyż tylko nie przechwalał się tak bardzo przed matką. Z wujkiem Bernardem nie było problemu, ale matka... Kiedy został wezwany na rozmowę, dobrze wiedział, co go czeka.

286

- Bardzo mi przykro, Brummage. Szeregowca powinien zawiadomić o tym major, ale on dopiero po południu wróci ze sztabu dywizji. Spocznij! Ta decyzja nie oznacza, że szeregowy nie będzie się mógł ubiegać o stopień oficera w późniejszym terminie...
- Gdzie zostaną przydzielony?
- Zwykle wysyłamy stąd chłopaków do jednostki pod Bristollem. Może szeregowy pali? Podobno szeregowy jest wychowankiem jednej z naszych szkół prywatnych?
- Cherrington, panie sierżancie.
- Tak, tak, pamiętam.

- Cherrington w Shropshire.
- Widziałem to w waszych papierach. Ach, więc w Shropshire? Właśnie zastanawiałem się, gdzie się to Cherrington znajduje... I szeregowy uczęszczał do szkoły teatralnej. Radziłbym, o tym pamiętać, kiedy znajdziecie się w jednostce. W moim ostatnim pułku mieliśmy kucharza. Wziął udział w przedstawieniu jako prestidigitator. I potem był rozrywany.
- Martwię się tylko, co powiedzieć matce.
- A tak, tak. W tym cały szkopuł. Czasem chłopcy mówią, że przydzielono im zadania specjalne...
- W wywiadzie?
- W wywiadzie, w oddziałach komandosów itd. No tak, bardzo mi przykro, że tak się wam nie powiodło z egzaminami, ale nie tylko na stanowisku oficera możecie się sprawdzić. Wśród szeregowych też nam potrzeba pierwszorzędnych facetów.
- Tak jest, panie sierżancie.
- Ach, Brummage, byłbym zapomniał. Pułkownik szuka ordynansa...
- Ależ...
- Dla kogoś na poziomie byłoby to wymarzone zajęcie, Brummage. Mnie nie wolno nikogo na to stanowisko wyznaczyć, ale... Tam znaleźlibyście się wśród samych szarż. W samym centrum decyzji. Wiedzielibyście więcej o naszej strategii wojennej niż ja i major. Zastanówcie się...

I tego samego popołudnia szeregowy Brummage spakował plecak, dobrze się napocił nad listem do matki i bez wysiłku

napisał kartkę do wuja Bernarda: „Kochany Bernardzie, miałeś rację, mogą się wypchać swoimi gwiazdkami. Ściskam, Eddie" i wyruszył w drogę, by zostać osobistym służącym brygadiera Millingtona-Asha.

Kiedy major wrócił do biura, Edward Brummage siedział już na ciężarówce wyładowanej racjami żywnościowymi i podskakiwał na każdym wyboju bocznej drogi.

- No co, John, znalazłeś staremu jakiegoś ordynansa?
- Aktora.
 - Klawo. Tak, jak myślałeś. - Major podniósł słuchawkę telefonu. - Połączcie mnie z brygadierem Millingtonem-As-hem. Ale piorunem.
- Wziąłem go na „centrum decyzji".
 - Klawo, John. Stary Milly normalną drogą nigdy by nie zdobył przyzwoitego ordynansa. Nawet generał miał kłopoty. Przydzielono mu jakiegoś świeżo upieczonego Brytyjczyka, który ledwie mówi po angielsku i podaje mu herbatę w szklance... Panie brygadierze, melduje się major Hamble. Mamy dla pana odpowiedniego faceta.

Major przysunął sobie papiery szeregowca Brummage, żeby móc do nich zajrzeć. - Mój oficer kancelaryjny sprawdza jego dokumenty, zaraz tu będzie. Ale to absolwent prywatnej szkoły. Tak, prywatnej szkoły. - Major przeczytał nazwę tej szkoły i odsunął kartkę. - Nie, nie wiem jakiej, ale to gwarancja, że... A propos, zanim mój oficer wróci, chciałbym panu przypomnieć o kocach i amunicji do Stenów... No tak, wiem, że wszyscy się tego domagają... Więc okay? Mogę liczyć, że dziś po południu? Wspaniale!... O, wrócił. Tak, wszystko już zostało załatwione. Brummage. Szeregowy Edward Brummage.

BIOGRAFIA MARSHALLA STONE'A Rozdział szósty Aż po góry
wyglądające jak zrobione z fioletowego *papier-mache* sięgała pustynna
równina. Nie były to faliste wydmy białego piasku, lecz skalista gleba
porośnięta gdzieniegdzie kaktusami i karłowatymi drzewkami, wzgórza
były na tyle wysokie, że można było tam spotkać niedźwiedzie i pumy. Nie

288

prowadziła tędy żadna droga, najbezpieczniej było trzymać się szlaku
wytyczonego przez telegraficzne słupy. Druty zwisały tak nisko, że
nieostrożny jeździec łatwo mógł stać się jeźdźcem bez głowy. Tędy właśnie
jechał dylizans, wkrótce miał dotrzeć do na wpół zrujnowanego miasteczka,
gdzie należało zmienić konie.

Na zakurzonych ulicach nawet teraz, w zimie, panował taki upał, że
powinien był zniechęcać do każdego szybszego ruchu. Niemniej wszyscy
poruszali się biegiem. W barach i budach sklepowych tłoczyli się niespokojni
mężczyźni, przed kioskiem spożywczym stało ich parunastu, jeszcze więcej
przed pocztą. W rekordowym tempie zaprzężono do dylizansu nowe konie,
dwóch mężczyzn usiłowało przekupić woźnicę, by sprzedał im dodatkowe
bilety.

Pani Grant, żona weterynarza, i jej dorosła córka Ellen ostrożnie
podciągnęły spódnice powyżej kostek, żeby przekroczyć rynsztok i wejść do
sklepu z towarami łokciowymi. Wszyscy byli wstrząśnięci wiadomościami -
Siuksowie wstąpili na wojenną ścieżkę, widziano ich na południowym
brzegu rzeki.

Poruszano się w ponurej ciszy. Prawie że nic było słycać stukotu kroków
na drewnianych chodnikach. Jeźdźcy uspokajali swe wierzchowce,
naoliwiono koła dylizansu, żeby przestały skrzypieć. Najdziwniejsze było to,

że porozumiewano się także bezgłośnie. Można by pomyśleć, że jest to miasteczko głuchoniemych.

Kroczącego środkiem ulicy mężczyznę łatwo było rozpoznać po charakterystycznym kroku. Co chwila uchylał przed kobietami kapelusza z szerokim rondem, pomachał ręką żołnierzowi, który przegalopował obok. Ruchy Stone'a wyrażały wszystko, czym był - zdradzały jego meksykańskie pochodzenie, lata zaciętych walk, pewność siebie doświadczonego rewolwerowca. Jego szeryf był nie tylko kowbojem, kowboje często chodzą przygarbieni. On odrzucił głowę do tyłu i wysoko podnosił nogi, jakby uważał, by nie potknąć się o druty. Niemniej można było w tym dostrzec pewne objawy nerwowości. Trochę zbyt długo macał rondo kapelusza, nim go uchylił, trochę zbyt długo nie wypuszczał go później z ręki. Często dotykał sprzączki pasa, a jego dłoń chwilami drżała.

289

- Stop! - zawołał reżyser.

Stojący za nim asystent zawołał zaś jeszcze głośniej.

- Kamera, pierwsze ujęcie! Spieszyc się. I unikać hałasu.

Dźwig, na którym z wolna zjeżdżała ku ziemi kamera i skulony za nią operator, zatrzymał się. Wokół zgromadziła się ekipa techniczna i rozpoczęła się gorączkowa narada. Prowadzące do ciężarówki z generatorem kable stały się prawie niewidoczne w szarym kurzu. Na ulicy pełno było sztucznych kaktusów i drzewek, krzeseł i wielkich boksów na konie, włączając w to ów czerwony, w którym przywieziono wierzchowce dla dublerów.

- Efekty specjalne! Zaczynamy strzelaninę. Za pięć minut, póki szeryf nie straci werwy!

Kagan Bookbinder, to muskularny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi szpakowatymi włosami. Klepnął jednego z żołnierzy po ramieniu.

- Świetnie wypadłeś, Spike. Ale następnym razem podnieś głowę, gdy zaczynasz mówić. Reżyser dźwięku miał kłopoty z nagraniem. - Producent patrzył, jak charakteryzator przyprósza Stone'owi włosy szarym pudrem.
- Okay. Teraz zajmij się włosami kobiety, dobrze, Billy? - Wskazał na żonę weterynarza. Charakteryzator odczekał wystarczająco długo by dać Bookbinderowi do zrozumienia, że został zaangażowany, by zajmować się wyłącznie gwiazdami, niemniej poszedł. Kagan Bookbinder uśmiechnął się. Wrócił z wojny jako bohater. Był pilotem samolotów myśliwskich, strącił trzy japońskie bombowce. Jego doświadczenie wojenne bardzo się w tym filmie przydało. Wiedział, co naprawdę dzieje się z człowiekiem, którego trafiła kula. Z boku wygląda tak, jakby dostał dziesięciokilogramowym młotem i często przeokożółkowie jeszcze przez pół ulicy. W scenie strzelaniny przyczepiono do młodego angielskiego aktora, Edgara Nicolso-na, dwa druty. Jeden z nich podtrzymywał go w pozycji pionowej, drugi miał pociągnąć go w tył, gdy trafi go kula Stone'a.

Kagan Bookbinder podszedł do swego gwiazdora i wziął jego twarz w ręce ruchem weterynarza zagładającego w pysk wściekłemu psu.

- Tylko tak dalej, szeryfie - powiedział. Zasepiony aktor

290

skinął głową. Ani na chwilę nie pozwalał sobie na odprężenie, na to, by być Edwardem Stone'em. Tak bardzo obawiał się wypaść z roli, że nawet wieczorem, podczas kolacji, zachowywał się jak szeryf. Poprzedniego dnia

Bookbinder musiał mu zwrócić uwagę, by przestał spluwać na podłogę. Cała ekipa zwracała się już teraz do niego per „szeryfie”. Bookbinder uznał to za dobry znak.

Pierwszy asystent znów chwycił za megafon.

- Cisza! Chcę, żeby było słychać, jak upada szpilka! - To zdanie powtórzył już tysiąc razy. I będzie powtarzał w nieskończoność. To nie był dowcip, asystent otrzymał ściśle instrukcje. Jego głos odbił się echem od drewnianych ścian chat, w większości płaskich atrap. Dotarł do pobliskiego rezerwatu Indian, a także na pustynię, gdzie kojoty, grzechotniki i skorpiony czekały cierpliwie, aż przedstawiciele gatunku ludzkiego skończą swoje niezrozumiałe menewry i opuszczą ich terytorium.

Spec od efektów specjalnych nałożył już na Edgara Nicolso-na „uprząż” i wsadził mu pod koszulę kapsułki z krwią. Nicol-son spojrział na ulicę, po której włókł go będzie kabel. Jeśli nie uda mu się zręcznie upaść, może się nieźle poturbować. Scenopis przewidywał, że w tej sekwencji zastąpi go kaskader, Nicolson nie chciał się na to zgodzić, w związku z tym zmieniono obiektyw drugiej kamery.

Zapadła martwa cisza, nagrywano parę minut absolutnej ciszy. Każda cisza jest inna, ta będzie potrzebna przy ustalaniu ścieżki dźwiękowej. Dwieście pięćdziesiąt osób - aktorek, aktorów i techników stało w całkowitym milczeniu, jakby pragnęli uczcić tych, co polegli w bitwie. Ustał nawet pomruk generatorów, zgasły więc lampy łukowe i przestała działać klimatyzacja w biurach i kantynie.

- Okay. Dziękuję. Pierwsze ujęcie.

Stone przesunął ręką po udzie, niepostrzerzenie wyciągnął z kabury

ciężkiego Colta Peacemakera, wywinął nim młynka trzymając za cyngiel i chwycił w dłoń. Powtarzał ten ruch wielokrotnie, cały czas koncentrując się na tym, by najmniejszym drgnieniem twarzy nie okazać, że wymaga to wysiłku. Miał to być ruch spontaniczny, nie powinien zaprzętać myśli.

Rzecznik prasowy filmu z satysfakcją przyglądał się tym

291

rewolwerowym igraszkom. Jake Weinberger, który ledwie przekroczył trzydziestkę, był czarującym młodym mężczyzną. Mówił ochrypłym głosem z austriackim akcentem. Głos ten umożliwił mu krótkotrwałą karierę aktorską w filmach wojennych, grał w nich dowódców niemieckich łodzi podwodnych, gestapowców i wartowników, którzy nieodmiennie zbyt późno podnosili alarm, a podejrzane odgłosy przypisywali zwykle kotom.

Weinberger udzielił miesięcznikowi „Look” wyłącznych praw na fotograficzny reportaż ze sceny strzelaniny. Redaktor pisma nie był entuzjastą tego pomysłu, ale Weinberger w trakcie czterdziestominutowej rozmowy telefonicznej z Nowym Jorkiem przekonał go, że chodzi o narodziny nowej gwiazdy. Skinął na fotografa. Ten uwierzył już w karierę Stone'a. Oczy młodego Anglika błyszczały ambicją. Miał „osobowość gwiazdy”, jak to wkrótce zaczęli określać jego przyjaciele. Wrogowie nazwaliby to chętniej „morderczą żądzą” sławy, ale i jedni, i drudzy mieli to samo na myśli.

- Edgar Nicolson i Edward Stone - powiedział fotograf notując nazwiska.

Weinberger wpadł nagle na świetny pomysł.

- Niech pan napisze Marshall Stone.
- Przez jedno 1?

- Nie. Dwa.
- Tak jak w planie Marshalla?
- O właśnie - przytaknął Weinberger.
 - Jesteśmy gotowi, szeryfie. A ty? - zawołał reżyser. Stone nauczył się już rozróżniać obiektywy. Z tej odległości obiektyw 50 mm pokaże go jak bierze do ręki broń, ale jednocześnie zarejestruje każde drgnięcie twarzy. Musi to wziąć pod uwagę.
- Byliśmy obyczajnym miastem, zanim wy, jankescy żołnierze, przybyliście tutaj, zaczęliście pić, kłąć, awanturować się i filmować nasze kobiety. - Stone wypowiedział te słowa tak, jak wygłaszał filmowe kwestie. Pełnym nienawiści tonem i meksykańskim akcentem. I ekipa na chwilę zamilkła, nim zorientowała się, że to żart.

Stone przeczytał ów rozdział dwukrotnie. Nie wszystko trafiło mu do przekonania, pozwoliło jednak przypomnieć sobie tamten dzień, kiedy stał się posiadaczem nowego imienia.

292

Po scenie strzelaniny mieli kłopoty z kamerą. Stone poszedł do przyczepy i nalał sobie piwa, o paręnaście centymetrów od twarzy ustawił elektryczny wiatraczek, po czym sięgnął po gazetę z Los Angeles, która zwykle nadchodziła po lunchu. Przeczytał ostatnie doniesienia o wojnie w Chinach, potem stwierdził, że znów postawił nie na te konie, na które należało. Pewnie zdrzemnąłby się, nim dobrnąłby do dziesiątej strony, nagle jednak uderzyła go notatka zamieszczona wśród wiadomości lokalnych.

AKTORKA GINIE NA AUTOSTRADZIE Ingrid Rainbow,
dwudziestopięcioletnia aktorka zatrudniona w Wytwórni Koolmana, zmarła

wczoraj wczesnym rankiem, gdy jej Chevrolet wpadł na filar przy zjeździe Z autostrady w San Jorge. Rainbow odbyła próbne przesłuchanie u reżysera Lawrence'a Pastora, rzecznik Wytwórni poinformował nas, że otrzymała dużą rolę w najnowszym musicalu. „Stał przed nią otworem cały świat” - oświadczył.

Finito. Stone po raz drugi przeczytał notatkę, ale musiał odłożyć gazetę na stół, żeby nie trzęsła mu się w rękach.

17

Przyczyną wszystkich kłopotów na świecie są Żydzi i Irlandczycy.

Harry Cohn

Film rodzi się w dniu, kiedy finansista skinie potakująco głową. Czasem dopiero po paru tygodniach podpisuje się odpowiednie dokumenty. Filmowy przemysł chełpi się, że wystarczają w nim ustne porozumienia, ale większość producentów bardzo uważa, żeby odpowiedni potentat skinął głową w obecności ich agenta.

Wkrótce w biurze producenta pojawia się drugie biurko, a zastępca kierownika produkcji po raz czwarty studiuje budżet. Zatrudnia się menedżera, żeby nie ograniczać się do jednej opinii, on bacznym wzrokiem przygląda się każdemu nazwisku, każdej kwocie, gażom i honorariom ekipy, strona po stronie przegląda scenopis. Na te spotkania zaprasza się reżysera, w końcu gdzieś kończy się budżet, a zaczyna film.

- Nie, Bert, nie możemy całą ekipą jechać do Włoch. Tę sekwencję nakręcimy metodą tylnej projekcji.

Kierownik planu zaczyna szukać odpowiedniej alei w stolicy Europy

Środkowej, wzgórz tuż za miastem i pałaców. A potem trzeba się wyklócać z właścicielami, żeby raczyli zdjąć z dachów telewizyjne anteny. Po tym samym biurze kręci się scenograf pokazując rysunki proponowanych przez siebie wnętrz. Nie brak też kostiumologa. Większość tych specjalistów dostaje do rozporządzenia auto z szoferem i sekretarkę. Więc biura produkcji zajmują coraz więcej pokoi i wkrótce dwanaście maszynistek bębni na maszynach do pisania. Wynajmuje się księgowego, żeby przygotowywał listę płac, zajmował się podatkami i wskazywał, na czym by się dało oszczędzić. Jemu z kolei potrzeba aż trzech sekretarek.

Nie inaczej wyglądały początki „Człowieka z pałacu”. Marshall Stone otrzymał tytuł producenta, gdyż zgodził się nie brać gaży, a tylko duży procent od zysku. Tego tytułu zażądał dla

294

niego Weinberger, sam Stone z początku się certował. Zgodził się jednak, tyle że żądał, by nie ogłaszano tego w prasie, i zastrzegł się, że nie chce, by go wymieniono w tej roli w czołówce filmu, na co Bookbinder przystał. Ale obaj wiedzieli, że Stone się zgrywa, a w odpowiedniej chwili pokaże pazury, żądając wszystkich możliwych honorów.

Nie upłynęły dwa tygodnie i „Człowiek z pałacu” przestał być projektem, stał się rzeczywistością. W biurach w Holborn wrzało do późnego wieczora. Wśród papierów walały się nie dojedzone sandwicze i plastikowe kubki zalatujące whisky. Dwanaście telefonów dzwoniło niemal bez przerwy. Na tydzień przed rozpoczęciem zdjęć rozpętało się prawdziwe pandemonium. Z wyjątkiem aktorów, wszyscy musieli tu być obecni przez cały czas.

W miarę jak „Konfident” zbliżał się do końca, Stone'a zaczęła ogarniać panika. Podczas zdjęć postanawiał zawsze, że po zakończeniu filmu wyjedzie

na dłuższy odpoczynek gdzieś, gdzie będzie świeciło słońce i gdzie nikt nie rozpozna jego twarzy. Ale kiedy zbliżała się upragniona wolność, zaczynały dawać o sobie znać nerwy. Ze względów finansowych nie musiałby wcale pracować bez ustanku, Weinberger namawiał go, by odpoczął, nie potrafił jednak wyzwolić się od dręczącej myśli o następnym kontrakcie. Podpisywał go - i wcale się nie uspokajał. Zamartwiał się, czy scenariusz jest na pewno dobry, czy reżyser nie okaże się błaznem. I czy nie będzie musiał przepracowywać się w trakcie zdjęć albo - wręcz przeciwnie - zbyt rzadko będzie się pojawiał na planie... Jeśli film miał być realizowany w obiekcie zdjęciowym, niepokoił się, gdzie będzie mieszkał. Czy aby hotel okaże się wystarczająco luksusowy, czy inne gwiazdy nie otrzymają wygodniejszych apartamentów? Czy będzie tam klimatyzacja i co z jedzeniem? Czasem udawało mu się namówić kierownika produkcji, by zatrudnił dla niego osobnego kucharza. Ważny był także klimat. Stone wierzył, że zbyt wielki upał lub mróz może zaszkodzić jego cerze.

Z każdym rokiem te bezpodstawne obawy rosły. Astrolog miał rację, pewnie dlatego, że wielu jego klientów było właśnie aktorami. Trema teatralna. Stone pamiętał, że widział kiedyś,

295

jak jeden z wielkich aktorów wymiotuje na trzy minuty przed wejściem na scenę. Było to w Glasgow, grano „Heartbreak House”. Stone miał w tej sztuce jedną jedyną kwestię, a oprócz tego - sprzedawał programy.

Przeraziło go wówczas, że trema może dopaść tak doświadczonego aktora, on sam wchodził wówczas na scenę bez zmrużenia powiek. Teraz wiedział już, że jest to coś w rodzaju choroby zawodowej. Robotnicy pracujący w garbarniach dostają czyraków, górnicy pylicy płuc, a starych aktorów

paraliżuje trema.

Stone czekał niespokojnie, by jak najszybciej zaczęły się zdjęcia, wiedział, że od razu poczuje się lepiej; w teatrze też, kiedy już raz znalazł się na scenie, ogarniał go spokój, zamieniał się w maszynę do gry. Pamięć funkcjonowała automatycznie i mógł się skupić na roli, obserwując widzów, by w razie potrzeby móc zmienić tempo lub zrobić partnera w konia. Czasem wystarczyło podnieść brew, kiedyś udało mu się jednego z wielkich aktorów rozśmieszyć w trakcie długiej kwestii, tyle że ten był sam na tyle doświadczony, że pokrył to kaszlem.

Pierwszego dnia zdjęć Kagan Bookbinder urządził małe przyjętko. Kolacja dla aktorów i najważniejszych członków ekipy technicznej. Wręczano sobie złote spinki i wysyłano wzajemnie telegramy, ściskano się i całowano. W przyczepie Stone'a lustro zakryły niemal telegramy nadesłane ze wszystkich stron świata. Bookbinder zakupił pół strony w „Variety” i umieścił następujące ogłoszenie:

Kagan Bookbinder wraz z Continuum Industries Inc. ma zaszczyt zawiadomić, że trzeciego września rozpoczną się w Londynie zdjęcia do filmu

CZŁOWIEK Z PAŁACU

W roli głównej wystąpi **MARSHALL STONE**

Reżyseria Bert Hanratty, według znanej powieści pod tym samym tytułem.

Oczywiście ogłoszenie to zostało opłacone z funduszu reklamy wraz z podarunkami i gratulacyjnymi telegramami. Nazwiska Stone, Hanratty i Bookbinder wydrukowane zostały tłustą czcionką. Przyozdabiał tekst znak

firmowy Continuum - drze-

296

wo wiadomości dobrego i złego z pawiem na gałęzi. Nazwisko autora książki i scenariusza pominięto. Ale ostatecznie był on jedynym, który otrzymał już honorarium.

Ogłoszenie to spotkało się z ciepłym odzewem. Telegramy nadeszły niemal od wszystkich osób, które miały cokolwiek do czynienia z twórcami „Człowieka” i od mnóstwa innych, które chciałyby na to móc liczyć. Życzenia i gratulacje nadchodziły w ciągu wielu tygodni. Któregoś dnia Stone, zjadając w swej przyczepie kanapki, otworzył następny.

- To od tego błazna! - powiedział i podał telegram Book-binderowi.

TOBIE I CAŁEJ EKIPIE ŻYCZĘ NAJWSPANIALSZYCH OSIĄGNIĘĆ
STOP CAŁYM SERCEM Z WAMI

EDGAR NICOLSON

- Siedzi w Nowym Jorku i usiłuje zdobyć forszę na ten film o nawiedzonej przez duchy farmie - powiedział Stone.
 - Jaki ma być tytuł filmu? - spytał Hanratty.
 - Pan Bóg raczy wiedzieć. Zmienia go co tydzień.
- i Bookbinder był łaskawszy.
- W latach pięćdziesiątych Edgar wyprodukował parę dobrych kameralnych filmów.
 - Nikt nie chce mieć do czynienia z facetem, który zrobił parę dobrych kameralnych filmów. I to w dodatku w latach pięćdziesiątych. Lokuje się forszę w kimś, kto nakręcił parę filmów za dwadzieścia milionów.

Gdyby Edgar nakręcił film za dwadzieścia milionów, to nawet gdyby ten film zrobił klapę, Edgara nikt by nie wylał - stwierdził Hanratty.

- Magia wielkich liczb - zauważył Bookbinder. - Facet, który przefajdał dwadzieścia milionów, bardziej przemawia do wyobraźni niż taki, kto przyniósł dziesięć tysięcy zysku.

W przyczepie było ciepło, zainstalowano tam prowizoryczny piecyk gazowy, w związku z tym panował zaduch i Stone bał się, że znów go zacznie boleć głowa. Sięgnął ręką do tyłu i uchylił okienko. Zaczęła się pora obiadowa. Szoferzy i statyści jak zwykle pierwsi stanęli w kolejce do barobusu. Widział, jak jego dubler i szofer biorą tace z jedzeniem i idą w kierunku

297

garażu, gdzie ustawiono składane stoliki. Z tyłu na pałacowym podwórzu tłoczno było od autokarów, samochodów, generatorów, jupiterów i ciężarówek załadowanych meblami, stała tam także złocona karoca. Taksówkarz, który przywiózł parę tuzinów ogromnych bukietów potrzebnych do sceny przyjęcia, teraz niecierpliwie trąbił, bo drogę zagradzali mu wyładowujący ciężarówkę robotnicy, wreszcie wjechał na trawnik i tamtędy udało mu się wydostać.

Sztukatorzy robili odlew gipsowy drzwi frontowych, by móc zrobić replikę potrzebną na plenery we Włoszech. Wszędzie przez drzwi i okna budynku wprowadzano przewody, jakby szykowano go do jakiejś dziwacznej operacji chirurgicznej.

- Co dzieje się z tym filmem o Arktyce, który dla niego zrobiłeś? - spytał Stone'a Hanratty.
- Koolman się nim zachwyił. Wszyscy spodziewają się Oscara. Leo

powiada, że nominacji mogą być zupełnie pewien.

Hanratty skinął głową.

- Koolman lubi Nicolsona. Dawno to zauważyłem. Ilekroć Nicolson ma kłopoty, Koolman pojawia się jak dobra wróżka z różdżką w dłoni. Nie uważasz?
- Nie - mruknął Stone. Włożył do ust miętówkę. Żył w ciągłym strachu, że będzie miał nieświeży oddech.

Bookbinder uśmiechnął się. Po raz pierwszy od czasu, kiedy Continuum zaczęło nalegać na obniżenie kosztów filmu. Zebrali się tu na pogawędkę w czasie obiadu, aby podjąć decyzję co do zdjęć we Włoszech. Ale tam rozpoczęto już budowanie dekoracji i podpisano wiele kontraktów, nie przyniosłoby to więc oczekiwanych przez Continuum oszczędności. Wobec tego zdecydowano, że nie warto. Hanratty spojrział na zegarek.

- Na mnie czas!
 - O której będę ci potrzebny? - spytał Stone. Odłożył na bok gazetę, starannie zaznaczył na niej wybrane przez siebie konie.
 - Nakręcę dwa plany ogólne, bo potem chcę odesłać statystów. - Hanratty przykucnął przed Stone'em i zaczął mówić poważnym tonem: - To twoje pierwsze ujęcie... Książę przechodzi przez przedsionek pałacu...
- Tak.

298

- Wchodzi książę, a nie Liz i Richard do Sardiego. Książę nie zatrzymuje się i nie rozgląda. Od dzieciństwa był na świeczniku. Nie patrz, gdzie idziesz, Marshall. Książę wie, że nikt i nic nie stanie mu na drodze. Rozmawiasz ze swoim adiutantem i widzisz tylko jego. Kamera weźmie

cię z boku, przejdź przez drzwi i zatrzymaj się, dopiero kiedy krzyknę.

- Wciąż jeszcze uwierają mnie te długie buty.
- Możesz ich dziś po południu nie wkładać. To będzie plan amerykański. Ale przypasz szpadę.
- Czy wiesz już, jak mam otworzyć okno, by nic zobaczyła tego dziewczyna?

Hanratty uśmiechnął się.

- Nie zwracaj tym sobie głowy, Marshall. Zagra magia kina.
- Dobra - odpowiedział Stone i znów zajrzał do gazety otwartej na stronie poświęconej gonitwom na wyścigach. Chwała Bogu, Hanratty znalazł jakiś trik, by nie przerwać długiego ujęcia, i Stone zaczął już mu całkowicie ufać. Szorstki Irlandczyk umiał rozwiązać każdy problem, niezależnie od tego, czy dotyczył on akcji, postaci głównego bohatera, światła czy dekoracji. Hanratty wstał.
- Czy będziesz jutro potrzebował tych brutali, Bert?
- Nie, już nie. Przykro mi, ale dziś były niezbędne, nie mogłem dziurawić sufitu zakładając tam światła.
- No, to świetnie - odparł Bookbinder. Wyciągnął papierośnicę ze świńskiej skóry i poczęstował cygarem Stone'a, który odmówił ruchem głowy.

- Niezadługo trzeba będzie zacząć oszczędzać na cygarach

- orzekł Stone.

Bookbinder spojrział na niego spod oka. [uż nie po raz pierwszy podejrzewał go o ironię.

- Trafiłeś w sedno - odpowiedział.
- Jak wpadniesz w prawdziwe tarapaty, możesz zawsze liczyć na

apartament gościnny w Twin Beeches.

- Trzymam cię za słowo. Tarapaty już się zaczęły.
- Kłopoty ze związkiem?
 - Zależy, co nazywasz kłopotami. Żądają, by cała ekipa łącznie z klapserami i garderobianymi leciała pierwszą klasą

299

- tyle samo kosztuje tydzień zdjęć. I każą mi wynajmować limuzyny, by przywozić ich do obiektu zdjęciowego, nie zado wolą się mikrobusem, o nie!

Stone wzruszył ramionami.

- To się powtarza za każdym razem.
 - I za każdym razem nie ma sensu, Marshall. Continuum zaczęło mnie nękać pytaniami, dlaczego wobec tego nie nakręcamy całego filmu we Włoszech, i trudno mi znaleźć przekonującą odpowiedź.
- Czyli to tylko problemy z forszą?
- Ale te są zawsze najgorsze!
 - Continuum powinno zrozumieć, że trudno się ściśle trzymać ustalonego budżetu. Przecież tak jest za w s z e . Czy nikt u nich nic nie wie o naszej branży? Może mam z nimi pogadać, Kagan? Powinni mnie wysłuchać.
 - To strasznie miło z twojej strony, Marshall, ale sytuacja jest bardziej skomplikowana. - Bookbinder przez chwilę przyglądał się swemu nie zapalonemu cygaru, odłożył je i wyjął fajkę. Powoli napełniał ją tytoniem, zastanawiając się, jak sformułować to, co miał Stone'owi do zakomunikowania.
- My, Marshall, przekroczymy budżet o czterysta tysięcy dola

rów.

- Nic dziwnego, że Continuum podnosi krzyk.

Bookbinder ponuro się uśmiechnął.

- Oni nic jeszcze o tym nie wiedzą. Zagwarantowałem wypłatę tej sumy.
- Bank ci pozwolił?

- Zrobiłem to na własny rachunek. Stone gwizdnął.
- Odważny jesteś!
- Mają jako zastaw mój dom i akcje Continuum.
- Powinieneś uzyskać podpis Continuum.

- Próbowałem, ale sprzeciwili się ich doradcy finansowi. Najgorsze, Marshall, że kończą się nam już pieniądze, które udało mi się zmobilizować.
- Przecież zawsze mówiłeś, że nie będzie z pieniędzmi kłopotu. I że podobał im się w zeszłym tygodniu próbny montaż. Ostatecznie i ty, i ja, i Bert zadowolamy się procentem,

300

więc ten film to dla nich świetny interes. - Stone zaśmiał się.

- Niech Continuum weźmie pożyczkę na hipotekę swoich kin i poczeka, aż film zacznie przynosić zyski. Co, u diabła, nie jestem biznesmenem, ale przecież to proste. Ci faceci z ich banku musieli oszaleć.

- To nie żadni faceci, Marshall.
- Pewno jacyś starzy głupcy, którzy raz na rok chodzą do kina i zasypiają

w połowie filmu. Co oni mogą wiedzieć o...

- To nie żadni starzy głupcy, Marshall. Tę decyzję powzięła kobieta.

Stone spojrział na Bookbindera, przez chwilę nie rozumiał, ku czemu ten zmierza. Potem roześmiał się. - Nie chcesz mi powiedzieć, że Continuum współpracuje z Brooksem i Gerbe-rem?

- Owszem. 1 transakcją tą zajmuje się twoja żona.
- Była żona - poprawił Stone.
 - Odmówiła - oświadczył Bookbinder. - Nawet nie chciała spojrzeć na próbny montaż. Kłopot w tym, że część kierowników Continuum uważa, iż postąpiła tak tylko dlatego, że...

- Bookbinder machnął fajką, a potem wpatrzył się w rozżarzony tytoń.

- Że chciała mi zrobić na złość?
 - Wiem, że to bzdura - powiedział Bookbinder. - Wręcz przeciwnie, bardzo by uważała, by nikt nie pomyślał, że chce ci zaszkodzić. Mary nie należy do takich kobiet!
- Żony się czasem dziwacznie zachowują - przyznał Stone.

- Pamiętasz ten film, w którym grałem w 1950 roku? Próbowano zabić męża i okazało się, że we wszystkich wypadkach maczała palce żona. To była ta głęboka prawda psychologiczna, Kagan. Zawsze tak uważałem.

- Myślałem, żeby wybadać jej męża, wiesz, tego pisarza, jak się on nazywa, Anson?
 - Daj temu spokój - sprzeciwił się Stone. - Mary nie należy do kobiet, które rozmawiają z mężami o swoich sprawach zawodowych.
- Cóż, ty chyba wiesz to najlepiej - odparł Bookbinder.

- Może wobec tego sam mógłbyś się z nią skontaktować?

Namówić ją, by obejrzała nakręcony przez nas materiał. Muzy-

301

ka co prawda szwankuje, ale już można zobaczyć, o co nam w tym filmie chodzi. Co o tym myślisz, Marshall?

- Mówiąc między nami, Kaganie, Mary jeszcze nie całkiem o mnie zapomniała. Może w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę? Zawsze ją przyćmiewałem.
- Marshall, chyba już za chwilę powinieneś wyjść na plan. Przysłać ci garderobianego?
- Świetnie. I przestań się zamartwiać. Przekonam Mary, ona zrobi dla mnie wszystko. A w najgorszym razie sam wyłożę potrzebne pieniądze.
- Dziękuję ci, Marshall. I pamiętaj, nikomu ani słowa. Tylko ty, ja i Bert wiemy, że mamy kłopoty. Nawet nasz księgowy nic nie wie. Trzeba uważać - wzruszył ramionami. - Ani byśmy się obejrżeli, a wszyscy przestaliby nam udzielać kredytu.

Ktoś zapukał, wszedł fryzjer Stone'a i zabrał się do roboty. Bookbinder pomachał ręką i wyszedł z przyczepy. Zamknął cichutko drzwiczki - sam stale się dopominał, żeby nie trzaskać drzwiami. Trzy razy musieli już powtarzać ujęcie ze względu na hałas.

- Muszę zatem zobaczyć się z Mary - oznajmił głośno, samemu sobie, Stone.

18

Rola to głupstwo. Nie martwię się o rolę. Gram od lat. I **ten** mój trencz też miałem na sobie w połowie filmów.

Humphrey Boggart

W 1952 r. turyści źle przewidzieli pogodę - wrzesień był ciepły i słoneczny. Przeminięły sierpniowe burze i kamienne nabrzeże znów było rozżarzone od prawdziwego włoskiego upału. Kółek do przymocowywania lin trudno było dotknąć, niemniej poza jednym jachtem wszystkie stateczki odpłynęły.

Najpierw małe łodzie wiosłarskie, potem żagłówki i motorówki. Większość dużych jachtów zniknęła, gdy w połowie sierpnia popsuła się pogoda. Został tylko jeden, „Spool - Monte Carlo”. Był to biały kecz z kremowymi żaglami. Stone przyglądał mu się z zazdrością. Wkrótce i on będzie mógł sobie pozwolić na własny jacht, tyle że wybierze szkuner. Nie dlatego, że wołał osprzęt. Co prawda wiedział o tym tylko to, co przeczytał w scenariuszu „Samotnie przez Atlantyk”, który odłożono na półkę jeszcze zanim zdążono rozpocząć zdjęcia. Ale szkuner „brzmiał” lepiej, bardziej pasował do gwiazdy filmowej niż kecz.

„Spool” szykował się do podróży. Majtkowie składali krzesła i zwijali liny, steward wyrzucił za burtę tyle rogalików, że zatrzepotała nad nimi chmura mew.

W nadbrzeżnych restauracyjkach przy stolikach było niemal pusto. Kelnerzy nie włożyli wykrochmalonych białych kitli, tylko paru stale tu mieszkających cudzoziemców przyjdzie na kawę po niższej zimowej cenie.

Marshall Stone przeszedł koło modnej trattorii, nie zobaczył w niej nikogo, kogo miałby ochotę pozdrowić. Nawet na najtańszej części wybrzeża nie było widać turystów. Zamknięto kiosk ze słodyczami, wygaszono palniki gazowe w kiosku z waflami. Unosił się tu jeszcze

mdlący zapach rozgrzanej oliwy.

Ci, co niegdyś znali w Anglii Edwarda Stone'a, nie rozpo-

303

znaliby go obecnie w Marshallu Stonie, którym stał się w ciągu tych czterech lat Hollywoodu. Świetnie skrojone lniane spodnie ciasno opinały biodra, w tym celu pozbawione zostały kieszeni. Szytą na miarę koszulę ozdobił wyhaftowany monogram, miękkie mokasyny zrobiono na zamówienie. Fryzjer tak świetnie ostrzygł go brzytwą, że mimo bryzy żaden włos nawet nie drgnął. Ręce były białe i miękkie, palce wymanikiurowane, od lat nie zdarzało mu się obgryzać paznokci.

Minął parę młodych Anglików siedzących na tarasie najtańszej kawiarenki. Dziewczyna spaliła sobie ramiona, wlewała do buteleczki z olejem parę kropel jodyny, widać nie było jej stać na „Ambrę Solaire”. Mężczyzna miał na nogach zrobione na drutach niekształtne skarpety i sandały. Szorty były workowate, a okulary od słońca i pióra w kieszonce przewiewnej dziurkowanej koszulki obciągały ją w lewą stronę. Czytał „New Statesman”, co chwilę krzywił się, widać oburzała go jakaś niesprawiedliwość społeczna. Kilka lat temu tak właśnie wyglądali pewnie Eddie i Mary.

W restauracji „Uga” wciąż leżały na stolikach adamaszkowe obrusy i lśniło szkło. Była to najdroższa tutejsza restauracja, trattorią pozostała tylko z nazwy. Na każdym stoliku ustawiono talerzyki z różowymi krewetkami, czarnymi oliwkami i dorodnymi rzodkiewkami. „Ugo” ma klasę, pomyślał Stone. Zostało tak niewielu turystów, a on nie zmienia stylu.

Kelner rozpoznał go mimo odbłaskowych okularów. Strzepnął serwetką krzesło, a gdy Stone usiadł, ukłonił się z uśmiechem.

- Poproszę sok z pomarańczy i duże espresso.

Kelner znów uśmiechnął się, jakby usłyszał komplement. „Ostatni vaquero” został zrealizowany trzy lata temu, ale dopiero teraz trafił do tej części Włoch. Kelner obejrzał go tydzień temu. Z neapolitańską werwą zaczął się nim zachwycać, wymachiwał rękami, przewracał oczyma.

- *Fantastico*. On jest *fantastico*. Bang, bang!

Stone zanotował w myśli każdy ruch, może mu się to przydać.

Dobrze zrobił, że wyjechał. Blisko obiektu zdjęciowego nie mógłby się w pełni odprężyć, a pracował naprawdę ciężko,

304

reżyser nie dawał mu chwili wytchnienia. Scenopis nie istniał. Z początku Stone'a bawiło, że plan zdjęć na następny dzień stanowiło parę słów nagryzmołonych na odwrocie koperty, ale wywoływało to dużo napięć i wreszcie dało mu się we znaki. Lubił przygotować się do roli, nie był aktorem spontanicznym i nigdy się za takiego nie uważał. Będzie rad, gdy znajdzie się znowu w domu, ze zdziwieniem spostrzegł, iż tęskni do Beverly Hills. Westchnął.

Cieszył się, że mając te trzy dni przerwy zdecydował się przyjechać właśnie tutaj. To tutaj był na wakacjach z Mary, kiedy po wojnie zniesiono wreszcie restrykcje dewizowe. Byli tu bardzo szczęśliwi, przypominał sobie teraz, jakimi drobiazgami potrafili cieszyć się jak dzieci.

Reszta ekipy „Chmury gradowej” borykała się z trudną sekwencją o parę mil stąd. Nie zdziwi się, jeśli otrzyma telegram, że przez cały następny tydzień jego obecność jest niepotrzebna. Wsunął się głębiej pod parasol, nie powinien się bardziej opalić.

Ekipa nie dała się przekonać, że nie planuje eskapady z jakąś aktoreczką. W ciągu ostatnich paru lat zyskał opinię donzuana - nie mogło być inaczej,

skoro taki właśnie jego wizerunek lansował dział reklam - i rozsmakował się w pieprzonych dowcipach, którymi witano go, ilekroć pojawiając się na planie wyglądał na zmęczonego. Ale w trakcie tego weekendu zamierzał wyłącznie odpoczywać. Rozejrzał się wokół. Nie zobaczył żadnej dziewczyny.

Kelner przyniósł mu sok i filiżankę mocnej czarnej kawy. Stone chwilę wymachiwał torebeczką cukru, nim wreszcie rozerwał róg. Młoda Angielka zauważyła ten ruch i zaczęła mu się bacznie przyglądać. Stone uśmiechnął się i wsypał cukier do kawy. Odwróciła wzrok. Stone zorientował się, że go rozpoznała, i poczuł się mile połączony.

Popijał kawę i obserwował odpływający kecz. Tak, będzie miał podobny jacht, nazwie go „Nikt”. Dawno temu, w Nowym Jorku, udało mu się zdobyć bilety na premierę, zabrał z sobą Ingrid Rainbow. Wydał ostatnie parę dolarów, by wynająć białego Lincolna z czarnym szoferem. Kiedy auto zatrzymało się przed kinem oczekujący tłum aż westchnął. Ku autu

305

rzucili się fotoreporterzy. Jeden z nich otworzył drzwiczki i wycelował aparat. Stone uśmiechnął się i wziął Ingrid pod rękę.

- Ależ to nikt! - zawołał fotograf i wszyscy rzucili się w stronę następnej limuzyny. Pamiętał, jak zadrżał ze wstydu, a Ingrid dotknęła jego ręki, chcąc dać do zrozumienia, że nie ma się czym przejmować. Ona się rzeczywiście nie przejęła, ale w jego pamięci dopiero szkuner którego nazwie „Nikt” za trze to przykre wspomnienie. Może nawet zacznie o tym wydarzeniu opowiadać traktując to jak dobry żart.

Opuszczono niżej włoską flagę. Załoga jak na prywatny jacht była

niezwykle wyelegantowana, wszyscy mieli na sobie wyprasowane uniformy i białe czapki. Kapitan nie włączył motoru, odpływali w ciszy. Żagle wyprężyły się na tle szafirowego nieba.

Musiało się marzyć o takim jachcie. Chwilowo Stone zarabiał jeszcze stosunkowo niewiele, związany siedmioletnim kontraktem. Ale niedługo zażąda gaży odpowiadającej jego popularności. I wtedy jacht będzie go kosztował nie więcej niż jedną trzecią rocznych zarobków, może nawet jedną czwartą, jeśli nie zmieni się stopa podatkowa w Stanach dotycząca filmów nakręcanych za granicą.

Takim jachtem można przepłynąć Atlantyck! Ileż to razy marzył o nagłówkach gazet obwieszczających jego wyprawę. Nareszcie pisano by o nim, nie o jakiejś postaci wymyślonej przez scenarzystę. Spacerowałby po pokładzie nadzorując kapitana i załogę tak jak ten facet w scenariuszu. Albo jeszcze lepiej - samotnie przepłynąłby ocean! Tego marzenia nigdy się nie wyzbył.

- Leo! Leo Koolman! - Stone zerwał się i krzyknął, ale jego głos nie mógł się przebić przez trzepot skrzydeł mew zdążających za „Spoolem”. Niemniej był to na pewno Koolman. Szedł szybko pokładem wydając rozkazy i sprawdzając, czy zostały skrupulatnie wykonane. Zawołał coś w kierunku niewidocznej postaci trzymającej ster.

U boku Koolmana pojawiła się sylwetka kobiety, nie stanęła jednak tak blisko, by należało wyciągnąć z tego jakieś wnioski. Kobieta była w ciemnej wełnianej sukni, na głowie miała

306

zawiązaną modną kolorową chustkę. W tym obramowaniu jej twarz

wydawała się pociągła, jak twarz z portretu Modiglianiego. Ciemne okulary zasłaniały część twarzy, ale jej postawa była bardzo charakterystyczna. Postawa pięknej kobiety, która z nieufnością spogląda na świat. Tak, to ona.

- Mary! - powiedział głośno. Wrócił do stolika i wciąż wpatrując się w kecz schrupał liść selera. Zza ramienia Stone'a kelner spojrzał na pustą filiżankę.
- Jeszcze jedno *espresso, signor* Stone?
- Nie, odparł Stone. - Dziękuję. - Jachtowi musiały zagrozić drogie podwodne skałki, znów zmienił kurs. Wypłynął wreszcie na swobodną przestrzeń i pomknął z rozwiniętymi żaglami. - Proszę mi przynieść koniak z wodą sodową. Podwójną porcję.

Trudno o lepszy dowód na to, jak całkowicie Leo Koolman panował nad swoimi poddanymi, skoro StoneWi dopiero znacznie później przyszło na myśl, że może ten incydent wcale nie został przez Koolmana zaplanowany.

W dwanaście dni później Stone obudził się w słonecznym pokoiku przypominającym celę. Ściany były szarokremowe, jedyną ozdobę stanowił świeżo pomalowany krucyfiks. Stora była spuszczone, ale bił od niej blask słoneczny, tak że trudno było w tę stronę patrzeć. Zza okna dobiegały odgłosy bitwy: szczęk oręża, bębny, gwizdy i wrzaski. Stone dość szybko uprzytomnił sobie, że to zaczął się zwykły rzymski poranek. I usłyszał odgłosy z wnętrza domu - jechały wózki, porozumiewano się szeptem, poruszano na palcach. W powietrzu unosił się zapach karbolu i pasty do podłogi oraz przenikliwa woń eteru, której udaje się dotrzeć do najodleglejszego pokoju największego szpitala.

- Kiedy obudziłem się, pomyślałem: *Mamma mia*, umarłem! - Stone roześmiał się, zawtórował mu Weinberger. Drzwi

otworzyły się, pojawiła się w nich zakonnica i spojrzała na nich z dezaprobatą. - Sam widzisz! - pokazał palcem Stone.

- Strasznieśmy się o ciebie niepokoiли - powiedział Weinberger.
- Masz na myśli to, że imperium Koolmana zaczęło się

307

martwić o zainwestowane we mnie pieniądze i przysłało najlepszego eksperta od Marshalla Stone'a, by sprawdził, czy do drewna nie dostały się robaki.

- Tak mnie widzisz?
 - A niby jak mam wiedzieć? Słuchaj, Winiaczku, może i jesteś najlepszym specem od reklamy tej wytwórni, ale czy nigdy nie zastanowiłeś się, czemu to właśnie tobie powierza się każdy film, w którym gram?
- Owszem.
 - W przyszłym tygodniu stawię się na planie jak gdyby nigdy nic. Powiedz im to. Nigdy nie czułem się lepiej.
- Koolman jest w Monte Carlo.
 - Nie musisz mi mówić, gdzie jest Koolman. Jest na swoim jachcie „Spool” i krąży po Morzu Śródziemnym. Czy znasz skład jego załogi?
- Mary?
- Bierzesz wygraną czy chcesz pytać dalej?
 - Ach, przecież to nie miało żadnego znaczenia, Marshall. Chcę powiedzieć, że to nie to, co myślisz. Ale... Możesz zawołać hurra!
- Dlaczego hurra?
- Jak to dlaczego?
- Naprawdę nie wiem.

- Nie wiesz? Nie wymyśliłeś tego po to, by zerwać kontrakt?
- Zerwać kontrakt?
 - Niby czemu nie? Wytwórnia miała cię trzy lata. Odbiła sobie wszystkie koszty! A ty przyłapujesz Mary na jachcie Lea!
- Czy Leo sądzi, że zniknąłem po to, by zerwać kontrakt?
 - Sądzi, że gotów jesteś wysłać mu ultimatum: albo nowy kontrakt, albo odejdiesz w pół filmu.

Stone zamilkł. Na wąskiej uliczce warczała ciężarówka, rozległy się klaksony motocyklistów, którzy próbowali ją wyminąć.

- Wcale mi to nie przyszło na myśl.
 - Słuchaj, Marshall, jeśli Leo dowie się, że to ja podsunąłem ci ten pomysł, mogę się pożegnać z pracą. - Weinberger roześmiał się z własnych obaw pokazując nierówne zęby, wilcze zęby, pomyślał Stone.

308

- Nie przyszło ci nigdy na myśl, żeby zostać agentem?
- Twoim?
 - A czym? Nie mogę ci przecież zaproponować, żebyś został agentem Spencera Trący.
- Nie znam się na handlu żywym towarem.
 - Owszem, znasz. Wiesz, co oznacza siedmioletni kontrakt taki jak mój. Po tej eskapadzie mogliby mnie zawiesić na pół roku, a nawet rok. Nie dostawałbym złamanego grosza i w dodatku nie wolno by mi było wziąć żadnej pracy, nawet na stacji benzynowej. I o te pół roku przedłużono by mój kontrakt. Prawdziwa niewola. Wyzwól mnie od tego kontraktu, a masz we mnie, Winiaczku, klienta do końca życia.

- Nie jestem ci do tego potrzebny.
 - Jak to nie? Myślisz, że ci smarkacze, którzy mnie reprezentują, poradzą sobie z Koolmanem? Nawet nie będą próbowali, mają za dużo do stracenia. Wytwórnia wciągnie ich na czarną listę i stracą dużą część zarobków. Nie, Winiaczk, agenci w gruncie rzeczy reprezentują pracodawców, nie aktorów. Wolą stracić tuzin Marshallów Stone'ów niż narazić się Koolmanowi.

Weszła następna zakonnicca, sprawdziła poziom odkażającego środka w słoiku i wygładziła prześcieradła nieskazitelnie posłanego łóżka.

- I moi agenci nie tylko biorą swoją prowizję, ale wypłacają dziesięć procent Bookbinderowi.
- Dziesięć procent?
 - Tylko dlatego udało mi się zawrzeć ten kontrakt. Agent Nicolsona proponował piętnaście, ale Bookbinder powiedział, że woli mnie i dziesięć.
- Co za wspaniałomyślność!
- Nie wierzysz?
 - To nieważne, czy wierzę, czy nie, Marshall. Ale jeśli płacisz Bookbinderowi dziesięć procent swoich zarobków brutto, to tak jakbyś płacił alimenty nie zakosztowawszy przedtem przyjemności cudzołóstwa.
- Więc co mam zrobić?
 - Przestań płacić. Musiałaby przyjść rewolucja, żeby Bookbinderowi udało się w Hollywoodzie nakręcić następny film.

McCarthy zrobił z niego siekany kotlet, mówi się nawet, że Bookbinder był członkiem partii. Chcesz, żeby zaczęły się plotki, że wspomagasz fundusz komuchów?

- Chryste Panie! Więc sam widzisz, Winiaczk, jak bardzo mi jesteś potrzebny. Proszę cię, zastanów się.

Zakonnica wyjęła ze słoika z odkażającym płynem termometr i wsadziła go Stone'owi do ust. Weinberger uśmiechnął się.

- Nie muszę się długo zastanawiać nad tym, czy chcę brać dziesięć procent twoich zarobków brutto.
- No to o co chodzi? - wykrztusił Stone, nie wypuszczając z ust termometru. Siostra spojrzała na niego z dezaprobatą i wzięła za rękę, by zmierzyć puls.
- Nie wiem, czy mógłbym konkurować z jakąś międzynarodową agencją, która ma wspaniałych prawników, teleksy i pracowników z akcentem wartym milion dolarów, którzy goszczą szefów wytwórni na prywatnych jachtach.

Nastąpiło dłuższe milczenie, dopóki siostra nie wyjęła termometru z ust Stone'a.

- Będziesz miał do dyspozycji mojego prawnika i mojego księgowego.
- ...I niezadługo twój jacht. Okay, Marshall. Jak ci minie delirium i nie zmienisz zdania, to zobaczymy. Kiedy ci się kończy umowa z twoim dotychczasowym agentem?
- Właśnie wygasa.
- I jeszcze nie podpisałeś?
- Uwolnisz mnie od tego kontraktu z Leem? Weźmiesz go za łeb?
- W ciągu dwóch miesięcy będziesz miał nowy kontrakt, albo ja znów

będę musiał grać gestapowców.

Siostra na tablicy w nogach łóżka zapisała, jaką Stone ma temperaturę i jakie tętno. Musiała wyczuć, że zdarzyło się coś ważnego, bo spojrzała na uśmiechniętych mężczyzn i także się uśmiechnęła.

- *Mazel tow* - powiedział Weinberger.

19

Kiedy mówisz, że skończyłeś film, nikt nie pyta, czy jest dobry. Wszyscy pytają: - „A ile dni kręciłeś?”

Gottfried Reinhardt

Na wsi zmierzch zapada wolniej niż w mieście. Dwa bliźnicze buki, na których cześć nazwano dom, rysowały się wyraźnie na błękitnym jeszcze niebie. Gruchały leśne gołębie i niespokojnie odlatywały oślepione blaskiem reflektorów. Kiedy szofer Mary Anson otworzył drzwiczki auta, jeden z gołębi wzbił się wysoko w niebo trzepocząc skrzydłami. I obleciał wokoło dom, nim znów przysiadł.

- Czy pan Stone oczekuje pani? - Głos Jaspera brzmiał uprzejmie, lecz onieśmielająco. To taki właśnie sposób bycia sprawiał, że posiadanie angielskiego kamerdynera uchodziło w show-biznesie za symbol najwyższego statusu społecznego.
- Tak.
- Kogo mam zaanonsować? - Oszacował ją wzrokiem. Niska kobietka w wełnianym płaszczu od Harrodsa nie mogła zaimponować komuś, kto otwierał drzwi futrom z nurków lub prawdziwych leopardów i płaszczom z wigonia. Spojrzał ponad jej ramieniem na szofera w uniformie za kierownicą zeszłorocznego Rovera. Pewnie został wynajęty

na jeden wieczór.

- Panią Anson - odpowiedziała kobieta. Sięgała Jasperowi tylko do ramienia, ale lata spędzone na zebraniach zarządów rozmaitych spółek nauczyły ją radzić sobie z takimi sytuacjami. Ruszyła prosto na niego, ledwie zdążył usunąć się jej z drogi.
- Pani będzie uprzejma zaczekać. Zaraz dowiem się...
- Ewentualnie proszę zaanonsować panią Edwardową Brummage - oznajmiła kobieta uśmiechając się lekko. Kiedy Jasper obrócił się na pięcie i zniknął, nie przestała się uśmiechać. Rozpięła płaszcz i przejrzała się w lustrze, żeby zobaczyć, jak prezentuje się długość sukienki. Nie, wciąż nie tak, jak powinna. Kupiła tę suknię w sklepie prowadzonym przez

311

brzmiało w jego uszach, wsłuchał się w nie z ciekawością. A zatem tego wieczoru ma znów stać się Eddie'm. Nie zachwycał się ową rolą, nie był pewien, czy jest do niej przygotowany, wiedział jednak, że potrafi jej sprostać.

- Czy pójdziemy gdzieś na kolację? Twoja sekretarka zapomniała mnie uprzedzić.

„To był błąd - pomyślał Stone. - Powinienem być sam zadzwonić. Takiej kobiecie jak Mary nie mogło się podobać, że kontaktuje się z nią przez sekretarkę”.

- Byłem w obiekcie zdjęciowym - starał się wytłumaczyć.
- Tak właśnie powiedziała ta twoja dziewczyna.

- To nie jest moja dziewczyna. Mary uśmiechnęła się.

- Czy masz jakąś popielniczkę?

Podał jej popielniczkę i wolną ręką ujął ją pod ramię.

- Chodź do baru. Kucharka szykuje nam kolację. Coś najprostszego.

Jesteś pewno na diecie.

- Eddie, czy ja kiedykolwiek stosowałam jakąś dietę? Jem za dwoje.

- Czy chcesz powiedzieć, że...?

- Eddie! - roześmiała się.

Był to chrapliwy śmiech, przypomniały mu się ich nie kończące się kłótnie. Podszedł do baru.

- Dżin z tonem? - spytał.

- Chętnie. Dżin z tonem. - Jej głos dawał mu wyraźnie do zrozumienia, że nikt z jej znajomych nie nazywa toniku tonem.

Uważnie nalał dżinu do dwóch wyjętych z lodówki oszronionych szklanek i otworzył dwie buteleczki toniku, które Jasper wstawił do wiaderka z lodem.

Na barze leżała drewniana deseczka, nierdzewny nóż i idealnie proporcjonalna cytryna.

- Widzę, że zapowiada się udany wieczór - powiedział Stone. Zmiksował drinki, postawił obie szklanki na niskim stoliku i usiadł obok niej na krytej jedwabiem kanapce. Był pewien, że Mary uda, iż nie wie, co on przez to chce powiedzieć, ale ku jego zdumieniu oświadczyła:

- Przepraszam cię, Eddie.

Stone uściśnął ją za ramię i zmienił temat.

- Jak się miewa mój syn?

- Nigdy byś go nie poznał. Jest strasznie wysoki. Pewno w przyszłym roku przeniesie się do Londynu i obejmie tu kierownictwo filii.
- Ile on ma lat? Chyba wkrótce skończy dwadzieścia dwa.
- Dwadzieścia pięć.

Stone zobaczył jej spojrzenie i oboje przypomnieli sobie, jak Marshall w obronie własnej młodości stale zaniżał wiek syna. Mary ostrożnie zgasła papierosa i potem znów na niego spojrzała starając się zachować uśmiech.

- Co będzie na kolację?

Stone usiłował sobie przypomnieć. Kucharka spytała się, jakie potrawy lubi jego eks-małżonka, a on nie chcąc się przyznać, że nie pamięta, coś wymyślił. Ale zapomniał co.

- Zadzwoń na kucharkę.
- Nie, Eddie, wolę niespodziankę.
 - Więc wciąż uważasz, że niespodzianki muszą być przyjemne?
- To niemądre, wiem.
- Co, chcesz znów zapalić?
- Eddie, przestań mnie wychowywać.
 - Przepraszam. - Uśmiechnął się. - Podoba mi się twoja sukienka.
 - Nie bardzo wiedziałam, jak się ubrać. W biurze było dziś okropnie gorąco.
 - Najgorętszy wrzesień od jedenastu lat. Podawali w dzienniku.
 - We wrześniu zwykle jest ładnie. Zawsze wyjeżdżaliśmy na wakacje właśnie we wrześniu. Pamiętasz?

Nagle zabrakło im słów. I żadne z nich nie pamiętało, o czym w owych czasach zwykli byli rozmawiać.

- Tak, wrzesień to piękny miesiąc.

Często myślał o tym, że chętnie rozpocząłby z Mary nowe życie, a przynajmniej wrócił do dawnego. Żadna kobieta nie rozumiała go tak jak ona. Nawet kiedy sobie z niego żartowała, okazywała, że dobrze wie, co go nurtuje, dobrze zna jego charakter, a to było znacznie lepsze niż głupota narcyzowatych aktoreczek. One myślały tylko o własnych problemach i własnej karierze. Jedna z dziewcząt siedząc tu właśnie, gdzie teraz

315

Mary, powtórzyła mu wszystkie komplementy, które jej sławni kochankowie wygłaszali na temat jej ciała. A pewna rudowłosa akrobatka opowiadała mu sprośne kawały z uśmiechem niewinnej dziewczicy, który miał wprowadzić w błąd siedzącego nie opodal przygłuchego męża. Była też blondynka, która podczas miłosnego aktu dbała tylko o to, by nie zburzyć swojej fryzury.

- Czy zdarzyło ci się, Mary, znów zakochać? Myślę o miłości od pierwszego wejrzenia.
- Nie, Eddie, nie da się cofnąć wskazówek zegara - odpowiedziała szybko, jakby z góry przygotowała sobie tę odpowiedź. A on upewnił się, że jest wciąż najważniejszy w jej życiu.
- Dlaczego?
Oboje wiedzieli, co on chce usłyszeć, ale ona nie chciała tego powiedzieć.
 - Bo rozpoczęłam nowe życie. Mam wspaniałe córeczki i kocham Petera. Lubię moją pracę. Jestem naprawdę szczęśliwa.
 - To wspaniale, Mary! - rozpromienił się, ona zaś przypomniała sobie, że często zachowywał się jak mały chłopiec, a ją to zawsze wzruszało. Aż do czasu, kiedy zaczął posługiwać się tą techniką, by zwierzać się z

licznych niewierności.

- Jesteś młoda i pełna energii. Zawsze pozostaniesz tą samą małą dziewczynką, w której się zakochałem. Nikt nie zastąpił cię w moim życiu! - Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu uśmiechem. Eddie nie zmienił się. Miała uczucie, że tę rozmowę odbyli już sto razy. To było wręcz niesamowite. Teraz, tak jak wówczas, przed rozwodem, dawał do zrozumienia, że jego romansiki się nie liczą, nikt więc nie powinien przywiązywać do nich wagi. Łącznie z tymi nieszczęsnymi dziewczętami.

Jej uśmiech ośmielił go, przysunął się do niej, wyciągnął rękę i dotknął jej włosów. Poczuł, że sztywnieje, gdy ją objął. I drgnęła, gdy wziął ją za rękę. Tylko Eddie brał ją w ten sposób w ramiona... I przez myśl przemknęło jej tysiąc wspomnień ze szczęśliwych lat ubożuchnej młodości. Triumfalna mina Eddie'ego, gdy słyszy oklaski... Eddie idzie bez spodni do łazienki... siedzi na schodach płacząc i wścieka się na nią za to, że rozzłoszczona gospodyni zatrzasnęła przed nimi drzwi. Zamknęła oczy i pozwoliła mu się pocałować.

316

Czuł, że jej ciało pozostaje napięte, i zdziwił się, czując uległość ust. Objęła go, ale jej ciało nie poddało się. Pocałunek skończył się za obopólną zgodą. Wstała i poprawiła uczesanie. Rozmazała się jej szminka na ustach, podeszła do lustra i wytarła wargi papierową chusteczką. Stone zapomniał, że kobiety malują sobie usta. Żadna z kobiet odwiedzających Stone'a nie przychodziła umalowana.

Mary nie życzyła sobie zalotów byłego męża, ale nie chciała go odtrącić tak by go zranić. Powiedziała:

- Cóż, rozwód wyglądał tak, że z naszego małżeństwa nic już nie pozostało.
- Zniszczyli nas adwokaci. Starali się nas zniszczyć, żeby więcej zarobić. Uśmiechnęła się.

Stone szybko powiedział:

- Mówiąc o adwokatach nie miałem na myśli ciebie.
- Okay, Eddie. Już przestałam uważać się za adwokatkę.
 - Byliśmy wówczas młodzi, łatwiej było nas zranić i chcieliśmy się za to mścić.
 - Czy ty naprawdę oskarżyłbyś biednego Lea? Przecież wiedziałeś, że to nieprawda... byłam na jachcie, żeby ci zrobić niespodziankę.
- Wszyscyśmy się brzydko zachowali, Mary.
 - Leo był naprawdę przerażony. A tobie się to bardzo opłaciło. Zawarłeś nowy kontrakt, zdobyłeś nowego agenta i zacząłeś nowe życie.
 - Ale Leo nigdy mi nie przebaczył. Do dziś... - Wziął do ręki szklankę. - Najbardziej cieszę się, że tym moim nowym filmem uwolniłem się od Lea i jego gangu.
- Jesteś z niego zadowolony?
- Z „Człowieka z pałacu”?

Skinęła głową i znów usiadła na kanapce.

- To będzie wspaniały film, Mary. I chyba moja najlepsza rola. Kagan powiada - pamiętasz chyba Kagana, że rzadko widział na ekranie tak świetnie zagrana rolę. A Hanratty - wiesz ten, który zrobił „Nagie lato” - mówi, że nim wstrząsnąłem. Powtarzał parę razy: jesteś wstrząsający. - Stone uśmiechnął się. - Cóż, nie wiem. Aktorowi trudno jest osądzić

samego siebie, nawet kiedy widzi próbny montaż. Zawsze to powtarzam. Kagan siłą zaciągnął mnie na pokaz, on jest z tego filmu bardzo dumny.

- To świetnie. - Mary zaczęła się obawiać już nie tylko Stone'a, ale samej siebie. Czyżby coś przetrwało z dawnej miłości? Może była to tylko nostalgia, ale czuła, że ulega urokowi Stone'a. Wsunęła się w róg kanapki.
- Kagan pozwolił mi wziąć do domu roboczą kopię, to wielki zaszczyt. Wiesz, jak się zawsze nad nią trzęsą... Mam tu salkę projekcyjną... Właśnie dlatego chciałem, żebyś tu przyszła, będziesz mogła obejrzeć film.

Uśmiechnęła się.

- Nie wiem, Eddie, czy to dobry pomysł. Nie powinnam go oglądać.
- A to dlaczego? - zapytał trochę zbyt głośno i trochę zbyt ostrym tonem.
- Bo pewnie mi się spodoba.
- No i co z tego?
 - To może tylko skomplikować sprawę. Choćby mi się najbardziej podobał, nie wpłynie to na raport, który już zresztą złożyłam.
- Ale jeśli miałyby duże walory komercyjne?
- Na ten temat nie mogę się wypowiadać.
 - To po co Brooks i Gerber wyznaczyli cię do rozmów z Continuum?
 - Jestem współpracowniczką firmy. Mam odpowiednie kwalifikacje. Często podejmuję takie decyzje, nawet dużo poważniejsze.
- Ale dlaczego akuratę tę?
 - Uważają, że znam się na przemyśle filmowym. Często powtarzałam im,

że to nieprawda. W gruncie rzeczy jednak mają rację, wiem więcej od nich.

- Ależ, kochanie, co ty wiesz o produkcji filmów? Znasz się na papierkowej robocie, ale nigdy nie widziałaś, jak powstaje film. Do tego trzeba instynktu filmowca.
- Możliwe, że produkcja filmu wymaga instynktu, ale analiza finansowa należy do nauk ścisłych. Sprawdzamy wszystkie dane, kalkulujemy zyski, wyceniamy zabezpieczenie, przyglądamy się rubryce „Ma” i rubryce „Winien”.

318

- No wiesz! - Niemal zadławił się z oburzenia.
 - Nie ma innego sposobu. Nie mogę być ekspertem we wszystkich gałęziach techniki, które poszukują kapitału. W zeszłym tygodniu obiecałam sześć milionów na produkcję eksperymentalnych aut elektrycznych. Nie rozumiałam ani słowa z ich projektów.
 - Więc dlaczego taka decyzja?
- Uśmiechnęła się przebiegle.
- Bo mają szesnastokilometrowy tor. To znaczy dwieście osiemdziesiąt akrów gruntu w strefie przemysłowej. Jest to teren przeznaczony na rozbudowę. Stanowi zatem wystarczające zabezpieczenie finansowe.
 - Nie rozumiem.
 - Nie udawaj, Eddie. Ziemię zawsze można sprzedać. Tak jak lepsze zabezpieczenie od fabryki elektronicznej ma firma posiadająca tysiąc ton piasku.
 - Uważasz, że piasek jest cenniejszy?

- Łatwiej można go sprzedać nic nie tracąc.
 - Czyli jest lepszym zabezpieczeniem, tak? - Stone ze smutkiem pokiwał głową.
 - No właśnie. - Mary wzięła ze stolika tabakierkę, przyjrzała się zdobiącemu ją wzorkowi i odłożyła na miejsce.
- A film nie stanowi zabezpieczenia?
- Można go pociąć na piórka do gry na banjo.
- Dziękuję.
- Przepraszam cię. Nie powinnam była tego powiedzieć.
 - Ale przecież Continuum ma odpowiednie zabezpieczenie, Mary. W jej oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.
- Nie, nie próbuję cię pouczać, ale naprawdę ma.
- Na przykład co?
 - Mają prawa na Anglię i Amerykę, tego szwedzkiego filmu „Attis i jego kochanka”. To tyle, co te wasze dziesięć milionów.
 - My nie inwestujemy pieniędzy, bo ich nie mamy. Udzielamy gwarancji na akcje.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.
 - Innymi słowy, zobowiązujemy się sprzedać akcje. Naszymi najlepszymi kontrahentami są banki. Banki są grymaśne

319

i nie kupią akcji towarzystwa, które zajmuje się produkcją filmów pornograficznych. Stone uśmiechnął się.

- Continuum nie jest producentem „Attisa”. Kupiło prawo do wyświetlania go w Anglii i w Ameryce.

- Ale w czołówce pojawi się nazwa Continuum. Większość widzów uzna, że to Continuum wyprodukowało film.
- Ściśle biorąc, to nie jest film pornograficzny.
 - Daj spokój, Eddie. Wiele osób czyta literaturę klasyczną. Wiedzą, że Kybele zmusiła Attisa, by się wykastrował.
- Wiedziałaś o tym przedtem?
 - Nie, Eddie. Sprawdziłam teraz. Ale dużo osób wie. Zwłaszcza ci, którzy prowadzą banki.
- Mimo to nie jest to film pornograficzny.
 - Ale będzie reklamowany jako taki. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Więc na to samo wychodzi.
- To wręcz śmieszne.
 - Owszem. Ale nic na to nie poradzimy. Zresztą w tej chwili nikt nie chce inwestować w przemysł filmowy. „Time” napisał, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy wpływy kasowe brutto spadły o dwadzieścia osiem procent.
 - O, nie. A zresztą, nawet jeśli to prawda, przemysł filmowy jest wciąż wystarczająco bogaty, aby warto było w niego inwestować.
 - Myślę, że to j e s t prawda. A w każdym razie potencjalni inwestorzy uwierzą „Time'owi”.
- Szukasz usprawiedliwień dla swojej decyzji.
 - Eddie, Continuum ma długi głównie wobec firm inwestycyjnych. Co oznacza, że jeśli zechcemy wyciągnąć Continuum z kłopotów, pieniądze z akcji trafią do innego towarzystwa inwestycyjnego. Jak to będzie wyglądało w oczach przeciętnego inwestora? Co na to powie Wall Street i City?

- A niby co ma powiedzieć?
 - Eddie, nie bądź naiwny. Będzie wyglądało na to, że towarzystwa inwestycyjne nawzajem się wspierają. I to kosztem drobnych akcjonariuszy.
 - Chryste Panie, ty wszędzie widzisz brudy, zupełnie jak Weinberger.

320

- I wielu innych! Dlatego musimy być ostrożni.
 - Ależ Continuum ma kina i nieruchomości. Ma też ziemię. Czy ziemia nie jest najpewniejszą inwestycją?
 - Jest. Ale większość kin Continuum znajduje się w dzielnicach slumsów. Gdyby mieli kina podmiejskie, które dałoby się zamienić na przykład na supermarket, sytuacja wyglądałaby inaczej. Może za dziesięć lat ich tereny będą dużo warte. Może... Ale pieniądze zainwestowane w przemysłowe przedsięwzięcia pomnożą się znacznie szybciej.
- Na przykład w jakie przedsięwzięcia?
 - Akurat teraz prowadzimy pertraktacje z przedsiębiorstwem zaczynającym produkować aparaty kontrolujące skażenie środowiska. —
 - Kontrolujące skażenie środowiska! - powtórzył zde gustowany Stone.
 - Ludzie pragną inwestować w coś, z czego można szybko wycofać kapitał. Nie chcą zrujnowanych budynków. Continuum nie zdobędzie pieniędzy na giełdzie. To nie jest tylko moja opinia, to fakt. Będą musieli sprzedać, co się da, i zaciągać pożyczki pod zastaw tego, czego nie udało im się sprzedać. Bo inaczej pójdą na dno.

Stone chwilę wahał się, czy zdradzić tajemnicę powierzoną mu przez Bookbindera, ale była to sprawa życia i śmierci dla filmu i spółki

produkcyjnej. Wstał i podszedł do kominka, jakby chciał sprawdzić, czy należy dołożyć następne polano. Potem zwrócił się do Mary.

- Mary, obawiam się, że popełniasz wielki błąd. Mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że Kagan opracował plan, który pozwoli Continuum nie tylko spłacić długi, ale szybko zarobić dziesięć milionów.
- Nonsens - odparła Mary. - Myślisz o tym projekcie fabryki kaset, o którym przed paru miesiącami zaczęli trąbić, żeby odzyskać wiarygodność. To nic nie pomogło, uznano to za podejrzaną manewr.
- Obiecałem Kaganowi, że wspomogę ich pieniądze.

Mary Anson przesadnie długo zapalała papierosa. Stone nie podał jej ognia. Powiedziała:

- Dlaczego to zrobiłeś, Eddie? - Nie czekając na odpo-

321

wiedź zdjęła swoje piękne złote pantofelki i położyła je koło siebie na kanapce. Tak, były śliczne, ale ciasne, a nie mogła ich poszerzyć, gdyż popękałaby złota farba.

Stone przyglądał się, jak je gładzi. Była bardziej zajęta nimi niż jego problemami. I to jej „dlaczego, Eddie?” Traktowała go jak głupiutkie dziecko. Zawsze to robiła!

- Kagan ma trzydzieści siedem procent udziałów. Odkupię część.
- Licząc na zyski? Nie bądź niemądry. Nie będzie żadnych zysków. Już Continuum o to zadba. Zresztą on już sprzedał te akcje, żeby nie przerywać filmu.
- Boskie szaleństwo. To rosyjska ruletka.
- Raczej szarża Lekkiej Brygady. Tylko wariat udziela osobistej gwarancji. On już jest bankrutem. Może tylko liczyć na to, że któraś z wielkich

wytwórni dokończy film, inaczej stanie przed sądem. Jeśli nawet ten film pojawi się na ekranach, Kagan i tak nie zobaczy złamanego grosza ani swojego nazwiska w czołówce.

- Wiesz, co ci powiem, Mary, kiedy przyjdzie do próby sił, wolę być po stronie Kagana niż tych towarzystw inwestycyjnych i ich głównianych doradców.
- Wiem, kogo masz na myśli - roześmiała się. Nie chciała być okrutna i od razu uświadomiła sobie, że Stone odbierze ten śmiech jak obelgę, jak coś, co urąga i jemu, i Bookbinderowi, i wszystkim tym, którym drogi jest ten film.
- Tak, jesteś jedną z nich - oświadczył Stone. - Ale ci chłopcy z Continuum są co najmniej tak bystrzy jak ty. Wyszli z Harvardu i to z Wydziału Finansów.
- Widzisz, Eddie, tu mamy do czynienia z prawdziwym życiem. To nie Harvard. I nie kino.
- A co? - spytał ironicznie Stone.
- Może film dokumentalny.
- Ty głupia krowo!

Od chwili, gdy tu weszła, miały ją sprzeczne uczucia, ale w tym momencie rozjaśniło jej się w głowie. Serdeczność Ed-die'ego była tylko maską - teraz jej uchylił. Dawniej był autentycznie czarujący, obecnie było to aktorstwo, i w dodatku grał rolę, do której był już za stary. Kiedy się odezwała, jej głos

322

brzmiał nadal łagodnie, ale nie było już w nim poprzedniego ciepła.

- Nie kłóćmy się, Eddie. Wyjaśniłam ci powody, dla których nie pomożemy Continuum. I tak ci już za dużo powiedziałam. Cała dyrekcja zgodziła się z moim raportem. I tak samo zareagują inne towarzystwa inwestycyjne. Czy ty, Eddie, naprawdę sądzisz, że zrobiłam to z przyjemnością? Przecież wolałabym, żebyś mnie obsypał wyrazami wdzięczności, niż zionął gniewem.
- Chętnie bym ci przypierdolił, ty głupia krowo.
- Nie wątpię, że dlatego właśnie mnie zaprosiłeś, ale ja przesłałam już szczepienia ochronne i nie działa na mnie czar kina.
- Tak, zawsze byłaś wobec mnie nielojalna. Bo w ten sposób udowadniałaś samej sobie, że jesteś sprytną, niezależną kobietą.
- Czy „lojalność”, Eddie, jest wciąż twoim ulubionym słówkiem? Teraz już wiem, co ty uważasz za lojalność. Lojalność polega na tym, żeby dniem i nocą trzymać cię za rękę. I rozczulać się, że tobie zrobił się na tyłku pryszcz, choć ja mam akurat nogę w gipsie. Należy zachwycać się każdym twoim podarunkiem i komplementem, i zapominać o zniewagach i upokorzeniach. Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek był wobec mnie lojalny.
- Masz złą pamięć.
- Wolałabym mieć gorszą.
- Strasznie jesteś z siebie dumna.
- Jestem, Eddie, ale ja nie grzeszę pewnością siebie. Nie szukam komplementów pochlebców i nie zatrudniam dworu po to, by mi kadził. Zdozymałam sobie pozycję w świecie mężczyzn, choć nie przyszło mi to łatwo. I jestem z tego dumna, Eddie. Tak, jestem.
- Zarobiłaś parę groszy i przewróciło ci się w głowie.

- Według twoich standardów nie zarobiłam dużo. Mam tyle samo co moi wspólnicy - auto z szoferem, nieduży dom w Londynie i prymitywną chatę w Hiszpanii, do której zaglądamy z Peterem raz w roku. Jeśli zmieniły mnie pieniądze, to nie moje. Poznałam nieznany mi świat. Obserwowałam ludzi, którzy w ciągu paru tygodni stawali się milionerami, gdy

323

pomagaliśmy im rzucić na rynek akcje. Niektórym przewracało się w głowie, inni znów czuli się zdeprymowani, gdy orientowali się, że za pieniądze pozbyli się kontroli nad swoimi przedsiębiorstwami. Tak, znam władzę pieniądza. Nie cenię jej.

- A ja tak. Powiedziałem Kaganowi, że skończymy film, i dotrzymam słowa, choćbyś nie wiem co wygadywała.
- Mówisz poważnie, Eddie?
- O tak, złotko!
 - Mówisz nie tylko po to, żeby mi zaimponować? Jeśli naprawdę chcesz tak postąpić, mogę ci to ułatwić. - Uśmiechnęła się.
- Będę ci wdzięczny.

Sięgnęła po telefon i nakręciła jakiś numer. Czekaając na rozmowę wpatrywała się w Stone'a prowokującym wzrokiem.

- Halo, Florian? Mówi Mary Anson. Jestem u pana Stone'a i rozmawiamy o waszym filmie, tak, o „Człowieku z pałacu”.

- Chwilę słuchała. Florian Backhouse, prezes Continuum, musiał pewnie zażartować, bo Mary roześmiała się. - Marshall Stone zdecydował się znaleźć kwotę potrzebną do ukończenia

filmu, o którą się tak martwicie. - Sięgnęła po popielniczkę, Stone ją podsunął. Strząsnęła popiół i podziękowała skinieniem głowy. - Myślę, że to rozwiąże jeden z waszych problemów. - Znow słuchała. - Oczywiście, możesz zawiadomić o tym pana Bookbindera. Tak, i twoich wspólników. Ale zachowajcie to dla siebie, bo pan Stone będzie chciał osobiście zawiadomić o tym prasę. - Znow się roześmiała. - Powiedz mu sam, siedzi obok mnie. Oddaję mu słuchawkę.

Zakryła ręką słuchawkę.

- Ach, ty przekłeta spryciaro!

Uśmiechnęła się. Wygrała drugą rundę.

Przez całą minutę Stone wpatrywał się we własną rękę.

- Halo. Pan Backhouse? Mówi Marshall Stone. Pomyślałem sobie, że ta wiadomość pana ucieszy. To będzie naprawdę wielki film. Nie jestem towarzystwem dobroczynnym. Mam nadzieję, że zrobię na nim fortunę. Jeśli chcecie mojej rady, nie pozbywajcie się go.
- A co z tym powiadomieniem prasy, panie Stone? - spytał Backhouse. - Sprawa jest raczej delikatna.

324

- Mary zażartowała sobie.
- Ach tak, rozumiem.

Stone wysłuchał podziękowań Backhouse'a i komplementów pod adresem Mary i pośpiesznie się pożegnał.

Odłożył ostrożnie słuchawkę na widełki tak, żeby nie rozległ się brzdęk.

- Dziękuję ci. - Stone był wściekły. Jeszcze bardziej rozwścieczył się, gdy wzięła do ręki jeden ze swych pantofli i uważnie mu się przyjrzała. Nie

chce mu spojrzeć w oczy. Znał ją dość dobrze, by wiedzieć, że czuje się winna. Wyrwał jej pantofel i przedarł na pół. Nie wierzyła własnym oczom, a potem ogarnął ją strach. Ta gwałtowność. Przedarty pantofel w jego rękach sprawił, że poczuła się upokorzona.

- Jesteś wstrętnym człowiekiem, Eddie!

Pozwolił jej odebrać sobie pantofel. Chwilę mu się przyglądała, potem wzięła drugi. Miała ochotę wrzucić je do kosza, ale nie. Nie zostawi tu niczego, co do niej należy, nie pozwoli Stone'owi tego dotknąć.

Nie czekała na płaszcz - może go jej odesłać. Czy każąc szoferowi nie odjeżdżać przeczuwała, że wieczór może się tak właśnie zakończyć? Zatrzasnęła za sobą drzwi. Potrzebna jej była ciemność.

- Do domu - powiedziała. Udało jej się zapanować nad głosem i dopiero wówczas, gdy auto znalazło się wśród innych aut i szofer musiał się skupić nad kierownicą, wytarła nos. Wygrała trzecią rundę.
- Nie płacz, Mary! Proszę cię, nie płacz! - zawołał dwukrotnie Stone, ale nie oczekiwał, że wróci. Słyszał, jak auto rusza, zobaczył przez zasłony odbłask reflektorów.

Obszedł dookoła salon. Świecił księżyc, odsunął więc zasłony, by mu się przyjrzeć. Ileżby miał o nim do powiedzenia. Starannie przygotował się do wieczoru z Mary. Zrobiło mu się przykro, że ilekroć spędzili razem więcej niż pięć minut, dochodziło do podobnych scen.

Weinberger skończył kolację i zamierzał wraz ze swą żoną, Lucy, słuchać jazzu. Miał prawie siedemset płyt. Nim

325

podszedł do telefonu, zatrzymał adapter. Numer telefonu w gabinecie był

zastrzeżony, mógł więc dzwonić tylko któryś z klientów.

- Halo?
- Nie wymieniaj mego nazwiska - zastrzegł się Stone.
 - Dobrze - odparł Weinberger. Zdarzało się od czasu do czasu, że ktoś tego żądał.

- Wiesz, kto mówi?

- Oczywiście.

- Ile ja mam pieniędzy?

Nawet Weinberger poczuł się zdziwiony takim pytaniem. Sięgnął do kieszeni, wyjął jedwabną chusteczkę i wytarł nią twarz. Wreszcie zaproponował:

- Może lepiej spytaj się twojego specja od finansów.
 - Nie mam ochoty z nim rozmawiać. Ostatnim razem prawił mi morały.
 - To było w kwietniu, kiedy zgrałeś się w Las Vegas. Miał wtedy kłopoty z Urzędem Podatkowym, nie chcieli w to uwierzyć.
- Potem awanturował się o akcje.
 - No cóż, nie masz nosa do gry na giełdzie. Aż przykro pomyśleć, ile cię to w zeszłym roku kosztowało.
 - Te akcje cyny miały wszelkie szanse. To była jakaś giełdowa machinacja.
 - Oscar Wilde powiedział kiedyś, że sztuka była świetna, tylko widowia fatalna.
- Nie płacę ci za błyskotliwe cytaty.
 - Ale płacisz twemu menedżerowi, żeby dbał o twoje finanse. I go nie słuchasz.
 - Bądź uprzejmy odpowiedzieć na moje pytanie. Jaką sumą mogę

dysponować?

- Zależy, co przez to rozumiesz. Nie sądzę, byś nie zaciągając pożyczki mógł rozporządzać sumą większą niż pięćdziesiąt tysięcy. - I szybko dodał: - Ale z pożyczką nie będzie kłopotów, co dzień mam do czynienia z kimś, kto chętnie ci pożyczy trochę gotówki.
- Ja mówię o moich pieniądzach.
- Dom w Beverly Hills, dom w Grasse. Koszty ich utrzymania

326

są ogromne, cała ta służba. Mógłbyś je potem, powiedzmy na wiosnę, sprzedać i to by już była poważna suma.

- Gdybym sprzedał dom w Beverly Hills, zaraz by gruchnęły plotki. Mówiono by, że zaczynam się staczać. A Grasse... byłem tam w zeszłym roku...
- Przez długi weekend. Mam ci wyliczyć, ile cię kosztowała każda godzina?
- Nie chcę tego słuchać.

Rozległo się westchnienie i Stone pewien był, że Weinberger charakterystycznym dla siebie gestem przeciera twarz.

- I tak zaraz rozpoczną się kłopoty z podatkami. - Weinberger umilkł, pomyślał o tysiącu ekstrawagancji... to auto dla Suzy... jej stroje i wycieczki... - Nie przyszło ci na myśl, żeby sprzedać konie?
- To nieodpowiednia pora roku, a zresztą nie mam takich koni, które mogłyby wygrać Derby.
- Inaczej mówiłeś, gdy je kupowałeś.
- A co z tym przeklętym samolotem i tym szpiclem, który udaje, że jest

tylko pilotem?

- Tośmy już dokładnie omówili. He razy tłumaczyłem ci, że to bez sensu mieć coś takiego z kimś do spółki. Ty chcesz gdzieś lecieć, oni chcą lecieć tego samego dnia. Ty chcesz naprawiać silnik, oni chcą kupić nowy. Z takich spółek nigdy nic dobrego nie wynika. Ale tak czy owak jesteś na to jeszcze przez dwa lata skazany. Podpisałeś z tym przeklętym pilotem kontrakt na pięć lat. Pamiętasz, jak się temu sprzeciwiałem?
- Wtedy zrobił na mnie dobre wrażenie. Wiesz, mam po uszy takiego gadania. Czasem wydaje mi się, że nie wolno mi samemu podjąć żadnej decyzji. Muszę myśleć o ulgach podatkowych, o prawie dotyczącym posiadłości, o tym, gdzie powinienem mieszkać na stałe, i innych bzdurach. Zastanawiam się, po co właściwie tyle zarabiam.
- Nie wspomniałeś o jachcie. Właśnie jachtu powinieneś się przede wszystkim pozbyć. Widziałeś ostatnie rachunki? Księgowy spytał się, czy chodzi o wyposażenie w rakiety Polaris.
- Bardzo śmieszne. Bardzo, bardzo śmieszne.
- A kto tu chce się śmiać. Twój księgowy próbował ocalić trochę twoich pieniędzy. Kosztowało to tyle, co pół nowego

327

jachtu. Słuchaj, może się spotkamy u ciebie w biurze z tym twoim menedżerem i księgowym na małą naradę.

- Nie! - twardo sprzeciwił się Stone. Sama myśl o takim spotkaniu przejmowała go grozą. To by przypominało konsylium lekarskie, podczas którego lekarze kłóciliby się, na co właściwie ma umrzeć. - Proszę cię o jedno. O wyraźną odpowiedź na moje pytanie.
- Natychmiast możesz mieć pięćdziesiąt patyków. Dalsze pięćdziesiąt ze

sprzedaży akcji. No i jeszcze pięćdziesiąt łatwo będzie dokończyć.

Domy i jacht, gdybyś usiłował je pospiesznie sprzedać, to w najlepszym wypadku milion - i tyle właśnie ściągnąłby z ciebie Urząd Podatkowy.

A ty nie miałbyś gdzie mieszkać.

- Dziękuję!

Weinberger odczekał chwilę, żeby w jego tonie nie pojawił się gniew.

- Możesz w każdej chwili zarobić, ile zechcesz, ale musisz zachowywać się rozsądnie. Zrób parę filmów tam, gdzie hazard jest zabroniony, a zapewniam cię, że będziesz miał kupę forsy w banku. Czy nigdy ci to nie przyszło na myśl?

- A jeśli będę jeździł do atelier na rowerze, to oszczędzę dziennie tyle ile kosztują trzy litry benzyny.

- Nie wygłupiaj się.

- Ach, więc to ja się wygłupiam? - Stone odwiesił słuchawkę. Wszyscy traktowali aktorów jak dzieci, miał tego zupełnie dość. Gdyby zdobył fortunę jako chirurg czy szantażysta, liczono by się z jego zdaniem. „Nie wygłupiaj się!” Jak on śmiał?

20

Chcę, żeby mnie traktowano poważnie.

Errol Flynn

Wszystko działo się jak w złym filmie. Prawdziwi ludzie mówili cudzym tekstem... A on, Stone, był jak zwykle źle obsadzony... Otarł pot z czoła i uśmiechnął się. Upał zawsze źle na niego wpływał, ale dziś nie wolno mu było okazać irytacji.

Potknął się o krzesło, było ciężkie, nawet nie drgnęło, pewnie będzie miał

siniaka. Zaklął. Z okna roztaczał się piękny widok. Z jednej strony falujące wzgórza pokryte wyblakłymi od słońca krzewami, dalej za lekką mgiełką fale błękitnego morza rozpryskiwały się na szarych nadmorskich skałach. A z drugiej piaszczysta wiejska droga schodziła meandrami przez gaje oliwne aż do wsi Santa Sovora. Potem zamieniła się w bity gościniec. Piętnaście kilometrów i zaczynała się autostrada łącząca Reggio z Neapolem.

Spojrzał na zegarek i czekał. O z góry wyznaczonej godzinie rozległy się wybuchy, brzmiały jak uderzenia w bęben. Na niebie pojawiły się dwa słupy oleistego dymu. Bryza przygięła je do ziemi jak łodygi mleczy, które potem trysnęły w górę pióropuszem szarych strzępów. Bez trudu udało się przekonać właścicieli gajów oliwnych, by tam właśnie odbywała się bitwa, gdyż oliwki były akurat maleńkie, pomarszczona skóra i pestki.

Z obu stron piaszczystej drogi leżały połamane skrzynie, pogięte puszkki, słupy rusztowania i krzyżaki. Wyładowywano rekwizyty z trzech ciężarówek, zaraz miały jechać z powrotem do Cinecitta po następne elementy letniego pałacu. Wczoraj ukończył zdjęcia w nienaruszonym jeszcze gaju oliwnym, w którym księżę Felix przechadzał się samotnie przed bitwą, i teraz miał parę wolnych dni. Zastanawiał się, czy wrócić do Londynu, czy stawić się na umówioną randkę z włoską aktorką, która ubiegała się o rolę maszynistki obsługującej dalekopis. Miała do wygłoszenia zaledwie parę kwestii, ale była

329

gotowa na wszystko, by zagrać w angielsko-amerykańskim filmie. Wcale tego nie ukrywała. Okna jej mieszkania wychodziły na Tyber, na dachu był taras, gdzie można było opalać się na golasa. Brzmiało to bardziej

zachęcająco niż Londyn.

Spoza wzgórz wyłoniły się dwie czarne limuzyny. Szoferzy jechali ostrożnie, by wyminąć kamienie i wyboje. Limuzyny poruszały się z szybkością pieszego człowieka, ale i tak pojawiła się za nimi chmura czerwonego pyłu, jakby jechały na pełnym gazie. Robiło to wrażenie filmu puszczonego w zwolnionym tempie. Stone przypomniał sobie swój senny koszmar. Odwrócił się od okna i spojrzął w lustro popstrzone przez muchy. Dotknął lodówki podłączonej do generatora. Włączył się akurat termostat i lodówka zaczęła warczeć. Bardzo mu to działało na nerwy. Z okazji wizyty Floriana Backhouse'a i jego pacholków zamierzali sprowadzić klimatyzowaną przyczepę, ale Bookbinder bał się, że Backhouse uzna to za nieusprawiedliwioną ekstrawagancję. Stone uśmiechnął się pod nosem; Leo Koolman nigdy nie krytykowałby wydatków poniesionych po to, by go uczyć, ale ci ludzie należeli widać do innego gatunku. Znowu wyjrzał przez okno, limuzyny posunęły się zaledwie o parę kroków.

O pięćdziesiąt metrów stąd stała druga wiejska chata. Przed nią siedzieli jego dubler i posłaniec. W każdym kontrakcie Stone zastrzegał sobie, że otrzymają oni pensję i diety, podobnie jak jego szofer. Biuro produkcji, jeśli nie opłacało mu hotelu, zwracało koszty utrzymania londyńskiego domu. Dwaj mężczyźni grali w karty. Jak oni mogli wytrzymać w tym strasznym upale?

Kiedy limuzyny dojechały wreszcie na miejsce, Stone nie wyszedł z domu. Stał w drzwiach i uśmiechnął się. Szoferzy i siedzący obok nich akolici wyskoczyli z aut i otworzyli drzwiczki. Bookbinder i Hanratty mieli na sobie podkoszulki i szorty, ale tamci mężczyźni ubrani byli w czarne garnitury, a ich kapelusze kostiumolog uznałby za odpowiednie dla przedsiębiorcy

pogrzebowego, bankiera lub członka mafii.

Stone uściśnął kolejno ręce przybyłym i spytał, jak im się podobają przygotowania do bitwy. Uprzejmie skinęli głowami. Bookbinder zaaranżował wszystko tak, żeby na ich przyjazd

330

wysadzono w powietrze blaszaną szopę. Wybuch ten filmowano.

- Wypadło bardzo efektownie - opowiadał Bookbinder. -

W drugim ujęciu popiół spada płatami. Zobaczycie.

Stone dorzucił parę komentarzy, ale sześciu ubranych na ciemno mężczyzn nie okazywało zainteresowania, tylko uśmiechali się z wyższością.

- Czego się panowie napiją? Campari, Punt e Mes czy dżin z tonem? - spytał Stone, ale tylko filmowcy wybrali alkohol.

Biznesmeni poprosili o tonik z lodem. Wkrótce dało się za uważać, że dwóch towarzyszących biznesmenom mężczyzn, to są ich podwładni: to oni ustawili wokół stołu krzesła, jakby oczekiwali posiłku.

W chacie od wielu pokoleń nic się nie zmieniło. Planowano tu zdjęcia. Zatem zakupiono od chłopca całe umeblowanie. Krzesła, wyczyszczony do połysku stół, koronkowy bieżnik, religijne obrazy, świece, lustro, krucyfiks i maty z sitowia. Miano je następnie wyeksponować do Londynu, by posłużyły do zdjęć w atelier. Stone zastrzegł już sobie, że koronkowy bieżnik stanie się potem jego własnością.

Hanratty przyglądał się światłu. Trudno będzie odtworzyć je w atelier, południowe słońce żółtymi plamami poznało kamienną posadzkę i nappełniło powietrze gęstym złocistym blaskiem, w którym miało się ochotę

popłynąć. Stół błyszczał jak szkło i kiedy Florian Backhouse zasiadł na honorowym miejscu mógł się w nim przejrzeć niczym w lustrze. Wskazał Stone'owi miejsce po swojej prawej ręce i jeden z akolitów usłużnie podsunął krzesło. Każdemu zresztą wyznaczono miejsce zgodnie z niepisaną hierarchią.

- Co to ma być, konferencja? - spytał Stone. Chciał do dać: „konferencja czy czuwanie przy zwłokach?” Doszedł jednak do wniosku, że tych sześciu ponuraków nie doceni żartu. Skóra wokół oczu Floriana Backhouse'a jakby stężała - to był uśmiech.

Na stole pojawiły się aktówki, wyciągnięto z nich dokumenty.

- Jak wygląda sytuacja, Enzo? - spytał Backhouse jednego z mężczyzn, ale patrzył na Stone'a.
- Jeden osiemset osiemdziesiąt.

331

- Z dokładnością do jednego tysiąca - zgodził się Backhouse.

Mężczyzna kontynuował:

- Na transport przeznaczam sto pięćdziesiąt tysięcy, ale przewidziałem możliwość przekroczenia tej sumy.
- Mieliście opłacić bilety lotnicze - przypomniał Bookbin-der.
- Nie - odpowiedział Backhouse.

Miał dziwny sposób mówienia. Artykułował wyraźnie każdą sylabę, zwłaszcza ostatnią. Świetnie mógłby nadawać wiadomości przez radio w burzowy dzień podczas artyleryjskiego ostrzału. Dodał:

- W zeszłym miesiącu sprzedaliśmy nasz udział w filmie.

- Przecież nie powie pan, że koszty naszego transportu należały do aktywów - oświadczył Bookbinder.

Backhouse znów niby to się uśmiechnął. Powiedział:

- Mam zamiar wyjaśnić wam, jak wygląda wasza sytuacja.

- Zrobił dłuższą przerwę, by Bookbinder dobrze zrozumiał, że nie może dyskutować sprawy biletów. - Gdyby nie wspomniało myślnie pana Stone'a, który zagwarantował wpłacenie sumy potrzebnej do ukończenia filmu, nie byłibyście we Włoszech, tylko w atelier. Już przedtem dziękowaliśmy panu Stone'owi, ale pragnę, by nasze podziękowania zostały umieszczone w protokole.

Dopiero teraz Stone zauważył, że jeden z mężczyzn stenografuje każde słowo. Bookbinder zauważył to także i zamknął usta. Backhouse mówił dalej.

- Enzo skrupulatnie przyjrzał się liczbom i muszę stwierdzić, że jego ocena zaskoczyła mnie. Wiem, że wy wszyscy tkwicie w przemyśle filmowym po uszy, i oczywiście szanuję wasze zdanie, ale muszę przyznać, że z ulgą wycofuję zainwestowane pieniądze. A propos, Kagan, nasza dzisiejsza wizyta nie obciąża waszego budżetu, mieliśmy i tak coś do załatwienia w Rzymie - oblizał usta. - Co się należy, to się należy.

Stone spojrział na niego. Tak, książę Felix właśnie w ten sposób powinien wypowiedzieć te słowa. Ale szybko strach wziął górę nad profesjonalnym zainteresowaniem.

- Moje pieniądze się skończyły - powiedział Bookbinder.

- Dzwoniłem dziś do banku...

- Zostałem o tym poinformowany - oświadczył Backhouse. Nastąpiło milczenie, jeden z jego ludzi podał mu parę rachunków. Spojrzał na ostateczne sumy, przymknął oczy, jakby coś w myśli obliczał, i odsunął od siebie dokumenty. - I właśnie dlatego muszę prosić pana Stone'a, żeby jego bank dostarczył potrzebnej gotówki. Najprościej będzie jeśli pan Stone podpisze gwarancję. Nie ma chwili do stracenia, z końcem tygodnia trzeba będzie wypłacić pensje i diety. Hotele i materiały do dekoracji mogą poczekać, ale związki podnoszą alarm, ilekroć ekipa nie otrzyma w terminie należnych jej pieniędzy. Prawda, Kagan?
 - Oj, prawda - zgodził się Bookbinder.
 - W związku z tym Enzo, mój główny księgowy, rozmawiał już z bankiem pana Stone'a, żeby upewnić się, jakich im potrzeba upoważnień. - Backhouse sięgnął po papierośnicę i wyjął z niej tureckiego papierosa. Stone zauważył jego białe, wypiełgnowane ręce. Backhouse włożył papierosa do ust. Jeden z akolitów pośpieszył z ogniem.
 - O jaką sumę chodzi? - spytał Stone.
 - W tym tygodniu o sto osiemdziesiąt tysięcy. Ale trzeba uregulować dług pana Bookbindera. Zobowiązał się do wpłacenia dziewięciuset tysięcy. Backhouse znów zajrzał do dokumentów i ciągnął:
 - Wciąż jeszcze mówimy o stosunkowo drobnych sumach.
- Kiedy pan Stone zgodził się zagrać księcia Felixa podwojono budżet. Mógłbym podać dokładne liczby, ale w sumie będzie to blisko pięć milionów... Mieliśmy nadzieję na propozycje dystrybutorów.
- Stone przełknął ślinę i poczuł, że cały jest mokry. To była jego zwykła reakcja na każdy stres. Backhouse ciągnął dalej:

- Do końca zeszłego tygodnia toczyliśmy pertraktacje z panem Koolmanem. Ale się wycofał. Zadzwoń do niego wczoraj wieczorem proponując wznowienie rozmów.

Stone chciał się spytać o rezultat, ale poczuł, że nie wydobędzie z siebie głosu.

- No i co? - zaindagował Bookbinder.

Backhouse powoli odwrócił się tak, żeby móc spojrzeć Stone'owi prosto w oczy. Tym razem naprawdę się uśmiechnął.

333

- Co pan zrobił panu Koolmanowi, że jest na pana aż tak wściekły?
- Jeśli ktoś ma przejąć film - powiedział Stone i zrobił pauzę, tak jak przedtem Backhouse - to byłoby lepiej, żeby był to ktoś, kto zna się na produkcji.
- Niepotrzebna tu żadna znajomość rzeczy. Potrzebne są pieniądze. - Backhouse chłodno się uśmiechnął.
- Najlepiej będzie, jeśli pan jeszcze raz pogada z Koolmanem - zaproponował Stone.
- To pan zobowiązał się dostarczyć brakujące pieniądze. Jeśli chce pan odsprzedać swoje prawa do filmu lub ich część dostarczę odpowiednie dokumenty, ale nie zamierzam rozpoczynać nowych negocjacji. Zresztą obiecane przez pana pieniądze przeznaczyłem na zapłacenie ubezpieczeń Lloyd'a, zalegaliśmy już z tym rachunkiem od trzech tygodni.

Stone położył obie ręce na stole ruchem prestidigitatora, który chce pokazać, że niczego nie ukrywa w rękawach. Miał ochotę opowiedzieć im o swojej rozmowie z Weinbergerem, ale od razu uświadomił sobie, co by usłyszał i od Weinbergera i od innych doradców. Powiódł wzrokiem wokół

stołu. Ci mężczyźni oszczędnie gospodarowali każdym pensum, aż zamieniał się w funta. Wiedzieli, że bierze milion za film, uważali go więc za miliardera. Nie wiedzieli, że pieniądze topnieją mu w rękach - domy, podatki, służba i hazard, uprawiany namiętnie, z wyraźnym pechem.

- Ma pan na myśli naszą telefoniczną rozmowę. Wziął mnie pan za słowo, tak?
- Czyżby pan sobie zażartował?
- Nie, ale...

Chciał powiedzieć, że dopiero się nad tym zastanawia, ale Backhouse przerwał mu.

- Pańska była małżonka potwierdziła to następnego dnia na naszym zebraniu. - Zwrócił się do mężczyzny siedzącego po jego lewej ręce: - Mamy chyba stenogram?
- Nieważne - powiedział Stone. Jeden z dwóch akolitów siedział pod drzwiami, nie wykazując cienia zainteresowania rozmową. Drugi stał koło lodówki i wyglądał przez okno na gaj oliwny, który miał wkrótce zamienić się w pole bitwy. Coś

334

zaskrzypiało i akolita z nieoczekiwaną szybkością odwrócił się. Stone zauważył, że jego marynarka odstaje.

- Przepraszam - powiedział Hanratty. Poruszył się i to jego krzesło zaskrzypiało. - Muszę wracać do roboty. Pałac musi być gotowy jutro w południe.

Jednocześnie wyszedł Bookbinder i ruszył w stronę wzgórza, na którym stały już schody i jedna ze ścian pałacu.

- Niech pan nie obwinia żony - powiedział łaskawie Backhouse. -

Protestowała przeciwko umieszczeniu tego w protokole, ale w końcu jest prawniczką i wiedziała, że to konieczne, jeśli nie chce narazić się na kłopoty.

- Mamy tylko jeden problem - odparł Stone. - Wbrew temu, co się uważa, nie rozporządzam gotówką. Moje pieniądze są ulokowane.
- Oczywiście, zdajemy sobie z tego sprawę - zgodził się Backhouse i Stone'owi przez chwilę wydawało się, że wyjdzie z opresji cało. - Mario przygotował już umowę - jedno z naszych towarzystw pożyczy panu gotówkę.

Na stole pojawiły się następne dokumenty.

- Będzie pan uprzejmy podpisać - powiedział mężczyzna zwany Enzem.
- Tak - powtórzył Backhouse. - Podpisze pan te trzy dokumenty i resztą zajmie się Enzo.
- Muszę porozmawiać z moimi londyńskimi prawnikami - oświadczył Stone szukając rozpaczliwie pretekstu, by niczego nie podpisywać. - To czysta formalność, ale obiecałem, że będą zawiadomieni o każdym moim finansowym posunięciu.

Backhouse pozwolił mu rozkoszować się przez minutę pozornym zwycięstwem.

- Niestety, jest to niemożliwe. Musimy zabrać z sobą pański podpis.
 - Co, zgrywa się pan na Sama Goldwyna? „Ustna umowa warta jest mniej niż papier, na którym by została spisana”.
- Stone roześmiał się i rozejrzał wkoło oczekując, że wszyscy zawtórują mu śmiechem.

Jeśli do Backhouse'a ten żart dotarł, to niczym tego nie okazał.

- Ustna umowa jest równie ważna jak umowa spisana. Tak

mówi prawo - wyjaśnił takim tonem, jakby się zwracał do dziecka.

Teraz, kiedy Bookbinder i Hanratty wyszli, w tonie Backhouse[^] pojawiła się złośliwość. Może zresztą tak się tylko Stone'owi zdawało. Uświadomił sobie, że od tych pięciu na czarno ubranych mężczyzn wieje grozą.

- A jeśli powiem - do diabła z prawem? Jeśli w ogóle każe się wam wynosić, to co? Podacie mnie do sądu? - Bał się, że nie zapanuje nad głosem; rzeczywiście pojawił się w nim piskliwy ton. Wstał. Niemal dotykał głową zjedzonych przez korniki belek podtrzymujących sufit, na którym popękał tynk. Przez okno widział swego stareńkiego posłańca, który właśnie przestał grać z dublerem w karty. Nawet ich zmógł upał. Przesunęli się w cień, dubler był rozebrany do pasa. Staruszek wygrał i zbierał brudne, wymięte banknoty. Wygładził je starannie i schował do portfela. Szczęśliwcy, pomyślał Stone. A co dziwniejsze, to oni mi zazdroszczą.

Tymczasem Backhouse odpowiedział:

- Do sądu! Nie. Bo nie dojdzie do takiej sytuacji.

Pozostali mężczyźni spoglądali na Stone'a wzrokiem po gromców. Stone zniżył głos.

- Czy pan mi grozi, panie Backhouse?

Nikt nie odpowiedział. Dwaj księgowi zaczęli chować dokumenty do teczek. Backhouse ani drgnął. Stone widział za jego plecami wypaloną słońcem ziemię, pokurczone, powyginane drzewa. Tu życie polegało na walce ze słońcem, tak strasznie dawał się we znaki chroniczny brak wody. Powietrze było rozżarzone do tego stopnia, że przy każdym oddechu paliło

gardło, a wokół nozdrzy gromadził się kurz. Jeden z akolitów wyciągnął wtyczkę z kontaktu i lodówka przestała warczeć. Usłyszeli bzykanie much, brzęczenie owadów.

- Mogli sobie panowie oszczędzić tej wyprawy z Rzymu
- oświadczył Stone i zrobił pauzę imitując sposób mówienia Backhouse'a. - Wystarczyło się spytać kogoś, kto mnie choć trochę zna. Dowiedzieliby się panowie, że nigdy bym nie dopuścił do śmierci filmu.

Sięgnął po trzy dokumenty i podpisał je nie ukrywając wzgardy:

336

- Potrzeba mi czterech, pięciu dni. Polecę dziś wieczorem do Londynu. Najdalej w piątek przejmą produkcję moi ludzie.

Stone lekko się nachylił oczekując komplementów, uśmiechów, nawet uścisków, bo tak to zwykle bywało w show-biznesie, kiedy udało się coś nieprzyjemnego załatwić. Ale Backhouse wstał i tylko się uklonił.

- Czy mogę pana podwieźć do Rzymu?

- Dziękuję. Za chwilę przyjedzie po mnie moje auto.

Pozostali mężczyźni wstali równocześnie z Backhouse'em.

Dwóch akolitów wybiegło i dało znać szoferom, by sprawdzili, czy działa klimatyzacja i otworzyli drzwiczki.

- Może panowie będą uprzejmi zawiadomić biuro produkcji, żeby zamówiono dla mnie bilet do Londynu. Gdyby były trudności, to...

- Nie będzie żadnych trudności - przerwał Backhouse.

Limuzyny zjeżdżały ze wzgórza jeszcze wolniej, niż się na nie wspinały i jeszcze bardziej przypominały żałobny kondukt. Stone czuł, że

po plecach spływa mu zimny pot. Był to nie tyle strach przed fizyczną przemocą, ile panika, iż w ogóle mogłoby dojść do jej zaistnienia. Nie miał już siły lękać się stale, co go czeka w ciemnym pokoju hotelowym, wysyłać przodem swego goryla, gdy wychodzi z atelier, i pamiętać, żeby nigdy nie iść brzegiem chodnika, na który może nieoczekiwanie wjechać auto. I nie starczyłoby mu już wytrzymałości, by znieść długi proces sądowy, a także stawić czoło atakom gazet. Przeżył to już parę lat temu.

Rozejrzył się po izbie. A może jednak należało żyć tak jak ci mieszkańcy wsi? Za oknem przeleciał świergocząc ptaszek, za nim drugi, który wyraźnie szukał zwady. Przez chwilę Stone skłonny był uwierzyć, że wizyta tych sześciu mężczyzn to był tylko senny koszmar. Zaraz jednak zobaczył w doniczce niedopałek tureckiego papierosa. Podszedł do okna i stał przy nim, dopóki wśród drzew oliwnych nie pojawił się błękit jego Cadillaca. Dopiero wówczas usiadł.

I dopiero wówczas udało mu się zebrać myśli. Odczuł ulgę, najgorsze miał już za sobą, wiedział, co musi zrobić. Od tamtej rozmowy telefonicznej z Backhouse'em dręczyła go niepewność. A raczej pewność, że zdarzy się coś straszego. Przyja-

337

ciele ostrzegali go, nie posłuchał, mógł winić tylko samego siebie. Powinien był posłuchać kochanego Weinbergera i nie kłócić się z Leem. Wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się z jego własnej winy.

Nie, nie może zgłaszać się ze swymi problemami do jednej z tych wytwórni, dla których od czasu do czasu pracował. Ani Paramount, ani Fox, ani Columbia nie wchodzi w rachubę. Nie, to Koolman zarobił na nim miliony, więc to Koolman musi go wyciągnąć z opałów. Jest mu to winien.

Wie przecież, ile mu zawdzięcza.

Stone, wbrew temu, co utrzymywali jego współpracownicy, uważał się za doświadczonego człowieka interesu. Ostatecznie tylko on żył na najwyższym poziomie, mógł robić i mówić, co zechciał i kiedy zechciał. Ci wszyscy Backhouse'owie, Wein-bergerowie, a nawet Koolmanowie nie znali uczucia całkowitej swobody, które daje sukces. Cóż, czasem za tę swobodę i luksusy trzeba zapłacić. Trudno, będzie musiał zagrać w telewizyjnym serialu Koolmana. Może nawet będzie musiał Lea przeprosić. Bo tego w danej chwili wymagają jego interesy, czyli będzie to mądre posunięcie, a nie żadne upokorzenie.

Od pierwszych chwil istnienia przemysłu filmowego pracujących w nim ludzi dręczyło przesadnie purytańskie poczucie winy, które czasem nawiedza bogaczy. Byli tacy, którzy - by się go pozbyć - wstępowali do komunistycznej partii, inni ofiarowywali wielkie sumy na cele dobroczynne, ale najczęściej szukano podświadomie pokuty. I tę wspaniałą zapewniali Koolmanowie tego świata, a w dodatku działało się to z obopólną korzyścią.

Marshall Stone bynajmniej o tym nie rozmyślał. Zastanawiał się nad praktycznymi szczegółami. Jeśli uda mu się odkryć, jaką sumę proponował Koolman za przejęcie filmu, może uda mu się nie stracić zbyt wiele. Uśmiechnął się znów zaglądając do popstrzonego przez muchy lustro. Tak, to wszystko nie będzie łatwe, ale da się ułożyć. Nie liczył na to, że „Człowiek z pałacu” okaże się korzystną inwestycją. Gdzieś w głębi serca wiedział, że te parę tysięcy metrów celuloidowej taśmy nie ma wielkiej wartości.

W tej chwili bronił się jeszcze przed myślą, że Koolman

może zażądać zmian w scenariuszu i innego zakończenia. Ale gdzieś w zakątkach mózgu kiełkowała już myśl, że jeśli inaczej nie uda mu się siebie ocalić, to znajdzie racjonalne wytłumaczenie dla pomysłów Lea.

Stone położył na stole teczkę i otworzył ją. Wyjął parę dokumentów - plan zdjęć ostatniego tygodnia i scenopis z naniesionymi nań ostatnio poprawkami. Przyjrzał się skomplikowanemu planowi zdjęć i zaczął się zastanawiać, jak mogło do tego dojść, że stał się częścią tego oszalałego świata. Nie koncentrował się na szczegółach jak wówczas, gdy podpatrywał specyficzny sposób bycia Backhouse'a. Czytał ten plan tak, jak podróżny czyta ogłoszenia na stacji, gdy spóźnia się jego pociąg. Ciężko musiał zawsze pracować, by osiągnąć doskonałość w swoim zawodzie. Z trudem uczył się tekstu, z trudem nauczył się stawiać czoło widzom, a potem kamerze, ale opanował wszystkie arkana aktorstwa. Z konieczności, tak jak z konieczności wyzbył się w swoim czasie strachu przed końmi. Nigdy nie pomogła mu w tym ani matka, ani potem żona. Jeden wuj Bernard go popierał, a trudno powiedzieć, by ten stary pijak był dobrą reklamą aktorskiego zawodu,

Cadillac wyjechał z gaju oliwnego. Zwolnił, by objechać ciężarówkę z rekwizytami. Stone doszedł do wniosku, że na te swoje pytania nigdy nie znajdzie odpowiedzi, ale przestało go to obchodzić. Właśnie w tej obojętności krył się sekret jego wielkiego talentu. Bardzo mało interesowała go motywacja własnych czynów, jeszcze mniej postaci, w które się wcielał. Pożyczał od kogo się dało głos, wyraz twarzy, tiki i posługiwał się nimi, by ożywić jakąś nieciekawą kwestię, nadać postaci życie, usprawiedliwić nielogiczny koniec. Na tym właśnie polegał zawód aktora, nawet Szekspir

nie mógłby się obejść bez podobnych sztuczek.

Usłyszał, że auto staje przed chatą. Wziął pióro i nachylił się nad dokumentami.

- Hy-hy. - Jasper chrząknął tak, jak to robią lokaje na scenie.
- Jasper! Już? - Stone spojrzął na zegarek i odłożył pióro. - Dziwnie szybko zleciał mi dzisiaj czas. - Zgarnął papiery i włożył je do teczki. Uśmiechnął się do Jaspera zatrząskując

339

zamek. Jasper wziął teczkę i poszedł otworzyć drzwiczki auta. Stone ze zdziwieniem zobaczył na tylnym siedzeniu torby od Gucci'ego i świeżo odprasowany garnitur.

Jasper powiedział:

- Pan Backhouse powiadomił mnie, że będzie pan potrzebował swego bagażu. Dałem znać do hotelu, by przysłali go jednym z aut biura produkcji.

Hotel znajdował się o sto pięćdziesiąt kilometrów stąd, Stone dokładnie obliczył odległość, by móc obciążyć produkcję kosztami benzyny. Spojrzał pytająco na Jaspera, który wyjaśnił, że pan Backhouse powiadomił go o tym już rano, zaraz po przylocie do Rzymu.

Adres telegraficzny: Escargot, Londyn; teleks ADRESAT

WEINBERGER NADAWCA STONE

PRZYLECĘ DZIŚ WIECZÓR STOP UMÓW MNIE W CIĄGU

DWUDZIESTU CZTERECH GODZIN Z KOOLMA-NEM

PRZEDYSKUTOWAĆ WSZYSTKIE PUNKTY SPORNE ŁĄCZNIE Z TV

STOP JEŚLI OKAŻE SIE NIEZBĘDNE MUSIMY DO NIEGO POLECIEĆ

STOP SERDECZNOŚCI MARSH

Żeby dostać Oscara, trzeba się dwoić i troić, telefonować, pisać, schlebiać i stosować przekupstwo.

George C. Scott (laureat Oscara dla
najlepszego aktora 1970 roku)

Branżowe pisma filmowe pełne są zawsze optymizmu. Którzy chcą natchnąć swoich czytelników. Zatem wiadomości o nowych projektach Lea Koolmana pojawiły się na pierwszej stronie tytułem złożonym 30-punktową półgrubą czcionką na szerokość dwu szpalt.

KOOLMAN I STONE: PIĘCIOMILIONOWY POTRÓJNY KONTRAKT

Stone złożył właśnie swój podpis pod potrójnym kontraktem z MWF Koolmana. 20 stycznia rozpoczną się w San Francisco zdjęcia do filmu „Śmierć gliniarzom”.

Stone (wysunięty właśnie na kandydata do Oscara) zastąpi w tym filmie młodego aktora Somerseta. Budżet filmu wzrośnie o cztery miliony. Stone zagra walczącego z policją rewolucjonistę, u jego boku pojawi się Suzy Delft w roli studentki-anarchistki. Kierownikiem produkcji będzie Edgar Nicolson, pracował już ze Stone'em w „Cichym raj”, którego premiera odbędzie się w Londynie 1 listopada, „Cichy raj” ubiega się o tegorocznego Oscara. Nie znamy jeszcze nazwiska reżysera filmu „Śmierci gliniarzom”. Kontrakt Stone'a przewiduje, że nakręci on następnie dziesięć filmów dla telewizji, filmy te będą osnute wokół postaci „Kata”.

Biuro prezesa Międzynarodowej Wytwórni Filmowej Koolmana (będącego także prezesem filii Wytwórni w Wielkiej Brytanii, a także dziesiątków

podległych firm nie wyszczególnionych na tablicy umieszczonej na budynku) było najlepszym przykładem, czego może dokonać architekt wnętrz, kiedy dostaje wolną rękę. Za biurko służył Koolmanowi siedemnastowieczny dębowy stół.

341

W holenderskiej intarsjowanej sekreterze spoczywało dwieście scenariuszy. Prezes zasiadał na fińskim obrotowym fotelu, a jego goście r, a barcelońskim krześle obitym szafirową skórą, w tym samym odcieniu co znak firmowy Koolmana. Mogli podziwiać stworzony przez Adama kominek lub wiszący nad nim obraz Larry'ego Riversa. Stąpali po skandynawskim dywanie rozciągającym się niemal od ściany do ściany, na dywanie tym wśród abstrakcyjnych esów-floresów widniał monogram prezesa. Specjalne reflektorki w obudowie z nierdzewnej stali oświetlały syjamskiego Budde, eksponaty z czerwonej kamionki z Nowej Anglii oraz florentyński tryptyk.

We wnętrzu raził oko jeden jedyny element: zasiadający za biurkiem Koolman. Wskazał mi krzesło, na dywan posypał się popiół z cygara. Potem sięgnął do kieszonki w białej koszuli, wyjął srebrne pudełeczko i zażył pigułkę, drugą ręką trzymając słuchawkę telefonu.

- Mam połączenie z Nowym Jorkiem - wyjaśnił. - Chcę znać ostatnią cenę akcji.

Nim jeszcze usiadłem, zaczął rozmawiać przez telefon.

- Spadły o trzy ósme procenta? Tak? I co na to Benny?

- Wysłuchał uważnie odpowiedzi i odłożył słuchawkę.

W branży filmowej nie zwykło się mówić do widzenia. Może był to przesąd; w garderobach teatralnych nie wolno wspomni

nać o „Makbecie”.

- Produkcja filmów to biznes. Taki sam jak każdy inny
- oświadczył Koolman. - Jeśli rząd chce, by moje filmy kształtowały gusty widzów, to powinien mi zwracać sumy, które na takich filmach stracę. Póki to nie nastąpi, muszę się liczyć z moimi akcjonariuszami, a oni oczekują zysków.

Do gabinetu wpadł chłopczyk z nalaną bladą buzią i zaczął wymachiwać dziecinnym rewolwerkiem.

- Mój syn - przedstawił go Koolman. - Jest w Eton.

Malec myślał, że ojciec jest sam, i kiedy mnie zobaczył, jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Żeby ukryć nieśmiałość, odwrócił się i zaczął strzelać do dzieł sztuki.

- No co, pomyślałbyś, że mam takiego syna? - powiedział z dumą Koolman.
- Jakże. Kubek w kubek pan - odparłem. Ten chłopiec

342

z Eton, który z plastikowego rewolweru mierzy do cennych obrazów, będzie odtąd dla mnie symbolem tego, czym naprawdę jest Koolman.

- Powiedz Jimmy'emu, żeby puścił film - zaproponował małemu Koolman.
- A ty nie pójdziesz ze mną?
- Ja już ten film widziałem - tłumaczył Koolman. - A potem niech ci Jimmy pokaże nowy film Marshalla Stone'a „Cichy raj”. Będziesz zachwycony.
- Okay - odpowiedziało dziecko. Starannie wymierzył rewolwer w głowę ojca i pociągnął spust.

- Przestań celować do ludzi - napomniiał go Koolman. - I powiedz halo panu Ansonowi. Pan Anson jest słynnym pisarzem.
- Halo, panie Anson - powiedział chłopiec, a kiedy się do niego uśmiechnąłem, strzelił z kolei do mnie.
- No, uciekaj - nakazał mu Koolman. I kiedy mały wyszedł, zwrócił się w moją stronę.
- Przepadam za dziećmi, zawsze za nimi przepadałem. To nasza widownia dziś, a także jutro. - Koolman należał do ludzi, którzy chcą mieć ciastko także i wówczas, gdy już je zjedli.
- Owszem, tak się teraz uważa.
- Obecna młodzież ma bardzo wyrobione poczucie moralności. W niektórych sprawach jest bardziej pruderyjna i nie-tolerancyjna niż za czasów wiktoriańskich. W dziewiętnastym stuleciu każdy mógł być bohaterem powieści, teraz trzeba strasznie uważać. Na przykład nie ośmieliłbym się zrobić filmu, którego bohaterem byłby policjant, żołnierz, biznesmen, naukowiec czy nawet biały z Południa. - Roześmiał się ironicznie. - Gdyby w którymś filmie powiedziano o Murzynach połowę tego, co mówi się o gliniarzach, pikietowano by wszystkie kina stąd aż do Alaski.
- Widz nasz pan, tak?
Wziął cygaro z biurka, zaczynało już wypalać w nim dziurę.
- Nie podoba mi się, że mój mały celuje do ludzi. - Spojrzał na mnie. Ma wielu koleżków, raz na tydzień zaprasza ich tutaj na filmy z gatunku horroru. Na takie filmy nie wpuszczają ich do kina.

Znów się roześmiał. Nigdy jeszcze nie widziałem go w tak pogodnym nastroju... A może w ogóle jestem dla niego niesprawiedliwy? Może jego biuro nie jest wcale takie okropne, a on i jego syn nie są potworami... Może to ja chciałem ich takimi zapamiętać.

- Ale przecież zdarza się, że dobry film odniesie Ananasowy sukces...

Zabrzmiało to dość żałośnie, Koolman skinął głową.

- Czemu nie? Zdarza się, że opłaci się dobry film. I zdarza się, że opłaci się zły. Ale najwięcej pieniędzy przynoszą takie, które nie są ani dobre, ani złe. W tym sensie, jaki ty nadajesz tym słowom. - Spojrzał na mnie ostro. - Będę ci wdzięczny, Peter, jeśli nie zacytujesz tego zdania wyrwawszy go z kontekstu. Albo wszystko, albo nic, dobrze?
- To się rozumie samo przez się - odpowiedziałem. Odsunąłem od siebie notes i ołówek, ale Koolman był starym wygą. Znał chwytły stosowane przez dziennikarzy, kiedy chcieli skłonić kogoś do wynurzeń. W odległym kącie gabinetu siedział Phil Sanchez, nieodłączny świadek wszystkich posunięć Kool-mana. Spojrzał na mnie z uśmiechem. Dwóch przeciwko jednemu, jasne, że nie wolno mi było zacytować niczego, co by im się mogło nie spodobać.
- Dobry film? Co to właściwie jest? Chodzi ci o film, który na ostatniej stronie „Sight and Sound” jest oznaczony czterema gwiazdkami? Film, który podoba się tobie lub pannie Stewart? Film, który otrzymuje Oscara? Czy wiesz, ile trzeba zachodu, żeby uzyskać nominację? Tu nie chodzi o prestiż, tylko o grubą forszę. Film, który otrzymał nominację, nie mówiąc już o Oscarze, ponownie pojawia się na ekranach i często

przynosi aż poczwórny zysk.

- Zatem stajesz na głowie, by uzyskać nominację dla „Cichego raju”?
- A żebyś wiedział. Wszyscy członkowie Akademii głosują na najlepszego reżysera, montażystę, scenarzystę... A ja do każdego wysyłam list zapraszając na projekcję „Cichego raju”. Na Marshalla będą głosować tylko aktorzy, więc im należy się szczególna uwaga.
- Szczególna uwaga?

344

- Przez cały ostatni tydzień stycznia będę urządził w domu pokazy filmu. Pełno będzie żarcia i drinków, a najpiękniejsze dziewczęta z wytwórni odpowiedzą na wszelkie możliwe pytania.

- Założę się, że wiem jakie!

Wziął przewiązany czerwoną wstążką program, na którym wytłoczony był znak firmowy MWF. Wewnątrz znajdowały się nie tylko fotosy z filmu, ale także biografie gwiazd i plotki dotyczące okresu zdjęciowego.

Koolman czekał, aż go przejrzę.

- Ale na tym się nie skończy. Dam ogłoszenia w pismach branżowych. Dostarczę plotek felietonistom... Dobrze się będę musiał nagłowić, jak najlepiej sprzedać Marshalla tym, którzy będą głosować. - Schylił się za biurkiem i czegoś szukał, ale nie przestawał mówić. - Mamy szesnastomilimetrowy film pokazujący okres zdjęciowy. BBC wyświetli go w przyszłym tygodniu w porze największej oglądalności, rozmawiałem już z CBS, żeby pojawił się w telewizji w Stanach. Temat muzyczny został na nowo opracowany, pogadam z Barbrą i (ohhny'm Cashem o ewentualnych płytach! I taki album płytowy ukaze się pod tym samym tytułem, co film. „Wejdz ze mną w cichy raj”. Znany pisarz

przerabia scenariusz na powieść, która w kieszonkowym wydaniu ukaże się tuż przed premierą. -Spojrzał na mnie, jakby mu nagle strzelił do głowy jakiś pomysł.

- O, to by było coś dla ciebie, gdybyś miał czas i chciał zarobić dziesięć patyków.
- Dziesięć tysięcy dolarów?
- Plus procent. To może być prawdziwa forsa.
- Nie wątpię.

Koolman dał znak Sanchezowi.

- Phil, otwórz butelkę Dom Perignon. - Znów zwrócił się do mnie. - Rano mogę pić tylko szampana. Każdy inny alkohol wywołuje nadkwasotę.
- Nie musisz się tłumaczyć.

Skinął głową tak, jakby odnotowywał w myśli moją uwagę, i milczeliśmy, póki Sanchez nie przyniósł szampana i kieliszków. Nalał nam.

345

Powiedziałem:

- No i wzięłeś Marshalla Stone'a do filmu „Morderca policjantów”.
- Nadaje się jak nikt.
- A co stanie się z Valem Somersetem?
- Val jest świetny, ale nie udźwignie filmu za dziesięć milionów. Coś mi mówi, że jeszcze do tego nie dorósł. Może za rok...
- I Marshall zagra w twoim telewizyjnym serialu?

Koolman leciutko się nastroszył.

- Nie, Peter, to nie serial. To dziesięć filmów z tym samym bohaterem.

Możliwe, że najpierw ukażą się w kinach. Może nie. Ale będą to filmy zrealizowane przez świetne ekipy i pojawi się w nich dużo nazwisk dobrych aktorów. Sam jestem zainteresowany tym, żeby te filmy pojawiły się najpierw na ekranach kin. Wtedy telewizja płaci znacznie więcej.

- I dobiłeś interesu ze Stone'em dając mu rolę Somerset w zamian za jego udział w serialu?

Wzniósł kieliszek z szampanem, uśmiechnął się do mnie i wypił łyk.

- Przemawia przez ciebie dziennikarz, Peter! Przestań fantazjować.
- I obiecałeś mu w dodatku, że Val Somerset rocze, dwa pobędzie sobie w poczekalni?
- Wiążemy z Valem wielkie nadzieje - odpowiedział z niezmaconym spokojem Koolman.
- Na przykład?
- Nie możemy jeszcze składać oficjalnych deklaracji. - Czekaj chwilę, jak na to zareaguję. - Chyba zagra w tej naszej historyjce o astronautach, reżyserem będzie Bert Hanratty, Suzy obsadzimy w roli żony. Ale jeszcze trwają pertraktacje.

- Rozumiem. - Sięgnąłem z powrotem po notes.

Koolman oświadczył.

- Ja już w tego chłopaka mnóstwo zainwestowałem. Więc Val może się nie obawiać, że puszcze go kantem.
- Co zainwestowałeś?
- Jak to co? - oburzył się Koolman. - Czy te jego nowe zęby nie kosztowały mnie dziesięć tysięcy dolarów? Kiedy

zrobiliśmy mu próbne zdjęcia, żeby wypadły okropnie. Na koszt wytwórni założono mu w Szwajcarii korony. I nim zagrał w drugim filmie, opłaciliśmy jego lekcje konnej jazdy, a na tym drugim filmie nie zarobiliśmy ani centa.

- Pewnie cena tych paru zębów i lekcji konnej jazdy łatwo da się zrekompensować milionem, który dostaniesz od telewizji za „Kata”.
- Telewizji się to opłaci. Tego wieczoru będą mieć rekordową liczbę widzów.
- Czy kiedy skończysz „Człowieka z pałacu”, też dostaniesz od telewizji cały milion?
- Widziałeś próbny montaż. Powinieneś wiedzieć lepiej niż ja.
- Pozwalam sobie wątpić.

Uśmiechnął się na znak, że zgadza się ze mną. Dwukrotnie zamruczał telefon. Koolman odchylił się do tyłu i wrzasnął:

- Jestem zajęty! - Nie widziałem aparatu, w który wrzeszczał.

Oświadczył:

- Cały czas czuje się, jacy są zachwyceni własną pomysłowością. Sztuka przez wielkie S. Mówią o awangardowym montażu, ja to nazywam montażem próbnym. Ale wpakuję w ten film jeszcze trochę pieniędzy, parę scen się zmieni, no i dodam sekwencję koronacji.
- Koronacji?
 - Sala będzie o osiemnaście metrów kwadratowych większa od Opactwa Westminster. Same dekoracje będą mnie kosztować dwa miliony.
 - A co potem z tą salą zrobisz? Ofiarujesz narodowi czy zabierzesz do Kalifornii?
 - Moi scenarzyści już piszą nowe zakończenie. Górą będzie młodzież.

- To całkowicie zrukuje film.
- Może w twoich oczach. Ale gdybym pokazał, że młodzieży brak zdrowego rozsądku, to zrujnowałbym samego siebie. •Nie stać mnie na filmy z przesłaniem. Znasz powiedzonko „od przesłań jest poczta”.
- Nie wyobrażam sobie, żeby Hanratty się na to zgodził.
- Hanratty ma same powody do radości - odparł Koolman.
- Zaproponowałem mu kontrakt za cztery filmy, zarobi więcej

347

niż przez całe dotychczasowe życie. Kupię prawa do powieści, którą się zachwyił, i dostanie odpowiedni budżet. Ma za co dziękować Panu Bogu. Zwłaszcza po tym ostatnim fiasco.

- A co z Bookbinderem?
- Z Bookbinderem? Kagan też może być mi wdzięczny. Wie, że gdyby nie ja, czekałoby go upokarzające bankructwo.
- „Ten, kto da nura, gdy film skończy...”
- ...„Dożyje dnia, gdy znów film zoczy!” Cha, cha, cha. A propos, widziałeś wczoraj Marshalla w TV?
- „Jak być aktorem?” Tak. Wiesz, że byłem w Twin Be-eches, gdy nakręcano ten wywiad? Zmienił się nie do poznania. - Tak, nic w nim nie zostało z ironii. Teraz Marshall Stone w stroju z „Ostatniego vaquero” galopował na koniu i posłużyło to za tło do czołówki. Po czym nastąpił czołobitny wywiad przerywany klipami z najlepszych filmów Stone'a, obejrzelśmy także całą sekwencję z „Cichego raj”, który prezenter nazwał arcydziełem. - Co się stało? - zapytałem.
- Telewizja otrzymuje od nas za darmo wiele klipów i wywiady

zrealizowane przez nasz dział reklam. Żadna sieć telewizyjna nie ośmieli się nam narazić.

Koolman oznajmił to jako coś najbardziej oczywistego, dał mi czas, żebym mógł się nad tym zastanowić.

- Wspaniała reklama.
- Wiesz chyba, Peter, że z aktorami trzeba jak z dziećmi. Wymagają nieustannej opieki, muszą się czuć kochani. I powinieneś pamiętać o tym pracując nad twoją biografią. Pokaż czytelnikom Marshalla takim, jakim pragną go widzieć. Bo twoimi czytelnikami będą jego wielbiciele. To jego nazwisko w tytule sprawi, że sięgną po książkę. Oni, a nie miłośnicy biografii historycznych, ci wolą czytać o politykach i królach.
- Hm...
- To przecież oczywiste. Tak, twoimi czytelnikami będą wielbiciele Stone'a i z góry wiedzą, co chcą usłyszeć. Nikt nie lubi, by mu udowadniać, że nie zna się na ludziach. Wszyscy uważamy się za znawców natury ludzkiej, wspaniałych kochanków i kierowców.

Uśmiechnąłem się i to zachęciło Koolmana do kotynuowania perory.

348

- Z drugiej strony, Peter, napisana z brawurą biografia jednego z czołowych przedstawicieli naszego show-biznesu bardzo by nam była na rękę. Rozdawalibyśmy ją na pokazach „Cichego raj”. To by było jakieś pięć tysięcy egzemplarzy. Dalsze dziesięć tysięcy zakupiłbym w charakterze upominków gwiazdkowych od naszej firmy. Piętnaście tysięcy egzemplarzy na pniu! Czyli miałbyś pewność, że twoja książka znajdzie się na liście bestsellerów. - Napił się szampana. Ja też wychyliłem

kieliszek. Koolman przeszedł samego siebie, zamienił się we własną karykaturę. Liczył na palcach, ile zarobię na tej mojej jeszcze nie napisanej książce. Tak, takim go właśnie pokażę.

Wypiłem ostatni łyk szampana i powiedziałem:

- Cóż, nie sędzę, żeby moja książka należała do tego gatunku biografii. To co mam do powiedzenia o Stonie potrafię wyrazić tylko w powieści.

Oburzył się.

- O tak, pisz powieść! Najlepiej napisz powieść o tym, jak ciężkie dzieciństwo wpłynęło na homoseksualne skłonności liberała mieszkającego w New Jersey. Proszę bardzo, pisz sobie powieści, ale niech twój agent nie próbuje mi sprzedać filmowych praw.
- Chciałem tylko powiedzieć - wyjaśniłem cierpliwie - że w powieści pełniej potrafię wyrazić całą prawdę o tym człowieku.
- Bzdura! - orzekł Koolman i nagle się zastanowił. - Co, chcesz wyciągnąć jakieś brudy i nazwać to fikcją? - Myśl wyraźnie mu się spodobała. - Jak go nazwiesz?
- Nie wiem jeszcze
- Starr.*
- Może trochę za nachalne. Stone?
- Marshall Stone - zaproponował.
- To pomysł.
 - Więc on będzie twoim bohaterem... A kto odegra rolę czarnego charakteru? Ja? - Powiedział to takim tonem, jakby podobna możliwość w ogóle nie wchodziła w rachubę.
 - Cóż, ty jesteś górą. Kupiłeś „Człowieka z pałacu” za jakąś śmieszłą sumę

i masz prawo przerobić go, jak ci się będzie

* Star - po ang. gwiazda.

349

podobało. Zawarłeś nowy kontrakt ze Stone'em i zahamowałeś dopływ na rynek kaset.

• A to niby jak?

• Po perypetiach Continuum nie widzę, kto by chciał inwestować w ten przemysł.

• Ejże, Peter, wiesz przecież, że nie miałem z tym nic wspólnego.

Continuum źle się rządziło. Możesz się spytać żony. - Uśmiechnął się chytrze i dorzucił: - Chyba nie posądzasz Mary o knowania ze mną?

Nie odpowiedziałem.

• Już od wielu lat jej nie widziałem.

• Wiem.

• No więc?

• Mary wyjaśniła mi, na czym polegała twoja umowa z Continuum.

Sanchez nalał mi szampana. Czyżby chcieli, żeby rozwiązał mi się język?

• No i chwała Bogu. - Koolman westchnął z udaną ulgą.

• Tak, mój czarny charakter będzie trochę do ciebie podobny. A jego firma będzie nosiła jego nazwisko. Koolman. Tak będzie prościej.

• Nie zniżaj się nad nim. Wiesz, to dobre nazwisko dla mnie - Koolman, cool man*, owszem podoba mi się. Nie zniżaj się nad nim. Miał mnóstwo kłopotów z tym idiotą.

• Z Marshallem Stone'em?

Uśmiechnął się z prawdziwą satysfakcją usłyszawszy wymyślone przez

siebie nazwisko.

- Tak, z Marshalllem Stone'em. On i ten jego agent to chciwcy, którzy tylko patrzą, jak oszukać człowieka i nie dotrzymać umowy.
- Napiszę „Zbliżenie” tak, że Koolman będzie ich godnym przeciwnikiem. Potrafi zaleźć Stone'owi za skórę, metodą bata i marchewki wymusi na nim każdy kontrakt. W razie czego ucieknie się do pomocy gangsterów, których wyśle do Włoch. Potrafią przemówić Stone'owi do rozumu a on znów chętnie padnie ci w ramiona.

* Opanowany.

350

- O, to jest myśl! - zawołał zachwycony Koolman. - Prawa do takiej powieści gotów jestem zakupić. - Spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się.
- Okay - wycofałem się. - Może opiszę to tylko jako coś, co sobie wyobrażał.
- I co jeszcze sobie wyobrażał? Wypadek samochodowy? Morderstwo? Musiałem zrobić zdziwioną minę. Roześmiał się.
- Znam takie książki. Przysyłają je nam tuzinami. - Nachylił się nad biurkiem i wycelował we mnie nożyk do przecinania kartek. - Poroniony pomysł. Zastanów się, Peterze Anson. A może żadnego wypadku nie było? Może ten facet, Cool Man, wymyślił wypadek i dał jakiemuś gryziopiórkowi z redakcji pięćdziesiąt dolarów? Ale czy to on także wymyślił nigdy nie istniejącą córkę i obsadził w tej roli jakąś sierotkę? O, to powinieneś wiedzieć, nim napiszesz odpowiedni rozdział.
- Szykujesz następną machlojkę? Czy jeśli Marshall będzie grzeczny, to

pozwołisz mu ożenić się z Suzy?

- Peter, bez przesady! Nie, nie, nie. - Spojrzał na Sancheza. - Ale przymkniemy oczy na przypadkowe kazirodztwo.

Sanchez uśmiechnął się,, A Koolman zwrócił się teraz do niego:

- Otwórz następną butelkę, Phil. Ten szampan przestał musować. - Sanchez już dawno wstawił do wiaderka z lodem drugą butelkę szampana. Teraz wyjął ją i owinął serwetką czułym gestem matki wyjmującej z kąpieli dziecko. Chwycił ją mocno za szyjkę i podważył kciukiem korek. Korek tylko westchnął.
- Znakomicie - pochwalił Koolman. - Za każdym razem mu się udaje. - Jemu się to udaje nie tylko z szampanem!

Sanchez uśmiechnął się.

- Ach, ten mój mały... - przypomniał sobie Koolman. - Nie lubię patrzeć, jak się komuś przystawia do głowy lufę pistoletu.

Sanchez zanotował to zdanie, traktując je jako instrukcję, mnie ono bardzo zdziwiło.

- „Zbliżenie” - powtórzył Koolman. - Nigdy bym takiego

351

tytułu nie kupił. Nikt w Omaha nie zwróci na taki tytuł uwagi. A jak zakończysz książkę?

Uśmiechnąłem się tak, jakbym chciał to utrzymać w tajemnicy. Ale zakończenia jeszcze nie wymyśliłem. Miałem tylko początek.

ZBLIŻENIE Rozdział pierwszy Błękitny gruby papier zachrobotał, kiedy mężczyzna składał swój podpis. Był to typowy autograf aktora. Wielkie litery przechodziły w esy-floresy. Całość robiła wrażenie dekoracyjnej

spirali. Podpis ten świadczył o człowieku.

KONIEC